



ALICE SEBOLD

Córeczka



Wstrząsająca powieść autorki
NOSTALGII ANIOŁA.
Studium relacji matka-córka; jedna
z najbardziej kontrowersyjnych
książek ostatnich lat.

Helen Knightly właśnie zabiła swoją matkę.
Teraz próbuje uciec przed konsekwencjami
swojego czynu...



Tej autorki

SZCZĘŚCIARA

NOSTALGIA ANIOŁA

CÓRECZKA

ALICE SEBOLD

Córeczka

Z angielskiego przełożyła
ZOFIA UHRYNOWSKA-HANASZ

Tytuł oryginału: THE ALMOST MOON

Copyright © Alice Sebold 2007 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A.Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Zofia Uhrynowska-Hanasz 2009

Redakcja: Beata Słama

Zdjęcie na okładce: Elise Maale Reksen

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-919-2 (oprawa twarda)

[SBN 978-83-7359-918-5 (oprawa miękka)

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t/f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie III/oprawa miękka

Druk: Łódzkie Zakłady Graficzne, Łódź

Zawsze, Glen

1

Kiedy wszystko zostało powiedziane i zrobione, zabicie matki wydaje się proste. Demencja obnaża jądro osobowości człowieka, którego dotyka. A jądro osobowości mojej matki przypominało zgniłą niezmienianą od tygodnia wodę na dnie wazonu z kwiatami. Kiedy ojciec ją poznał, była piękna, a kiedy przyszedłem na świat jako ich późne dziecko, potrafiła jeszcze kochać, jednak w chwili, kiedy spojrzała na mnie tamtego dnia, żadna z tych rzeczy nie miała już najmniejszego znaczenia.

Gdybym nie odebrała wtedy telefonu, nieszczęsna sąsiadka matki, pani Castle, leciałaby dalej po liście numerów kontaktowych przypiętej do lodówki migdałowego koloru. Stało się jednak inaczej, więc nie minęła godzina, a gnałam na łeb, na szyję do domu, w którym przyszedłem na świat.

Był chłodny październikowy poranek. Kiedy się pojawiłam, matka, wyprostowana i otulona moherowym szalem, siedziała w fotelu i coś do siebie mamrotała. Pani Castle powiedziała, że kiedy rano przyniosła gazetę, matka jej nie poznała.

- Próbowwała zatrzęsnać mi drzwi przed nosem - poskarżyła się. - Wrzeszczała, jakbym ją obdzierała ze skóry. To było naprawdę coś okropnego.

Matka siedziała jak totemiczna postać w tapicerowanym czerwono-białym fotelu, w którym spędziła ponad dwadzieścia lat, jakie upłynęły od śmierci ojca. Starzała się w nim powoli: najpierw czytała książki i haftowała, a potem, kiedy zaczął ją zawodzić wzrok, oglądała telewizję publiczną od świtu do wieczornego posiłku, po którym zasypiała przed telewizorem. W ciągu ostatniego roku czy dwóch po prostu siedziała w tym swoim fotelu, nie fatygując się nawet, żeby włączyć telewizor. Często kładła sobie na kolanach splecione pasemka wełny, którą na każde Boże Narodzenie przysyłała jej moja starsza córka Emily. Pieściła je tak, jak niektóre stare kobiety pieścżą kota.

Podziękowałam pani Castle i zapewniłam ją, że dam sobie radę.

- Pamiętaj, że to już czas. - Sąsiadka odwróciła się do mnie, wychodząc. - Matka okropnie długo była sama w domu.

- Wiem - odparłam i zamknęłam drzwi.

Pani Castle schodziła po schodkach z werandy z trzema różnymi pustymi talerzami, które znalazła w kuchni, a które, jak twierdziła, należały do niej. Nie wątpiłam w to. Sąsiedzi matki byli błogosławieństwem. W czasach mojej młodości matka pomstowała na pobliski kościół prawosławny, nazywając jego parafian bez żadnego powodu „tymi głupimi Polakami”. Ale to przecież właśnie członkowie tej kongregacji dbali o to, żeby stuknięta stara kobieta, mieszkająca od niepamiętnych czasów w walącym się domu,

była nakarmiona i ubrana. A jeśli od czasu do czasu ją okradano, no, cóż... ktoś taki nie powinien mieszkać sam.

- Tutaj pod moim dachem żyją jacyś ludzie - skarżyła mi się nieraz, ale dopiero kiedy przy moim starym dzieciennym łóżku znalazłam prezerwatywę, zrozumiałam, o czym mówi. To Manny, chłopak, który od czasu do czasu przychodził coś matce zreperować, sprowadzał na górę dziewczyny. Rozmawiałam na ten temat z panią Castle i nawet wezwałam ślusarza. Ostatecznie to nie moja wina, że matka nie chciała się stąd wyprowadzić.

- Mamo - użyłam słowa, do którego tylko ja, jako jej jedyne dziecko, miałam prawo. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Suka - powiedziała.

Obcując z osobami dotkniętymi demencją, odnosisz czasem wrażenie, że mają jakiś tajemny dostęp do prawdy, która się w tobie kryje - jakby mogły ci zajrzeć pod skórę.

- Mamo, to ja, Helen - powiedziałam.

- Już ja wiem, kto ty jesteś! - warknęła.

Zacisnęła dłonie na obłych poręczach fotela, a ja widziałam, z jaką siłą na te dłonie przypominające bezwolne szpony napiera, rażąc mnie swoją złością.

- To dobrze - odparłam.

Stałam tam jeszcze przez chwilę, dopóki nie poczułam, że mam do czynienia z niepodważalnym faktem: ona jest moją matką, a ja jestem jej córką. Wydawało mi się, że od tej chwili nasze kolejne niemiłe spotkanie potoczy się normalnym trybem.

Podeszłam do okien i zaczęłam opuszczać metalowe żaluzje, pociągając za coraz to bardziej poprzecieraną taśmę.

Ogródek mojego dzieciństwa był tak zarośnięty, że krzewy i drzewa zatraciły swoje pierwotne kształty, a ja z trudem poznawałam miejsce, w którym bawiłam się wraz z innymi dziećmi, dopóki zachowanie mojej matki nie zaczęło zwracać uwagi sąsiadów.

- Ona kradnie - powiedziała matka.

Stałam tyłem do niej. Patrzyłam na pnącze, które w rogu ogródka wpełzło na wielki świerk, całkowicie kryjąc szopę pełniącą kiedyś rolę warsztatu stolarskiego ojca. Tam był najszcześliwszy. W najgorsze dni próbowałam go sobie wyobrazić, jak pracowicie szlifuje papierem ściernym drewniane kule, które wyparły wszystkie inne zamówienia.

- Kto kradnie?

- Ta suka.

Wiedziałam, że mówi o pani Castle. O kobiecie, która dzień w dzień przychodziła sprawdzić, czy matka się obudziła. Która jej przynosiła „Philadelphia Inquirer”, a nierzadko kwiaty z własnego ogródka. Wstawiała je do plastikowych pojemników po mrożonej herbacie, spokojna, że się nie stłuką, gdyby je przypadkiem matka przewróciła.

- To nieprawda - powiedziałam. - Pani Castle to kochana kobieta, która się tobą serdecznie opiekuje.

- A co się stało z moją niebieską miską Pigeon Forge?

Znałam tę miskę i zdałam sobie sprawę, że istotnie nie widziałam jej już od kilku tygodni. W czasach mojej młodości było w niej zawsze to, co nazywałam jedzeniem uwięzionym - a więc orzechy włoskie, orzechy brazylijskie i laskowe, które ojciec łupał i małym widelczykiem wydłubywał miąższ.

- Ja jej tę miskę dałam, mam - skłamałam.

- Co takiego zrobiłaś?

- Pani Castle jest taka fantastyczna, a ja widziałam, że ta miska jej się podoba, więc któregoś dnia, kiedy się zdrzemnęłaś, po prostu jej tę salaterkę dałam.

Pomoc nie jest za darmo, miałam ochotę jej powiedzieć. Ci ludzie nie mają wobec ciebie żadnych zobowiązań.

Matka spojrzała na mnie, ale było to koszmarnie przepastne spojrzenie. Najpierw zrobiła podkówkę: dolna warga jej opadła, a potem zaczęła drgać. Zbierało jej się na płacz. Wyszłam do kuchni. Za każdym razem, kiedy tu przychodziłam, znajdowałam mnóstwo powodów, żeby większość czasu przeznaczonego dla matki spędzać wszędzie, tylko nie tam, gdzie była ona. Zaczęła od niskiego jęku, który towarzyszył mi przez całe życie. Ten jęk był obliczony na wzbudzenie litości. To zawsze ojciec łamał się pierwszy i do niej biegł. Po jego śmierci padło na mnie. Przez ponad dwadzieścia lat z mniejszą czy większą starannością zajmowałam się nią, biegnąc, kiedy wołała, że serce jej pęka, czy - w miarę jak się starzała - coraz częściej wożąc ją do lekarza.

Tego dnia późnym popołudniem byłam na osłoniętym ganku na tyłach domu i zamiatałam słomianą matę. Zostawiłam drzwi uchylone, żebym w razie czego mogła ją słyszeć. I wtedy w otaczającą mnie chmurę kurzu wdarł się nieulegający wątpliwości smród gówna. Matka musiała iść do łazienki, ale nie mogła podnieść się z fotela.

Rzuciłam miotłę i pobiegłam do niej. Ale ona - wbrew moim podświadomym oczekiwaniom - nie umarła, czemu mogłoby towarzyszyć mimowolne wypróżnienie. Nie umarła we własnym domu, jak tylko ktoś w jej sytuacji mógłby sobie wymarzyć. Nie: po prostu narobiła pod siebie.

- Numer dwa! - wykrzyknęła. Tym razem jej uśmiech był inny niż ten, który zwykle towarzyszył słowu „suka”. W tym uśmiechu było mimo wszystko jakieś życie. Ten był obcy. Wyzuty nawet ze strachu czy złości.

Często, kiedy relacjonowałam mojej młodszej córce Sarze wydarzenia danego dnia, mówiła mi, że niezależnie od tego, jak bardzo mnie kocha, nie będzie mnie na starość przebiegła ani zmieniała mi pieluch.

- Wynajmę kogoś - powiedziała. - Unikanie takich spraw to najlepsza zachęta do odnoszenia sukcesów na innym polu.

W ciągu kilku sekund smród rozszedł się po całym pokoju. Dwa razy wychodziłam na werandę, żeby odetchnąć nawet takim przesyconym kurzem powietrzem. Myślałam tylko o jednym: matka musi zaprezentować się tak, jak sama chciałabym wyglądać wobec innych. Wiedziałam, że będę musiała wezwać karetkę. Już od jakiegoś czasu zdawałam sobie sprawę, że matka powoli rozstaje się z życiem, ale nie chciałam, żeby przyjechała do szpitala umazana gównem. Powinnam powiedzieć: wiem, że ona by tego nie chciała, bo to, co dla niej było przez całe życie najważniejsze - czyli pozory - okazało się najważniejsze i dla mnie. Po raz ostatni zaczerpnęłam tchu na werandzie i wróciłam do niej. Już się nie uśmiechała; była bardzo pobudzona.

- Mamo - powiedziałam przekonana, że ani nie rozpoznaje tego słowa, ani córki, która je wymówiła. - Pomogę ci się umyć, a potem musimy wykonać kilka telefonów.

Ty już nigdy nie zatelefonujesz, pomyślałam, nie mając zamiaru być okrutna. Ciekawe, dlaczego pragmatyzm jest tak często interpretowany w ten sposób. Gówno to gówno, a prawda to prawda. I tyle.

Uklękałam przed nią i spojrzałam jej w twarz. Nienawidziłam matki bardziej niż kogokolwiek na świecie, a mimo to sięgnęłam ręką w górę, jakby mi wreszcie pozwolono dotknąć czegoś szczególnie cennego, i przejechałam palcami po jej długim siwym warkoczu.

- Mamo - wyszeptalam, wiedząc, że to słowo zawiśnie w powietrzu. Że nie będzie nawet żadnego pogłosu, żadnej odpowiedzi.

Ale wilgotny okład zaczął jej doskwierać. Była jak ślimak uwięziony na słońcu - tak samo chciała uciec od tego, co powoduje niewygodę. Podniosłam się z klęczek i nachyliłam nad nią. Objęłam ją delikatnie, starając się jej nie przygniść. Przyjmując postawę zawodnika futbolu blokującego przeciwnika, dźwignęłam ją do góry. Była i lżejsza, i cięższa, niż się spodziewałam.

Bez trudu ją postawiłam, ale gdy tylko znalazła się w pozycji pionowej, osunęła mi się w ramiona. Jedyne, co mogłam zrobić, żeby jej nie upuścić, to ukucnąć razem z nią. Kiedy już przygotowałam się do tego, żeby wziąć na siebie cały jej ciężar, mimo woli pomyślałam o ojcu - o tym, jak rok po roku dźwigał to brzemie, jak przepraszał sąsiadów, wycierał jej obfite łzy i jak jej ciało składało się, zawisając na nim i stapiając się z nim w jedno.

W takich chwilach mnie samej chciało się płakać. A teraz zbliżyliśmy się do końca „nas”, co oznaczało także koniec sekretów naszego domu. Miałam czterdzieści dziewięć lat, a matka osiemdziesiąt osiem. Ojciec nie żył już prawie tyle lat,

ile miała moja młodsza córka; umarł parę miesięcy po tym, jak skończyła trzy latka. Sara nigdy w pełni nie doświadczyła jego uroku osobistego; nigdy nie bawiła się w jego warsztacie wśród wyrobów ze sklejki. Pomyślałam o podobnych do mutantów koniach na biegunach butwiejących gdzieś w szopie i o moich ramionach, w których trzymałam matkę, a które słabły niebezpiecznie z każdą chwilą. I o tym, jak nasz dom i moje życie zmieniło się po jego śmierci.

Zawlokłam matkę, która - czułam to - starała mi się pomóc, na skraj schodków prowadzących do jej łazienki. Chyba zwariowałam. Jak ja sobie z tym wszystkim poradzę? Przecież ona waży przynajmniej pięćdziesiąt kilo, a ja, mimo całej sprawności niespełna pięćdziesięciolatki, nigdy nie podniosłam większego ciężaru niż trzydzieści. Niestety, nie dałam rady: upadłam na schodkach, a moja obfajdana i obsikana matka runęła na mnie.

Leżąc na pokrytych wykładziną dywanową stopniach, dyślałam ciężko, ale nie dawałam za wygraną. Byłam zdecydowana umyć ją i przebrać, zanim wezwę karetkę. Kiedy tak leżałyśmy, a ja zaczynałam się już przyzwyczajać do jej ciężaru, przywalona jej ciałem jak ciałem drzemiącego kochanka, próbowałam rozpatrywać różne możliwości. Mogłabym ją dotaszczyć do łazienki na tyłach domu i próbować umyć przy umywalce. Była jeszcze kuchnia. Ale o co ją oprę? Jak miałabym jednocześnie trzymać ją i myć, nie mówiąc o zalaniu podłogi i niebezpieczeństwie poślizgnięcia się z nią i rozwalenia obu naszych głów.

Matka zaczęła chrapać z odchyłoną do tyłu głową, tak że przez ramię widziałam jej starą, usianą plamami twarz i szyję.

Spojrzałam na jej kości policzkowe - wystające jak zwykle, a teraz boleśnie ostre w jej trupim ciele. Kto mnie będzie kochał, pomyślałam, po czym wyrzuciłam z głowy to pytanie, patrząc na liście brzozy w promieniach zachodzącego słońca. Spędziłam tu cały dzień. Nie zadzwoniłam nawet do Westmore, żeby odwołać zajęcia. Oczyma duszy widziałam puste miejsce na podium w sali ćwiczeń z rysunku z modelu kurs podstawowy i studentów przy sztalugach gapiących się w to puste miejsce, z bezużytecznym węglem w rękach.

Wiedziałam, że jeśli się nie ruszę, matka może tak spać godzinami i że już wkrótce zrobi się ciemno. Wyobrażałam sobie moją przyjaciółkę Natalie, która szuka mnie po różnych salach szkoły artystycznej, na próżno pytając o mnie studentów. Natalie zadzwoni do mnie do domu albo nawet tam pojedzie sama albo ze swoim synem Hamishem. Dzwonek odezwie się w pustym domu i wtedy Natalie pomyśli, że coś stało się mnie, Sarze albo Emily.

Delikatnie podłożyłam ręce pod ramiona matki, unosząc je lekko ze schodków. Najpierw jedno, potem drugie, jakbym poruszała naturalnej wielkości lalką. Ale opanowanie jej w tak prosty sposób byłoby jednak niestety niemożliwe. Muszę sobie poradzić jakoś inaczej - bez wzywania córek. To zadanie tylko dla mnie. Wyczołgałam się jakoś spod niej, a ona wydała jęk jak balon, z którego uchodzi powietrze. Usiadłam obok niej na schodkach. Dom miał ciężar i siłę, które mogły mnie zmiażdżyć. Wiedziałam, że muszę się stąd wydostać, i pomyślałam nagle o wannie stojącej w szopie wśród koni na biegunach.

Zostawiłam drzemiącą matkę i pobiegłam na górę. Wpadłam do jej zagraconej sypialni po koce i do pokoiku toaletowego po ręczniki. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze wiszącym nad umywalką. Oczy wydały mi się mniejsze i nawet bardziej niebieskie niż zwykle, jakby intensywność przeżyć miała wpływ na kolor i jego percepcję. Od lat strzygłam się tak krótko, że niemal widziałam skórę na własnej głowie. Kiedy po raz pierwszy weszłam w tej fryzurze do matki, spojrzała na mnie i powiedziała:

- Tylko mi nie mów, że do tego wszystkiego masz jeszcze raka. W dzisiejszych czasach wszyscy mają raka. - Wyjaśniłam jej, że z krótkimi włosami jest wygodniej: łatwiej ćwiczyć, pracować w ogrodzie i nie tylko w ogrodzie. Uderzyła mnie niejasność jej intencji - nie wiedziałam, czy martwiłaby się o mnie, gdyby się okazało, że mam raka, czy uznałaby go za konkurencję dla siebie. Ton, jakim zadała mi to pytanie, wskazywał na drugą ewentualność, ale ostatecznie trudno było w coś takiego uwierzyć w odniesieniu do własnej matki.

Stałam na szczycie schodów, trzymając koce i ręczniki. Starłam się nie dopuszczać do siebie myśli, że ona już więcej nie zobaczy tych pokoi i że od tej pory staną się one dla mnie pustymi skorupami pełnymi różnych rupieci. Uderzyła mnie cisza panująca na górze w korytarzu i spojrzałam na wiszące na ścianach obrazki, które wkrótce znikną. Wyobraziłam sobie ciemne prostokąty, jakie po nich zostaną w miejscach, gdzie latami nie dochodziło słońce; słyszałam echa wśród pozbawionych zasłon okien i grubych ścian z cegły i tynku. Zaczęłam śpiewać. Śpiewałam jakieś bzdury: reklamy karmy dla kotów i dziecinne piosenki. Ten ostatni zwyczaj przejęłam

od matki, która w ten sposób starała się oddalać wybuchy zdenerwowania. Opanowała mnie potrzeba hałasowania, ale w miarę jak schodziłam na dół, powoli się uspokajałam. Zauważyłam, że matka zsunęła się i leży teraz na podłodze, na starym perskim dywanie w kolorze czerwonego wina.

- Nie, mamu, nie. - Kiedy to powiedziałam, zorientowałam się, że pewnie z lepszym skutkiem mogłabym próbować rozmowy z psem. Pies uniósłby przynajmniej głowę. Spojrzałby na mnie z uczuciem. A matka była nieświadomym niczego śmierzącym workiem kości.

- Dlaczego tak? - Stojąc nad nią z kocami i ręcznikami, zaczęłam płakać. Modliłam się szeptem, żeby nikt w tej chwili nie zapukał do drzwi, żeby pani Castle nie przyszło do głowy sprawdzić, co się u nas dzieje, chociaż właśnie o tej porze mógł się pojawić Manny, chłopak, który przychodził pomagać.

Położyłam ręczniki na ostatnim stopniu schodów, a czerwono-czarny koc dziadka „Hudson Bay” rozpostarłam koło matki na podłodze. Sięgał aż do jadalni. Następnie, żeby wełna nie gryzła, położyłam na nim biały meksykański kocyk ślubny. Opuścił mnie zdrowy rozsądek - robiłam roladę z ryby albo sajgonki. Pomyślałam: burrito supergigant.

Schyliłam się, głęboko zaczerpnęłam tchu, odciążając kręgosłup - dzięki ci, Stello z Ośrodka Wychowania Fizycznego - i wsunęłam matce ramiona pod pachy.

Nagle otworzyła oczy.

- Co ty, do diabła, robisz?

Zamrugałam. Z twarzą przy jej twarzy miałam uczucie, że wyssie mi ustami oczy, a reszta mojej osoby, jak ogon jaszczurki

albo koniec płaskiego makaronu w ciągu kilku sekund da za nimi nurka i też zniknie. Napięłam ramiona. Czy ona kiedykolwiek będzie bezsilna?

- Daniel! - ryczała. - Daniel!

- Mamo, taty tu nie ma.

Spojrzała na mnie; jej twarz najpierw przygasła, a następnie rozbłysła jak zapalka w ciemności.

- Chcę moją salaterkę! Już, zaraz! - wrzeszczała.

Być tak blisko niej. Trzymać ją i widzieć, jak się otwiera jej przypominający jajecznicę mózg - tylko myśląc o tym, mogłam nie zejść z raz obranej drogi. Kiedy matka mówiła o różnych rzeczach - o „ślicznym bobasku” Emily (Emily właśnie skończyła trzydzieści lat i miała własne dzieci), o łożysku rosnącym koło chaty jej ojca, który trzeba było ścinać kosą (chata leżała u stóp Smoky Mountains i już od dawna nie istniała w życiu naszej rodziny), o kradzieżach, o spiskowaniu, o sąsiadach, którym nie można zaufać - położyłam ją na kocach i zrobiłam z niej otwarty z jednej strony pakiet, z którego wystawała tylko gadająca głowa. Następnie położyłam jej na piersiach ręczniki i oddychając wolno, policzyłam do dziesięciu.

- Idziemy na przejażdżkę sankami - powiedziałam, jednocześnie łapiąc koc za dwa wolne końce, uniosłam ją lekko do góry. Następnie przeciągnęłam matkę przez leżący w jadalni dywan, przez kuchnię i bocznymi drzwiami wywlokłam na zewnątrz

- Bibiip! Bibiip! - powiedziała. -Bibiip! Bibiip! - A potem zamilkła, patrząc na to nowe otoczenie jak dziecko gapiące się na migoczące choinkowe światełka. Miałam ochotę ją zapytać: Kiedy ostatni raz byłaś we własnym ogródku? Kiedy

ostatni raz czuć zapach kwiatów, przycinałaś krzewy czy choćby siedziałaś w zardzewiałym żelaznym białym fotelu ogrodowym?

Nagle ogarnął mnie wielki żal. Może to sprawa tego, że znalazłam się na zewnątrz, na świeżym powietrzu, że nie czułam jej ostrego zapachu ani naftalinowego zaduchu zamkniętego domu. Leżała w kokonie z koców na bocznej werandzie, która szczęśliwie przynajmniej częściowo była osłonięta od strony najbliższych sąsiadów przez oplecioną pnączem drewnianą kratkę.

Zesłam po trzech stopniach na wysypaną żwirem ścieżkę i dotarłam na tyły ganku, gdzie siadywałam jako dziecko, machając nogami, i gdzie teraz leżała moja matka niby na rampie ekspedycji towarowej. Byłam spocona, ale po kącie padających na moje plecy słonecznych promieni orientowałam się, że za niecałą godzinę słońce zejdzie poniżej domów otaczających dom mojej matki, pozostawiając nas same na długą ostatnią noc, jaką przyjdzie nam spędzić razem.

Znów dotknęłam jej bezcennego warkocza. Kilka lat temu jej włosy ze sztywnych jak druty stały się miękkie. Zawsze były perłą w koronie jej urody. Przez cały okres dorastania zazdrościłam jej krótkiej kariery modelki prezentującej bieliznę, czym zajmowała się do chwili poznania ojca. Obojętne, jaka była poza tym, z pewnością była najpiękniejszą matką w całej okolicy. Wszystkiego, co wiedziałam o fizycznej urodzie, dowiedziałam się, obserwując właśnie ją. Moje odkrycia jednak sprowadzały się do gorzkiej prawdy - że córki nie stanowią automatycznie replik swoich matek. Że różne przypadkowe kombinacje genetyczne, za które odpowiadają poprzednie

pokolenia, mogą decydować o tym, że nos jest zadarty lub czolo cofnięte i że delikatny filigran piękna może się zamienić w pospolitą Jane.

Na zewnątrz powiew świeżego powietrza rozpedził smród fekaliiów i znów mogłam myśleć realistycznie. Nie dam rady zatargać jej do szopy. Co ja sobie wyobrażałam? Jakie szkody może spowodować wleczenie matki po stopniach i próba podniesienia jej z ganku? I czym niby miałabym napełnić starą wannę? Zimną wodą z podwórkowego węża? Wanna jest z pewnością brudna i pełna starych kawałków drewna i innych odpadów, więc musiałabym ją umyć. Kiedy ostatni raz byłam w szopie, zauważyłam, że półka z narzędziami widmami spadła ze ściany i zatrzymała się na wannie. Co ja sobie wyobrażałam?

- To już koniec, mamó - powiedziałam. - Już dalej nie zajdziemy.

Nie uśmiechnęła się, nie powiedziała „suka” ani nie wydała z siebie ostatniego lamentu. Wolę myśleć - kiedy w ogóle o tym myślę - że wtedy była już zajęta wdychaniem zapachu swojego ogrodu, rozkoszowaniem się dotykiem popołudniowego słońca na twarzy i że w czasie, który upłynął od wypowiedzenia przez nią ostatnich słów, zdążyła już zapomnieć, że kiedykolwiek miała dziecko i że od wielu lat musiała udawać miłość macierzyńską.

Żałuję, że nie mogłam jej tego wszystkiego powiedzieć, kiedy leżała na ganku, a wiatr wzmagał się coraz bardziej i siedzące w czubkach drzew wrony zrywały się do lotu. Matka mi to wszystko ułatwiła, dobitnie przedstawiając listę grzechów, jakie popełniła w ciągu swojego długiego życia.

Miała osiemdziesiąt osiem lat. Zmarszczki na jej twarzy przypominały delikatne pęknięcia na starej cienkiej porcelanie. Oczy miała zamknięte, oddech nierówny. Spojrzałam na puste teraz wierzchołki drzew. Wiem, że nie mam co szukać usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłam: dla tego, że wzięłam puszyste ręczniki, które miały mi posłużyć do wykąpania matki, i nie myśląc o tym, że przy ganku albo przy płocie może ktoś stać, wcisnęłam je matce w twarz. A kiedy już zaczęłam, brnęłam dalej. Próbowała się bronić: poznaczonymi niebieskimi żyłkami dłońmi, pełnymi pierścionków, których nie chciała zdjąć ani na chwilę z obawy przed kradzieżą, łapała mnie za ręce. Najpierw na chwilę zamigotały w słońcu jej brylanty, a potem rubiny. Zaczęłam mocniej przyciskać ręczniki, które się w pewnym momencie przesunęły i zobaczyłam jej oczy. Przez dłuższą chwilę przyciskałam ręczniki, patrząc wprost na nią, dopóki nie poczułam chrupnięcia czubka jej nosa i nagłego zwiótczenia mięśni - dopiero wtedy wiedziałam, że na pewno nie żyje.

Niewiele było przedmiotów, które mogłyby mi coś powiedzieć o życiu matki przed moim urodzeniem. Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że prawie wszystkie - szklane przyciski do papieru firmy Steuben, srebrne ramki do fotografii, grzechotki od Tiffany'ego, które dostawała tuzinami przed poronieniem pierwszego, a potem drugiego dziecka - były na różne sposoby powyszczerbiane, powgniatane, połamane albo poczerniałe. Niemal wszystkimi bowiem rzucała o ściany albo w ojca, który unikał tych ciosów z refleksem przypominającym mi Gene'a Kelly'ego, skaczącego po mokrych krawężnikach w *Deszczowej piosence*. Subtelność ojca rozwijała się proporcjonalnie do brutalności matki, a ja wiedziałam, że kultywując ją w sobie i świadomie używając tak, jak to robił, chronił matkę przed zobaczeniem siebie samej taką, jaką się powoli stawała. Dzięki temu widziała tylko taki

swój obraz, w który i ja się wpatrywałam, kiedy po zapadnięciu ciemności przemykałam chyłkiem na dół. Mam na myśli jej bezcenne fotografie.

Ojciec poznał matkę, kiedy przyjechała z Knoxville w Tennessee i utrzymywała się z pracy modelki prezentującej bieliznę i gorsety. Sama chętniej mówiła o sobie: „Prezentowałam halki”, i to były te właśnie jej zdjęcia, w halkach, których tyle mieliśmy w domu. Czarno-białe fotografie w ramkach, z tamtych lepszych czasów, przedstawiające matkę w czarnych albo białych halkach. „Ta była lekko kremowa”, potrafiła powiedzieć nagle gdzieś z końca salonu, mimo że praktycznie przez całe popołudnie nie odezwała się do nikogo ani słowem. Wiem, że miała na myśli konkretną halkę na konkretnym zdjęciu, wybierałam więc na wyczucie jedną z białych halek, która według mnie mogła być kremowa. Jeśli nie trafiłam, dobry nastrój pryskał jak bańka mydlana, a matka znów osuwała się w głąb fotela. Ale jeśli trafiłam - a z czasem nauczyłam się ich na pamięć, choć były jeszcze: kość słoniowa, écru, naga, moja ulubiona, róż jak płatek róży - przynosiłam jej właściwą fotografię. Uczepiona wątlej nitki jej uśmiechu, zapuszczałam się wraz z nią w przeszłość, zamieniając się w małą dziewczynkę siedzącą nieruchomo na otomanie i słuchającą opowieści matki o sesji zdjęciowej albo o jej autorze czy wreszcie o upominkach stanowiących część wynagrodzenia, jakie dostawała.

Róż jak płatek róży - to mój ojciec.

- Nie był nawet fotografem - mawiała - tylko młodszym

inspektorem wodociągów, w pożyczonym garniturze i z pustą kieszenią. Ale o tym wtedy nie wiedziałam.

To były lata mojego najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy matka miała jeszcze dużo siły, i zanim zaczęły ją dotykać niewybaczalne, jak uważała, skazy starości. Na dwa lata przed swoimi pięćdziesiątymi urodzinami zaczęła zakrywać kawałkami grubego materiału wszystkie lustra, a kiedy jako nastolatka zaproponowałam, żebyśmy w ogóle się tych lusterek pozbyli, zaprotestowała. Pozostały więc jak zawołowane nieme oskarżenia, podczas gdy ją stopniowo ogarniała niemoc.

Ale na fotografiach w halce koloru płatków róży była jeszcze ciągle warta swojej miłości i z tej jej miłości własnej starałam się czerpać ciepło. Musiałam jednak wiedzieć, choć nie chciałam tego przyznać, że te fotografie stanowiły coś w rodzaju dokumentów historycznych naszego miasta. Świadczyły o tym, że kiedyś, dawno temu, przeżywało lepsze czasy. Jej uśmiech, wtedy naturalny, jeszcze nie był wymuszony, a strach, który mógł się przerodzić w trwałe rozgoryczenie, nie zdążył na dobre zagościć w jej oczach.

- On był przyjacielem fotografa - powiedziała. - Przyjechał do miasta w ważnych sprawach, a ten garnitur to część „numeru” jego przyjaciela.

Nie byłam taka głupia, żeby zapytać: „Jakiego »numeru«, mam?”; ponieważ wiedziałam, że to ją popchnie w niewłaściwym kierunku - tam, gdzie jej małżeństwo jawiło się jako długi mozolny efekt kawału dwóch szkolnych kolegów. Zamiast tego spytałam:

- A dla kogo była ta sesja zdjęciowa?

- Dla oryginalnego Johna Wanamakera - odparła. Jej twarz płonęła jak staromodna lampa uliczna rozświetlona od środka. Wszystko inne w pokoju jak gdyby zatoneło w ciemnej mgłę. Nie zdawałam sobie jeszcze wtedy sprawy, że w tych wspomnieniach nie było miejsca dla dziecka.

Gdy matka zagłębiała się w przeszłość, gdzie była najszczęśliwsza, ja brałam na siebie rolę wiernego strażnika tej przeszłości. Jeśli uznałam, że matka ma zimne nogi, okrywałam je. A kiedy w pokoju robiło się za ciemno, cichutko skradałam się do regału i zapalałam stojącą na nim lampkę. Rzucała mały krąg światła - nie za duży - ale wystarczający, by głos matki nie przypominał straszego, bezosobowego echa w ciemności. Na zewnątrz, na ulicy, naprzeciwko naszego domu, robotnicy, którzy instalowali w nowym kościele prawosławnym okna witrażowe - zielone, bo z jakichś względów takie były najtańsze - kręcili się, robiąc zbyt wiele hałasu, żeby go można było zignorować. W takich chwilach chwytalam puste senne spojrzenie matki i natychmiast je odpierałam słowami, które miały ją przywrócić na pół rzeczywistemu światu przeszłości.

- Pojawiło się pięć dziewcząt, a nie osiem - mówiłam. Albo:

- Jego nazwisko, Knightly, miało nieodparty urok. Wracając pamięcią do przeszłości, myślę nieraz, jakie to musiało być idiotyczne, kiedy małpowałam dziewczęce lata matki, nacechowane miłosnymi tęsknotami. Jednak najcenniejsze w naszym ówczesnym domu było to, że niezależnie od tego, jak bezsensowne to wszystko mogło się wydawać, między sobą

potrafilismy być jeszcze normalnym mężczyzną, normalną kobietą i normalnym dzieckiem. Nikt nie musiał widzieć, jak ojciec po powrocie z pracy zakłada fartuch i wykonuje dodatkową robotę, a ja przymilam się do matki, usiłując nakłonić ją do jedzenia.

- O tym, że on nie pracuje w modzie, dowiedziałam się dopiero, kiedy mnie pierwszy raz pocałował - wyznała.

- No i co z tym pierwszym pocałunkiem?

Ale zawsze tutaj następowało wahanie. Sam pocałunek i pierwsze tygodnie po nim musiały być cudowne, matka jednak nigdy nie mogła wybaczyć ojcu, że przywiózł ją do Phoenixville.

- Nowy Jork - mówiła, patrząc z przygnębieniem na podłogę pomiędzy swoimi płatfusowatymi stopami - tam nigdy nie dotarłam.

W naszym domu jej rozczarowania były nieustannie obecne - miałam je ciągle przed oczami, jakby były przyklejone do lodówki stałą listą pretensji, których ja swoją obecnością nie mogłam zaspokoić.

Musiałam przez dłuższy czas trzymać w rękach głowę matki. W końcu zauważyłam po drugiej stronie ulicy błękitne światelko telewizora. Kiedy rodzice przyjechali do Phoenixville, ta okolica tętniła życiem; mieszkali tu same młode rodziny. Obecnie opuszczone domy z lat czterdziestych ubiegłego wieku, położone na ćwierćakrowych działkach, były często wynajmowane małżeństwom w trudnej sytuacji materialnej. Matka mówiła, że łatwo poznać, kim są ci ludzie, bo o te domy zupełnie nie dbają, ale według mnie to właśnie dzięki

nim ta ulica nie stała się miejscem, w którym starzy ludzie powoli umierają w samotności.

Wraz z ciemnością przyszedł chłód. Patrząc na ciało matki, owinięte w dwa koce, wiedziałam, że już nigdy nie odczuje niedogodności związanych ze zmianami pogody i światła.

- Koniec - powiedziałam, zwracając się do niej. - To już koniec.

I po raz pierwszy powietrze dokoła mnie zrobiło się czyste. Po raz pierwszy nie mógł zawisnąć w nim topór, po raz pierwszy nie było atmosfery potępienia i oskarżeń, którą odychaliśmy jak tlenem.

Chłonąc tę pustą przestrzeń świata, w którym moja matka zginęła z ręki własnego dziecka, usłyszałam dzwoniący w kuchni telefon. Zsunęłam się z krawędzi ganku, gdzie siedziałam, i poszłam wzdłuż ażurowej drewnianej kratki na jego front. Na pustej werandzie sąsiadów zobaczyłam myjącego się kocura. Dorastająca Sara nazywała takie koty „pomarańczowymi marmeladami”. Zauważyłam starą metalową pokrywę położoną pod kątem na schludnie zwiniętym papierowym worku na śmieci sąsiadów i pomyślałam, że muszę wynieść śmieci matki. Przez całe życie uczyła mnie, jak we właściwy sposób związać worki. „Worki papierowe, worki woskowane są jak bielizna pościelowa. Trzeba starannie prostować rogi”.

A tymczasem telefon dzwonił i dzwonił. Pokonałam trzy drewniane stopnie i znalazłam się pod drzwiami. Stopy matki sięgały aż do najwyższego schodka. Uparła się, że nie chce automatycznych sekretarek, które jej przynosiłam.

- Ona się ich boi - powiedziała Natalie. - Mój ojciec na przykład uważa, że bankomat połknie mu rękę.

Kiedy odsuwałam ciało, żeby móc wślizgnąć się do domu, poczułam jakiś zapach. Była to mieszanina płynu do zapalniczek i węgla drzewnego. Wtedy już dźwięk telefonu wydał mi się młotem walącym gdzieś wewnątrz mojej głowy albo wołającym mnie głosem z koszmarne go snu.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam po wejściu do kuchni, był fotelik stojący pod zawieszonym na ścianie telefonem. Czerwony winyl był popękany i polepiony taśmą trzydzieści pięć lat temu, czyli ponad dziesięć lat po tym, jak służył mi w charakterze mojego pierwszego wysokiego krzeselka. Widząc ten fotelik w kuchni, poczułam się, jakbym zobaczyła pozostawionego samemu sobie lwa. Stary mebel wyskoczył na mnie, rycząc głosem dzwoniącego nad nim telefonu i cofając mnie do czasów, kiedy młody ojciec sadzał mnie na tym właśnie foteliku. Zobaczyłam jego uśmiech i niepewny nadgarstek matki, która unosiła do moich ust rozgniecione brzoskwinie z bananami. Jakże musiała się przełamywać, żeby to robić, i jak bardzo musiała od samego początku tego nienawidzić.

Złapałam za telefon, jakby to było koło ratunkowe.

- Halo?

- Czy potrzebujesz pomocy?

Głos wydał mi się stary, słaby, ale byłam nie mniej przerażona, niż gdyby dochodził zza drzwi.

- Słucham?

- No bo tak długo przebywałaś na ganku.

Kiedy później odtwarzałam w pamięci wypadki tego dnia, uznałam to za moment, od którego zaczęłam się bać, moment, w którym dotarło do mnie, że według standardów

świata zewnętrznego dla popełnionego przeze mnie czynu nie ma żadnego usprawiedliwienia.

- Pani Leverton?

- Czy wszystko z wami w porządku, Helen? Czy Claire czegoś nie potrzebuje?

- Dziękuję, wszystko jest w porządku - odparłam.

- Bo mogę zadzwonić po mojego wnuka, on chętnie pomoże.

- Mama chciała wyjść do ogródka - wyjaśniłam.

Z miejsca, w którym stałam, przez małe okienko umieszczone nad zlewozmywakiem miałam widok na ogródek na tyłach domu. Pamiętam, ile pracy matka wkładała w zmuszanie bluszczu, żeby pnąc się, zasłaniał nasz dom widoczny z mieszczącej się na piętrze sypialni Levertonów.

- Ten człowiek potrafi się gapić na twoje najintymniejsze części ciała - mówiła matka, wywieszając się do połowy przez okno mojej sypialni umieszczone bezpośrednio nad kuchnią. Zaplatając pracowicie pędy bluszczu, ryzykowała życie albo co najmniej złamanie ręki czy nogi, żeby tylko mieć pewność, że pan Leverton do nas nie zajrzy. I po bluszczu, i po panu Levertonie już dawno nie było śladu.

- Czy Claire jest w dalszym ciągu na zewnątrz? - zapytała pani Leverton. - Bo zrobiło się okropnie zimno.

To mi podsunęło pewną myśl.

- Ona do pani macha - powiedziałam.

„Nieskazitelna”, mówiła na nią matka. „Słodka jak mela-sa, a głupia jak but”. Ale po drugiej stronie zaległa cisza.

- Helen - powiedziała wolno pani Leverton - czy naprawdę wszystko jest u was w porządku?

- Słucham?

- Przecież twoja matka nigdy by do mnie nie pomachała. Obie bardzo dobrze o tym wiemy. - A jednak nie była taka głupia. - Ale miło, że tak mówisz.

Jedno nie ulegało dla mnie wątpliwości: muszę wciągnąć ciało matki do środka. Proste i jasne.

- Nie widzi jej pani? - zaryzykowałam.

- Jestem teraz w kuchni - odpowiedziała pani Leverton. - Mamy piątą, a ja zawsze o piątej zaczynam szykować kolację.

Pani Leverton uchodziła za czempionkę. W wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat była najstarszą w pełni sprawną mieszkanką dzielnicy. Moja matka w porównaniu z nią po prostu się nie liczyła. Gdy przyszło co do czego, to ostatnie współzawodnictwo między nimi okazało się równie bezsensowne i wyzute z wdzięku jak wszystkie dotychczasowe konkurencje: której pierwszej urosły piersi, która poderwała najatrakcyjniejszego chłopaka, która lepiej wyszła za męża, która miała najlepszy dom. U mojej matki i pani Leverton wszystko sprowadzało się do tego, która umrze jako najstarsza. Miałam ochotę zawołać: „Moje gratulacje, pani Leverton, wygrała pani!”.

- Podziwiam panią, pani Leverton - powiedziałam.

- Dzięki, Helen. - Czy to możliwe, żeby słyszeć mizdrzenie się?

- Będę zachęcała mamę do powrotu do domu - zapewniłam ją. - Ale ona i tak zawsze robi to, co chce.

- Tak. Wiem - odparła pani Leverton. Zawsze uważała na słowa. - Wpadnij, jak będziesz mogła, i przekaż Claire moje serdeczne pozdrowienia. - Jej najlepsze życzenia, czego nie

powiedziałam, były równie nieprawdopodobne jak to, że moja matka jej pomachała.

Odwiesiłam słuchawkę. Najprawdopodobniej pani Leverton, tak zresztą jak i moja matka, uważała, że najlepsze są telefony przewodowe. Wiem, że w ubiegłym roku zaczęła słabnąć, ale poinformowała moją matkę, że codziennie ćwiczy i rozwiązuje quizy na stolice państw i byłych prezydentów.

- To niewiarygodne - mruknęłam pod nosem i usłyszałam wilgotne echo odbijające się od zielono-żółtego linoleum. Chciałam wybiec i powiedzieć matce o telefonie, ale kiedy spojrzałam przez siatkowe drzwi, zobaczyłam rudego pręgowanego kota, który siedział na jej piersi i jak mały kociak bawił się wstążką przy jej warkocz.

Tkwiące gdzieś w środku we mnie dziecko, które zawsze chroniło matkę, podbiegło do drzwi, żeby wypłoszyć kota z ganku, mimo to jednak, kiedy tak patrzyłam, jak wielkie pokierszowane kocisko, które matka nazywała „Urwisem”, łąduje całym swoim ciężarem na jej piersi i przednimi łapami trąca jej zawiązany wstążką warkocz, nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca.

Wreszcie, po tych wszystkich latach, życie mojej matki zostało zgaszone, a osobą, która to zrobiła, byłam właśnie ja - tak jakbym odcięła knot dopalającej się świecy. W ciągu paru minut ziszcilo się marzenie całego mojego życia.

Rudy kocur bawił się wstążką tak długo, aż ją wyciągnął z warkocza matki i podrzucił w powietrze tak, że wylądowała na jej twarzy. I dopiero kiedy zobaczyłam, jak sięga łapą po tę czerwoną wstążkę do jej policzka, zatkałam pięścią usta, tłumiąc krzyk.

3

Siedziałam na podłodze w kuchni. Ciało matki leżało za drzwiami. Miałam ochotę zapalić nad nią światło, ale tego nie zrobiłam. „Popatrzcie - wyobrażałam sobie, że mówię do sąsiadów - i tak to się wszystko kończy”.

Ale tak naprawdę nie wierzyłam w to, co się stało. Wierzyłam, tak jak zawsze wierzyła moja matka, że są jacyś „oni” i jacyś „my”. „Oni” to byli szczęśliwi, normalni ludzie, a „my” - totalnie ześwirowani.

Pamiętałam, jak mając szesnaście lat, chlustałam jej wodą w twarz. Pamiętam, jak z nią nie rozmawiałam i jak widziałam ją kompletnie obnażoną, jak nigdy w życiu, kiedy próbowała uczyć się języka przeprosin. Patrząc, jak to robi - jak przyznaje się, że nie miała racji - przeżywałam jedną z chwil największej bezradności. Chciałam ją ratować, chciałam to wszystko zagadać, mówić o chemii w szkole i o świeżo oblanym egzaminie z algebry. Chciałam wypełnić chwile ciszy, kiedy matka dosłownie wkręcała palce nóg w brzeg dywanu, a

ja, siedząc na krześle w swoim pokoju, powstrzymywałam się na siłę, żeby nie wybuchnąć.

Nagle przez gęsty żywopłot okalający ogródek matki zauważyłam Carla Fletchera. Wychodził z domu ze stkiem na talerzu. Kiedy trzasnęły jego siatkowe drzwi i Carl zszedł po trzech drewnianych stopniach na trawnik z piwem w jednej ręce i przenośnym radiem nastawionym na wiadomości sportowe w drugiej, wyobraziłam sobie krąg pochodni tiki i pulsujący tłum białych ludzi w przepaskach na biodrach, unoszących wysoko szczątki mojej matki leżące na specjalnym, zamówionym z katalogu, stosie pogrzebowym odpowiednim na każdy typ pogody.

- Podoba mi się ten sąsiad - powiedziała matka, kiedy Carl Fletcher wprowadził się tutaj sześć lat temu. - Wydaje się dość żalony, a to znaczy, że będzie pilnował własnego nosa.

A teraz Carl był po drugiej stronie dzielącej nas drewnianej kratki, w pustym jeszcze przed chwilą ogródku.

Gdyby Hilda Castle zadzwoniła dzień później, miałabym na weekend Sarę, która by mi pomogła wtaszczyć matkę po schodkach do łazienki. A co jeszcze bardziej prawdopodobne - wykonałaby odpowiednie telefony. Najzwyklejsze telefony, które wykonałaby na moim miejscu każda obdarzona zdrowym rozsądkiem osoba. Nie wyobrażam sobie mojej młodszej córki, jak stoi nad obfajdaną babką i mówi: „Mamo, zabijmy ją. To jedyne wyjście z sytuacji”.

Na czworakach doczołgałam się do siatkowych drzwi i ponad ciałem matki zajrzałam przez żywopłot do sąsiedniego ogródka. Pan Donnellson, który tu mieszkał, zanim rodzina

umieściła go w domu opieki jakieś dwanaście lat temu, namawiała matkę, żeby wyszła za niego za męża:

- Nikt nam już nie został, Clair, bądźmy razem.

Widział ją, jak odbiera gazetę, i kilka minut później zjawił się z bukietem bladoliliowych tulipanów.

- Z cebulek, które sadziła jego żona! - co rusz podkreślała matka. Pamiętam, jaka byłam oczarowana jego propozycją. Po tym, jak został odtrącony, miałam ochotę do niego iść, żeby się przekonać, czy przypadkiem - uwzględniając różnicę pokoleń - jego oferta nadal jest aktualna.

Kiedy umarł, matka triumfowała:

- Nie dość, że przez pięć lat musiałabym go podcierać, to jeszcze spadłby na mnie obowiązek wyprawienia mu pogrzebu. - Ale w dniu tej smutnej uroczystości zwała swoje łyzy na cebulę, którą siekała starym, ostrzonym ręcznie nożem.

Dom Petera Donnellsona został sprzedany przez jego trzy córki i matka nastawiła się na rozbiórkę. Mimo oczywistości - że od lat cała ta dzielnica ulegała stopniowej degrengoladzie - martwiła się, że jej nowym sąsiadem zostanie jakiś *nouveau riche* z Phoenixville. Martwiła się o korzenie swoich gigantycznych klonów, które sięgały aż na działkę pana Donnellsona. Bała się hałasów i - jak sobie wyobrażała - nieustannych wrzasków dzieci. Kazała mi dowiadywać się o metody wyciszania ścian i brała pod uwagę zamurowanie okien po tamtej stronie domu cegłą z żużlobetonu.

- To załatwi sprawę - powiedziała, a ja poszłam, jak robiłam to często w takich sytuacjach, nastawić wodę w czajniku elektrycznym i posłuchać jego kojącego szumu.

Ale Carl Fletcher wprowadził się sam i niczego nie zmienił. Pracował w telefonach i codziennie wcześniej rano wyjeżdżał w teren. Do domu wracał zawsze o tej samej porze, z wyjątkiem piątku. Weekendy spędzał, siedząc w ogródku i popijając piwo. Z reguły miał ze sobą gazetę, książkę i obowiązkowo przenośne radio nastawione na wiadomości sportowe albo na jakieś inne gadanie. Od czasu do czasu odwiedzała go córka, którą matka nazywała - z powodu jej tatuaży - „cyrkowym świrem”. Narzekała też na hałas jej motocykla i na „to cielsko rozwalone w ogródku”, ale nigdy z Carlem nie rozmawiała, a on nawet się jej nie przedstawił. Wszystko, co wiedziałam o sąsiadach matki, pochodziło z drugiej ręki, od pani Castle, która serwowała nowiny razem z mrożonymi zupami czy dżemami, kiedy spotkałyśmy się u matki.

Jeśli się zdarzyło, że pan Fletcher smażył akurat steki, poprzez hałas rozgrywek sportowych słyszałam syczenie pryskającego tłuszczu. W klęczącej pozycji, której odmawiałam w Westmore - za ciężko mi było pozować na kolanach - wyczołgałam się na zewnątrz i znów uklęknęłam przy zwłokach matki. Czytałam kiedyś o pewnym mężczyźnie, którego wiara była tak żarliwa, że przeciągnął replikę krzyża Chrystusa z jednego końca Berlina na drugi. Miał na sobie, wzorem Gandhiego, tylko coś w rodzaju pieluchy, i szedł na kolanach, które bardzo szybko zamieniły się w krwawe rany.

Niewielkie zadrapanie na policzku matki zdążyło już zakrzepnąć. Wokół oczu pojawiły się sine obwódki. Przypomniało mi się, jak obracałam ją w łóżku, podkładając pod nią paski kożuszką, żeby jej oszczędzić nieuchronnych odleżyn,

kiedy długo wracała do siebie po operacji raka jelita grubego.

Pan Fletcher położył steki na talerzu, wziął swoje nieodłączne radio i wrócił do domu. Jak się zorientowałam, mogłam być spokojna, że nigdy nie podniesie głowy.

Węgłe na jego grillu nadal żarzyły się pomarańczowo. Musiałabym wrzasnąć: „Pali się!”, żeby zwrócić uwagę kogokolwiek poza panią Leverton i panem Forrestem, którzy mieszkali kawałek dalej przy tej samej ulicy. W latach, jakie nastąpiły po ostatecznej agonii Zakładów Stalowych Phoenixville, najbliższa okolica systematycznie się wyludniała. Wiele posesji było opuszczonych, a z zapasowej sypialni, w której dziadek trzymał broń, mogłam obserwować stopniowe walenie się w gruzy pięknego wiktoriańskiego budynku dwie ulice od nas. Kiedy zapadł się jego dwuspadowy dach, widać było już tylko tumany starożytnego kurzu, unoszące się nad biedniejszymi sąsiadami zabytkowej rezydencji.

Próbowałam namówić matkę, żeby przeniosła się do domu spokojnej starości, ale nie chciała o tym słyszeć i muszę przyznać, że do pewnego stopnia ją za to podziwiałam. Sieć pierwotnych mieszkańców stale się kurczyła: za matką była już tylko pani Leverton, pięć domów dalej pan Forrest i wreszcie wiecznie cierpiąca wdowa po panu Tolliverze.

Jedyną osobą, którą matka uważała za swojego przyjaciela, był pan Forrest. Mieszkał na końcu biegnącej kuliście ulicy i nie miał absolutnie żadnej rodziny. Zajmował wypełniony książkami dom tej samej wielkości co dom moich rodziców. Przejeżdżając koło niego, często wspominałam popołudnia, kiedy siadywali we dwójkę z moją matką i zaczęli

o piątej popijać koktajle, czekając, aż o szóstej dołączy do nich ojciec. Otwierałam drzwi i pan Forrest wręczał mi papierową torbę, w której były marynowane oliwki, świeże sery albo francuskie pieczywo, a ja w ciągu pół godziny od jego przyścia wynosiłam się na górę i wciśnięta w jakiś kąt, wsłuchiwałam się w śmiech matki wypełniający cały dom.

Sięgnęłam przez jej ciało po ręcznik, którym ją udusiłam, i zakryłam jej twarz. Po czym zrobiłam znak krzyża.

- Jaka ty jesteś niekatolicka! - powiedziała mi Natalie, kiedy jako dorastająca dziewczyna próbowałam ją naśladować. Mój znak krzyża przypominał coś w rodzaju pijanego X.

- Przepraszam, mamó - wyszeptalam. - Bardzo cię przepraszam.

Wczołgałam się z powrotem do środka po obciążoną filcem cegłę, której od niepamiętnych czasów używaliśmy do blokowania otwartych drzwi. Przypomniał mi się Manny, który przyniósł miesięczną porcję zakupów z dużego marketu spożywczego. Stałam w salonie i kiedy się odwróciłam, żeby mu się przedstawić, jego wzrok na krótki moment zatrzymał się na moich piersiach. Później matka mnie zbesztala za to, że noszę takie obcisłe rzeczy.

- To jest półgolf - powiedziałam.

Wybuchnęła śmiechem.

- Masz rację. Ten chłopak to świr. - Pamiętam, że zastanawiałam się, skąd matka zna to słowo i czy nauczyła się go od Manny'ego. Wiem, że czasami, kiedy nie miał dokąd iść, przynosił filmy i razem je oglądali. *Ojca chrzestnego* na przykład widziała niezliczoną ilość razy.

Wstałam i oparłam dłonie u nasady pleców, wyginając się do tyłu. Natalie nazywała to „mostkiem robotnika budowlanego”. Zdawałam sobie sprawę, że będę musiała działać bez pośpiechu, jak przy pozowaniu. Że to, co już zrobiłam i co jeszcze miałam zrobić, będzie wymagało ode mnie fizycznej wytrzymałości, do jakiej nie przygotowałyby mnie nawet tydzień lekcji tańca.

Poszłam z powrotem na werandę i stanęłam nad matką. Jeśli pani Leverton obserwuje nas z góry przez lornetkę swojego męża, to jak sobie wytłumaczy to, co zobaczyła? A gdyby powiedziała o tym swojemu synowi, to czy on by pomyślał, że jego matka dostała w końcu odjazdu? Uśmiechnęłam się. Moja matka byłaby zachwycona, byłaby wprost szczęśliwa, gdyby pani Leverton dzięki swojej opowieści o tym, w jaki sposób próbuję poradzić sobie ze zwłokami matki, spadła wreszcie z piedestału i została zaliczona do grona zidiociałych staruszek.

Trąciłam martwe ciało bokiem pantofla. Pozostało mi tylko kłąć i zbierać siły.

- Cholera - powtarzałam raz po raz, dostosowując się do rytmu własnego oddechu i jednocześnie naprężając mięśnie przed ostatecznym wysiłkiem. Złapałam za brzegi koca, uważając, żeby trzymać matkę pod ramiona tak, żeby mi się nie wyslizgnęła. Wlokąc ją do kuchni, nie przestawałam kłąć. Jednym ostatecznym szarpnięciem przeciągnęłam zwłoki przez próg, a następnie schyliłam się nisko nad podłogą, trzymając ją między nogami.

- Jesteśmy w środku - oznajmiłam i wykopałam cegłę z drzwi, które przymknęły się tylko, domknęłam je więc nogą. Kiedy kliknęły z cichym poszumem czarnej gumowej uszczelki

biegnącej wzdłuż dolnej krawędzi, dotarło do mnie agonálne charchzenie matki - jej ostatni rzużący wydech.

U siebie w domu zawsze rano metodycznie odkurzałam kule z przezroczystego szkła i malowane żurawie z drewna, które zawiesiłam na niewidzialnej żyłce nad oknem sypialni. Teraz w mojej wyobraźni rozpostarte skrzydła tych ptaków zatrzepotały ostrzegawczo. Kiedy je zobaczę następnym razem, będę innym człowiekiem.

Spojrzałam na zegar wiszący nad kuchennymi drzwiami. Było po szóstej. Od mojej rozmowy z panią Leverton minęła ponad godzina.

Na sekundę zastygłam w bezruchu, nie wypuszczając ciała matki. Wyobraziłam sobie Emily i jej męża Johna, jak wchodzią po schodach z dwójką swoich dzieci. John niesie Jeanine, która jako czterolatka jest cięższa z tej dwójki, a Emily tuli do siebie dwuletniego Lea. Pomyślałam o prezentach gwiazdkowych, które posyłałam im latami i które czasem okazywały się trafione. Piżamki, różowa i niebieska, z bućkami okazały się hitem; gra składająca się z twardych kulek nanizanych na sznurek została uznana za nieodpowiednią do wieku malców.

Wyprostowałam się, przywołując w pamięci obraz Lea w łóżećku, żeby się wzmocnić psychicznie, ale zaraz pojawiło się towarzyszące mu wspomnienie matki, która wyciąga do niego ręce, żeby go przytulić, i... pozwala mu upaść.

Ułożyłam jej ciało bliżej kuchni i puściłam z kranu nad zlewozmywakiem zimną wodę. Co rusz nabierałam jej w dłonie i bardzo precyzyjnie, nie rozlewając, unosiłam ją do twarzy

i przyciskałam do niej policzki. W upalne noce mój były mąż Jake brał kostki lodu i przesuwiał nimi po moich ramionach i plecach, a potem skręcał na brzuch i piersi, aż do sutków, dopóki cała nie pokryłam się gęsią skórą.

Rozwinęłam koce, w które zapakowałam ciało matki. Najpierw czerwony szorstki Hudson Bay, a potem miękniejszy, biały, meksykański z bawełny. Obeszłam zwłoki dokoła, naciągając wszystkie rogi. Puszysty ręcznik pozostał na jej twarzy.

Leo nie skoczył, tak jak się tego matka, według jej własnych słów, spodziewała, tylko upadł, choć jego upadek został złagodzony przez krzesło. I chociaż będzie miał do końca życia na czole bliznę upamiętniającą ten przykry epizod, to niewykluczone, że właśnie tamto krzesło uratowało mu życie. Gdyby nie ono, wylądowałby na znacznie twardszej podłodze. Na twarzy matki odmalowało się wtedy zdziwienie pomieszane z urazą. Emily miała do niej pretensję: zawinęła wrzeszczącego Lea w niebieski, wełniany kocyk i wyzwała ją od najgorszych. Stałam przez chwilę między nimi, a potem poszłam za Emily stromym chodniczkiem do mojego samochodu. Nie obejrzałam się, żeby sprawdzić, czy matka stoi na progu i patrzy za nami.

- Nigdy więcej - powiedziała Emily. - Nie mam zamiaru jej więcej tłumaczyć.

- Oczywiście - odparłam. - Tak, znam drogę. - Usiadłam na miejscu kierowcy. Tego dnia prowadziłam lepiej niż kiedykolwiek dotychczas aż do Paoli Hospital, jadąc krętymi ulicami z największą możliwą prędkością.

Zadarłam matce spódnicę, obnażając jej golenie, kolana i pełne uda. Owionął mnie fetor będący skutkiem jej wcześniejszego „wypadku”.

- Nogi bronią się najdłużej - powiedziała kiedyś matka. Siedziałyśmy przed telewizorem i oglądałyśmy Lucille Ball. Jej włosy były wtedy tak czerwone i wyglądały tak sztucznie, że bardziej przypominały próbkę krwi Bozo niż jego perukę. Miała na sobie specjalnie uszytą marynarkę smokingową, jakby lekko za dużą, która podkreślała talię osy i która z tyłu schodziła dość nisko. Nogi Lucille, w siatkowych pończochach i na wysokich obcasach, ciągnęły się bez końca.

Przypominam sobie, jak kiedyś zadzwoniłam do domu z Wisconsin. Emily musiały mieć niecałe cztery latka. Telefon odebrał ojciec i natychmiast zorientowałam się, że coś jest nie w porządku.

- Co się stało, tato?
- Nic takiego, nie ma powodu do niepokoju.
- Masz jakiś dziwny głos. Powiedz, co się stało.
- Przewróciłem się - odparł.

Usłyszałam zegar ścienny w salonie - jego głębokie, uroczyste bicie.

- Leżysz?
- Jestem przykryty starą kołdrą, a mama robi, co może. O, już ci ją daję.

Usłyszałam przekładanie słuchawki z ręki do ręki i na chwilę, dopóki matka się nie zgłosiła, znalazłam się na telefonicznej ziemi niczyjej.

- Z ojcem jest wszystko w porządku - powiedziała natychmiast. - Dostał leki przeciwbólowe.

- Czy mogę jeszcze z nim porozmawiać?
- Nie jest w tej chwili najlepszym rozmówcą - odparła.

Poprosiłam matkę, żeby dokładnie powiedziała mi, co się stało.

- Przewrócił się na schodach. Przyszedł Tony Forrest i zabrał go do lekarza. Coś z biodrem i z tymi jego cholernymi żyłakami. Tony twierdzi, że Edna St. Vincent Millay w ten sposób się zabiła.

- Przez żyłaki?
- Nie, przez schody. Przewróciła się na schodach.
- Czy mogę z nim porozmawiać?
- Zadzwoń za parę dni. Teraz musi odpocząć.

Poczułam wtedy dystans dzielących nas kilometrów. Próbowalam wyobrazić sobie ojca śpiącego pod starą kołdrą i matkę miotającą się po domu i przygotowującą posiłki z suchych płatków i z kukurydzy konserwowej.

Pociłam się w zamkniętym domu, ale bałam się otworzyć okno. Bałam się, że jeszcze jedno agonalne charczenie wyrwie się z płuc mojej matki i roznosząc się w powietrzu, zaalarmuje stare kobiety, tak jak ona żyjące samotnie w nieustannym lęku przed takimi rzeczami. Na przykład przed nocnym intruzem, który może przyjść i cię zabić. Jak choćby taka obowiązkowa córka, której dłoń znajduje nagle ręcznik i wgniata ci go w twarz, gdy cały czas w środku w niej łomocze jakiś młot, jakby oznajmiał, że oto wreszcie wypełniła się wendeta dziecka.

Ponownie odkręciłam kran w kuchni. Tym razem zaczekałam, aż poleci ciepła woda. Zauważyłam pozmywane naczynia z wczesnego ranka, poukładane na suszarce przez panią Castle, i zastanawiałam się, co tej kobiecie każe przychodzić latami do domu mojej matki i pomagać takiej jak ona starej kobiecie.

Castle'owie sprowadzili się tutaj, kiedy miałam dziesięć lat. Pani Castle zyskała sobie sławę najgospodarniejszej żony, a jej mąż najprzystojniejszego mężczyzny. Kiedy przychodzili do nas we dwoje, żeby zabrać konie na biegunach na kościelny kiermasz, rodzice siedzieli z nimi w salonie, miło wyluzowani - ojciec z panią Castle, matka z panem Castle czy też Alistairem, jak go nazywała, akcentując ostatnią sylabę tak, że jego imię brzmiało jak synonim żalu.

Nagle poczułam, że sobie poradzę, że umyję matkę tak jak zamierzałam to zrobić, tylko że bez możliwości jakichkolwiek protestów z jej strony, bez obawy, że nagle jej oczy otworzą się oskarżycielsko - jak błękitne szklane kulki u starych lalek. Przestałam się przejmować tym, że zaleję podłogę. Mój sędzia nie żyje. *Carpe diem!*

Pochyliłam się w prawo i otworzyłam starą metalową szafkę. A tam było dość plastikowych pojemników z pokrywkami po różnych artykułach spożywczych, żeby pomieścić w nich serca i płuca wszystkich ludzi mieszkających wzdłuż autostrady Phoenixville. Ale ja szukałam czegoś innego. Czegoś specyficznego, co zachowałam w pamięci. Przekopałam się przez plastikowe pojemniki i odrzuciłam je na bok, aż wreszcie sięgnęłam w głąb, gdzie latami nikt się nie zapuszczał, i

tam znalazłam szpitalną miskę, której szukałam.

Była bladozielona jak strój chirurga. Na jej widok od nowa przeszedł mnie dreszcz. „Mało brakowało, aby umarł”, tak zawsze kończyła się opowieść i dopiero po latach zaczęłam się zastanawiać, dlaczego - skoro historia dotyczyła ojca - jej bohaterką zawsze była matka.

Napełniłam małą miskę prawie wrzącą wodą i wlałam trochę płynu do mycia naczyń. Jeśli był do zmycia jakiś tłuszcz, to taki płyn sobie z tym poradzi. Zakreśliłam wodę, wzięłam gąbkę i ścierkę, uklękłam i przystąpiłam do wykonywania swojego zadania.

Zaczę od dołu i będę się posuwała w górę, postanowiłam.

Najpierw zdjęłam matce niebieskie męskie antyzakrzepowe skarpetki i zwinęłam je w kulkę, z trudem opanowując chęć ciśnięcia nimi przez jej ciało do niewielkiego korytarzyka prowadzącego do salonu. Gdybym potrafiła celnie rzucać i miała dostatecznie dużo siły, mogłabym trafić do stojącego obok jej fotela kosza z włóczką. Zamiast tego jednak odłożyłam skarpetki na bok, żeby zająć się nimi później.

Odśloniły się palce u nóg matki, które teraz wydały mi się bardzo delikatne. Od lat widywałam je w sytuacjach niezwykle intymnych. Ponieważ pani Castle odmówiła obcinania jej paznokci u nóg, raz na miesiąc, w niedzielę, przychodziłam do matki wykonywać różne czynności pielęgnacyjne, myjąc i obcinając, co trzeba w miejscach, do których matka już nie była w stanie sięgnąć. Pielęgnacja jej stóp stwarzała szczególną okazję do wypadów w przeszłość - zachowując milczenie,

jak gdyby znikaałam z pokoju, biorąc na siebie rolę jej ręki. Malowałam matce paznokcie u nóg koralowym lakierem Revlona, który jeśli nie był dokładnie tym, czym je sobie sama malowała przez czterdzieści lat, to przynajmniej na tyle przypominał oryginalny lakier, że nie wywoływał z jej strony żadnych komentarzy ani sprzeciwów.

Najpierw zajęłam się jej stopami: zamoczyłam ścierkę w gorącej wodzie, wyzęłam, a następnie zawinęłam w nią najpierw jedną stopę, a potem drugą, jak pedikiurzystka. Podczas gdy pracowałam nad jedną stopą, druga się moczyła. Gąbką do zmywania naczyń - raz jej miękką, a raz szorstką stroną - to skrobałam, to polerowałam skórę. Na nogach matki widziałam te same żyły, które przebiegały i pod moją skórą, a ostatnio zaczęły być widoczne pod kolanami i na łydkach.

„Zamordowałaś swoją matkę, to prawda, ale jest wyjątkowo czysta!”, w wyobraźni słyszałam te słowa niby frazę śpiewaną w musicalu, w którym trzymające jabłka czarownice wiszą na sznurach powieszonych za szyje.

„Ciężki dzień, Helen” - mawiała matka.

„Wszystko będzie dobrze, kochanie” - mawiał ojciec.

Kiedy w dniu śmierci ojca przyszałam do domu, powitał mnie widok matki siedzącej u stóp schodów i trzymającej na kolanach jego głowę. Potem tygodniami mówiła w kółko o jego zylakach i o tym, ile mu one sprawiały bólu. Opowiadała,

jak to rano zawsze był zeszywniały i potrafił się potknąć albo przewrócić o najmniejszą fałdkę na dywanie. Przez telefon powtarzała historie o niezdarności ojca sklepikarzowi, który w dalszym ciągu dostarczał jej artykuły żywnościowe, i Jemu, fryzjerowi ojca, do którego zadzwoniła w chwili słabości zaraz po telefonie do mnie. Joe przyleciał prawie równocześnie ze mną, przestraszony, że matka jest sama. Stał w drzwiach wejściowych z otwartymi ustami, niezdolny wydobyć z siebie słowa. Kiedy nasze oczy się spotkały, uniósł rękę i bardzo dokładnie zrobił znak krzyża, po czym odwrócił się i wyszedł. Ciekawe, czy to z szacunku, czy ze strachu - w każdym razie nigdy nie skomentował otwartej rany z tyłu głowy ojca ani zbryzganej krwią ściany.

Pracując powoli, systematycznie, doszłam do kolan matki.

- One się do mnie uśmiechają - szepnął mi kiedyś pan Donnellson, zachwycony rzadkim widokiem matki w szorach.

Chwilę później zmywałam jej odchody z gumowatych ud. W tym momencie przypomniał mi się tamten wieczór, kiedy ojciec przybił na górze do ściany kartkę z następującymi wskazówkami:

Zamykać szafką z bielizną na górze.

Nie zostawiać w domu zapalek.

Kontrolować alkohol.

Zaczęłam wspominać częste szarpaniny między rodzicami - ona w nocnej koszuli, on jeszcze ciągle w ubraniu - dlatego

dłuższą chwilę potrwało, nim się zorientowałam, że ktoś stuka do drzwi wejściowych. Zamarłam, wsłuchana w kołatkę z brązu.

Nie wydałam żadnego odgłosu. Czułam, jak mydliny ściekają mi z nadgarstka aż do łokcia. Cichy plusk kropli, która spadła do starej miski, wydał mi się bombą zdetonowaną na otwartej przestrzeni.

Znów odezwała się kołatka. Tym razem jakby w rytmie przyjaznej, znajomej piosenki.

W ciszy, jaka zapadła, poczułam ból mięśni, jak to czasem bywa w pracy modela. Żeby przez dłuższy czas wytrwać w określonej pozycji, trzeba najpierw wprawić ciało w stan bezruchu - nie da się nagle zastygnąć w jakiejś pozie na dłużej. Czując czyjąś obecność za drzwiami, próbowałam wyobrazić sobie siebie w Westmore pozującą na pokrytych wykładziną dywanową podiach pracowni sztuki. Zapiierając się palcami nóg w brunatnej płątanie sztucznego włosa, przenosiłam ciężar ciała na łokcie dawno uodpornione na odgniecenia.

Znów odezwała się kołatka. I znów w tym samym wesołym rytmie, ale zaraz potem nastąpiło uporczywe: łup, łup, łup.

Zorientowałam się, że niezależnie od tego, kim jest niespodziewany gość, daje matce czas na dojście do drzwi między pierwszym a drugim stukaniem i nawet między drugim a trzecim. Ostatecznie zrobiło się późno, a matka była starą samotną kobietą. Spojrzałam na nią. Wyglądała, jakby spała, z sukienką zadartą do bioder.

- Pani Knightly?

Poznałam głos pani Castle.

- Pani Knightly, tu Hilda Castle. Czy pani tam jest?

A gdzieżby miała być, pomyślałam ze złością. Leży w kuchni na podłodze. Wynos się!

A potem usłyszałam bębnienie w okno salonu. Dźwięk, jaki wydaje ciężka platynowa obręczka w zetknięciu ze szkłem. Zapytałam kiedyś panią Castle, dlaczego nosi obręczkę po rozwodzie.

- Przypomina mi, żebym drugi raz nie wyszła za mąż - odparła.

Dopiero kiedy usłyszałam jej głośny szept, uświadomiłam sobie, że uchyliła okno, popychając je od zewnątrz.

- Helen! Słyszysz mnie, Helen?

Suka! - pomyślałam natychmiast w akcie solidarności z moją matką. Jakim prawem otworzyła to okno?

- Wiem, że tu jesteś - wyszeptała pani Castle. - Widzę twój samochód.

Lord Peter Wimsey*, pomyślałam. [Lord Peter Wimsey - detektyw amator z powieści kryminalnych Dorothy L. Sayers.]

Kiedy usłyszałam, że okno się zamyka, poczułam, jak ustępuje napięcie moich mięśni. Kilka sekund później zorientowałam się, że pani Castle wróciła na asfaltową ścieżkę. Spojrzałam na stopy i nogi mojej matki.

- Co jej musiałaś dać? - zapytałam. Nie myślałam o żadnych rzeczach materialnych, tylko o prywatności, która zawsze była dla matki tak cenna, a którą zamieniła na poczucie bezpieczeństwa wynikające z codziennych wizyt pani Castle.

Wiedziałam, że pani Castle wróci tu rano. Wiedziałam to z taką samą pewnością, z jaką czułam ciężar jej szeptów niby krępujące moje nogi liny.

Nie ulegało wątpliwości, że potrzebna mi jest pomoc. Wstałam powoli i przechodząc nad ciałem matki, podeszłam do telefonu. Westchnęłam głęboko i zamknęłam oczy. W wyobraźni widziałam jak na przyspieszonym filmie sąsiadów i policjantów wchodzących do domu. A było ich tylu, że utknęli w drzwiach i oknach, z rękami i nogami powyginanymi w nienaturalny sposób, niczym grupa taneczna Marthy Graham, tyle że ściśnięci w futrynie drzwi i w ramach okien, ubrani w mundury albo gniecione tweedy.

Nigdy nie lubiłam telefonu. Dziesięć lat temu w przystępie źle pojętej pracy nad sobą poprzyklejałam na telefonach w mojej sypialni i w kuchni uśmiechnięte buźki. A następnie napisałam na maszynie dwie karteczki: „To jest szansa, a nie atak”, i też przylepiłam do słuchawek.

Ostatni adres Jake'a, jaki miałam, też zresztą przynajmniej sprzed trzech lat, był to college w Bernie w Szwajcarii, gdzie mój były mąż objął tymczasową nauczycielską posadę. Najlepszym sposobem na dotarcie do niego było pójście śladami jego dawnych studentów, jego akolitów, jego wyrobników, wyznawców. Wiedziałam, że to może potrwać i godziny, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że to moja ostatnia nadzieja. Ciało zmienia się szybko, nawet w chłodny październikowy wieczór, a przecież nie mogłam się go pozbyć sama.

Snułam się koło telefonu przez jakieś pół godziny, zanim podniosłam słuchawkę. Knightly'owie nigdy nie prosili o pomoc, a Corbinowie, rodzina matki, prędzej by sobie przebili gardło widelcem, niżby się do kogokolwiek zwrócili w potrzebie. Załatwialiśmy swoje sprawy sami, po cichu. Raczej byśmy sobie odcięli palce i stopy, nogi i ręce, a nawet oddali życie, byle tylko pod żadnym pozorem nie prosić o pomoc. Potrzeba pomocy była w naszym pojęciu jak chwast, jak wirus czy pleśń. Wystarczyło raz się do niej przyznać, by stracić nad nią kontrolę.

Kiedy podniosłam słuchawkę, znów poczułam się jak mała dziewczynka, jakbym wchodziła w gigantyczną śnieżną zaspę, słuchając z ukrycia głosów nawołujących mnie rodziców i napawając się miłym uczuciem powolnego marznięcia.

Kiedy poznałam Jake'a, miałam osiemnaście lat i byłam studentką pierwszego roku. Jake miał wtedy dwadzieścia siedem lat i wykładał u nas w college'u historię sztuki.

Powiedział, że może dokładnie określić chwilę, w której jego bezradne serce wytyczyło kurs do mojego krocza.

Mówił właśnie o Caravaggiu i idei zaginionego dzieła, kiedy nagle odwrócił się od tablicy i zobaczył, że majstruję coś przy moich nowych okularach. Obchodziłam się z ich cieniutkimi złotymi oprawkami jak z jajkiem, tak dziwne i delikatne mi się wydawały.

- Śniłaś mi się tej nocy. Wszedłem do swojej sypialni, a ty, z tymi swoimi długimi czarnymi włosami i w złotych drucianych okularkach, siedziałaś i czytałaś. Kiedy wyciągnąłem do ciebie rękę, zniknęłaś.

- Przepraszam - powiedziałam, przytulona do niego mocno. Leżeliśmy na wąskim łóżku w moim akademiku.

- A potem zamiast ciebie pojawił się pies, którego rodzice nie pozwolili mi zatrzymać, a którego nazwałem Tank.

- Haa! - powiedziałam.

Ale o snach Jake'a nie wiedziałam nic, dopóki nie zaczęłam mu pozować.

Pamiętam różową wełnianą sukienkę, którą wtedy nosiłam, i miły dotyk moherowej tkaniny na skórze. Ubrałam się w najlepsze ciuchy po to tylko, żeby zaraz po wejściu do budynku, gdzie odbywały się zajęcia z historii sztuki i gdzie śmierdziało spaloną izolacją od starego przenośnego grzejnika, się rozebrać. Po zajęciach Jake podał mi moją krótką koszulkę i półhalnę, pomagając mi się ubrać, ale nie na długo: prosto stamtąd szliśmy do mojego akademika, żeby znów się rozebrać. Jego palce, szerokie jak szpatułki, potrafiły być niewiarygodnie delikatne, ale kiedy trzymał atlasową koszulkę i halnę, wydały mi się dziwnie obce - obgryzione paznokcie, czarne od węgla i farb, robiły wrażenie szorstkich w zestawieniu z koronkową lamówką, dla której dosłownie oszalałam u Marshalla Fielda. Ten obraz często kojarzył mi się z utratą dziewictwa.

Kiedy mieliśmy malować pierwszy pokój Emily, Jake przypomniał sobie osła, którego dziadek namalował dla niego na ścianie dzieciennego pokoju. Na osle jechał śniady mężczyzna o prymitywnych rysach twarzy, a na zadzie zwierzęcia wisiały na rzemieniu dwa bliźniacze kosze z kwiatami. Jake zapamiętał, że mimo wędzidla w pysku osioł jak gdyby się uśmiechał i miał przymknięte jedno oko - niby w czujnej drzemce.

Kiedy jeszcze zwinięta w kłębek Emily spoczywała w moim brzuchu, kopiąc mnie od czasu do czasu, Jake podjął pierwsze

kroki w kierunku wykonania malowidła - zrobił mianowicie na ścianie szkic węglem. Nie zdążyliśmy się jeszcze pobrać i nie chcieliśmy przyznać się sami przed sobą do tego, że po cichu mamy stracha, czy ta decyzja nie okaże się błędem.

- Podobno najlepsze są duże kolorowe plamy - poinformowałam Jake'a. - Stymulują umysł dziecka, nie przeciążając go przy tym nadmiernie.

Jake wyciągnął nasz materac na środek, żebym mogła się położyć i w tej pozycji wygłaszać swoje teorie, podczas gdy on będzie rysował. Wielkość mojego brzucha stała się jego obsesją: zafascynowany obserwował, jak Emily centymetr po centymetrze coraz wyraźniej manifestuje swoją obecność.

- Władza absolutna - powiedział, przykładając rękę do mojego brzucha. - A przecież jeszcze go nie ma. Czasami odnoszę wrażenie, że ono się z nas śmieje.

- Bo ono się śmieje - odparłam rzeczowo. - *Zaokrąglone krawędzie działają na dziecko uspokajająco* - przeczytałam głośno z książki, którą przysłał nam w prezencie pan Forrest.

- Dlaczego nagle zaczynamy przestrzegać jakichś reguł? - spytał Jake.

- W porządku - odparłam i rzuciłam książkę na podłogę, po której przejechała kawałek poślizgiem, zanim się zatrzymała. - Za to poszarpane brzegi sprawiają, że dziecko jest szczęśliwe.

- Strzał w dziesiątkę.

- Noże, broń palna i opisy brutalności działają na małenstwo usypiająco.

Jake przyszedł do mnie na materac.

- Lizzie Borden to dla dziecka najlepsza postać komiksowa. Dlaczego nie uszczęśliwić go i nie narysować Lizzie całej we krwi?

- Dalej - zachęcił mnie Jake.

- Należy w razie potrzeby wybić ściany pokoju dziecka czymś miękkim. Kreton zawsze ładnie wygląda. I gwoździe. Dużo gwoździ.

- Mam ochotę cię przelecieć - wyznał Jake.

- Rysuj.

Po ślubie, w tym krótkim okresie, kiedy udawałam, że lubię gotować, odkrawałam od śliskiej piersi kurczaka białą tłuszcz, a mięso kładłam na blasze, wyobrażając sobie, że trzymam w ręku serce mojej matki. Zwykle wyglądałam przez okno domu, który wynajmowaliśmy w Madison, i patrzyłam na stojące pod światłami samochody: ciągnęły się, mrucząc, już od samego kampusu jak cząsteczki zatykające arterię. Wiedziałam, że w jednym z samochodów zmierzających do rotacyjnych mieszkań dla pracowników wydziału siedzi mój mąż, który właśnie wraca z pracy, nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko zejść na ziemię i wsunąć blachę do piekarnika.

Zawsze bardzo starannie myłam nóż i deskę, a potem długo trzymałam pod gorącą wodą ręce, aż robiły się czerwone i zaczynały boleć - tak bardzo bałam się, że mogę struć czymś Jake'a czy przypadkowo dotknąć brzegu butelki Emily albo niebieskiej miseczki z musem jabłkowym.

Kiedy już wszystkie przybory kuchenne umyłam i wytarłam, a zapachy przypraw, wycyganionych od żony profesora, która nas przygarnęła, zaczęły wypełniać kuchnię, przychodził czas na nagrodę: szłam do pokoju Emily, gdzie siadałam i czekałam, aż moja nowa rodzina, z chwilą przyjścia Jake'a, obudzi się do życia. Emily leżała w łóżeczku, na brzuszku, w swojej ulubionej pozie człowieka martwego, a jej pielucha sterczała do góry jak źle zrobiony papierowy kapelusz. W takiej właśnie ciszy odpoczywałam najlepiej - w tej krótkiej przerwie między snem dziecka a powrotem męża do domu, po wypełnieniu przez siebie, najlepiej jak tylko potrafiłam, obowiązków żony i matki. Uczelnia wydawała mi się już wtedy czymś bardzo odległym, a dyplom, którego nie zrobiłam, czymś, o co tak naprawdę nie warto zabiegać.

Wybrałam numer, stojąc tyłem do ciała matki. Z jakiegoś powodu czułam się wobec niej nielojalna. Bałam się, że kiedy będę się musiała odwrócić, zobaczę jej trupa, jak siedzi i wścieka się na mnie, obciągając sobie spódnice.

Przeczytałam w gazecie, że Avery Banks, jeden z ostatnich asystentów Jake'a z Uniwersytetu Madison, jest obecnie profesorem nadzwyczajnym sztuki na Uniwersytecie Tyler w Filadelfii. Za wszelką cenę próbowałam sobie przypomnieć, w jakim to mieście Avery z żoną, według autora artykułu, kupili sobie dom. Mieli dwoje dzieci - córki, o ile dobrze zapamiętałam - ale żeby ich znaleźć, musiałam przejść piekło szukania w ogólnej informacji. Dzwoniłam trzy razy, aż wreszcie znalazłam ich w Germantown.

- Czy to Avery Banks? - spytałam, kiedy w słuchawce odezwał się głos.

- A kto mówi?

- Helen Knightly - odpowiedziałam. Zaczęłam lekko dotykać palcem kolejnych cyfr na aparacie, licząc w myśli, żeby się uspokoić.

- Nie znam żadnej Helen Knightly - odpowiedział głos.

- A więc mówię z Averym, tak?

Mężczyzna zamilkł.

- Znałeś mnie jako Helen Trevor, żonę Jake'a Trevora.

- Helen?

- Tak.

- Jak miło, że się odezwałaś, Helen. Co u ciebie słychać?

- Muszę coś zjeść - odpowiedziałam. Od chwili kiedy przyszedłam do matki i ją zabiłam, nic nie jadłam.

- Dobrze się czujesz, Helen? - zapytał. Wyobraziłam go sobie, jak stoi przy telefonie w kominiarce. Avery zawsze lubił mieć całe ciało zakryte, kiedy wychodzili z Jake'em na mróz.

- Przepraszam, muszę na chwilę przerwać - powiedziałam. Czułam potrzebę pofolgowania sobie, wyrzucenie z siebie wobec kogoś tego, co zrobiłam, gdzie jestem, co leży za mną na podłodze. - Nie rozłączaj się, Avery.

Odwrociłam się gwałtownie, położyłam słuchawkę na poklejonym taśmami wysokim krześle i podeszłam do ciała matki. Z ulgą stwierdziłam, że się nie poruszyła. Nawet o włos. Wróciłam do telefonu, ale zanim podniosłam słuchawkę, zapaliłam górne światło. Pani Leverton o tej porze już spała.

Potrzebny mi był dyscyplinujący efekt światła. Kiedy nad głową matki ożył jasny krąg świetlówki, odetchnęłam głęboko i opanowałam nerwy. Nie chciałam, żeby Avery wychwyił w moim głosie choćby najmniejsze drżenie.

- Muszę się skontaktować z Jake'em - powiedziałam.

- Od dłuższego czasu z nim nie rozmawiałem - odparł Avery. - Ale mogę ci podać numer jego telefonu, jeśli chcesz.

- Poproszę.

Avery podał mi numer, a ja go metodycznie, cyfra po cyfrze, powtórzyłam. Nie rozpoznałam numeru kierunkowego.

- Dzięki, jestem ci bardzo wdzięczna.

- Mam nadzieję, Helen, że się nie pogniewasz za to, co powiem - rzekł Avery - ale to nie była twoja wina, że Jake nie dostał etatu. Zawsze się bałam, że możesz obwiniać za to siebie.

Przypomniał mi się Avery, jak stoi w naszym salonie w Madison. Obaj z Jake'em pakują pudła i w milczeniu wynoszą je do forda Avery'ego. Widziałam, jak Avery idzie do białego pickupa z łóżeczkiem, które dostaliśmy po jakimś dziecku.

- Sara, nasza młodsza córka, śpiewa jazz w nocnym klubie w Nowym Jorku - skłamałam. - Jest w tym naprawdę dobra.

- To wspaniale.

Na linii zaległa cisza, której żadne z nas nie wypełniło.

- Jeszcze raz bardzo ci dziękuję, Avery.

- Wszystkiego dobrego - odpowiedział Avery. Usłyszałam kliknięcie, kiedy odkładał słuchawkę.

Zamknęłam oczy, w dalszym ciągu trzymając słuchawkę przy uchu, dopóki głos z taśmy nie poinformował mnie, że połączenie nie zostało przerwane. Zobaczyłam siebie w Wisconsin, jak wychodzę zza zasłony drzew otaczających lodowego smoka Jake'a. Zebrali się wszyscy profesorowie z college'u, żeby go zobaczyć, zanim nadejdzie odwilż, nawet dziekan. Zniszczyłam go niechcący, łamiąc mu przezroczysty kręgosłup. Później, wieczorem, wybuchła między nami awantura, która wszystko zrujnowała. Nagle pomyślałam, że nie obrażam sobie, jak mogłabym do niego zadzwonić.

Wodząc palcami wzdłuż ściany, wymacałam wyłącznik; chciałam zgasić świetlisty krąg u sufitu. Ponownie uklęknęłam, żeby dokończyć dzieła. Trzymając w ręku ociekającą wodą gąbkę, zawahałam się na brzegu majtek matki.

Zsunęłam jej staromodne reformy: rozlały mi się w rękach - w obu nogawkach strzeliła gumka. Zdażyłam się już przyzwyczaić do jej fetoru, do fekalno-naftalinowej kombinacji z domieszką talku.

Żeby całkowicie zdjąć majtki, rozerwałam je i przy tej okazji ciało matki zakołysało się lekko. Przypomniały mi się statuetki z brązu, wykonywane przez artystów dla upamiętnienia zwykłych codziennych czynności, jak brązowy gracz w golfa, witający cię na polu golfowym. Albo para z brązu, dzieląca z tobą ławkę w miejskim parku. Czy dwójka dzieci bawiących się w berka kucanego. Stało się to domeną pracy chałupniczej. *Kobieta w średnim wieku ściąga majtki martwej matce*. Idealny temat. Można by coś takiego zamówić na boisko szkolne, gdzie uczniowie wybiegają po kilku godzinach zmagania z liczbami i słowami. Mogliby na przerwie się

na nas wdrapywać albo topić muchy w rosie zbierającej się w oczodołach mojej matki.

A oto dziurka, przez którą przyszłam na świat - szczelina kryjąca w sobie tajemnicę czterdziestoletniej miłości ojca.

Nie po raz pierwszy widziałam z bliska genitalia matki. W ciągu ostatnich dziesięciu lat do moich oficjalnych obowiązków należało robienie jej irygacji. Kładła się w pozycji zbliżonej do obecnej, a ja najpierw masowałam jej przez chwilę uda, zapewniając, że nie będzie bolało, po czym rozchylałam nogi. Pracując szybko, wypełniałam zalecenia lekarza, a potem schodziłam na dół: szłam sama, jak robot, do lodówki, gdzie pożyrałam pozostawione tam kostki galaretki limonkowej, wyglądając przez okno i gapiąc się na ogród za domem.

Odłożyłam gąbkę do zielonej szpitalnej miski i wstałam z podłogi. Brudną wodę zastąpiłam świeżą, ciepłą, do której dodałam mydła. Na koniec z magnetycznej półki na noże wzięłam kuchenne nożyczki i ponownie uklęknęłam, podejmując przerwana robotę.

Za jedyne oświetlenie miałam zielonkawę nocne światełko nad zlewozmywakiem i wpadający przez okno promień księżyca. Przecięłam nożyczkami spódnicę matki od samego dołu do talii i rozłożyłam ją po obu stronach ciała. Zaczęłam bardzo delikatnie myć jej biodra, brzuch, uda i prawie bezwłose łono. Raz po raz zanurzałam w gorącej wodzie z mydlinami myjkę i gąbkę, zmieniając je co chwila i marząc o stojącej w warsztacie ojca wannie, o miejscu, w którym mogłybyśmy się razem położyć, jak w czasach mojego dzieciństwa.

Kiedy już wreszcie usunęłam wszelkie ślady „wypadku” matki i wzięłam świeżą gąbkę znad lodówki, rozpięłam guziki jej luźnej bawełnianej bluzki. Zaraz potem odcięłam ramiączka starego kremowego stanika i wycisnęłam jej na klatkę piersiową czystą wodę.

Bez podtrzymującego ją stanika jedyna pierś matki zsunęła się na bok tak daleko, że sutkiem niemal muskała podłogę. Blizna po mastektomii, kiedyś ciemna szrama, dziś przypominała pomarszczony wałeczek skóry.

- Wiem, że cierpiałś - powiedziałam i pocałowałam czubki swoich palców, którymi następnie przejechałam po bliźnie.

Musiałam być wtedy nastolatką. Zdarzyło się to wiele lat przed śmiercią ojca. I wiele lat przed tym, nim matka mnie zawołała i kazała wyczuć palcami twardą gulę pod pachą. Stałam w drzwiach i obserwowałam ich.

- Ty wiesz, jakie to jest dla mnie trudne – powiedziała do ojca z twarzą zalaną łzami. - Tylko ty to wiesz.

Rozpięła bluzkę i pokazała mu.

- Clair! - przeraził się ojciec. Pogłaskała krwawą ranę biegnącą przez środek piersi. Zawsze myślałam, że to dorosła wersja gry, w którą bawiliśmy się jako dzieci i którą nazywaliśmy grą w kurczaka. Jedno z dzieci dwieście razy miało przejechać paznokciem po wewnętrznej stronie twojej dłoni. Jeśli nie wytrzymałeś, zanim łagodne muskanie zamieniło się w coś mocniejszego, co pozostawiało krwawą kreskę, wrzeszczałeś „Kurczę!” i od tej chwili zaczynałeś nosić tę nazwę.

- Przynieś mamie ręcznik zmoczony w ciepłej wodzie - powiedział ojciec, a ja spuściłam głowę. Z tajnej skrytki wyjęłam klucz do szafki z czystą bielizną i wzięłam z niej czysty ręcznik, a następnie puściłam na niego wodę, czekając, aż zrobi się ciepła.

Blizny, którą Jake nazywał „stygmatem męczeństwa”, nie zamierzałam ani myć, ani dotykać.

Uniosłam jej ramiona i umyłam bezwłose pachy, po czym opuściłam ramiona i przejechałam po nich gąbką z wierzchu. Wolną rękę podłożyłam pod dryfującą samotną pierś. To, co kiedyś stanowiło jej dumę, dziś przypominało smętnie dyn-dający pustawy róg starej poduszki. Trzymając ją, poczułam dreszcz pożądania niewinny jak apetyt dziecka.

Kiedy miałam sześć czy siedem lat, drewniana kratka na tyłach domu cała była w kwiatkach pnących róż i w bluszczu. Otaczała oba małe okienka mojego pokoju, więc w sezonie matka starannie przycinała i pędy pnączy, i kwiaty. Uwielbiałam obserwować tę operację, tak samo zresztą - co z czasem stało się dla mnie jasne - jak ojciec. Oboje rodzice przychodzili wtedy do mojego pokoju. Matka miała przewieszony przez rękę koszyk z sekatorem i rękawicami.

- Czas na akrobatyczne ogrodnictwo - powiedział ojciec i podeszli do pierwszego okna, znajdującego się nad pustym pojedynczym łóżkiem, stojącym w pobliżu mojego. Leżałam na miękkim materacu i patrzyłam na ojca obserwującego matkę, której górna część ciała znikła w prostokącie okna. Nie miała głowy, ramion i rąk, aż wreszcie, kiedy odchyliła się do tyłu, opierając się biodrami o parapet, ojciec trzymał ją w

sposób, którego seksualny charakter odczułam nawet wtedy. Czasami przesuwał rękę wzdłuż jej uda. Wydaje mi się, że raz czy dwa, kiedy go strofowała, wychwyciłam w jej głosie uśmiech.

Na zewnątrz, wśród drzew, usłyszałam szamotaninę, a potem niski pomruk. Była to konfrontacja Urwisa z jakimś innym kocurem gdzieś na obrzeżach naszego ogródka.

Znów wstałam i poszłam do kuchni zmienić wodę. Pomyślałam o porzuconych ludzkich ciałach, leżących gdzieś na ulicach i polach Rwandy i Afganistanu. Pomyślałam o tysiącach synów i córek, którzy chcieliby być na moim miejscu. Wiedzieć dokładnie, gdzie umarły ich matki i być sam na sam z ich ciałami, zanim w tę intymną chwilę wtargnie świat.

Słuchałam ponawiających się kocich pomruków wśród drzew w pobliżu szopy. Kiedy dorastałam, przylatywała do nas regularnie co roku sowa i siadała na dębie za domem. Ojciec brał mnie na barana, stawał w ogródku i pohukiwał jej w odpowiedzi. Jeśli długo nas nie było i robiło się późno, dołączała do nas matka, z lemoniadą dla mnie i whisky dla nich dwojga.

Obróciłam się, zdecydowana szybko zakończyć pracę, kiedy znów zadzwonił telefon. Upuściłam miskę i gorące mydliny rozlały się po całej podłodze.

- Halo? - zapytałam cicho, jakby cały dom spał.
- A więc jesteś tam!
- Jake! Skąd wiedziałeś? - zapytałam.
- Nie zastałem cię w domu, a wciąż mam w notesie numer twojej matki. Co u ciebie?

Spojrzałam na martwe ciało. Wyglądało, jakby się jarzyło w ciemnej kuchni.

- Dobrze - odparłam.

- Zadzwoił do mnie Avery. Podejrzewa, że masz jakiś kłopot.

- I dlatego zadzwoniłeś tutaj?

- Postanowiłem zacząć od tego miejsca - odparł. - Co się stało, Helen? Chodzi o dziewczyny?

- Moja matka umarła.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Jake był moim orędownikiem w walkach z nią przez całe osiem lat naszego związku.

- Och, Helen, jak mi przykro. Kiedy?

Stwierdziłam, że nie mogę mówić. Wydałam z siebie jakiś bulgoczący dźwięk.

- Wiem, ile ona dla ciebie znaczyła. Gdzie jesteś?

- Jesteśmy w kuchni.

- Kto jest w kuchni?

- Matka i ja.

- Jezu! Musisz do kogoś zadzwonić, Helen. Co się stało? Odłóż słuchawkę i zadzwoń pod dziewięć zero dziewięć. Jesteś pewna, że ona nie żyje?

- Bardzo pewna.

- No to zadzwoń pod dziewięć zero dziewięć i powiedz im o tym.

Miałam ochotę skończyć rozmowę i wrócić do ziemi niczyjej, w której dotychczas przebywałam i gdzie nikt nic nie wiedział, a moja matka i ja byłyśmy same, tylko my dwie. Nie wiedziałam, jak mam mu powiedzieć, co się stało.

- Zabiłam ją, Jake - powiedziałam.

Cisza trwała na tyle długo, że powtórzyłam to jeszcze raz

- Zabiłam matkę.

- Opisz mi dokładnie, co się stało. Mów powoli, wszystko po kolei.

Powiedziałam mu o wizycie pani Castle, o misce Pigeon Forge, o „wypadku” matki. Przy słowach: „Miała wypadek”, Jake przerwał mi i z nadzieją w głosie zapytał:

- Jaki to był wypadek, Helen?

- Zawiodły ją zwieracze.

- O Boże. Przed czy po? - zapytał.

- A potem nazwała panią Castle suką i zaczęła bredzić, że ludzie ją okradają z różnych rzeczy.

- A okradają, Helen? - zapytał, dyskretnie sterując rozmową w stronę zdrowego rozsądku.

- Nie - odparłam. - Leży tu przede mną na podłodze. Złamałam jej nos.

- Uderzyłaś ją? - Usłyszałam w jego głosie zgrozę. Sprawilo mi to przyjemność.

- Nie. Za mocno ją nacisnęłam.

- Zwariowałaś, Helen? Czy ty słyszysz to, co do mnie mówisz?

- Ona i tak była umierająca. Przez cały ubiegły rok umierała na siedząco. Czy uważasz, że byłoby lepiej, gdyby poszła do hospicjum, bełkocząca, i tam umarła we własnych odchodach? A ja przynajmniej o nią zadbałam. Przynajmniej ją myję.

- Co ty z nią robisz?

- Jestem w kuchni. Myję ją.

- Chwileczkę, Helen, nigdzie nie odchodź.

Słyszałam szczekanie psów Jake'a. Emily mówiła mi, że za każdym razem, kiedy odwiedza go z dziećmi, Jeanine cały tydzień po wizycie szczeka jak pies.

- Posłuchaj mnie, Helen.

- Tak.

- Nakryj ciało matki i nigdzie nie wychodź, dopóki do ciebie nie przyjadę, dobrze? Poproszę kogoś, żeby zajął się psami, i zadzwonię do ciebie z lotniska.

- Rano przyjdzie pani Castle.

- A czy ona ma klucz?

- Nie sądzę. Kilka miesięcy temu zdarzyło się, że ktoś, kto tu przychodził pomagać, włamał się i wtedy pozmienialiśmy zamki. Nie sądzę, żeby pani Castle dostała nowy klucz.

- Helen?

- Tak?

- Musisz mnie teraz uważnie wysłuchać.

- W porządku.

- Nie możesz o tym powiedzieć nikomu poza mną i nigdzie nie możesz się stąd ruszać. Musisz tu siedzieć przy matce do mojego przyjazdu.

- Nie jestem głucha, Jake.

- Zabiłaś swoją matkę, Helen.

Słyszałam, jak jego psy skomlą gdzieś w tle.

- Która jest u ciebie godzina? - zapytałam.

- Jest dostatecznie wcześnie, żebym załapał się na jakiś lot jeszcze dziś wieczorem.

- A gdzie ty jesteś?

- W Santa Barbara. Mam tutaj zlecenie.

- Dla kogo?

- To prywatna posiadłość. Nie znam tych ludzi. Helen?

- Tak?
- Jaka jest tam u ciebie temperatura?
- Nie wiem. Wszystkie okna są pozamykane.
- Czy ciało jest... jeszcze plastyczne?
- Co takiego?
- Przepraszam, chodzi mi o to, czy zwłoki twojej matki już zeszywniały. Jak dawno ją... Przepraszam. - Przez chwilę myślałam, że Jake odłożył słuchawkę, ale podzwanianie obroży psów upewniło mnie, że w dalszym ciągu jest na linii.

- Kiedy umarła?
- Przed zmrokiem.
- A teraz która jest u ciebie? Spojrzałam na zegarek
- Za piętnaście siódma.
- Mam drugi telefon, Helen. Muszę go odebrać. Potem do ciebie zadzwonię.

Usłyszałam przerwanie połączenia. Miałam ochotę się rozeźmiać.

- Ruch w interesie na rynku sztuki nie ustaje - powiedziałam, zwracając się do matki. Przez ułamek sekundy spodziewałam się odpowiedzi.

Czekając przy telefonie, wpatrywałam się w jej twarz. Musiała być mokra pod ręcznikiem i to mnie niepokoiło. Uklękałam i podczołgałam się do niej. Błyskawicznym ruchem zdjęłam ręcznik, nie patrząc w tę stronę, ponieważ nie byłam przygotowana na widok jej twarzy. Niemal słyszałam, jak wrzeszczy. Jak woła mnie po imieniu.

Zerwałam się na równe nogi i szybko wyszłam z kuchni do małego korytarzyka prowadzącego do salonu, gdzie po raz drugi rozpoczął się mój dzień, milion lat temu.

Co ja robiłam do przyścia pani Castle? Byłam na rynku warzywnym w mieście. Od pary Ormian, którzy ze skrzyni niewielkiego pickupa sprzedawali tylko trzy artykuły, kupiłam fasolkę szparagową. Byłam na lekcji tańca.

Obok kominka zauważyłam mosiężny pojemnik na popiół - stanęłam nad nim. Gdybym tylko mogła zwymiotować...

Wiedziałam już, że liczenie w takiej sprawie na kogokolwiek poza sobą to bzdura. Jak może mi pomóc taki Jake, siedząc w domu jakiegoś bogatego człowieka sześć tysięcy kilometrów stąd? Kiedy stałam w kuchni nad zwłokami matki, on odbierał jakiś telefon! Sama się w to wpakowałam, to teraz sama musisz się z tego wykaraskać. Ciekawe, w którym momencie stało się to moją filozofią?

Jake pytał mnie o takie rzeczy, jak temperatura, ilość godzin i stopień zeszywnienia zwłok - oczywiście chodziło mu o proces rozkładu. Wykonał w życiu wystarczająco dużo rzeźb w lodzie w różnych zimnych stolicach świata, żeby wiedzieć rzeczy, które mnie by nie przyszły do głowy. O których nawet nie mogłabym pomyśleć. Przez chwilę próbowałam sobie przypomnieć fabułę filmu, który oglądałyśmy jesienią z Natalie. Problem polegał na tym, czy śmierć była wynikiem morderstwa, czy zabójstwa. Przypomniała mi się twarz aktorki, jej świeża, niewinna uroda, kiedy się załamała podczas zeznań - potem nie pamiętałam już nic.

Matka nie żyła zbyt długo, żebym to mogła jakoś zręcznie ukryć, a poza tym - fatalna sprawa - złamałam jej nos. Teraz,

kiedy znalazłam się poza kuchnią i z dala od jej ciała, jaśniej zdałam sobie sprawę z tego, w co się wpackowałam.

Nigdy nie potrafiłam robić ćwiczeń na medytację Jake'a. Siedziałam na małej, okrągłej, czarnej poduszce, próbując powtarzać *om*, ale w stopach i dłoniach miałam mrówki. W głowie kłębiły mi się jakieś dziwne postacie - to wchodziły, to wychodziły, jakby mój umysł był uczęszczaną kawiarnią.

Stałam na werandzie u matki, przestępując z nogi na nogę. Przez delikatną, mokrą skórę pantofli czułam leżącą na podłodze matę. Przypomniało mi się, jak zawalił się tamten wiktoriański dom. Wdychałam i wydychałam powietrze, i tak dziesięć razy, bardzo wolno licząc. Przy wydechach wydawałam odgłosy, które zwykle wyśmiewałam u innych na zajęciach jogi. To, co miałam teraz zrobić, trudno byłoby zrozumieć niewłaściwie. To, co miałam teraz zrobić, nie pozostawiało mi żadnej drogi odwrotu.

Było ciemno, wśród drzew grały cykady. Słyszałam ciężarówkę sunącą po autostradzie wiele kilometrów stąd. Żeby nie wiem co, wiedziałam, że nie zostanę w tym domu na noc. Nie mogę tu czekać tyle godzin na Jake'a. Poza tym minuty mijały, a Jake nie oddzwaniał.

Oddychając głęboko, z szeroko otwartymi oczami i licząc, spojrzałam na korytarz, na schody prowadzące na górę do trzech małych sypialni i na grubą wykładzinę dywanową, którą położył na nich syn Natalie, żeby w razie czego zamortyzowała upadek.

- Musimy być spokojni, że to, co się przydarzyło pani mężowi, nie przydarzy się pani - powiedział dość głupio Hamish.

Znał wersję wypadków od Natalie: że ojciec zabił się, spadając ze schodów. Stałam wtedy w milczeniu, kiwając głową, i nie mogąc spojrzeć na matkę.

Wynieśliby pewnie jej ciało na noszach, pomyślałam. Po wąskich frontowych schodach musieliby ją nieść niemal pionowo. Byłaby jeszcze jedną samotną, starą kobietą, która umarła w domu. Jakie to smutne. I beznadziejne. Jak bardzo poszłaby w górę krzywa sympatii ludzkiej dla matki.

Ale nic takiego się nie stanie. Już ja o to zadbam.

Weszłam do środka. Oparłam się pokusie zahaczenia o salon i podreptania w miejscu. Mięśnie miałam sztywne od klęczenia na podłodze w kuchni, ale pozując w Westmore, wiedziałam, że bywało znacznie gorzej, a mimo to wracałam do formy. Poszłam na górę i wzięłam zwykłe białe prześcieradło, a następnie, pokonując po dwa stopnie naraz, wróciłam na dół.

Zdecydowana nie patrzeć na jej twarz, stanęłam u stóp matki i schyliłam się szybko, żeby zsunąć razem jej nogi, a potem zrobiłam coś, o co zawsze błagały mnie najpierw Emily, a potem Sara, kiedy przychodziłam otulić je na noc. Była to zabawa, którą wymyślił dla mnie ojciec.

Nazywaliśmy ją szybowaniem. Stawałam w nogach łóżka jednej z dziewczynek, z prześcieradłem zwiniętym w rękach, i rzucałam je, pozwalając, by przez chwilę szybowało wolno nad dzieckiem, zanim opadło i je przykryło. Była to zabawa, której, szczególnie Sara, nigdy nie miała dość.

- Lubię czuć, jak to powietrze ucieka dokoła mnie - powiedziała mi kiedyś.

Wykonałam więc szybowanie, starając się, by wielkie prześcieradło nakryło twarz matki: opadło, oblepiając jej wilgotne ciało w koszmaryny sposób. Szybko zawinęłam ją najpierw w biały meksykański koc, a następnie w czerwony Hudson Bay, jakby była nietrafionym upominkiem, który zamierzałam zwrócić w sklepie.

Wyszłam do małego korytarzyka i otworzyłam drzwi do piwnicy. A następnie, ujawszy matkę pod pachy, zaczęłam ją wlec głową naprzód, w stronę schodów.

Zeszłam kilka stopni w dół, w prawie całkowitej ciemności, i macając ręką po ścianie, próbowałam znaleźć włącznik światła. Zapaliła się goła żarówka w piwnicy. Zeszłam na sam dół. Te schody, kiedy byłam mała, stanowiły dla mnie i dla dzieciaków z sąsiedztwa wielkie wyzwanie. Równy z trzecim stopniem kończyły się ściany, ale nigdy przez te wszystkie lata nie została zainstalowana poręcz, mimo że tak bardzo była potrzebna. I mimo iż Hamish, po wyłożeniu schodów na górze dywanem, zaproponował, że zrobi poręcz z rurek.

- Te schody to śmiertelna pułapka - powiedział, kiedy zaprowadziłam go na dół, żeby sobie wybrał coś ze starej broni dziadka jako zapłatę za usługę.

Ale tym, co sprawiało, że opłacało nam się stawiać czoło temu wyzwaniu, była ogromna, stara, brązowa lodówka stojąca w piwnicy u podnóża schodów. Tutaj matka trzymała puszki z czekoladowymi kulkami o smaku koniakowym, zapasy batoników Hersheya, słoje orzechów pekanowych i migdałów, nie zjedzone gwiazdkowe chrupki z orzeszków ziemnych i ohydne, nasączone sherry, ciasta owocowe, które dostawaliśmy zawsze w sezonie świątecznym. Levertonowie

z reguły przynosili pudełeczko miętówek After Eight. Pani Donnellson, póki żyła, obdarzała matkę szynką.

A szynka, jak wszystkie wyroby mięsne, trafiała do specjalnej, długiej, niskiej zamrażarki, która, pomrukując cicho, stała na prawo od schodów i na której matka sortowała bieliznę i magazynowała stare pisma. Za życia ojca na tej zamrażarce zawsze były zmieniające się co jakiś czas wystawy różnych przedmiotów. Ojciec ciągle miał nadzieję, że matka zajmie się jakimś rękodziełem, i dlatego trzymał tam kosze pełne bloków zielonej pianki i wielkie niepotrzebne gąsioro na wino, z których w wolnym czasie można było zrobić wspańnię terraria. Poza tym były tam żołędzie, kasztany, pudła koralików i najróżniejszych patyków o ciekawych kształtach. A do tego polerowane w warsztacie ojca kamyczki rzeczne czy wyłowione z wody oryginalne kawałki drewna, które kolekcjonował. Nad tym wszystkim królowało nietknięte duże opakowanie kleju Elmer's.

Z tą bronią to był pomysł matki.

- A po co mu broń? - szepnęłam do niej, kiedy Hamish zmywał. - Nie lepiej dać mu pieniądze?

- To dorosły mężczyzna - odparła matka. - Emily właśnie urodziła dziecko.

Ale zanim zdołałam prześledzić jej proces myślowy i zrozumieć, że w ten sposób chciała powiedzieć, że oboje - Hamish i Emily - mają po trzydzieści lat, pociąg, któremu na imię szaleństwo, zdążył już ruszyć ze stacji, a ja znalazłam się

w piwnicy i pokazywałam Hamishowi półkę z bronią.

Staliśmy przed zamrażarką. Hamish brał każdą sztukę broni i ważył ją w rękę.

- Nie wiem nic o strzelbach, poza tym, że są *cool* - powiedział.

Nie miał ze mnie żadnej pociechy. Patrzyłam, jak zdejmuje każdą sztukę z drewnianego stojaka i trzyma niezdarnie za kolbę, jakby to był chwast o grubej łodydze, który właśnie udało mu się wyrwać. Jasnowłosey Hamish, tak zresztą jak i Natalie, stanowił przy mnie, brunetce, idealny kontrast. Zanim Natalie posiwiała na tyle, że zaczęła farbować włosy na obcy jej typowi urody, nienaturalny odcień rudości, była blondynką. Stojąc obok jej syna, widziałam w nim brązowe oczy matki i słyszałam jej swobodny śmiech.

- Dlaczego ona tego nie sprzeda? - zapytał Hamish. - Dostałaby za to kupę forsy.

Ledwie go słyszałam. Wyjął jedyny pistolet z filcowego worka Crown Royal i trzymając go, rozstawił szeroko nogi, jakby naśladował kowboja. Kiedy wycelował w jakiś punkt na przeciwległej ścianie, a następnie położył palec na spuście, wrzasnęłam i złapałam za rękęjeść.

Hamish nie ustępował i doszło między nami do szamotaniny. Złapał mnie za prawe ramię.

- O co chodzi? Dlaczego jesteś taka zła?

Mało brakowało, abym mu coś powiedziała. Słowa, których nie użyłam nigdy w stosunku do nikogo, poza Jake'em.

- Ojciec mnie uczył, że nie wolno celować z broni do nikogo.

- Ale ja celowałem w klosz od lampy!

Położył pistolet na zamrażarce i wziął w dłoń mój policzek, jakbym ja była dzieckiem, a on rodzicem.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Nic się nikomu nie stało.

Cała się trzęsłam. Odwrócił się i wsunął pistolet do fioletowego worka, który ściągnął na złoty sznureczek.

- Biorę ten - oznajmił.

Razem poukładaliśmy znacznie cenniejsze strzelby na stojakach. Worek z pistoletem leżał na zamrażarce na stercie wykrochmalonych lnianych serwetek. Pamiętam moment, w którym się odwróciłam, zobaczyłam pistolet i wyobraziłam sobie matową, platynową lufę i porysowaną brązową rękojeść: oczyma duszy widziałam ojca, jak bierze broń, ładuje i unosi do głowy.

Ułożyłam ciało matki tak, żebym stojąc na trzecim schodku i trzymając je za ramiona, mogła wymacywać nogą każdy następny stopień, równoważąc jednocześnie jej ciężar swoim i powstrzymując ją przed zwaleniem się w otchłań piwnicy.

Odetchnęłam głęboko, starając się przygotować mięśnie do wysiłku. Pociągnęłam ciało tak, że jego górna część znalazła się nad krawędzią schodów, i zaczęłam schodzić stopień po stopniu. Z każdym krokiem ciężar matki wydawał mi się większy. Przez prześcieradło czułam bzowy zapach jej włosów. Łzy napłynęły mi do oczu, ale nie mogłam nawet mrugnąć. Dwa, trzy, cztery, pięć. Stopy matki wybijały głuchy rytm.

Otulający ciało kokon z koców zaczął się rozwijać. Stopy ukazały się w połowie schodów jako pierwsze. Palce wydały mi się sine jak nigdy; zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie dochodzące z piwnicy światło płata mi figle. Zrobiłam kolejny krok. I jeszcze jeden. Wiedziałam z całą pewnością - ponieważ dziesiątki razy liczyłam je w dzieciństwie - że stopni jest szesnaście. Po lewej stronie zobaczyłam mruczącą zamrażarkę do mięsa, a na niej stertę starych egzemplarzy „Sunset” przynoszonych przez panią Castle, która miała rodzinę na Zachodnim Wybrzeżu. Również z lewej strony stały rzędami atrapy upominków świątecznych z ubiegłego roku w całym swoim spłowiałym przepychu wstążek i kokardek. Wyobrażałam sobie, jak pani Castle znosi je na życzenie matki, czy może byłam to ja. Niewykluczone, że matka kazała mi znosić te pudełka na dół i chować do wielkich plastikowych worków, w których trzymała je przez jedenaście miesięcy w roku. Z jakichś względów nie stosowałam się do jej polecenia. Cały czas przeznaczony na wykonanie tego zadania spędzałam, siedząc w starym fotelu z wikliny i metalu koło pralki i suszarki i obliczając, ile minut mogę w ten sposób przesiedzieć, zanim bez wzbudzania podejrzeń pojawię się u matki na górze.

Aż do osiemdziesiątego szóstego roku życia matka upierała się, że będzie korzystała z piwnicy. Z obawy przed tym, że straci orientację albo nie zdoła sama wyjść na górę, kupiłam jej telefon komórkowy. Zwykle schodziła z trzech pierwszych stopni, po jednym, a następnie zapierała się rękami o ściany,

przygotowując się do tego, by dalej schodzić bez żadnego oparcia. I wreszcie, zaciskając zęby, schodziła bokiem po jednym stopniu na sam dół. Zajmowało jej to nieraz i trzydzieści minut, a zdarzało się, że po dotarciu na miejsce nie wiedziała, po co tu przyszła.

Było z nią tak samo jak z ojcem Natalie, który uważał, że bankomat może mu połknąć rękę: kiedy w dniu jej osiemdziesiątych szóstych urodzin położyłam na dłoni telefon bez żadnych bajerów, przez chwilę patrzyła to na mnie, to na aparat, po czym powiedziała:

- Dajesz mi granat?

- To jest telefon, mam - odparłam. - Możesz go wszędzie ze sobą zabierać.

- A dlaczego miałabym to robić?

- Żeby móc zawsze się ze mną skontaktować.

Matka siedziała w swoim fotelu. Przygotowałam jej ulubionego drinka, Manhattan, i - jak się wyraziła - kompletnie schrzałam serowe paluszki według jej przepisu.

- Nie wiem, jak ty to robisz, Helen. - Ostrożnie wypluła na serwetkę na pół pogryziony paluszek. - Masz prezencik.

Na starej mahoniowej komodzie, koło brązowej lodówki, zobaczyłam telefon komórkowy - leżał w tym samym miejscu od dwóch lat. Matka zostawiła go tam następnego dnia rano po swoich osiemdziesiątych szóstych urodzinach, kiedy to po raz ostatni była w piwnicy. W ciągu tych dwóch ostatnich lat widywałam go przynajmniej raz na tydzień. Przeżywając

odrzućcie przez matkę w jakiś irracjonalny sposób, pomyślałam wreszcie, że przestała używać całej kondygnacji własnego domu po to tylko, żeby nie musieć ze mną rozmawiać.

Mimo że szłam wolno, zwłoki matki zawisły wygięte w łuk nad drugą częścią schodów, które tu gwałtownie opadały w dół. Patrzyłam, jak koce się rozwijają, odsłaniając nagle dolne partie jej ciała, które przekręciło się, szorując o szorstkie betonowe podłoże. Nie puściłam jej jednak mimo odgłosów - jakby ktoś zdetonował naraz całą folię bąbelkową - i tyłem ruszyłam na dół, ciągnąc ją za sobą.

To właśnie wtedy usłyszałam dzwoniący w kuchni telefon.

Przeciągnęłam ciało matki pod zamrażarkę i ułożyłam wzdłuż jej boku, pospiesznie próbując je zakryć. Ale koce i prześcieradło leżały zmięte pod nią. Bez względu na to, jak bardzo starałam się wyciągnąć i jakoś udrapować, jej marmurkowe kolana nadal pozostawały na wierzchu. Leżała więc milcząca i pokonana, a ja pomyślałam o horrorze, nad którym wreszcie udało mi się zapanować.

Jako nastolatka byłam przekonana, że każde dziecko spędza upalne niedzielne popołudnia, śniąc na jawie o tym, że porąbie kiedyś swoją matkę na drobne kawałki i porozsyła je w różne nieznanne miejsca. Ja sama oddawałam się temu zajęciu zarówno w pozycji leżącej u siebie na górze, jak i w ruchu, wypełniając różne domowe obowiązki. Kiedy wynosiłam śmieci, obcinałam jej głowę. Pieląc ogródek, wydłubywałam

jej oczy, wyrywałam język. Odkurzając półki, rozmnażałam i kroilałam na kawałki różne części jej ciała. Byłam skłonna przyjąć, że inne dzieci nie posuwają się aż tak daleko, że w przeciwieństwie do mnie, nie wdają się w aż takie szczegóły, ale jednocześnie nie wyobrażałam sobie, że mogłyby w ogóle nie zapuszczać się myślami w te rewiry.

- Jeśli chcesz mnie nienawidzić, to bardzo proszę - zachęcałam Emily.

- Tak, mamó - mówiła. W wieku lat sześciu miała już przewisko, wynikające z jej wyjątkowej wprost rzeczowości i nieugiętej cierpliwości. Natalie nazwała ją mianowicie Małym Senatorem z powodu bardzo skutecznych negocjacji, za pomocą których załatwiała sprawy na poziomie dziecięcej piaskownicy, podczas gdy jej rówieśnik Hamish albo się awanturował, albo po prostu siedział i się mazał.

Zaczęłam brać stojące na zamrażarce atrapy upominków po jednej albo po kilka i rozrzucać je po kątach piwnicy, żeby w ten sposób zapanować nad pokusą. Już jako dorastająca dziewczyna wiedziałam, że te pudełka, opakowane w splewiałym papierze i przewiązane często odświeżanymi kokardkami, nie pomieszczą tego, na czym mi najbardziej zależało. Przeciekałyby na spojeniach albo by się rozpadały, gdyby listonosz poślizgnął się przypadkiem na mokrej plamie, doręczając goleń mojej matki do drukarni w Mackinaw, Michigan, czyjej stopę do hodowli pstrągów gdzieś pod Portland. Zawsze w moich snach na jawie jej gęste rude włosy zatrzymywałam dla siebie.

Ostrożnie położyłam egzemplarz „Sunset” na brzegu najbliższego stopnia. W zamrażarce były chude kotleciki, którymi matka się żywiła, kiedy pięć lat temu wróciła do diety leczniczej ze Scarsdale, i dwie starożytne szynki od pani Donnellson. Wiedziałam to bez patrzenia.

Otworzyłam kluczem zamrażarkę. I oto miałam przed sobą niemal pustą komorę, w sam raz na jedną osobę.

Jake pytał mnie o takie rzeczy jak sinienie, sztywność czy inne oznaki mówiące o tym, w jaki sposób zmarła, ale ja już miałam to z głowy. Nie tylko potrafiłam złamać jej nos, ale jeszcze do tego byłam gotowa pokieraszować jej martwe ciało. Nie widziałam żadnego powodu, żeby nie spełnić swoich dziecięcych marzeń.

- W którym momencie się poddałaś? - powiedziałam głośno i przestraszyłam się swojego głosu. W rogu naprzeciwko mnie stała metalowa szafa pełna starych ubrań ojca. Kraciate, letnie z kory, flanela, ciemny szorstki tweed. Przypomniało mi się, jak kilka lat temu zeszałam tu, żeby poskładać upraną bieliznę, i otworzyłam tę szafę. Kiedy weszłam do środka, znów byłam małą dziewczynką - górną część mojego ciała ze wszystkich stron otaczały marynarki ojca. Wzięłam do ręki tweedową, z zamszowymi łatami na łokciach, i otarłam się policzkiem o szorstką wełnę.

Zimne powietrze z otwartej zamrażarki mile chłodziło mi twarz. Na parapecie nad pralką zobaczyłam rząd butelek bursztynowego koloru, których zadaniem było odstraszenie ewentualnych włamywaczy. Butelki z fioletowego szkła stały na parapecie drugiego okna.

Nigdy nie myślałam o tym, jak się ćwiartuje ludzkie ciało; interesowało mnie tylko uczucie wolności, jakiego się potem

doznaje. Odrażająca rzeczywistość piłowania i krojenia jakoś nigdy nie miała do mnie dostępu. Chodziło tylko o tę ulotną chwilę, jak drgnięcie nosa czarownicy z serialu *Czarownica*, magię przejścia ze stanu posiadania matki w stan jej nieposiadania - tylko to mnie kręciło. Gdybym mogła wybierać, to zamiast ćwiartować matkę, wolałabym zmienić stan jej ciała ze stałego w płynny, a potem w gazowy. Chciałam, żeby wyparowała jak woda. Żeby ulotniła się z mojego życia, wszystko inne pozostawiając tak jak było.

- Jeżeli nie będziesz uważała, to wpadniesz do środka - ostrzegła mnie matka.

W wieku lat jedenastu, dwunastu czy trzynastu często zaglądałam do lodówki, żeby zobaczyć, co jest w niej do jedzenia. Studiowałam produkty starannie, ale tylko wtedy, kiedy uważałam, że są bezpieczne. Kiedy indziej znów zachowywałam się, jakby jedzenie nie miało dla mnie żadnego znaczenia, jakby to było zwykłe zawracanie głowy. „Jedzenie? A tam...”. Ale z głową w lodówce stawałam się wprost idealnym celem ataków i kiedy matka wymieniała moje wady - coraz większy tyłek, tłuste uda, dyndające poście zwiotczonego ciała u ramion, które mnie nieuchronnie czekają, jeśli się w porę nie opamiętam z tym jedzeniem - patrzyłam na małe światełko w lodówce i zastanawiałam się: A może bym mogła tam wleźć? I ukryć się za pojemnikiem twarożku czy sokiem pomarańczowym z koncentratu? W lodówce byłoby cicho i spokojnie, kiedy matka by ją zamknęła. Mogłabym w ten sposób zniknąć.

Wpatrywałam się w otwartą zamrażarkę, w miliony kryształków lodu, które utworzyły się na jej bokach, pokrywając

szynki i chude kotlety migotliwym białym futerkiem i nagle... przestałam. Kątem oka zobaczyłam niebieską salaterkę Pigeon Forge.

„Pani Castle, zechce pani zabrać to na dół? - niemal słyszałam głos mojej matki. - To przy okazji coś by pani stamtąd przyniosła”.

Podeszłam do stolika karcianego i wzięłam salaterkę do ręki. W pobliżu wisiały na ścianie ciężkie, zardzewiałe nożyce. Postawiłam miskę do góry dnem i z impetem spuściłam na nią nożyce, niby młot. Niebieskie polewane odłamki rozsypały się po stoliku i po podłodze.

Nie mogąc pokroić ciała matki na kawałki, podeszłam do niego i nachyliłam się nad jej głową. Po chwili wahania rozwinęłam koce przy twarzy. Zobaczyłam jej oczy, wpatrzone we mnie, szkliste, błękitne. Nożycami, które trzymałam w prawej ręce, wyciągnęłam spod niej srebrzysty warkocz i odcięłam go u samej nasady.

5

Kiedy matka leżała na podłodze niecałe dwa metry ode mnie, otworzyłam starą brązową lodówkę i usiadłam na dolnym stopniu schodów oświetlona padającym światłem.

Brałam na ślepo jedną po drugiej metalowe puszki, nie patrząc na przestarzałe, starannie przebite etykiety. Zrywałam zniszczone wieka, ciskałam nimi o betonową podłogę, gdzie wirowały jak talerze. Wtedy i dopiero wtedy na widok wielokrotnie używanego woskowanego papieru opamiętałam się i zdjęłam ostrożnie jego pierwszą warstwę z tego, co leżało pod nią. Odsłoniły się czekoladowe kulki o smaku brandy, robione według przepisu mojej babci z Tennessee. I pekanowe bezy pachnące brązowym cukrem. Wspólne wypieki były rytuałem, który zachowałyśmy do końca, nawet jeśli ze względu na moją figurę i zdrowie matki regularnie przeglądałam zawartość lodówki i wyrzucałam nasze wyroby, udając przed nią, że rozdaję je sąsiadom, których jeszcze mgliście pamiętała.

Zgniotłam w dłoni bezę, patrząc, jak kremowy pył z mielonymi orzechami sypie się na ziemię, i przypomniało mi się powtarzane do znudzenia: żebym używała talerzyka, nie żarła jak świnia i uważała na kalorie i wagę, pamiętając, że to wszystko wchodzi w biodra.

Kiedy skończyłam osiem lat, po raz pierwszy doprowadziłam się do wymiotów - zrobiłam to świadomie. Jako broń wybrałam kajmak. Poszłam do kuchni i metodycznie, jak żołnierz, który dostaje serię w brzuch, zjadłam całą blachę kajmaku. Przez dwa dni chorowałam, matka była wściekła, ale ojca to rozśmieszyło. Wrócił z pracy do domu, powiesił kurtkę na drzwiach, na stole położył kapelusz, w którym często wymieniał małe przycięte piórko zatknięte za taśmę, i skierował się do jadalni.

- Co ty tutaj robisz sama? - zapytał.

Zostałam zmuszona do tego, żeby siedzieć przy stole, mimo że chciało mi się tylko leżeć i jęczeć.

- Ukaralam ją - wyjaśniła matka, która podeszła do ojca energicznym krokiem, biorąc od niego teczkę. - Zrobiłam kajmak, a ona zjadła całą porcję na jeden raz.

Ojciec wydawał mi się prawdziwie bliski, kiedy zdejmował okulary. Plastikowo-metalowa oprawka wrzynała mu się po obu stronach w nos i wchodząc do domu, zaraz je zdejmował. Przez pół godziny był ślepy jak nietoperz, ale nie musiał w tym czasie niczego widzieć dokładnie, jako że było to pół godziny przed obiadem, tradycyjnie przeznaczone na drinka.

Tym razem też zdjął okulary, a do tego jeszcze się roześmiał, choć normalnie tego nie robił, i ten śmiech pochodził jakoś tak z głębi jego istoty. Zaraz potem przytulił matkę i

siarczyście ją ucałował, a następnie nachylił się nade mną i cmoknął mnie w czoło przez rzadką grzywkę. Jako pracownik Stacji Uzdatniania Wody Pickering mierzył poziom wody i analizował zawartość lokalnych zbiorników wodnych. W tym właśnie celu jeździł po okolicznych miastach, a nawet do Erie.

- To trochę tak, jakbyś zjadła całą brytfannę zanieczyszczeń - powiedział. - Każdemu by to zaszkodziło.

Poprosiłam, żeby usiadł ze mną przy stole, żeby mi opowiedział o wodzie i o tym, jak pod mikroskopem jedna kropla różni się od drugiej. Jego wzrok bez okularów wydawał się rozkojarzony; zastanawiałam się, jak bardzo ojciec jest ślepy i co widzi, kiedy na mnie patrzy.

Wdrapałam się po schodach na górę i poszłam do kuchni. Warkocz, który trzymałam w ręce, kołysał się miarowo. Otworzyłam szufladę koło telefonu, gdzie matka trzymała używaną folię aluminiową i odzyskane kawałki drucika do zamykania plastikowych torebek i gdzie znalazłam plastikowy worek strunowy do zamrażarek Ziploc o pojemności galona. Włożyłam do niego warkocz i rozejrzałam się po kuchni. Ubranie matki leżało porozrzucane po podłodze w mokrych kupkach.

Kiedy miałam trzy lata, weszłam kiedyś do kuchni i zastałam matkę siedzącą na podłodze z nogami wyciągniętymi przed siebie. Zobaczyłam jej majtki, których nigdy do tej pory nie widziałam. Patrzyła na białą plamę rozsypanej mąki u swoich stóp.

- Mama zrobiła bach - powiedziałam.

Matka wstała i ściągnęła z lady pięcioletni worek mąki. Tuląc go do piersi, zaczerpnęła z niego garść maki i patrzyła, jak biały pył przesypuje jej się między palcami niby śnieg.

Krzyknęłam z zachwytu i chciałam do niej podbiec, ale matka usunęła się dokładnie w chwili, kiedy do niej sięgałam. Zaczęła rozsypywać mąkę, tym razem szerokimi kolistymi ruchami, po całej kuchni. Goniałam ją, kręcąc się dokoła własnej osi, wrzeszcząc coraz głośniejsze i dławiąc się własnym śmiechem.

Ta gonitwa trwała tak długo, aż się potknęłam i przewróciłam. Matka stała przy moim wysokim krześle i zanosila się od śmiechu. Zauważyłam mąkę na jej czole i brodzie; mąka osiadła na niewidzialnych włoskach porastających jej przedramiona. Chciałam, żeby do mnie podeszła i mnie podniosła, i dlatego darłam się wniebogłosy.

Moja torebka stała pionowo na stole w jadalni. Włożyłam plastikowy worek z cenną zdobyczą do środkowej przegródki i - jakbym się bała, że mogłam czegoś zapomnieć - obróciłam się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Nagle drgnęłam: w oświetlonym oknie zobaczyłam gapiącego się na mnie pana Fletchera. Dopiero po chwili zorientowałam się, że nie zapaliłam w jadalni światła i że sąsiad patrzy nie na mnie, tylko na terminal komputera, który oświetla jego twarz niebieskozielonym blaskiem, kiedy pan Fletcher siedzi w Internecie albo gra w te same bizantyjskie gry, które tak lubi mąż Emily.

Kiedy dotarłam do samochodu i spojrzałam za siebie, na wybrukowaną dróżkę prowadzącą do drzwi frontowych, jedynym śladem, jaki wskazywał na to, że w ogóle byłam u matki w piwnicy, był lekki biały nalot - cukier z pokruszonych beżów pekanowych na mojej piersi i mąka z meksykańskich wafli weselnych.

Chciało mi się płakać, ale zamiast tego zaczęłam się zastanawiać, co ze sobą zrobić. Musiałam się jakoś wyluzować. Poza Jake'em nie wiedział nikt. Poczucie, że mogą wiedzieć i inni - telefon do Avery'ego, pytania pani Leverton, moje imię powtarzane natarczywym szeptem przez panią Castle - było złudą. Poza tym nikt już teraz nie wejdzie do domu beze mnie.

Usiadłam w moim starym saabie z zamkniętymi oknami i na siedzeniu obok położyłam torebkę, z trudem opanowując odruch przypięcia jej pasem, jakby była dzieckiem. Włożyłam kluczyk do stacyjki i zapaliłam silnik. Ruszyłam wolno, pochylona nad kierownicą, jakby ulice były zasnuwane gęstą mgłą.

Dom pani Leverton był ciemny, z wyjątkiem czuwających świateł, które zainstalował jej syn. Zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał dwudziestą siedemnaście. Czas, kiedy stare kobiety powinny być w łóżkach. Ale najwyraźniej nie starzy mężczyźni. Mijając dom pana Forresta, widziałam, że siedzi i czyta w pokoju od frontu. Wszystkie światła były zapalone. Nie uznawał żaluzji. Dawniej przynajmniej zawsze miał psy. A oto, pomyślałam, stary człowiek zdany na łaskę złodziei i bandytów. Miałam szesnaście lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam u niego w domu duże kolorowe zdjęcia kobiet w różnych stadiach roznegliżowania.

- Nazywają je muzami, Helen - wyjaśnił mi gospodarz, widząc, że przewracam kartki wielkiego albumu, zatytułowanego po prostu *Nagość kobieca*. - To są kobiety, które inspirowują wspaniałe rzeczy. - Pomyślałam o fotografiach w naszym domu - zdjęciach matki w przestarzałych gorsetach czy ażurowych sukienkach, uśmiechającej się z wdziękiem do kamery.

Trzydziestominutowa jazda od matki do mnie była zawsze okazją do tego, żeby pogadać. Niektórzy mówią do siebie w domu przed lustrem, żeby się umocnić przed poproszeniem o podwyżkę w pracy albo przed podjęciem jakiegoś programu samonaprawy. Ja najczęściej mówiłam do siebie w samochodzie, jadąc bocznymi drogami z Phoenixville do mojego domu w pseudokolonialnym stylu we Frazer. Półmetkiem w sensie psychicznym, jeśli nie fizycznym, była Pickering Creek i mały jednopasmowy mostek na tej rzece.

Tego wieczoru, kiedy zabiłam matkę, nuciłam pod nosem, by stworzyć coś w rodzaju białego szumu między sobą a tym, co zrobiłam. Raz po raz powtarzałam sobie: „Wszystko jest w porządku, wszystko jest w porządku, wszystko jest w porządku”, jednocześnie napierając coraz mocniej na kierownicę, żeby poczuć w czubkach palców pulsowanie krwi.

Znalazłszy się nad Pickering, zaczekałam po stronie Phoenixville, aż przejedzie rozbita toyota, i kiedy pokonałam most, mój samochód podskakiwał przez krótką chwilę na połatanej drodze, a reflektory wychwyciły po drugiej stronie

w wapiennym rumowisku jakiś ruch - jakby podświetlona postać ludzka tańczyła na ciemnej skale - wzdrygnęłam się.

Cieńsze, ale rosnące gęściej drzewa po drugiej stronie Pickering walczyły w gąszczu koron o każdy promień słońca. Jakieś dziesięć lat temu ekipy budowlane stanowiły tutaj codzienny widok. Często przejeżdżałam tędy, patrząc jak padają setki młodych brzoźek wycinanych bez litości. Z przykrością muszę przyznać, że dom Natalie, położony w połowie drogi między domami matki i moim, należał do osiedla McMansions, które wydarło tym lasom kawał ziemi, wrzaskliwie manifestując swoją obecność kiczowatymi wieżyczkami rodem z bajek i wysokimi na cztery i pół metra frontowymi drzwiami.

Natalie i trzydziestoletni obecnie Hamish mieszkali w takim właśnie pałacu z piernika od ośmiu lat, a konkretnie od chwili kiedy moja przyjaciółka wygrała proces o odszkodowanie z producentem opon, których używał jej mąż w swojej ciężarówce. Otóż na moście Pickering doszło między nim a innym kierowcą do konfrontacji - chodziło o pierwszeństwo przejazdu. Kiedy mąż Natalie dodał gazu, strzeliła mu przednia opona, łamiąc oś i wyrzucając kierowcę przez przednią szybę. Uderzył głową w ruiny kamiennego mostka sprzed ponad stu lat. Zginął na miejscu.

Przez zasłonę młodych białych brzoźek, które odrosły po wyniesieniu się deweloperów, zauważyłam Hamisha. Leżał pod jednym ze swoich licznych samochodów. Samochód był podlewarowany, a z jego przedniego zderzaka zwisała lampa. Zwolniłam i się zatrzymałam. Nie zastanawiając się nawet, co

powiem Natalie, kiedy ją zobaczę, skręciłam z pustej drogi i wjechałam na jej podjazd. Robiłam niemal dokładnie to, czego mi Jake zabronił, ale nie mogłam się powstrzymać.

Kiedy moje światła zmieszały się z poświatą bijącą od rozbitego samochodu, Hamish wyjechał spod podwozia na płatformie i gestem dał mi znać, żebym wyłączyła światła.

Zgasiłam silnik i wysiadłam. Moje pierwsze kroki na zwirowanym podjeździe były chwiejne.

Hamish dał susa w moją stronę, ruchem głowy podrzucając włosy, które zasłoniły mu pół twarzy.

- Mama wyszła - powiedział.

Nigdy nie przestałam traktować Hamisha jako chłopca, który bawił się z Emily w piaskownicy w osiedlowym parku. „Hamish zdąża donikąd, i to szybko”, powiedziała Natalie jakiś czas po śmierci Hamisha seniora. Robiła wrażenie zadowolonej z tego stanu rzeczy. Jednego Hamisha straciła, za to wszystko wskazywało na to, że ten drugi szybko jej nie opuści.

- Dokąd?

- Na randkę - odparł Hamish z uśmiechem. Jego zęby były białe jak światła stadionu. Natalie powiedziała mi, że co pół roku je sobie wybiela.

Nie wiedziałam, co jest dziwniejsze: czy to, że po zabiciu matki znalazłam się przed domem mojej najstarszej przyjaciółki, czy to, że Natalie poszła na randkę, nic mi o tym nie mówiąc.

- Właśnie sobie przypomniałem, że miałem nic nie mówić - powiedział. - Nie zdradź się przed nią, Helen. Nie chciałbym, żeby się na mnie złościła.

- Bez obawy. - Było to powiedzenie, które przejęłam od

urodzonego w Australii administratora z Westmore. Stosował je praktycznie do wszystkiego. „Piec wybuchł - bez obawy”. „Odwołuję czwartkowy rysunek z natury - bez obawy”. „Zamordowałam matkę i kiedy rozmawiamy, jej ciało się rozkłada”.

- Ale poważnie, Hell* [*Hell* (ang.) - piekło] - powiedział Hamish. Zwyczaj nadawania ksywek wyniósł z Akademii Wojskowej Valley Forge, gdzie Hamish senior oddał go na siłę, żeby wzmocnić juniorowi kręgosłup moralny.

- Niezbyt dobrze się czuję, Hamish - oświadczyłam. - Muszę usiąść.

Otworzyłam drzwi samochodu i usiadłam bokiem, z nogami na żwirowym podjeździe. Zgięłam się w pasie i podparłam na łokciach.

Hamish ukucnął obok mnie.

- Co z tobą? - zapytał. - Mam zadzwonić po mamę?

Światło wiszącej lampy padało na dolną krawędź drzwi mojego samochodu, oświetlając to, co dotykało ziemi. Zobaczyłam zakurzone buty Hamisha i moje bardzo brudne czółenka. Wycofałam je ruchami palców, czemu przyglądał się Hamish. Przypomni mi się tamten dzień w piwnicy, kiedy ujął w dłoń mój policzek.

- Położysz się na mnie? - zapytałam.

- Co takiego?

Spojrzałam na niego, na jego piękną przedwcześnie pobrużdżoną twarz, na piegi, którymi wskutek częstego przebywania na słońcu usiany był jego nos i policzki, na olśniewająco białe zęby.

- Mam nadzieję, że mi ufasz - oznajmiłam.

- Jasne, że ci ufam.

Nie zadawałam sobie trudu, żeby się zastanawiać, jak wyglądam. Wstałam i Hamish też wstał. Otworzyłam tylne drzwi i położyłam się na siedzeniu.

- Chodź - powiedziałam.

Pomyślałam o matce leżącej na zimnym betonie. Położyłam się na wznak; nogi dyndały mi nad ziemią. Hamish wlaźł do środka, ale usiadł na brzegu siedzenia, mając za sobą otwarte drzwi.

- Nie bardzo wiem, o co tu chodzi - powiedział.

- Jest mi zimno. Chcę poczuć na sobie twoje ciało.

Miałam ochotę się z nim pieprzyć.

Zamknęłam oczy i czekałam. Chwilę później poczułam, jak Hamish nieśmiało - zbyt nieśmiało - kładzie się na mnie. Zapierając się o siedzenie, w dalszym ciągu większością ciężaru spoczywał na podłodze.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powtórzył.

- Chcę, żebyś położył się na mnie całym ciężarem - wyjaśniłam, otwierając oczy.

- Hell... - zaczął. - Ja... - Zamiast dokończyć zdanie, spojrzął po sobie.

- Przywal mnie całym ciężarem - zachęcałam go. - Tak, tak jest dobrze.

I wtedy całe jego osiemdziesiąt dwa - osiemdziesiąt pięć? - kilo zważyło się na mnie, mocno mnie przygniatając. Poczulałam jego erekcję; czubki moich stóp wypadały w połowie jego goleni, które muskałam od czasu do czasu. Twarz Hamisha miałam z prawej strony, jego ucho przy moim było jak muszla. Pomyślałam o wiszącym w kuchni telefonie. Ciekawe, ile

razy dzwonił, zanim zamilkł.

Uniosłam prawą rękę i przejechałam nią wzdłuż jego boku, aż natrafiłam na brzeg podkoszulka, po czym wsunęłam pod nią dłoń i poczułam jego gołą skórę. Wydał pomruk jak zwierzę, które czeka, żeby go dotknąć. Sara durzyła się w nim jako nastolatka.

- Możemy robić wszystko - powiedziałam.

To było tak, jakbym przekręciła klucz. Hamish uniósł głowę. Jego oczy stały się senne i dalekie, takie, jakich nigdy nie widziałam u syna mojej najlepszej przyjaciółki.

- Jasne, mała - wyszeptał, a ja próbowałam nie słyszeć tonu jego głosu zarezerwowanego dla dziewczyn, które wozili na tylnym siedelku swego motocykla. Nosiły śmieszne szorty i siedziały owinięte wokół jego obleczonego w kewlar torsu i nóg. Próbowałam wyobrazić sobie siebie wtuloną w Hamisha. Niejeden raz mnie do tego zachęcał, ale zawsze odmawiałam.

„On jest na ciebie wyraźnie napalony”, powiedziała kiedyś Natalie i obie roześmiałyśmy się, jadąc razem na jakieś bezlitosne ćwiczenia gimnastyczne, podczas gdy Hamish mknął w przeciwnym kierunku na swojej cudownej japońskiej maszynie.

Jego usta zwisały nade mną, śmieszne, młode. Przyciągnęłam jego głowę, żeby je pocałować. Zaczynałam czuć na sobie jego ciężar, jego kości na swoich kościach. Wolałabym, żeby to wyglądało inaczej, żebym mogła pieprzyć się z synem mojej najlepszej przyjaciółki bez konieczności zdawania sobie z tego sprawy. Drażąc ten problem, doszłam do wniosku, że myślenie nigdzie mnie nie doprowadzi. Moralność to pluszak,

przytulanka, która po prostu nie istnieje. To wszystko, co już zrobiłam i co robiłam właśnie w tej chwili, nie prowadziło mnie na niebezpieczny skraj skały. Bo ja już z tej skały skończyłam.

Pociągnęłam w górę koszulkę Hamisha, a on, częściowo uwalniając mnie od swojego ciężaru, zdjął ją przez głowę. Był piękny, z muskularną, owłosioną klatką piersiową, ale to jego piękno, tak jak i wszystko inne, mówiło o młodości i o życiu, jakie miał jeszcze przed sobą. Poczulałam ukłucie żalu.

Odwrociłam oczy, żeby nie patrzeć na jego twarz, i zaczęłam rozpinać spodnie. Kiedy rzucił się do pomocy, walnął głową w wewnętrzną stronę drzwi pasażera. Rozległ się koszmarny głuchy huk. Przypomniało mi się, jak pani Leverton sześć miesięcy temu przewróciła się przed domem i przez gąszcz krzewów wołała do mojej matki o pomoc. I jak na chwilę śmiertelnych wrogów połączyła więź. Wszyscy pragnęli tylko jednego: żeby móc dalej żyć samodzielnie, u siebie, we własnych domach.

Pani Leverton uważała mnie za degeneratkę, która w ogóle nie sprawdziła się jako żona, zarabiając na życie pozowaniem nago, ale pod jednym bardzo ważnym względem zazdrościła matce. Sama miała syna, który chciał zrobić dla niej wszystko, ale to „wszystko” to było luksusowe mieszkanie przy domu opieki z kosztownym programem hospicyjnym. „Wszystko” to było wybrukowanie jej drogi do śmierci pieniędzmi. Mógłby jej nawet wyłożyć drogę do grobu i złotem, cóż z tego, kiedy ona tak naprawdę chciała tylko umrzeć we własnym domu.

- Jezu - jęknął Hamish. Roztarł tył głowy, zostawiając moje majtki gdzieś w okolicy kostek. Spontaniczność tego, co robiliśmy, znów została zagrożona. Przygryzłam wargę i poruszyłam się niespokojnie.

- No, pieprz mnie - powiedziałam, mając nadzieję, że nas nikt nie widzi.

To go sprowadziło na ziemię. Spojrzał na mnie.

- O rany. - Jednym szarpnięciem zerwał mi majtki z nóg i rzucił na ziemię. Skrzywiłam się. Majtki nie były pełne, aż do talii, ani przezroczyście, ani stare jak ręcznie wykonywany papier, ale ten gwałtowny ruch zbyt dobitnie przypomniał mi to, co właśnie zrobiłam mojej matce. Uniosłam się trochę i złapałam go za penisa, który wystawał nad gumą jego gatek.

Kiedy tylko poczułam go w ręce, wykonałam ruch w górę i w dół. Jęknął z rozkoszy, kiedy rozsunałam nogi i owinęłam się wokół niego.

- Och, pieprzyć, pieprzyć, pieprzyć! - skomlał, a ja leżałam, nie wierząc w to, co się dzieje. Spuścił się na mój brzuch. Palcami, lepkimi i rozjuszonymi, ścisnęłam go z całej siły.

- Au! - zaskowytał i położył mi rękę na nadgarstku. - Puść.

Obrócił się, rozgniatając mi boleśnie pośladkami kolano, po czym usiadł na brzegu siedzenia, za moimi nogami, zginając nad nimi swoje i tworząc w ten sposób rodzaj namiotu. Dotarły do mnie niemiłe zapachy - pozostałości moich zakupów na bazarze warzywnym, pomieszane z wilgotniejszym smrodkiem mojego starego worka gimnastycznego.

- Ja cię pier... przepraszam - powiedział. - To było mocne.

Leżąc w samochodzie, znalazłam się nagle w piwnicy obok matki. Po stopniach schodziła do nas pani Leverton z miętkami After Eight ułożonymi na starej emaliowanej tacce w elegancki wachlarz. W kuchni dzwonił telefon, a na górze Manny rozsiewał kondomy jak ziarno.

- Zabierzesz mnie do Limerick? - spytałam, jakbym się napraszała, żeby dobrowolnie iść do szpitala wariatów po drugiej stronie wzgórza. Nie chciałam na niego patrzeć. Nie chciałam widzieć jego twarzy. Zamiast tego zaczęłam wpatrywać się w prostokątną dziurę po drugiej stronie oparcia pasażera, usiłując sobie przypomnieć, skąd się tam wzięła.

Hamish był grzeczny, nawet jeśli działał pod wpływem nieuzasadnionego wstydu.

- Chciałabyś się umyć?

- Zostanę tutaj - odparłam.

Czułam, że chce coś powiedzieć, ale się hamuje.

- Przyniosę ci ręcznik - zaproponował, a ja skinęłam głową, aprobując w ten sposób ręcznik, ale jednocześnie chcąc się chociaż na chwilę pozbyć Hamisha.

Leżałam na tylnym siedzeniu, wsłuchując się w otaczające mnie nocne odgłosy i myśląc o tym, jak się kochaliśmy z Jakiem w volkswagenie garbusie w Madison. Przychodził Avery i zostawał z dziewczynkami, a my jechaliśmy w jakieś ciemne miejsce na skraju kampusu, nastawialiśmy w radiu cichą muzykę i kochaliśmy się.

Miałam ochotę patrzeć w niebo, ale zamiast tego patrzyłam na kratkowany sufit mojego saaba. Przez otwarte drzwi

wtargnęło zimne nocne powietrze, owiewając mi nogi. Przeszedł mnie dreszcz - przewróciłam się na bok, podciągając nogi i przyjmując pozycję embrionalną. Przed oczami miałam oparcie siedzenia pasażera, na którym leżała moja torebka z warkoczem matki.

Czytałam kiedyś oparty na faktach kryminał, który została w domu Sara. Bohaterem książki był seryjny morderca, niejaki Arthur Shawcross, ale najbardziej przemówił do mnie psychologiczny portret kobiety, którą najwyraźniej zamierzał zamordować, a która okazała się dla niego za cwana. Była stara jak na prostytutkę, ale w dalszym ciągu brała speed i chodziła na haju. Po tym, jak Shawcross, gwałcąc ją w samochodzie, próbował ją udusić, przez trzy dni z rzędu chodziła naćpana. Działał na tej zasadzie, że podrywał na przykład prostytutkę, wywoził w ustronne miejsce i nie mogąc się sprawdzić jako mężczyzna, zabijał ją. Ale ona wiedziała, jak z nim rozmawiać i wiedziała też, jak się zaprzeć tak, by jego dłonie, zaciśnięte na jej szyi, nie miały odpowiedniej dźwigni i nie mogły zmiażdżyć tchawicy. Wiedziała też, że jej przeżycie jest ściśle związane z jego zdolnością do ejakulacji. Trwało to godziny, jak wyznała, i było bardzo mozolne, ale jego wdzięczność sprawiła, że nie tylko jej nie zabił, ale jeszcze odwiózł na miejsce, w którym ją poderwał.

- Jak ty możesz czytać takie bzdury? - zapytałam Sarę przez telefon, wymachując książką, którą połknęłam w ciągu jednej nocy, jakby moja córka mogła mnie widzieć.

- Ona jest prawdziwa - odparła Sara. - Tam nie ma kitu.

Wrócił Hamish pachnący Obsession dla mężczyzn Calvina Kleina. Fakt, że poznałam ten zapach, lekko mnie krępował. Dał nura do tyłu, podając mi mały niebieski ręcznik. Popatrzyłam na ręcznik ze zgrozą, ale po niego nie sięgnęłam.

- Jestem w porządku, nie potrzebuję ręcznika.

Znów spojrzał na mnie zdezorientowany, ale zamiast zadać pytanie, uśmiechnął się do mnie.

- Lubisz to czuć na sobie - powiedział.

- Uważaj, Hamish - próbowałam wygramolić się z samochodu, szukając spodni i majtek - żebym się nie wyrzygała.

- Jesteś ostra.

- Chciałam tylko powiedzieć, że nie przestałam być przyjaciółką twojej matki, a twoje metody podrywu są nastawione na dziewczyny dwa razy młodsze ode mnie.

- Dobrze, jeśli na takie.

- Właśnie! - Zapięłam spodnie, wsuwając jednocześnie pantofle na nogi.

- Musisz przyznać, że nie jest to typowe dla naszych wzajemnych stosunków.

- Weźmiemy mój samochód - powiedziałam. - Ja poprowadzę. Ty siadaj z drugiej strony.

- Fantastycznie. Mama zawsze każe mi prowadzić.

Usiadłam za kierownicą, zabierając torebkę z siedzenia pasażera i wtykając ją w szczelinę koło siebie. Wyobraziłam sobie ośmioletniego Hamisha, jak biegnie do mojego samochodu z szelmowskim uśmiechem. Stracił głowę dla Emily właściwie od momentu, kiedy się poznali w wieku dwóch lat. Patrzyłam teraz przez okno na dorosłego mężczyznę, z którym

o mało nie odbyłam stosunku i który właśnie obchodził samochód, żeby usiąść na miejscu pasażera. Nie wiedziałam już ani kim jestem, ani do czego byłabym zdolna. Zanurkował do środka i pocałował mnie w policzek.

- Zapnij się - powiedziałam.

Siedziałam sztywno, czując pod plecami miękkie oparcie.

Kiedy wycofywałam się z podjazdu, pod kołami zazgrzytał żwir. Tak - pomyślałam - to fotelik Lea wyrwał taką dziurę w oparciu siedzenia. W dniu, w którym matka go upuściła, starałam się wepchnąć fotelik do samochodu, żeby pokazać Emily, jak dobrze sobie ze wszystkim radzę, a ona w tym czasie stała na chodniku, tuląc małego do piersi i wołając: „To nieważne, mamó! Zostaw to! Zostaw!”, aż w końcu wepchnęłam fotelik i zatrzasnęłam drzwi. W samochodzie obróciłam się i zobaczyłam plamkę krwi, która przesiąkła przez niemowlęcą niebieską czapkę Lea. Kiedy wpadłam do rodziców, żeby im powiedzieć, że po raz drugi jestem w ciąży, matka ziewnęła demonstracyjnie i zapytała: „Jeszcze ci się nie znudziło?”.

- Z kim Natalie się spotyka? - zapytałam, skręcając na drogę.

- Kurczę, nie zmuszaj mnie, żebym ci mówił.

Ale ja nie chciałam rozmawiać o tym, co się wydarzyło między nami.

- W porządku, możemy zamiast tego porozmawiać o twoim ojcu? Jesteś zadowolony, że nie żyje?

- Rany, co się z tobą porobiło? Przepraszam cię za to w samochodzie, ale wyluzuj, dobrze? Chcę, żebyś była zadowolona.

- Przepraszam, ale idę prosto od matki.

- Och.

Powszechnie było wiadomo, że moje relacje z matką były trudne, że opiekowałam się nią tylko z obowiązku, ale wiedziałam, że teraz popełniłam wielki błąd. Zdradziłam przed Hamishem moje poprzednie miejsce pobytu. Ja byłam do niczego jako zbrodniarz, on był do kitu jako kochanek. Stawiliśmy dobraną parę.

- Z mamą jest w porządku - powiedział Hamish. - Događujemy się. Wspólne mieszkanie zdaje egzamin. Z tatą było gorzej.

- Nie musisz mi tego mówić. - Miałam wobec Hamisha poczucie winy.

- Mogę ci powiedzieć, jeśli chcesz.

Przypomniał mi się Hamish jako dwulatek, który już wtedy pozwalał Emily sobą pomiatać, i jak ona z czasem zaczęła to wykorzystywać w sposób, który mi się zdecydowanie nie podobał. Teraz znów był tym samym chłopcem, gotowym powiedzieć mi wszystko, co chciałam wiedzieć, dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy mojej małej córeczce oddawał swoje zabawki czy przynosił bez końca w wiaderku piasek, z którego ona budowała pałace dla Barbie. Bardzo krótko udawałyśmy z Natalie, że kiedyś będzie z nich para. W pewnym momencie obie zorientowałyśmy się, że żadna z nas tak naprawdę nie wie, co jest warunkiem dobrego małżeństwa.

- Wiesz, że twój ojciec i ja nie byliśmy w najlepszych stosunkach - powiedziałam.

Tymczasem opuściliśmy już schowaną w brzoźach część osiedla McMansions i przejeżdżaliśmy przez pustkowie

parterowych magazynów i komunalnych ruder z lat pięćdziesiątych.

- To u ciebie chyba nic nowego - powiedział Hamish, patrząc prosto przed siebie.

- O czym mówisz?

- Jeśli „totalne ignorowanie mnie” nazywasz nie najlepszymi stosunkami...

- Nigdy cię nie ignorowałam - odparłam.

- Wiem, co o mnie myślisz.

- To znaczy?

- Że jestem leniwy. I że wykorzystuję matkę. Takie rzeczy.

Milczałam. Wszystko, co powiedział, było zgodne z prawdą. Zjechałam z Phoenixville Pike w Moorehall Road, solidnie nakładając drogi.

- Suka ze mnie, co? - powiedziałam.

Hamish roześmiał się.

- Wiesz co? Potrafisz być.

Zwolniłam, przyglądając się otoczeniu Mabry's Grill w poszukiwaniu samochodu Natalie.

- Poderwał ją w terenowej toyocie - oznajmił Hamish.

Odchrząknęłam i włączyłam kierunkowskaz na Yellow Springs.

- Ojciec był okropny pod wieloma względami - ciągnął Hamish. - Miałem dość awantur między nimi i między mną a tatą. Nienawidził mnie.

W tym momencie powinnam powiedzieć: „Nic podobnego” albo „Jestem przekonana, że to nieprawda”. Ale tego nie powiedziałam. Może i Hamishowi by się przydał buddyjski trening seksualny, ale wycucie prawdy miał bezbłędne.

- Matka jest w każdym razie zadowolona, chociaż głośno tego nie mówi. Jego wielkim marzeniem było móc wrócić kiedyś do Szkocji.

- Jak ona może żyć tak blisko mostu? - spytałam.

- Powiem ci, jak to według mnie z nią jest - odparł Hamish. - Według mnie ona chce być blisko rzeki na wypadek, gdyby jego duch wyłonił się z wody - żeby go mogła palnąć w łeb.

- To samo czuję wobec mojej matki - powiedziałam.

- Wiem. - Hamish sięgnął ręką do moich włosów.

Ciekawe, ile potrwa, zanim Jake przyjedzie do Pensylwanii? Sam lot to co najmniej pięć godzin, może więcej. A jedzie z Santa Barbara, nie z Los Angeles ani z San Francisco. Było zbyt dużo niewiadomych. Chciałam powiedzieć Hamishowi coś takiego: że jeszcze tego samego popołudnia, kiedy Jake poznał moją matkę, zwrócił się do mnie z pytaniem: „Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ona jest stuknięta?”. I że to było coś w rodzaju kurtyny, która po raz pierwszy podzieliła mój świat - przepaści pomiędzy moją miłością do Jake'a i do matki. Siły, która - gdybym tylko do tego dopuściła - rozdarłaby mnie na pół.

- Poznała go przez Internet, tego swojego faceta - podjął Hamish. - Jakiś przedsiębiorca z Downingtown.

- Co takiego?

- Bała się, że będziesz ją krytykowała. Wydaje mi się, że ona chciałaby znów wyjść za mąż.

Minęliśmy zwirownie i jeden czy dwa niskie budynki, z których - jak długo mieszkam w dolinie - nie widziałam, żeby ktokolwiek wychodził czy wchodził. Na zewnętrznych pozabawionych okien ścianach baraków z blachy falistej widniały

dwa wielkie V, ogrodzenie było pod napięciem.

- Pamiętasz? - zapytałam, ruchem głowy wskazując stalowebareki.

- Chciałem tam wejść, dlatego, że nam zabraniali - powiedział Hamish. - Nie miałem zamiaru niczego ukraść.

- A terenowej toyoty też nie?

- Helen w roli sędziego? Helen nigdy nie osądza. Helen kocha wszystko i wszystkich.

- Suka?

- I to jeszcze jaka.

- Czego chcesz więcej? - odparłam ze śmiechem.

- Dlatego ojciec posłał mnie do Valley Forge - rzekł po chwili Hamish. Oczywiście duszy zobaczyłam go w jego najtrudniejszych latach, kiedy próbował zadowolić ojca i ciągle mu się to nie udawało. Widziałam go - gdy przychodzili do nas we trójkę z wizytą - jak się pilnuje, żeby siedzieć na samym brzeżku krzesła „jak prawdziwy żołnierz”, i jak cały rozpromieniony podaje Emily kotlety jagnięce. „Nie jesteś prawdziwym żołnierzem”, powiedział mu ojciec, nakładając sobie na talerz w niezręcznej ciszy, jaka potem zapadła, górę galaretki miętowej.

Po drugiej stronie Vanguard Industries znajdowały się pozostałości miasteczka założonego w latach poprzedzających wojnę o niepodległość, z różnymi dodatkami dobudowywanymi sporadycznie już później, aż do końca roku tysiąc osiemsetnego. Zostało z tego tylko siedem budynków, wszystkie po jednej stronie drogi. Te po przeciwnej zostały zmyte w czasie sztormu, który odsłonił wielkie złożę żwiru obejmujące kamieniołom Lapling.

Kiedy przejeżdżaliśmy tamtędy z Hamishem, wszystko w miasteczku było pozamykane. Do tej pory czynny sklep z przylegającą do niego tawerną, która serwowała tylko piwo Schlitz, zamykano o ósmej wieczorem. Przez okna widziałam przygaszone światła nad barem i Nicka Stolfuza - mojego rówieśnika i jedyne go syna właściciela - opuszczającego lokal. Na rogu zabitej deskami gospody Ironsmith wzięłam ostry zakręt w prawo ze zręcznością, jaką zaowocowały lata jeżdżenia tymi samymi niemal niewidocznymi skrótami.

Właśnie podczas jednego z wypadów z Natalie odkryłam elektrownię atomową Limerick. Było długie wilgotne popołudnie we wczesnych latach osiemdziesiątych, a ja, z jadącą za mną Emilią, odwiedzałam rodziców. Sara została z Jakiem w Madison.

Za każdym razem, kiedy przyjeżdżałam z Wisconsin do Pensylwanii do domu, odwiedzałam Natalie, z którą odbywałyśmy długie milczące przejażdżki. Był to nasz sposób na bycie samą, nie będąc samą, który jednocześnie dostarczał wiarygodnej wymówki zarówno wobec mojej matki i Jake'a, jak i męża Natalie, usprawiedliwiając nasze wyrwanie się chociaż na chwilę z emocjonalnego gniazda szerszeni, zwanego dobrotliwie „ogniskiem domowym”.

Wyruszałyśmy świadomie po to, żeby się zgubić. Kończyłyśmy zwykle na starych, wiejskich, od dawna nieuczyszczanych drogach albo cmentarzach bez kościołów. Często wpadałyśmy w dziury pozostawione przez jedynych tutaj stałych gości - krety. A kiedy już udało nam się zgubić i wysiąść z samochodu, wypuszczałyśmy się na samotne wędrówki spokojnie o to, że się w końcu odnajdziemy. Gdybym szukała Natalie,

mogłabym ją znaleźć za dawno uschniętym kasztanowcem i usłyszeć, jak płacze. Ale w takich momentach zaczynały na mnie działać potężne siły mojego wychowania ciągnące mnie w przeciwnym kierunku. Nie zostałam wychowana, żeby przytulać, pocieszać czy być częścią czyjejś rodziny. Zostałam wychowana, by trzymać dystans.

Mijałam zagrody dla kurcząt i podwórka, a potem wjechałam w stary tunel o sklepieniu beczkowym, który oddzielał szczątkowe miasto od wąskiego pasa ziemi uprawnej i podmiejskiego osiedla w budowie, kiedy nagle zobaczyłam, że Hamish śpi. Głowa kiwała mu się na trzonku szyi, a ja nie widziałam powodu, żeby go budzić. Ocenianie Natalie w taki sposób, w jaki matka oceniała mnie, było - miałam ochotę powiedzieć to jej synowi - moją pokrętną „od dupy strony” metodą okazywania miłości. Całe życie próbowałam ten język tłumaczyć, a teraz okazało się, że sama biegle nim władam. Ciekawe, w jakim momencie człowiek się orientuje, że geny przenoszą na nas najróżniejsze deformacje naszych bliskich, tak samo jak dziedziczymy cukrzycę czy gęstość kości.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Hamish często wykonywał w domu mojej matki różne drobne usługi. Za wszystko - od zainstalowania systemu zraszaczy, które nawadniały żywo-ploty i bluszcze, do wślizgnięcia się w bardzo wąską szczelinę i uratowania pechowego kota, który się tam zaklinował - matka zawsze wynagradzała go jedzeniem. Kiedy przychodziłam po południu, żeby sprawdzić, jak mu idzie, zastawałam

go w jadalni przy stole w otoczeniu puszek z ciasteczkami, które stanowiły kontrabandę matki. Kiedyś, kiedy matka poszła do kuchni, żeby mi, jak sądzę niezbyt chętnie, przynieść filiżankę do herbaty, Hamish zauważył wyraz mojej twarzy.

- Powiedziała mi, że masz problemy z tuszą.

Wyciągnął do mnie puszkę kajmaku, który - w miarę jak matka się starzała i ja stawałam za sterami - robił się coraz bardziej ziarnisty od cukru.

- Dziękuję ci, Hamish - powiedziałam.

- Nie, to nie, będzie więcej dla mnie! - Wsadził sobie do ust cały kwadrat kajmaku i mrugnął do mnie.

Pamiętam, jak zabierałam dziewczynki na różne dziecinne przyjęcia odbywające się po drugiej stronie tunelu. Stałam w kuchni z innymi matkami i zastanawiałam się, co za jakiś diabelski zbiorowy umysł wymyśla takie zabawy, jak na przykład skakanie na balonach. Kończyło się tak, że po pęknięciu balona każde dziecko padało na podłogę, po czym wstawało i biegło w oznaczone miejsce, gdzie obsypywał je deszcz cukierków. Kiedyś podczas piżamowego przyjęcia dostałam w środku nocy telefon: jedna z matek urywaniem głosem informowała mnie, że Emily zmoczyła łóżko. Kiedy po nią przyjechałam, siedziała sama w przedpokoju na gumowej psiej macie i miała dżem we włosach. Jednocześnie z „wypadkiem” Emily uderzyła Sara. Zaczęła kopać i wymyślać innym dzieciom, nazywając je grubymi dupami, dużymi dzidziusiami, a szczególnie - co było jej ulubionym epitetem - pieprzonymi

świrami. Moje córki zawsze przypominały mi dwa skierowane w przeciwną stronę magnesyki w kształcie terierków.

Spojrzałam na Hamisha i zaczęłam się zastanawiać, co to za mężczyzna, który postanowił nie opuszczać domu rodzinnego. Ten wybór wydał mi się niemądry, a przecież ostatecznie i ja takiego wyboru dokonałam.

Samochód pokonał ostatecznie znajome wzgórze i znaleźliśmy się ponad domami, gdzie kiedyś Sara zarobiła bliznę na czole - głęboki ślad po paznokciach Petera Harpera - a Emily przeżyła swój pierwszy pocałunek z saksofonistą, szkolnym kolegą, na jego kraciastej kanapie. Wyłączyłam światła i po ciemku zjechałam na pobocze drogi, gdzie zgasiałam silnik. Głowa Hamisha uderzyła w oparcie - otworzył oczy, ale zaraz z powrotem je zamknął.

Od czasu kiedy tylko zostały zbudowane wieże elektrowni atomowej Limerick, oświetlone i widoczne z daleka, stanowiły złowrogą obecność. Tak samo jak zamknięta w nich moc. Przypominały wielkie białe wymiona obcięte i ziejące w górę kraterami otworów.

Siedziałam w samochodzie, mając koło siebie śpiącego Hamisha i patrząc na falistą ziemię uprawną i gdzieś obok koron drzew podświetlonych otaczającymi wieżami światłami. Obiecywałyśmy sobie z Natalie, że odbędziemy wycieczkę do elektrowni, żeby zobaczyć, jak blisko uda nam się podejść, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Jakbyśmy za wspólną milczącą zgodą uznały, że widok elektrowni z daleka będzie lepszy, że rzeczywistość musi rozczarowywać. Zawsze nazywałyśmy ten widok „przyszłością, która nie jest przyszłością”.

Kiedy się zorientowałam, że jestem w ciąży z Emily, zadzwoniłam do ojca do pracy. Byłam w studenckiej przychodni zdrowia w Madison i zrobiłam sobie badanie krwi. Pielęgniarka, która zadzwoniła, żeby podać mi wynik, poradziła mi, żebym zapisała się do poradni planowania rodziny. Siedziałam w kręgu dziewczyn, z których jedne były w ciąży, a inne w każdej chwili mogły być, i stwierdziłam, że jestem jedyną uczestniczką zajęć, która się uśmiecha. Chciałam, żeby ono - ona, on, obojętne, kto tam we mnie siedział - było w połowie mną, a w połowie Jakiem.

- Nie każdy chce mieć dziecko tak młodo - powiedział ojciec. - Ale ja się cieszę, Helen. A jak Jake?

Jake siedział przy naszym koślawym stole, oferując mi milczące wsparcie.

- Też.

- Co byś wolała: dziewczynkę czy chłopca? - zapytał ojciec.

- To nie ma znaczenia, tato. Myślałam o tym, ale naprawdę jest mi wszystko jedno.

- No, to powiem egoistycznie, że bardzo bym się ucieszył z wnuczki. Czuliśmy się tak, jakby nas odwiedzała malutka Helen.

Potem przyszła kolej na telefon do matki. Kiedy zadzwoniłam do domu, w tle słyszałam KYW, stację nadającą wiadomości, której matka słuchała przez cały dzień. Non stop leciały komunikaty o morderstwach, pożarach, niezwykłych zgonach.

- Jesteś z siebie dumna? - zapytała.

- Czy co jestem?

- Marnujesz życie, wiesz o tym? Przesrywasz je.

Spojrzałam na Jake'a.

- Mamo?

- Co?

- Będę miała dziecko.

- Za to nie dają nagród.

Było coś w wyrazie mojej twarzy, co sprawiło, że Jake wstał i wziął ode mnie słuchawkę.

- Czy to nie jest wspaniała wiadomość, pani Knightly? Ja na przykład jestem bardzo szczęśliwy z tego powodu, że zostanę ojcem.

Usiadłam na jego miejscu przy stole i patrzyłam na niego w osłupieniu. I mimo że znalazłam się w stanie zakłopotania, w jaki matka mnie często wprawiała, poczułam, że jeśli będę wpatrywała się w jego twarz i słuchała jego głosu, to wrócę do nowego świata, który sobie z Jakiem stworzyliśmy. Świata, w którym moja matka nie miała władzy.

Niemal osiem lat później też najpierw odszukałam ojca - był w miejscowym kościele katolickim. Przyjechałam do miasta, ale dzwoniąc do domu, nie powiedziałam matce, że jestem. Nie chciałam się z nią widzieć, dopóki nie porozmawiam z ojcem.

A ojciec dowiedział się od jednego z kolegów z pracy, że rosną koszty utrzymania parafii Świętego Pawła, i zasugerował, żeby rada parafialna trzymała owce. Uznał, że ze starymi nagrobkami wystającymi z ziemi w nierównych rzędach i pod różnymi kątami, owce, które są w gryzieniu

trawy bardzo dokładne, ostrzygą ją lepiej niż jakakolwiek kosiarka.

- Nie potrzeba żadnych nożyc. - Ojciec, mimo braku jakichkolwiek związków z Kościołem, obiecał, że w wolnych chwilach będzie przychodził i zajmował się owcami.

Przyszłam do niego z dziewczynkami z kościelnego parkingu. Sarę trzymałam na rękach, mimo że w Madison powiedziała jej, że ma już cztery latka i jest o wiele za duża na to, żeby ją mama nosiła. Emily uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, kiedy zapakowałam obie córki i trzy walizki do volkswagena garbusa.

- Dzisiajadek! - wrzasnęła. Kiedy doszliśmy do muru cmentarnego, Sara ześlizgnęła się po mojej nodze na ziemię. Na nasz widok ojciec obrócił się i upuścił grabie. Emily przelazła przez murek, przerzucając nogę, jakby dosiadała konia, a ja podsadziłam Sarę, która do niej dołączyła.

Kiedy ojciec zaprezentował im owce, Sally, Edith i Phyllis, pokazał, jak się nimi zajmuje, jak czyści drewnianą szopkę i napełnia miski wodą i jedzeniem, a na koniec jeszcze porozmawiał z Emily o pewnym łobuzie, którego się bała, obie zaczęły się bawić wśród grobów.

Odeszliśmy z ojcem kawałek i kiedy opuściliśmy starą część cmentarza i weszliśmy do nowszej, gdzie za utrzymanie trawy odpowiadały kosiarki, a nie owce, ojciec powiedział spokojnie:

- Widzę to po twojej twarzy.
- Rozwódzimy się - wyznałam.

W milczeniu usiedliśmy na białej marmurowej ławce - darze pewnej rodziny, która w wypadku samochodowym straciła trzy osoby.

W dalszym ciągu nic nie mówiliśmy, ale po chwili zaczęłam płakać.

- Zawsze, będąc na cmentarzu, myślę o tym, ile jest tu życia - powiedział ojciec. - Kwiaty i trawa rosną lepiej niż gdziekolwiek indziej.

Położyłam mu głowę na ramieniu. Przy Jake'u osiągnęłam pewien poziom serdeczności, której wiedziałam, że mi będzie brakowało. Wyczułam skrepowanie ojca niemal natychmiast. Odwrócił się nieznacznie, a ja usiadłam prosto.

- Widziałas się z mamą? - zapytał.

- Nie zdobyłam się na to.

Zadzwoniłam z budki telefonicznej i powiedziała mi, gdzie jesteś.

- Wracasz do domu?

- Chciałabym być blisko was, ale myślę, że dziewczynki potrzebują...

- Oczywiście - powiedział ojciec. - Oczywiście.

Widziałam, jak pracują jego szare komórki. Przypomniał mi się mały oszklony zegar, który stał u niego na komodzie, i obracające się mosiężne kółka zębate, które tak lubiłam obserwować jako dziecko.

- Pan Forrest ma przyjaciela, agenta nieruchomości - podjął ojciec. - Budują nowe osiedle niedaleko tego miejsca, które kiedyś oglądaliśmy z mamą. Ładne, jednopiętrowe domy, mieszkania jednopoziomowe.

- Ale...

- To będzie prezent ode mnie. - Poklepał mnie po ręce.

Wstałam i wygładziłam spódnice. Podróż z Wisconsin była długa i w upale. Z poczuciem winy patrzyłam na jego plecy, kiedy szedł w stronę cmentarza i swoich wnuczek. Nie chciałam go wykorzystywać.

6

Nie pamiętam, kiedy Hamish się obudził. Przez cały ten czas, kiedy spał, patrzyłam w ciemność, na wieże elektrowni atomowej, i myślałam o ojcu.

W nocy, ale nie o żadnej określonej godzinie, światła Limerick zaczynają świecić najpierw czerwono, a potem zielono - jakby jeden kolor był odpowiedzią na wezwanie drugiego. Zawsze wyobrażałyśmy sobie z Natalie, że jest to sygnał SOS, jakby mieszkańcy zostali uwięzieni w stopionym rdzeniu elektrowni i pod osłoną ciemności porozumiewali się z tym, co nieznanne - na zewnątrz.

Kiedy wyciągnął do mnie rękę, zdążyłam już o wszystkim zapomnieć - nie wiedziałam, skąd się tu wzięłam.

- Zawsze wierzyłem, że mam gdzieś na świecie żeńskiego bliźniaka - powiedział.

Patrzyłam na niego bezmyślnie, ale ciężar jego dłoni na moim udzie gwałtownie przywołał mnie do rzeczywistości.

- To nie jest żadna bzdura ani zagrywka, ja na to nie podrywam - dodał.

Pocałowałam Hamisha wolno, jakby te jego dziecinne marzenia były rzeczywistością - że jesteśmy adoptowani, że spadliśmy z nieba, że nasi rodzice tak naprawdę nie są naszymi rodzicami, tylko hologramami świadczącymi o tym, że istnieje jakiś inny świat, do którego można uciec.

Gdzieś w dali światła zapalały się i gasły, a tu, w samochodzie, Hamish przysunął się do mnie. Poczułam jego ciężar, oddech i sprężystość. Sięgnął do siedzenia kierowcy, podniósł do góry dźwignię i moje siedzenie odjechało do tyłu. Żadne z nas nie odezwało się słowem. Przez chwilę zmagaliśmy się z dźwignią biegów i kierownicą, ale nasza determinacja była obopólna i całkowita. Wiedziałam, że nie odjadę z tego miejsca na wzgórzu, dopóki oboje - zarówno Hamish, jak i ja - nie zostaniemy zaspokojeni każde w swojej odrębnej próżni. Był to seks determinacji i woli, seks wysiłkowej wspinaczki górskiej i odhaczania zdobytych celów na sporządzonej zaledwie przed chwilą liście. Namiętność brała swą siłę z ograniczonej ilości powietrza i czasu, no i, oczywiście, smaku zakazanego owocu.

Kiedy odnaleźliśmy to właściwe miejsce - niby dwoje pacjentów z gorączką, dotkniętych śwędzącą wysypką - byłam w połowie tylnego siedzenia, z głową odchyłoną niemal pod kątem prostym. Hamish, wsparły na rękach, starał się maksymalnie mnie odciążyć. Patrząc przed siebie, widziałam tylko ciepły, wilgotny margines pomiędzy naszymi podbrzuszeniami, podczas gdy jego głowa unosiła się w górę, do sufitu. Zamknęłam oczy i poczułam uderzenie jego bioder. Za nic nie opuściłabym samochodu ani nie zrezygnowała z tej chwili. Byłam zdecydowana ścigać bestię, która od najwcześniejszych lat mojego dzieciństwa chciała zamordować moją matkę.

Doszłam do wniosku, że aż do dzisiaj była to tylko niewinna potrzeba, którą nosiłam w sobie jak chandrę, nieobowiązująca, ale zawsze obecna - w jakimś sensie część całości.

Pomiędzy obojczykiem a lewym bicipsem Hamish miał tatuaż, którego dotychczas nie zauważyłam. Zawsze byłam zdania, że tatuaze to coś bardzo głupiego - coś takiego jak zamówienie frappuccino do góry nogami - co ludzie bez żadnego wyraźnego kierunku traktują jako sposób na określenie swojej tożsamości. Gapiałam się teraz na ten tatuaż, czując, jak wzbierają we mnie z jednej strony mdłości, a z drugiej roz-bawienie. Tatuaż był okrągły, rodem z podmiejskiego centrum handlowego, „orientalny” w stylu i niewątpliwie wykonany w Thad's Parlor koło sklepu z częściami samochodowymi. Widać było niebieskie detale - ogon smoka - a gdy się go prześledziło wzrokiem, także i głowę, która go połykała.

- Jezu, Hell - dyszał koło mnie Hamish. - Pieprzyć, pieprzyć!

- Dzięki, Hamish - powiedziałam.

- Ależ bardzo cię proszę.

- Muszę jechać do domu.

Hamish poruszył się, żeby spojrzeć na zegarek, i usiadł. Dopiero wtedy pomyślałam o Natalie. Wyobraziłam ją sobie na randce z przedsiębiorcą z Downingtown. Przypomniało mi się, jak, kiedy byłyśmy dziewczynkami, cytowała wiersz Emily Dickinson: *Nie mogłam stanąć i czekać na śmierć/Ona sama mnie podwiozła - uprzejma**[Emily Dickinson *Me mogłam stanąć i czekać na śmierć*, przekł. Stanisław Barańczak]. Stała na

pointach w pogardzanych baletkach i na końcu każdej linijki wirowała dookoła swojej osi, aż w końcu, oszołomiona i lekko pijana brandy, którą ukradliśmy jej matce, padała na łóżko w moje ramiona.

- Śmierć? - Spojrzała na mnie pytająco.
- Miło mi cię poznać, siostró - odparłam szczebiotliwym barytonem.

W rozproszonych chwilach po odwiezieniu Hamisha nie wiedziałam, czy mam sobie gratulować, czy robić okłady z lodu na głowę. Minęło ponad dwadzieścia lat, od kiedy kochałam się w samochodzie z mężczyzną, niebędącym jeszcze w wieku, w którym panowie po obudzeniu się kaszlą, plują i jęczą. Umówiliśmy się nieobowiązująco, że się jeszcze spotkamy, a Hamish obdarzył mnie zamglonym spojrzeniem. Widział seks i doświadczenie. Ja, mętłym wzrokiem, patrząc jego oczyma, widziałam okruchy łaski.

Była głęboka bezksiężycowa noc, a w moim sąsiedztwie, odwrotnie niż u Natalie, oświetlenie zewnętrzne nie stało się wyczynowym sportem czujników ruchowych i zasilanych energią słoneczną lamp. Była jedna czy druga podróbka lampy powozowej i na końcu kwartału ulic nad drzwiami Mulovichów paliła się goła żarówka, wystarczająco jasna, żeby rodzice mogli w jej świetle przepytывать swojego syna ćpuna, ale okoliczne trawniki, nie wyłączając mojego, tonały w mroku.

Ojciec z panem Forrestem znaleźli mi dom w bliskim sąsiedztwie miejsca, które rodzice oglądali, kiedy byłam nastolatką. W dniu przeprowadzki ojciec nas tam zawiózł i kiedy

pośrednik wręczał mi klucze, robił zdjęcia. Po wejściu do środka udawałam, że nie widzę ścian, które wymagały pomalowania, i podłóg, które aż się prosiły o szorowanie, ponieważ dzień wcześniej ojciec sprowadził tu łóżka dla dziewczynek, a dla mnie materac i komodę.

Wysiadłam z samochodu na bosaka i weszłam na trawnik. Pod stopami czułam chłodną, ale suchą trawę. Do czasu gęstej rosy zostało kilka godzin. Było jeszcze wcześnie. Studenci Westmore wymiotowali gdzieś po krzakach na obrzeżach półakrowych ogródków, gdzie na gankach za domami trzymano antałki piwa. Nastoletnim dziewczynkom urywał się film tam, gdzie nie powinien, a Sara u siebie w East Village - o ile dobrze ją znałam - dopiero zaczynała noc. Przez chwilę próbowałam sobie przypomnieć imię jej aktualnego chłopaka, ale kiedy sięgnęłam do gałązki derenia, uświadomiłam sobie, że było to coś rodem z krzyżówki. Joe, a może Bob czy Tim. Jakieś jednosylabowe bezosobowe imię. Jak Jake.

Weszłam na środek frontowego trawnika i położyłam się z rozkrzyżowanymi rękami, patrząc w gwiazdy. Jakim cudem znalazłam się w świecie, w którym popełnienie takiego czynu jak mój stawia cię w rzędzie szaleńców, gdy jednocześnie ubieranie betonowych kaczek w wiązane pod brodą czepki na Wielkanoc i w pasiaste czapeczki typu pończocha na Boże Narodzenie uważa się za normalne?

Wypuściłam z rąk buty i torebkę. Na niebie świeciło tylko

kilka gwiazd. Ziemia pode mną była zimna. „A w Chinach dzieci głodują”, mawiała często moja matka, kiedy rzucałam się na jedzenie.

- Ale to nie znaczy, że nie jestem głodna - wyszeptałam teraz. Przypomniała mi się jej twarz, kiedy przywiozłam z Wisconsin Jake'a, żeby go przedstawić rodzicom. Stanowił pierwsze i ostatnie bezpośrednie wyzwanie dla jej władzy. Powitała go takim przedstawieniem, że aż przykro było patrzeć. Zmuszała się do uśmiechów i ukłonów, jakby był jakimś możliwym panem, a ona najnędniejszą z istot. Dlaczego nie dostrzegałam prawdy? Miała stalową determinację, która przewyższała wszystko, co moglibyśmy kiedykolwiek wspólnie z Jakiem zbudować. Nasz domek z kart był pod koniec tak kruchy. „Tak naprawdę kochałaś tylko matkę!”, wykrzyczał mi kiedyś mój mąż. Ale ja tej prawdy nie przyjmowałam do wiadomości; podniosłam ręce, jakbym się broniła przed ciosem.

Wiedziałałam, gdzie jest moja matka. Wiedziałałam, że nie przebywa w niebieskich rejonach, tylko w swojej piwnicy - martwa i zimna jak kamień. Na dowód tego miałam w torebce jej warkocz. Zmusiłam się, żeby patrzeć w niebo, nie mrugając. Nawet jeśli tam była, to nie umiałam jej znaleźć. Mogła być przecież niewielką ciemną gwiazdą za masywem chmur, podobna do maleńkiego guza, który powoli rośnie i w końcu zabija, ale nic takiego nie mogłam dostrzec, niezależnie od tego, jak bardzo jej wypatrywałam.

Przewróciłam się na bok. Wysączyły się ze mnie resztki tego, co pozostało po Hamishu. Poczułam się wyczerpana, jakoś dziwnie spełniona i gotowa do snu. Pomyślałam o podium, na które miałam jeszcze tego dnia się wdrapać, i o pozie,

jaką będę musiała przyjąć. Czwarty tydzień pozowałam u Tannera Haku na rysunku z modelu. Do wczoraj ćwiczyłam przed lustrem z małymi ciężarkami i uprawiałam jogę jeszcze pilniej niż dotychczas, żeby moje mięśnie były widoczne pod skórą. Wiedziałam, że o to Haku chodzi, i wiedziałam jednocześnie, że stosowanie się do życzeń nauczyciela jest podstawą pozwania. Nie tylko przybranie odpowiedniej pozy, ale zrozumienie, ile swojej fizyczności ta osoba chce, żebyś pokazała. Natalie była akurat na swojej zwykłej diecie, składającej się z obwarzanków z twarożkiem, ponieważ profesor, któremu ją stale przydzielano, był Lucianem Freudem* [Lucian Freud, urodzony w 1922 roku malarz brytyjski] dla ubogich. Wymagał wałków tłuszczu, owłosionej skóry, dobrze, jeśli się trafiła jakaś blizna czy wysypka.

- Więdnij! - rozkazywał na przykład.

To ja namówiłam Natalie na pozowanie. W pierwszej chwili się opierała, wstydziła się swojego ciała, ale wzięła część etatu w kwesturze i teraz pracowała po połowie tu i tam.

Dźwignęłam się z ziemi. Wzięłam buty i torbę i wyjęłam z niej klucze z przyczepioną do nich małą latareczką. Była, podobnie jak telefon komórkowy, prezentem zainspirowanym przez matkę. Często przychodziłam do centrum handlowego jak sierżant, któremu kazano uzbroić batalion. Matka i ja mamy mieć telefony komórkowe. Matka i ja mamy mieć kółko na klucze z breloczkiem w formie latarki. Matka i ja mamy mieć nowe czajniki ze stali nierdzewnej, poduszki z puchu, płócienne pokrowce na meble spryskane Scotchgardem.

Jeśli. To. Jeśli będziemy dzieliły między sobą X, to wszystko pójdzie dobrze, pewnie i gładko. Kiedy włożyłam klucz do zamka, oczyma duszy zobaczyłam moje epitafium: ŻYŁA CUDZYM ŻYCIEM.

Wiele lat temu, kiedy opieka nad matką zaczęła mi ciążyć, postanowiłam pozbywać się z domu różnych drobnych rzeczy. Może dlatego nie potępiłabym pani Castle, gdyby ukradła miskę Pigeon Forge. W pewnym sensie po tym wszystkim, co robiła, niejeden raz miałam ochotę otworzyć szkatułkę z biżuterią matki i powiedzieć: „Proszę się poczęstować”. Niestety, młody Manny, ten od kondomów, już to zrobił, co skutecznie przed wszystkimi ukrywałam.

Zdjęłam płaszcz i zamiast go powiesić, rzuciłam na podłogę z kamiennych płytek. W przeciwieństwie do domu matki, u siebie miałam zawsze przynajmniej jedno okno otwarte, nawet kiedy było chłodno. Lubiłam, żeby stale wpadające rześkie powietrze odświeżało atmosferę w pokojach. Podeszłam do półki w salonie i między Virginia Woolf a Vivian Gornick (ustawiam autorów według imion) wypatrzyłam przedmiot na dzisiaj: płaczącego Buddę z drewna. Prezent od Emily.

Z poczuciem, że popełniam zbrodnię, wybieram jakiś przedmiot - przycisk do papieru, kompozycję z suchych kwiatów, małą broszkę z kameą po mojej praprababce - i „przypadkiem” pozbywam się go w dniu wywozu śmieci. Robiłam to zawsze, kiedy miałam taki kaprys, nigdy tego nie planowałam. Po prostu mój wzrok padał na jakiś leżący na półce

przedmiot i nagle wzbierała we mnie chęć, by wziąć kawałek gazety czy szmaty i owinąć to coś, jakbym wykonywała magiczną sztuczkę. A potem szłam szybko, zbliżając się do krawężnika, i wyrzucałam zawiniątko do samotnie stojącego, nieskazitelnie czystego pojemnika czekającego tylko na śmieciarkę. Odczuwałam wtedy jakąś dziwną lekkość, jakbym pozbyła się jeszcze jednego ciągnącego mnie w dół kamienia.

Patrzyłam na płaczącego Buddę wielkości pięści, wyrzeźbionego z sękatego drewna. Byłby to pierwszy spośród przedmiotów stanowiących moją osobistą własność, którego bym się pozbyła - prezent od mojego dziecka. W chwili, kiedy wyciągnęłam po niego rękę, pomyślałam o Mannym.

Dotknęłam Buddy palcami, ale pozostawiłam go na miejscu.

Poszłam na górę do sypialni, próbując nie myśleć o tym, że Manny uprawiał seks w jednym z pokoi w domu matki, podczas gdy ona najprawdopodobniej siedziała na dole w salonie w swoim fotelu. Co byłam mu winna, poza napiwkami, które mu dawałam, oprócz i powyżej tego, co płaciła mu matka?

Zapaliłam nocną lampkę. Co ja takiego czytałam, zanim zaczął się ten dzień? Emily przysłała mi nowe tłumaczenie *Tao Te Ching**[*Tao Te Ching* - traktat chińskiego filozofa Lao Zi sprzed około 2500 lat]. Już samo wzięcie do ręki cienkiego tomiku miało działanie kojące, ale kiedy otworzyłam książkę i próbowałam czytać, wszystkie słowa jak gdyby zamieniły się w X-y. Nie byłam rybą ani drzwiami, ani trzcina i nigdy nie będę. Byłam cuchnącą ludzką istotą a la Lucian Freud.

Nad komodą powiesiłam jeden z wczesnych rysunków Jake'a przedstawiający mnie. Oparł go na fotografii, którą Edward Weston zrobił Charis Wilson, zanim została jego żoną. Siedziałam krzywo na jednym z kuchennych krzeseł z metalu i plastiku z naszego domu w Wisconsin. Miałam na sobie dziecięcą zuchową czapeczkę, którą Jake narysował tak, żeby przypominała szykowny beret Wilson, stanik i krótką halkę. I chociaż nic nie było przez nią widać, to kiedy rozsunęłam nogi i halka podjechała do góry, zaproszenie było aż nadto wyraźne. Dzięki temu rysunkowi z błyskotliwej studentki na wykładach moich profesorów stałam się plakatem w galerii wydziału mieszczącej się w bibliotece uniwersyteckiej.

Wślizgnęłam się do łóżka i naciągnęłam na siebie koce, nie zdejmując brudnego ubrania. Pomyślałam o nocnych upiększających rytuałach, których nauczyłam się w okresie dorastania. Jaka dorosła się poczułam, kiedy matka po raz pierwszy posmarowała mi stopy kremem nawilżającym. Na to nakładało się skarpetki, a potem staroświeckie przywiązane do kostek ciężarki. „W przeciwnym razie, mówiła, ściągniesz skarpetki w środku nocy i cały efekt diabli wezmą”. Kiedy zasypiałam, przypomniał mi się jeden z niezliczonych telefonów pani Castle, jakie odbierałam w ciągu ostatnich kilku lat. Otóż przyszła do matki i zastała ją w eleganckich zielonych bawełnianych rękawiczkach, na których zapięła sobie aluminiowe kajdanki. Poinformowała panią Castle, że gdzieś zapodziała klucz. Czy ja przypadkiem wiem, gdzie ten klucz może być?

Skończyłam osiem lat, kiedy ojciec miał w warsztacie wypadek i pogotowie zabrało go do szpitala. Zniknął na trzy miesiące, a mnie nie pozwalano się z nim widywać. Matka powiedziała, że nie będzie go dokładnie dziewięćdziesiąt dni i że pojechał do Ohio odwiedzić rodzinę. Kiedy zapytałam, kogo konkretnie i czy nie możemy do niego dołączyć, nabrała wody w usta. Wizyty pana Forresta stały się częstsze, a Donnellsonowie i Levertonowie przynosili nam klopsy i potrawki mięsne, które często po szkole znajdowałam na ganku.

Przychodziłam do domu i siadałam w jadalni z książką. Włączałam ściemniacz przy żyrandolu i pozwalałam sobie tylko na tyle światła, żeby po zmroku dom nie był całkiem ciemny. Wczesnym wieczorem przychodziła ze swojego pokoju matka i razem robiliśmy obiad. Po tygodniu nieobecności ojca postanowiłam oszczędzać przynoszone przez sąsiadów dania. Jadłyśmy najczęściej krakersy Ritza z masłem z orzeszków ziemnych, mrożone obiadki Heidi Swanson albo

moje ulubione cynamonowe tosty w nieograniczonych ilościach. Matka miała na sobie koszulę nocną, w której sypiała - białą i prześwitującą - a ja szkolny strój.

- Jeszcze osiemdziesiąt dwa dni - mówiła.

Albo:

- Już tylko siedemdziesiąt trzy.

Stało się to rodzajem skrótu myślowego, którym witałyśmy się nawzajem: „Sześćdziesiąt cztery”. „Pięćdziesiąt siedem”. „Dwadzieścia pięć”.

W ciągu tych dziewięćdziesięciu dni nie miało najmniejszego znaczenia, o której wracałam ze szkoły. Potrafiłam po drodze od przystanku autobusowego zatrzymać się przed domem pana Forresta i stukać w okno, budząc jego śpiącego psa. Tosh, spaniel - „Jedyna rasa!”, jak twierdził właściciel - podchodził do miejsca, w którym stałam, i smutno drapał łapą w szybę.

Jeśli zauważyłam na progu danie mięsne, zabierałam je szybko do kuchni, zawijałam w folię aluminiową i znosiłam do stojącej w piwnicy zamrażarki. Bałam się, że ojciec nigdy nie wróci i że obowiązek wyżywienia nas spadnie na mnie.

Kiedyś próbowałam wyjaśnić, co jest z moją matką nie tak, ale wydało mi się to zadaniem beznadziejnym.

- Ona prawie nic nie robi - powiedziałam.

- Tak ci się tylko wydaje, Helen - odparła panna Taft.

Była moją wychowawczynią w drugiej klasie i od tej klasy zaczynała swoją karierę.

- Nie prowadzi samochodu - próbowałam dalej.
- Nie wszyscy prowadzą.
- Mój tata prowadzi. Pan Forrest prowadzi.
- To tylko dwie osoby. - I podniosła dwa palce, uśmiechając się przy tym tak, jakby liczby całkowite rozwiązywały każdy problem.

- Kiedyś chodziła na spacer - nie dawałam za wygraną. - A teraz nie chodzi.

- Wychowanie dziecka pochłania całą naszą energię - zapewniła mnie panna Taft.

Patrzyłam gdzieś obok niej na wiszącą nad tablicą mapę świata. Wiedziałam, kiedy się zamknąć. Problemy matki to była moja wina.

Po dziewięćdziesięciu dniach ojciec wrócił. Matka ubrała się w kostium, którego nigdy do tej pory nie widziałam, i bardzo starannie uczesała włosy. Wtedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że pod swoimi zwiewnymi szatkami chudła. Uświadomiłam też sobie, że nigdy nie zjadła więcej naraz, niż dwa krakersy, na które nakładała górę masła orzechowego Skippy. I że nigdy słowem nie wspomniała o zaoszczędzonych daniach.

Ojciec stanął w drzwiach i uśmiechnął się do mnie z załopotaniem. Przy kapeluszu miał świeże piórko i też wydał mi się chudszy. Ruszyłam w jego stronę, żeby go uściskać - czego nigdy nie robiliśmy - a ojciec wyciągnął do mnie dużą plastikową torbę, mimochodem blokując mi drogę.

- To dla ciebie - powiedział.

Odwrócił się i objął matkę. Widziałam jej twarz, kiedy się do niego zbliżała. Łzy wyślubiły czarne koleiny tuszu pod jej oczami.

- Tak mi przykro, Clair - powiedział. - Ale znów jestem w domu, żeby się tobą opiekować. Znów jestem silny.

Bez słowa i bez wysiłku podniósł ją, tuląc w ramionach. Ojca „Znów jestem silny” oznaczało wtedy dla mnie tylko tyle, że mógł udźwignąć większy ciężar. W torbie, którą mi wetknął do ręki, były zielone plastikowe naczynia: dzbanek, taca i to trzecie - pojemnik w kształcie nerki - które, jak się później dowiedziałam, służyło mu w szpitalu w razie wymiotów.

W czasie tygodni i miesięcy, jakie nastąpiły później, temat jego choroby stał się zagadką, którą przerabialiśmy ciągle od nowa.

- Dlaczego wyjechałeś?
- Żeby poczuć się lepiej.
- Lepiej niż kiedy?
- Lepiej niż przedtem.
- A co ci było?
- Nie pamiętam, to już minęło.

Wkrótce i ja o tym zapomniałam. Potrzebowałam ojca. To matka miała problemy. To ona się bała. Tak bardzo, że nic nie mogło tego zmienić. W ramionach ojca czuła się bezpieczniejsza. Czuła się bezpieczniejsza w domu przy Mulberry Lane. Albo pod kocami. Albo siedząc z nogami podwinętymi pod siebie i butelką ciepłej wody na kolanach.

Kiedy rano schodziłam na dół na śniadanie, ojciec witał mnie słowami:

- Dzisiaj jest ciężki dzień, kochanie.

Był to taki nasz skrót i to się nigdy nie zmieniło. W ciężkie dni matka nie wstawała z łóżka, a w sypialni żaluzje były opuszczone aż do naszego wyjścia. Wiedziała, dlaczego musimy wyjść, a mimo to miała poczucie, że ją w okrutny sposób porzucamy. Rozmawialiśmy w kuchni szeptem i pośpiesznie pożeraliśmy jedzenie. Kiedy w portfelu ojca brakowało szleszczących banknotów, które mi dawał, żebym kupiła sobie lunch, ze stojącego w kuchni słoika wyciągałam drobniaki, bardzo uważając, żeby nie hałasować monetami.

W wieku jedenastu lat poskarżyłam się Natalie na dziwne zachowania matki i z wypiekami słuchałam, jak moja przyjaciółka zapewniała mnie, że jej matka jest taka sama. Byłam bardzo szczęśliwa, ale cały mój entuzjazm prysł, kiedy zaczęłam drażnić temat. Matka Natalie piła. To było dla mnie coś godnego pozazdroszczenia. Znalezienie przyczyn domowych kłopotów w butelce wydawało się szczytem marzeń.

Stało się to jednego z ciężkich dni...

- Czy wszystko jest z tobą w porządku, mamo?

- Mam ciężki dzień, Helen.

...a mianowicie Billy Murdoch wpadł przed naszym domem pod samochód.

Byłam wtedy w liceum. Ojciec spędził poprzednią noc poza domem. „Jadę służbowo na dwa dni do Scranton”, oznajmił.

Wydawało się, że właśnie tego popołudnia gdzieś się wszyscy z naszego niewielkiego sąsiedztwa ulotnili. Ale, co najgorsze, był to jeden z ciężkich dni. Tego popołudnia, kiedy Billy Murdoch wpadł pod samochód, matka, jak zwykle w takich sytuacjach, postanowiła spędzać czas w sposób czynny, wypełniając sobie godziny różnymi domowymi obowiązkami, byle tylko nie usiąść na kanapie czy przy stole kuchennym i się nie poddać. Tak jakby sprzątając, piorąc czy coś organizując, była w stanie przynajmniej na tyle poskromić swój strach, żeby móc choć oddychać.

Powiedziała mi później swoim przepastnym szeptem, dobywającym się z otchłani, w której przebywała wiele miesięcy po wypadku, że słyszała ten dźwięk - ten odgłos uderzenia samochodu w ciało Billy'ego. „Jakby ktoś uderzył kijem baseballowym w dynię”, tak to opisała.

Była druga po południu i matka wynosiła właśnie z piwnicy porcję skarpetek i bielizny ojca. Zapach wybielacza zawsze działał na nią pogrzejająco, a poza tym czuła na pierśsiach ciepło koszyka.

Z reguły stawiała koszyk w końcu kanapy, a następnie strzepywała i składała bokserki ojca, układając je w dwóch stosach: na jednym gładkie białe, na drugim w cienkie niebieskie prążki. Potem przychodziła kolej na skarpetki, które dobierała parami i zawijała od góry.

Kiedy usłyszała odgłos, nie pobiegła do okna, żeby zobaczyć, co się stało, jak zrobiliby każdy w tej sytuacji - co do tego wszyscy byli później zgodni. Przez chwilę stała w miejscu, na baczność, zanim wróciła do swoich obowiązków. Każdą czynność po usłyszeniu tego dźwięku wykonywała z jeszcze większą

niż dotychczas precyzją, jakby była robotem - aż do następnego odgłosu.

A był to pisk opon, z jakim samochód ruszył i następnie z dużą szybkością przemknął naszą ulicą. Dopiero wtedy jej system nerwowy odnotował, że na zewnątrz dzieje się coś niedobrego. I pomimo pustej paplaniny, jaka w ciężkie dni wypełniała jej umysł, upuściła na podłogę skarpetki, które akurat trzymała w rękach, i poszła, nie pobiegła, tylko poszła do drzwi frontowych. Potem nie pamięta nic aż do chwili, kiedy znalazła się przy krawężniku chodnika. Lęk o chłopca skłonił ją do jakiegoś działania, ale tak jak pies tresowany, żeby bez względu na okoliczności trzymał się granic własnego obejścia, tak samo matka przystanąła przy skrzynce na listy.

Rower Billy'ego wylądował na brzegu naszego trawnika, a przednie koło kręciło się jeszcze jakiś czas wolno, zanim się całkowicie zatrzymało.

Matka podniosła prawą rękę do piersi i zaczęła mocno rozcierać kłykciami specjalne „miejsce pocieszenia” na mostku.

Nogi Billy'ego drgnęły raz, a potem jeszcze dwa razy.

Matka przytrzymała się lewą ręką skrzynki pocztowej. Stała niecałe dwa metry od ofiary.

- Billy? - wyszeptwała.

Lekarz powiedział później, że gdyby los był dla niego łaskawszy, Billy szedłby na piechotę. Wtedy zderzyłby się z samochodem czołowo, dostał pod koła i zginął na miejscu.

Zawsze się zastanawiałam, co sobie myślał w tych ostatnich minutach, kiedy matka stała tak blisko niego. Jak świat może zmieniać się tak szybko? Czy w wieku ośmiu lat mógł

wiedzieć, co to jest śmierć? Samochody wyskakują nie wiadomo skąd i potracają cię dwa domy od miejsca, w którym się wychowałeś, a kobieta, którą zawsze uważałeś za zwykłą przedstawicielkę świata dorosłych, stoi na skraju drogi i nawet nie próbuje cię pocieszyć. Czy to ma być kara za to, że udawałeś chorego, żeby nie pójść do szkoły? Czy może za to, że nie dotrzymałeś umowy i wyszedłeś z domu podczas nieobecności matki?

Miałam szesnaście lat. Razem z Natalie zakładałyśmy trykoty i u niej w domu, w świeżo odnowionej suterenie, ćwiczyłyśmy różne figury taneczne. Korzystałyśmy z okrągłej poręczy jej ojca i doskonaliłyśmy przewroty, używając do tego celu długiej niskiej kanapki i leżącej na podłodze niedźwiedziej skóry. Nasze tańce były narracyjne i wyciskały z nas siódme poty; zawierały też siady i świece, które strzelały w górę nie wiadomo skąd.

- Nie zastanawiał się nad niczym - starała się mnie pocieszyć Natalie po wypadku.

Zanim zdążyłam wrócić do domu, ciało Billy'ego zostało zabrane, ale w dalszym ciągu widać było na jezdni długą ciemną smugę przypominającą wykrzyknik.

- Jego mózg się roztrzaskał - powiedziała Natalie. - Nie myślał nic.

Ale ja słuchałam, jak matka szlocha w ramionach ojca.

- Mówił do mnie „pani” - powtarzała w kółko. - Spojrzał na mnie i powiedział „proszę pani”.

Ojciec, chociaż nie był towarzyski, to jednak cieszył się wśród sąsiadów sympatią: pozdrawiał ludzi, a kiedy w lokalnym sklepie spotkał kogoś z sąsiadów, zachowywał się

bardzo grzecznie, dlatego starał się jakoś tłumaczyć fakt, że matka nie podeszła do Billy'ego.

- To dlaczego nikogo nie wezwała? - zapytał pan Tolliver, który mieszkał za rogiem i wyprowadzał swoją żonę na upokarzające spacerki, podczas których kazał jej wyrzucać w górę ramiona i wysoko unosić nogi, jakby była jednoosobową orkiestrą wojskową.

- Pani Tolliver jest okrągłą kobietą - mówiła matka. - Jeśli nie chciał mieć okrągłej żony, to nie powinien się żenić z okrągłą dziewczyną.

- Clair dosłownie poraziło - wyjaśniał ojciec. - Nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Ona nie mogła mu pomóc.

Kiedy sąsiedzi wracali z pracy, zatrzymywała ich policja, prosząc, żeby zostawiali samochody i dalej szli na piechotę, albo - jeśli to było bardziej sensowne - żeby zawracali i objeżdżali miejsce wypadku. Ale większość parkowała samochody i dołączała do tłumu, jaki zebrał się na trawniku Beckfordów po drugiej stronie ulicy.

Wyglądało na to, że ludzie byli bardziej wściekli na moją matkę niż na anonimowego obcego człowieka bez twarzy, który skosił Billy'ego Murdocha. Każdy, kto dołączał do grupy gapiów, musiał dwa czy nawet trzy razy wysłuchać tej historii, żeby zrozumieć, jak matka mogła zrobić coś podobnego. Ale nawet i wtedy trudno było mówić o zrozumieniu. Raczej wbili mu to do głowy. Clair Knightly, której męża znali wszyscy, stała u siebie w ogródku i patrzyła, jak chłopiec, którego też znali wszyscy, umiera. I nie pomogła. Nawet do niego nie podeszła. Nikt nawet nie zapytał o to, nad czym latami zastanawiali się rodzice chłopca: Czy Clair Knightly w ogóle się do

niego odezwała? Czy powiedziała cokolwiek?

A odpowiedź jest taka, że moja matka płakała i śpiewała.

Stojąc na granicy swojej działki, pocierała szaleńczo klatkę piersiową ostrymi kłykciami prawej dłoni, podczas gdy jej lewa ręka śmigała od głowy do boku.

- Billy - powtarzała w kółko, jakby wymawianie jego imienia mogło go przybliżyć.

Głowa chłopca, zwrócona twarzą do niej, spoczywała na jezdni. Matka widziała, że porusza ustami, ale nie mogła przestać powtarzać jego imienia, żeby usłyszeć, co mówi. Bo póki powtarzała „Billy”, trzymała się jakoś teraźniejszości, w której funkcję kotwicy pełniła skrzynka pocztowa. Instynktownie wiedziała, że musi to robić, żeby przynajmniej próbować mu pomóc.

Dopiero kiedy w jej rytmie nastąpiła przerwa, usłyszała, co Billy mówi:

- Proszę pani...?

I w tym właśnie momencie zrozumiała, że nie da rady. Przestała powtarzać jego imię i tylko na niego patrzyła. Pozostała na miejscu, miętosząc i szorując swoją pierś, aż- jak to dwa dni później wyznała ojcu - wytarła sobie krwawą smugę od szyi do mostka.

Drugą rzeczą, o której sąsiedzi nigdy się nie dowiedzieli, była piosenka, którą matka śpiewała Billy'emu. Ilekroć słyszałam tę piosenkę, płynącą kanałem wentylacyjnym między sypialnią rodziców a łazienką, robiłam się czujna: był to zwiastun ciężkiego dnia. Jakaś zwrotka zapamiętana z dzieciństwa, którą matka śpiewała w kółko i której słowa zlewały się w rodzaj monotonnego refrenu.

*Kwiaty są barwne, czyste, radosne,
Żonkile lanem lśnią na wiosnę,
Kwiat może przynieść imię dziewczynie
Liii i Róży albo Jaśminie.*

Kilka następnych wierszy tylko nuciała, bo słów, jak sądzą, zapomniała już dawno. To ją uspokajało, o czym wiedziałam, ale kiedy poszłam do jej pokoju zapytać, czy czegoś nie potrzebuje, czekałam w drzwiach, dopóki nie zobaczyłam, że jej wargi znieruchomiały.

Matka śpiewała i nuciała tę piosenkę Billy'emu Murdochowi aż do chwili, kiedy nadjechał wóz dostawczy do Levertonów, którzy dzień wcześniej z okazji swojej rocznicy ślubu zdążyli wyjechać na wycieczkę. Młody mężczyzna z końskim ogonem i w białym kombinezonie wyskoczył z samochodu, zaaferowany minął matkę, przez otwarte drzwi wbiegł do domu, w pokoju, w którym matka składała czystą bieliznę ojca, znalazł na stoliku przy kanapie telefon i zadzwonił do szpitala.

Kiedy przyjechało pogotowie i policja, Billy już prawie nie żył, a wszyscy zadawali pytania o dziwną kobietę śpiewającą dziwną piosenkę.

Po wypadku trzymaliśmy żaluzje w domu opuszczone i udawaliśmy, że śmieci na naszym trawniku znalazły się zupełnie przypadkowo. Przez sześć tygodni nie chodziłam do szkoły, a z Natalie spotykałam się na ławce w parku położonym pięć przecznic od nas.

- Jeszcze nie - mówiła, wręczając mi notatki z lekcji, które opuściłam. Nawet jej rodzice nie życzyli sobie, żebym przychodziła do nich do domu.

.- Nienawidzę tej sytuacji - powiedziałam.

- Pamiętasz Annę Frank? - zapytała kiedyś moja przyjaciółka. - Udawaj, że tak jak ona nie możesz nigdzie chodzić, dopóki wszystko nie zostanie wyjaśnione.

- Ale Anna Frank stała się ofiarą zagłady!

- Nie o tym mówię - odparła Natalie.

Zaczęłam kalkulować. Byłam w trzeciej klasie szkoły średniej i zostało mi jeszcze osiemnaście miesięcy do czasu, kiedy w jakiś sposób się uniezależnię.

Lecz matce o tym nie powiedziałam. A w domu wszystko kręciło się dokoła niej jeszcze bardziej niż dotychczas. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy po śmierci Billy'ego pozdrawialiśmy się z ojcem szeptem, a kiedy ktoś zadzwonił do drzwi, chowaliśmy się po kątach jak myszy w nadziei, że ten ktoś sobie pójdzie. Pewnego razu przez frontowe okno wpadł kamień. Ukryliśmy ten fakt przed matką - powiedzieliśmy jej, że to ojciec, czytając gazetę, wybił szybę łokciem.

- Czy możesz w to uwierzyć? - powiedział swoim najlepszym rewiowym głosem. - Nie wiedziałem, że jestem taki silny!

- Albo taki nieuważny - odparła matka, kiepsko udając, że go gani. W jej głosie nie wyczuliśmy zwykłego ostrego tonu. Osąd, jej wybawiciel i stróż, jakoś tym razem ją zawiódł. Jej stanowisko przy oknie salonu, przez które mogła obserwować przechodzącą panią Tolliver albo wołać za dzieckiem sąsiadów „dziwka”, było przesłonięte ciężką wełnianą kotarą, którą przestaliśmy rozsuwać.

Wkrótce po Bożym Narodzeniu i w trzy miesiące po wypadku Murdochowie się wyprowadzili. Po południu podjechała

pod ich dom ciężarówka i w niespełna trzy godziny czterech mężczyzn załadowało cały dobytek. Wracaliśmy właśnie z Natalie z przejażdżki rowerowej i kiedy znalazłyśmy się na wzniesieniu, zobaczyłyśmy panią Murdoch stojącą przed domem z psem Billy'ego. Miała na sobie krótki płaszcz w kratę i kloszową spódnicę z grubej wełnianej flaneli. Był to wzór z „Simplicity”, bardzo modny tamtego roku. Pamiętam, że trochę przyhamowałam na widok wozu przeprowadzkowego i pudeł. Zobaczyłam plecy znikającego w domu pana Murdocha i w tym momencie napotkałam wzrok jego żony. Cudem tylko utrzymałam równowagę - przednie koło roweru zatańczyło niebezpiecznie, ponieważ prawie przestałam pedałować.

Nagle u mojego boku pojawiła się Natalie na swoim zielonym schwinnie z dziesięcioma przerzutkami.

- Jedziemy - powiedziała cicho.

I pojechałyśmy. Nacisnęłam na pedały i minęłam panią Murdoch. Pies Billy'ego, rasy Jack Russell, imieniem Max, szarpał się na smyczy, a ja musiałam siebie uspokajać, że przecież on nienawidzi nie mnie, tylko kół mojego roweru.

Jak można przeprosić za matkę, którą się kocha? Za matkę, której się zarazem nienawidzi? Mogłam jedynie mieć nadzieję, że w przyszłości pani Murdoch nie zabraknie kochających ludzi, ludzi, którzy ją będą wspierali i słuchali o tym, jak straciła syna. Moja matka miałaby tylko ojca. A potem tylko mnie.

8

Ojciec powiedział, że w dniu, w którym sąsiedzi pojawili się w naszym ogródku, był w Erie w Pensylwanii i potrząsał fiolkami trującego osadu, starając się ocenić zawartość zanieczyszczeń w miejscowej wodzie pitnej.

Matka była w kuchni, a ja właśnie zdążyłam wrócić do domu bocznymi drzwiami. Po śmierci Billy'ego przestała mnie pytać, gdzie byłam. Bo mogłam na przykład spać z chłopakiem, którego nazywała Horrorem, a który mieszkał kawałek dalej przy tej samej ulicy i miał tatuaż - w czasach, kiedy uważano to za piętno Kaina. Utrzymanie się na nogach wymagało od niej całej siły woli.

W pewnym momencie, kiedy odezwał się brzęczyk kuchenki, a ja wychodziłam z łazienki na dole, obie z matką usłyszałyśmy jednocześnie ten sam niski dźwięk.

Na zewnątrz stała grupa mężczyzn.

Nie umiem powiedzieć, skąd wiedziałam, że mam się bać, ale się bałam. Jedno jest pewne: natychmiast odczułam ulgę

z tego powodu, że ojca nie ma. I że jest dostatecznie daleko, żeby nie wrócić jeszcze przez kilka dni. Do dziś nie wiem, czy to właśnie dlatego mężczyźni wybrali akurat ten dzień.

W szóstej klasie oglądaliśmy zdjęcie przedstawiające scenę linczu na Południu. Była to mała czarno-biała fotografia, powielona i rozpowszechniona przez naszego nauczyciela historii, który uważał, że historia najlepiej przemawia do wyobraźni, kiedy jest ilustrowana. Wszyscy rodzice z całej okolicy byli niezadowoleni, kiedy ich dzieci przynosiły do domu zdjęcia przedstawiające sceny linczu, Auschwitz czy głowę afrykańskiego wojownika ociekającą krwią i zatkniętą na kij. Ale nasz nauczyciel miał rację: fascynacja, z jaką oglądałam tamte obrazy, chwyciła mnie teraz za gardło, kiedy stałam z matką trzymającą w rękach naczynie z wegetariańskim daniem.

Odległość między kuchnią a ładą kuchenną była niewielka, ale tego dnia dochodzące zza okna odgłosy odegrały rolę czynnika wydłużającego, którego matka nie mogła przewidzieć. Słuchałyśmy hałasów, a tymczasem gorący Pyrex, który trzymała przez ścierkę, zaczął ją parzyć i matka upuściła go na podłogę.

- Ty idź - powiedziała.

W jej oczach zobaczyłam panikę.

- Ale oni chcą ciebie - odparłam.

- Ale ja nie mogę. Wiesz, że nie mogę.

I rzeczywiście, wiedziałam.

Znałam ograniczenia matki, ponieważ byłam krwią z jej krwi. Zrozumiałam wtedy, tak zresztą, jak wyczuwałam to od

lat, tylko nie nazywałam rzeczy po imieniu, że urodziłam się po to, by być jej pełnomocnikiem w świecie i by ten świat przynosić jej do domu - czy oznaczało to wybitne osiągnięcia w wykonywaniu różnych przedmiotów z papieru w pierwszych latach szkoły, czy stawienie czoła rozwścieczonym mężczyznom. Byłam gotowa zrobić dla niej wszystko. Zawarliśmy coś w rodzaju milczącej umowy, na mocy której to konkretne dziecko służyło temu konkretnemu rodzicowi.

Tego dnia było ciepło i po powrocie ze szkoły przebrałam się w obcięte dzinsy. Matka pogardzała takimi spodniami, uważała, że są tandetne i niechlujne, i dokładnie z tych samych powodów ja je uwielbiałam - lubiłam je za wystrzępione brzegi, które można było skubać bez końca. Wiedziałam, że będę mogła je nosić, tak samo jak z rozkoszą i spokojem oddawałam się tej wiosny polerowaniu paznokci. Matka była, po raz pierwszy w moim życiu, za słaba na to, żeby nadać swemu osądowi moc obowiązującą.

Wyszłam z kuchni na palcach, przez korytarz udałam się do salonu i złapałam wiszącą na oparciu kanapy narzutę. Nie wiem, co sobie wtedy wyobrażałam, ale instynktownie czułam, że muszę się w maksymalnym stopniu zasłonić. Pamiętam, że zarzuciłam ją sobie na ramiona jak gigantyczny ręcznik plażowy.

Jeden z mężczyzn zobaczył mnie przez okno i hałas na zewnątrz się wzmógł. Byłam boso, a moje włosy, tak rzadkie, że wystawały przez nie uszy, zwisały mi po obu stronach twarzy. Marzyłam o tym, żeby była tu ze mną Natalie. Jakbyśmy we dwie stanowiły armię zdolną otoczyć i podbić tłum mężczyzn.

Przeszłam przez niewielki salon i kiedy położyłam rękę na gałce drzwi prowadzących na ganek, usłyszałam z kuchni trzy słowa, które matka mimo wszystko zaryzykowała: „Uważaj na siebie”, powiedziała bardzo cicho. Wiedziałam, że wysiłek, jakiego to od niej wymagało, był heroiczny. Ale w tym czasie, kiedy przechodziłam przez pokój, narzucając na siebie - tak jak to oceniłam później - pelerynę superbohatera, dokonało się coś ważnego. W tym momencie moja matka przestała dla mnie istnieć.

Widok pierwszej osoby, którą zobaczyłam po wyjściu przed ganek, mnie uspokoił. Był to pan Forrest. Z Toshem. Stał nieco z boku, jakby poza grupą ojców i mężów, i kiedy spojrzałam na niego przez sięgające mi do pasa ogrodzenie, próbował się uśmiechać. Ale była to słaba, smutna próba. Tosh, który w normalnych warunkach szalał, tym razem siedział schowany za nogami swego pana.

- Gdzie jest twoja matka? - zapytał jeden z mężczyzn.

Było ich sześciu, siedmiu z panem Forrestem.

- Jest w domu - odpowiedział mu ktoś z gromadki, chociaż mężczyzna patrzył na mnie. - Zawsze jest w domu, co?

Ta prawda, sformułowana tak śmiało, w otwartej przestrzeni, była jak zatruta strzała, która nadleciała nie wiadomo skąd. Poczulałam ucisk w piersi i zrobiłam przerwę na wzięcie oddechu.

- Nie umiesz mówić? - zapytał pan Tolliver. Nienawidziłam go, na co nie bez wpływu były opowieści matki o tym, jak prowadzi swoją żonę po okolicznych ulicach. Teraz trzymał w rękę niewielki kawałek drewna w kształcie nagrobka,

pomalowany na biało, na którym było napisane: „Tu leży pies, żegnam go w smutku - ostatni, co nasrał w moim ogródku”. Dzięki wierszykowi miało być śmiesznie. Zawsze moją pogardę dla tego, co inni wielkodusznie nazywali „sztuką trawnikową”, wywodziłam od tego pseudonagrobka.

- Bądź grzeczny. - Głos pana Forresta był utrzymany w wyższych rejestrach niż zwykle. Miał rozpięty kołnierzyk, ale po powrocie z pracy nie zdążył jeszcze zdjąć krawata. Później doszłam do wniosku, że musiał spotkać mężczyzn, wyprowadzając Tosha na spacer.

Mężczyźni zaczęli coś mamrotać pod nosem. Większość w dalszym ciągu miała na sobie to, co można by nazwać strojem roboczym: znoszone spodnie i marynarki, niektórzy wiatrówki z emblematem huty stali.

- Helen - odezwał się pan Warner – przyszliśmy porozmawiać z twoją matką.

Pan Warner, którego moja matka przeważała „Krzykaczem”, uważał się w każdej sytuacji za rzeczownika. Potrafił przemawiać na każdy temat. Kiedyś, stojąc w naszym ogródku, zrobił wykład ojcu - który wiedział o uzdatnianiu wody więcej niż ktokolwiek inny w promieniu wielu kilometrów - na temat zalet krzemionkowych oczyszczalni ścieków w Libarii. „Przeczytał jakiś artykuł”, skomentował to ojciec później, kiedy zapadła ciemność i zdołał się wreszcie odczepić od uciążliwego sąsiada. „To miłe, że człowiek tak się podnieca tym problemem, ale nawet ja nie mam ochoty tyle czasu poświęcać ściekom”.

Stałam po naszej stronie ogrodzenia z siatki.

- Wyjdź do nas, Helen - powiedział jeden z ojców, którego nie znałam.

Dlaczego nie zauważyłam ostrzeżenia w oczach pana Forresta, zanim otworzyłam zasuwę i wyszłam do mężczyzn? Musiałam, zamiast na niego, patrzeć na zebranych przy żywopłocie intruzów. Jego twarz zobaczyłam dopiero, kiedy zamknęłam za sobą furtkę. Wyczytałam w niej strach jak w tarokowych kartach.

- Gdzie jest twoja matka, Helen? - zapytał pan Warner.

- Helen - rzekł pan Forrest - wracaj do domu.

Byłam dostatecznie ostrożna, a przynajmniej tak mi się wydawało, żeby spod furki przesunąć się w stronę pana Forresta. Ale w odpowiedzi na mój ruch pan Forrest się cofnął.

- Mamy nie ma. Co mogę dla panów zrobić? - powiedziałam najdoroślejszym tonem, na jaki mogłam się zdobyć. Ogarnął mnie niepokój. Jeszcze raz zbliżyłam się do pana Forresta.

- Niestety, nie bardzo mogę ci pomóc, Helen - powiedział głuchym głosem. On wiedział, czego należy się bać, ja nie. Zaczęłam się jak gdyby zbliżać do prawdy, ale stojąc boso na trawie, z narzutą na ramionach zamiast peleryny, nie byłam w stanie wyobrazić sobie, że mieszkający wokół nas mężczyźni, tacy jak mój ojciec, mogliby chcieć mnie skrzywdzić. Murdochowie się wyprowadzili. Od śmierci Billy'ego upłynęło osiem miesięcy. Do końca roku szkolnego został zaledwie miesiąc. Ale tym, co ukrywałam najstaranniej i co sprawiło, że aż do chwili, kiedy to się stało, zachowywałam się jak ślepa, był fakt, że jestem dziewczyną. Bo w świecie, w którym

zostałam wychowana, w odróżnieniu od świata, w którym postanowiłam wychowywać swoje córki, dziewczynek się nie biło. Pan Warner podszedł do mnie i się zatrzymał.

- Mamy sprawę do twojej matki, Helen, nie do ciebie.

Teraz zrozumiałam, że to narastało od czasu dochodzenia.

Matka nigdy oficjalnie nie została oskarżona o przyczynienie się do śmierci Billy'ego, ponieważ zgodnie z opinią biegłych medycyny sądowej jego obrażenia były na tyle poważne, że Billy zmarłby i tak, niezależnie od tego, czy matka by do niego podeszła, czy nie. Była to wina kierowcy, który zbiegł z miejsca wypadku, a nie jej. Oczywiście mogłaby utulić Billy'ego, jak zrobiłaby to na jej miejscu każda inna kobieta, mogłaby zawiadomić jego rodzinę czy wezwać pogotowie, ale żadne z tych działań, w opinii sądu, nie uratowałyby życia Billy'emu. Oficjalnie matka była tylko niewinnym przypadkowym świadkiem wypadku. Kiedy się obejrzałam za siebie, zobaczyłam, że pan Forrest trzyma Tosha na rękach.

- Panie Forrest? - Balansowałam niebezpiecznie na cienkiej linie i pan Forrest był dla mnie jedynym pewnym punktem oparcia.

- Możesz iść ze mną, Helen - powiedział. - Dlaczego nie?

Jeden czy dwóch mężczyzn roześmiało się, słysząc te słowa, a potem wszyscy patrzyliśmy, jak pan Forrest zmierza do trzech płyt ułożonych w bocznej części naszej działki i prowadzących do chodnika.

- Tony histeryzuje - odezwał się pan Warner. - Nikt nie zamierza cię skrzywdzić.

Ale ta deklaracja mnie nie uspokoiła. Bo jeśli pan Warner był moim jedynym obrońcą wobec gromadki ojców i obcych, to - jak mówią dzieciaki w szkole - „siedziałam w gównie po uszy”. Pan Warner znał się doskonale na ćwiartowaniu mięsa. Potrafił nazwać każdą jego część i podać jej charakterystykę. Miękkie, łykowate, twarde czy soczyste. I chociaż być może nie byłby bezpośrednim oprawcą, to bez trudu mogłam go sobie wyobrazić, jak peroruje nad moim trupem.

- Gdzie jest ta suka? - Twarz pana Tollivera była purpurowa, nadęta z dumy.

- Gdzie jest ta porąbana suka? - dodał jeden z ojców, którego nie znałam. Szczególne poczucie własnej wartości tych macho dla ubogich wymagało przymiotników.

Jak wiedziałam, tej zimy wyrzucili pana Tollivera z pracy z Huty Stalowej Phoenixville. W całym regionie mężczyźni tracili pracę. Ojciec, który sam nie był zagrożony, bardzo źle znosił każdą taką wiadomość.

- „Zwolniony” - mówił i kręcił głową. – Nienawidzę tego zwrotu, jakby człowiek był zwierzęciem, którego można się ot, tak po prostu w każdej chwili pozbyć.

Pan Warner obrzucił mężczyzn ostrym spojrzeniem.

Wkrótce miałam się przekonać, że matka, zbyt przerażona, by obserwować rozwój wypadków, zamknęła się w łazience na dole i włączyła radio tranzystorowe.

- Nie wiem, co robić - zwróciłam się do pana Warnera. Miał synów. Byli starsi ode mnie o rok, dwa i trzy lata i prawie się do mnie nie odzywali, poza jakimiś burknięciami na dzień dobry w obecności dorosłych.

- Naprawdę byłoby najlepiej, gdybyś poprosiła matkę, żeby się tu pokazała. Nie chciałbym, żeby stało ci się coś złego. Ty niczemu nie jesteś winna.

Pan Warner powiedział to ze współczuciem i troską lekarza, który przynosi pacjentowi chwilową ulgę. Ale była to dla mnie w dalszym ciągu zła wiadomość. Jeżeli nie mnie, to matce stanie się coś złego.

- Nie mogę tego zrobić, proszę pana - odparłam. - Po co w ogóle tu przyszlście?

Naturalnie wiedziałam, po co, ale chciałam to od nich usłyszeć.

- Suka - warknął pan Tolliver.

Na czole pana Warnera widziałam bruzdę troski. To nie było zgodne przynajmniej z jego intencjami. Ani z intencjami jeszcze dwóch czy trzech mężczyzn poza nim. Zauważyłam, że podzielili się za plecami pana Warnera na dwie grupy. Osobno stali pan Tolliver i mężczyzna, którego nie znałam, obaj w kurtkach softballowej drużyny Huty Stalowej Phoenixville, i osobno inni, którzy, jak pan Forrest przed nimi, zbliżali się teraz do rogu naszej działki, deptając ogródek warzywny, w którym odkąd sięgnę pamięcią, ojciec siał, pielęgnował i ścinał dla matki zioła.

I to właśnie ten fakt skłonił mnie ostatecznie do działania. Kiedy pan Serrano, który był księgowym i miał młodą córkę, rozdeptał włoską pietruszkę ojca, zrzuciłam z ramion moją „pelerynę” i wystąpiłam do przodu.

- Pan tę pietruszkę zabija - powiedziałam.

I to słowo wystarczyło.

Nagle z mojej prawej strony pojawił się przyjaciel pana Tollivera, ale ja patrzyłam na pana Serrano, który wycofywał się właśnie z ogródka. W chwili, kiedy robiłam wydech, poczułam bolesny cios w policzek. Sięgnęłam ręką do twarzy i upadłam na trawę. Pan Warner dał susa do mnie, starając się powstrzymać napastnika, którego pan Tolliver z uznaniem poklepał po plecach. Zauważyłam, że pan Serrano, uciekając, jeszcze na mnie spojrział. Nie po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że ludzie okazują mi współczucie wielkie jak morze, którego nie byłam w stanie przekroczyć.

Ci dobrzy mężczyźni odchodzili ze szczerymi przeprosinami, które rzucali przez ramię, ale nie do mnie. Przepaszali pana Warnera. Ja leżałam na ziemi. Ja byłam nastolatką, ja się nie liczyłam. Pan Warner powiedział: „Nic nie szkodzi”. Powiedział: „Porozmawiamy później”. Powiedział: „Ja to załatwię”.

Powstrzymał mężczyznę, który mnie uderzył, przed dalszymi ciosami, a ja pomyślałam, że chyba powinnam mu podziękować, ale mimo wszystko tego nie zrobiłam. Przysuwałam się coraz bliżej do narzuty, która leżała parę metrów za mną. Wydawała mi się jedynym przedmiotem w całym ogródku, który mógł mi zagwarantować bezpieczeństwo.

Pan Tolliver i jego przyjaciel najwyraźniej gotowi byli wejść do domu i znaleźć matkę, ale nie śmieli złamać reguł ustanowionych przez pana Warnera, bezradni - jak sędzę - wobec leżącej na ziemi nastolatki w obciętych džinsach i podkoszulku. Ten widok najprawdopodobniej ich przestraszył, skłaniając do postawienia pytania, którego najwyraźniej

żaden z nich nie zamierzał zadać. Pan Warner kazał im iść wytrzeźwieć i coś zjeść.

- Wracajcie do domu, do swoich żon - powiedział.

W wiosenne wieczory długo było widno, ale dzień osiągnął ten punkt, w którym nieuchronnie zbliżały się ciemności, a słońce zaczynało się chylić ku linii świerków oddzielających naszą działkę od Levertonów.

Dotarłam do narzuty i tuląc ją do piersi, usiadłam. Nie chciałam płakać. Pamiętam, że obiecałam to sobie pomimo bólu. Ale najdziwniejsze było to, że zdeptana pietruszka ojca bolała mnie bardziej niż policzek. Bo była jedną z nielicznych radości w naszym domu. Kiedy ojciec ścinał rozmaryn, majeranek czy tymianek, na jego palcach pozostawał zapach ziół i tymi palcami przeczesywał matce włosy, a ona się uśmiechała.

- Możesz powiedzieć ojcu - mówiąc to, pan Warner stał nade mną - że sąsiedzi sobie życzą, żebyście się wyprowadzili.

- My mamy prawo tu mieszkać - odpowiedziałam. Postanowiłam bronić naszych racji.

Pan Warner patrzył na mnie przez chwilę, po czym pokręcił głową.

Opuścił naszą działkę, a ja mocniej otuliłam się narzutą. Była to narzuta pamiątkowa, którą kupiliśmy na targu w Kutztown. „Widzi pan?”, zapytała kobieta, która nam ją sprzedawała. „To wszystko ręczna robota. Nie ma tu nic maszynowego”.

Ojciec kupił tę narzutę w nadziei, że spodoba się matce. I rzeczywiście się spodobała. Matka powiesiła ją na poręczu kanapy i w czasie dłużących się nudnych popołudni, kiedy

Natalie była zajęta i musiałam sama organizować sobie czas, rozpościerałam narzutę i robiłam z niej coś w rodzaju rodzinnego kalendarza wspomnień.

- Ta duża jaskrawoczerwona łąta symbolizuje policzek, który dostała Helen, mając szesnaście lat - powiedziałam do siebie szeptem tamtego wieczoru przed domem. I to zadziało. Wymierzony mi policzek wpadł do dziury, którą była moja narastająca przeszłość, a ja wstałam i weszłam do domu, żeby posprzątać z podłogi resztki naczyń i jedzenia, i to właśnie wtedy, przechodząc koło drzwi łazienki, usłyszałam skrzeczenie radia nastawionego na stację nadającą muzykę.

Tego wieczoru kiedy mężczyźni przyszli pod nasz dom, w moim zasięgu była dwójka dorosłych: matka, ukrywająca się w łazience na dole, i pan Forrest, kawałek dalej na tej samej ulicy.

Łapiąc kurtkę z wieszaka koło drzwi do kuchni, zauważyłam jedną z fotografii matki sprzed lat. Było to małe zdjęcie cztery na sześć przedstawiające matkę w halce z ozdobnym koronkowym stanikiem. W kolorze écru. Zdjęcie stało wśród bibelotów obok krytej czerwonym pluszem kozetki, która dla mnie była najmniej wygodnym meblem, jaki tylko mogłam sobie wyobrazić.

- Ona zachęca ludzi do tego, żeby za długo nie siedzieli - mówiła matka, kiedy narzekałam.

- Jakich ludzi? - odpowiadałam.

Podeszłam do zdjęcia i zatrzymałam się przed nim. Chciałam ją jakoś zranić, ale ona zawsze się wtedy rozsypywała i płakała, i szczekała, i kąsała, i była dla mnie całkowicie nieosiągalna. Wzięłam zdjęcie do ręki i obrysowałam palcem jej

sylwetkę. Wsunęłam zdjęcie w ramce do kieszeni kurtki i wyszłam najciszej, jak tylko mogłam, frontowymi drzwiami. Byłam spokojna, że przez głośno grające radio matka mnie nie usłyszy.

Po zmroku ulice wydawały się wyludnione. Na trawnikach przed domami nie było nikogo. Przemknęło mi przez myśl, jakby wyglądało nasze osiedle z lotu ptaka po oderwaniu wszystkich dachów. W ilu domach szczęśliwe rodziny sposobiłyby się do snu, siedząc z kolorowymi miseczkami popcornu na kolanach i oglądając telewizję? Matce Natalie powoli urywałby się film, bo jak mówiła, sobie „chlapnęła”. A Natalie marzyłyby pewnie w swoim pokoju o Hamishu Delane, który właśnie przeniósł się z rodziną do Ameryki. Wypisywała na kartkach jakieś zagadkowe teksty, które powtarzała w kółko, aż wreszcie zwierzyła mi się, że pisze na nich „Pani Natalie Delane”.

Zerwanie dachów z domów i wymieszanie wszystkich naszych nieszczęść byłoby rozwiązaniem zbyt prostym, o tym wiedziałam. Domy miały okna z żaluzjami, ogródki bramy i ogrodzenia. Były też starannie rozplanowane chodniki i drogi, którymi należało iść, gdy chciało się przeniknąć do czyjejs rzeczywistości. Skróków nie było.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążyłam zadzwonić.

- Miałem nadzieję, że się spotkamy – powiedział pan Forrest. - Wchodź, wchodź. Pozwól, wezmę twoją kurtkę.

- Coś panu przyniosłam - powiedziałam.

Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam fotografię w ramce, którą pan Forrest ode mnie wziął. Stojąc w przedpokoju, rozglądałam się. Omijając wzrokiem porcelanowy stojak na parasole, zajrzałam do salonu, który dotychczas widziałam tylko z zewnątrz, i do znajdującej się za nim i położonej nieco wyżej jadalni, do której wchodziło się po trzech szerokich, drewnianych stopniach. Idąc do pana Forresta, kipiałam ze złości i kiedy weszłam do jego domu, miałam jeszcze wypieki na policzkach.

- Twoja mama to piękna kobieta - powiedział, spoglądając na zdjęcie.

- Zgadza się.

- Chodź, usiądziemy sobie w salonie, dobrze?

Tyle czasu musiało upłynąć, żebym zauważyła, że pan Forrest jest dla mnie nie tylko bardzo miły, ale nawet troskliwy. Wiedziałam, jak bardzo jest to niezwykle. Pan Forrest nie był potrzebny prawie nikomu poza moimi rodzicami. Nigdy nie zachowywał się ordynarnie, wręcz przeciwnie, był bardzo przyjemny, ale w sposób, który stanowił podmiejski odpowiednik syndromu odrzucenia.

W ciągu lat odwiedzał nas wiele razy, ale ja nigdy nie przekroczyłam progu jego domu. Teraz stałam przed kominikiem na brzegu jedwabnego dywanika, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Siadaj - zaprosił mnie, a kiedy usiadłam, zagwizdał głośno i do pokoju wpadł w podskokach Tosh. - Wiem, z kim się tak naprawdę chciałaś zobaczyć - powiedział z uśmiechem pan Forrest.

Tosh posłusznie zatrzymał się przed swoim panem, siadając na podłodze naprzeciwko mnie.

- Jestem ci winien moje najgłębsze przeprosiny. Nie powinienem był uciekać. Tak naprawdę to nigdy nie czułem się tu dobrze. Jestem w tym podobny do twojej matki.

W pobliżu kominka wypatrzyłam owalną tacę. Stała na rachitycznym stoliku z wiśniowego drewna, a na niej bateria kryształowych butelek, w których załamywało się światło. Pan Forrest poszedł za moim wzrokiem.

- Tak, zasłużyłaś na drinka - powiedział nerwowo. - Mnie też się przyda. Chodź, Tosh. - Doprowadził psa do pokrytej białym pokrowcem kanapy, na której siedziałam, i poklepał miejsce koło mnie. Tosh wskoczył na kanapę i zaraz się do mnie przytulił. - Dobry piesek – pochwalili go pan Forrest.

Kiedy stał do mnie tyłem, objęłam Tosha, ściskając go i bawiąc się jego kłapciatymi uszami.

- Polecilibym ci porto - rzekł pan Forrest. - Możemy sobie sączyć wino, rozmawiając jednocześnie o tamtych paskudnych ludziach, zanim o nich całkiem zapomnimy.

Wręczył mi czerwony jak krew napój i usiadł naprzeciwko mnie na obitym złotym pluszem krześle. Kolana sterczały mu w górę przed samym nosem. Zaśmiał się sam z siebie.

- Nigdy nie siadam na tym krześle - powiedział. - To jest tak zwane krzesło buduarowe, używane przez kobiety. Należało do mojej prababki.

- Czasem widzę pana przez okno - pochwaliliam się.

- To nudny widok.

Objemowałam Tosha ramieniem i drapałam go za prawym uchem, a on, dysząc uśmiechał się do mnie. Od czasu do czasu przechylał łeb i przyglądał mi się ciekawie. Upiłam łyk wina i natychmiast miałam ochotę je wypluć.

- Sącz powoli - powiedział pan Forrest, widząc moją minę. - Wydaje mi się, że już ci to mówiłem, prawda?

Minęła chyba najdłuższa minuta na świecie, podczas której mierzwiłam sierść Tosha i rozglądałam się po pokoju.

- Powiedz mi, Helen, co się stało po moim odejściu.

- Zapomnijmy o tym. - Nagle stwierdziłam, że nie chcę o tym mówić, że chcę tylko być sama z Toshem.

- Przykro mi, Helen. Na ogół staram się nie wchodzić sąsiadom w drogę i jeśli im się nie pcham do domu, daję mi spokój.

- Jego przyjaciel mnie uderzył.

Pan Forrest postawił swój kieliszek na stojącym obok marmurowym stoliku. Wyglądał tak, jakby i on dostał w twarz. Wciągnął powietrze.

- Helen, mam zamiar nauczyć cię dwóch bardzo ważnych słów. Jesteś gotowa?

- Tak - odparłam.

- I zaraz potem dam ci coś innego do picia, bo widzę, że ci to nie smakuje.

Trzymałam w ręku kieliszek, ale nawet nie udawałam, że sączę wino.

- A oto te słowa: „pieprzony skurwysyn”.

- Pieprzony skurwysyn - powtórzyłam.

- Jeszcze raz.

- Pieprzony skurwysyn - powiedziałam już pewniejszym głosem.

- Z werwą!

- Pieprzony skurwysyn! - prawie wrzasnęłam.

Poprawiłam się na kanapie; chciało mi się śmiać.

- Są ich miliony. Trudnych do zniesienia, możesz mi wierzyć. Trzeba tylko mieć nadzieję, że człowiek nauczy się jakoś w miarę spokojnie wśród nich żyć. Siedząc w tym oknie i czytając, wśród tych moich antyków i książek... Tak na oko trudno to po mnie poznać, ale jestem rewolucjonistą. Chciałam zapytać go, czy ma jakiegoś chłopaka, ale mama mi mówiła, żeby nie wsadzać nosa w nie swoje sprawy.

- Wiesz, jestem kolekcjonerem książek - powiedział pan Forrest. - Może miałabyś ochotę obejrzeć moje nowe zdobycze.

- A co z moją matką? - zapytałam. Wyobraziłam ją sobie owiniętą wokół radia tranzystorowego jak muszlę ślimakową.

- Z nią? - Pan Forrest wstał z kieliszkiem w ręku. - Oboje wiemy, że ona nigdzie nie pójdzie.

Wziął ode mnie niewypite wino. Tosh, który przysunął się do mnie bliżej, walił teraz ogonem w oparcie kanapy.

- Nienawidzę jej - powiedziałam.

- Naprawdę, Helen? - Trzymając oba kieliszki, patrzył na mnie z góry.

- Nie.

- Zawsze będziesz silniejsza od niej. Ty jeszcze tego nie wiesz, ale taka jest prawda.

- Pozwoliła Billy'emu Murdochowi umrzeć.

- To jej choroba, Helen, nie ona.

Wpatrywałam się w niego, nie chcąc, żeby przestał.

- Przecież to musi być dla ciebie oczywiste, że twoja matka jest psychicznie chora. - Pan Forrest postawił kieliszki na srebrnej tacy i odwrócił się do mnie tyłem. - A co na ten temat mówi twój ojciec?

- Psychicznie chora. - Poczulałam się tak, jakby ktoś bardzo delikatnie położył mi bombę na kolanach. Nie umiałam jej rozbroić, ale wiedziałam, że niezależnie od tego, jak niebezpieczny jest ten ładunek, w środku zawiera klucz do tych wszystkich ciężkich dni, zamkniętych drzwi i napadów płaczu.

- Czy nigdy nie słyszałaś takiego określenia?

- Słyszałam - odpowiedziałam nieśmiało.

- I nigdy nie skojarzyłaś sobie tego ze swoją matką?

Używałam słowa „zwariowana”, ale nigdy „psychicznie chora”. „Zwariowana” nie brzmiało tak znów źle. Proste słowo, jak „nieśmiała”, „zmęczona” czy „smutna”.

Tosh zeskoczył z kanapy, wyczuwając, że pan Forrest zamierza dokądś iść. Wstałam.

- Pooglądamy książki i zrobimy ci gin z tonikiem - powiedział. - Nie musisz poświęcać życia dla matki, chyba wiesz. Twój ojciec zresztą też nie.

- Ale przecież pan powiedział, że ona jest psychicznie chora.

- Twoja matka sobie poradzi. Odeślę cię do domu zjedna czy dwiema książkami, o których inaczej nawet by nie wiedziała. Zrób mi uprzejmość i odstaw to zdjęcie na miejsce.

Tosh, pan Forrest i ja przeszliśmy przez jadalnię i udaliśmy się do kuchni. Po dwóch pokojach, jakie miałam okazję zobaczyć, na widok kuchni przeżyłam szok. Była cała biała i niewiarygodnie funkcjonalna. Na blatach nie stało nic, co mogłoby świadczyć o tym, że w ciągu ostatnich miesięcy pan Forrest tu jadł czy choćby przygotowywał posiłki.

Otworzył lodówkę, a ja stałam oparta o zlewozmywak.

- Możesz dać Toshowi jego przysmaki - powiedział, stojąc tyłem do mnie. Znalazł butelki, których szukał, i otworzył zamrażalnik. - Są w białym porcelanowym słoju koło zlewu.

Kiedy karmiłam podnieconego Tosha przysmakami w kształcie miniaturowych króliczków, pan Forrest przygotowywał mi drinka.

- Dlaczego pan się z nią przyjaźni? - zapytałam.

- Bo twoja matka jest fascynującą osobą. Niesamowicie dowcipną i piękną.

- I podłą - dodałam.

- Niestety, ty i twój ojciec widzicie znacznie więcej, niż ja kiedykolwiek będę miał okazję zobaczyć. Nas łączą książki. Utrzymujemy rozmowę na poziomie lektur, a potem wychodzę.

Wręczył mi drinka.

- Spróbuj sobie wyobrazić śmierć wszystkich pieprzonych skurwysynów na całym świecie - powiedział i stuknął się ze mną szklanką.

- A co z moją matką?

- Twoja matka nie jest pieprzonym skurwysynem. Pieprzone skurwysyny są z natury rzeczy prymitywne. Ale pij, bo wkrótce znajdziesz się w pokoju, w którym nie wolno używać żadnych płynów.

Gin z tonikiem był lepszy od wina i zimny. Idąc korytarzem prowadzącym z kuchni w głąb mieszkania, popijaliśmy, każdy swoje.

- W jakimś punkcie tego korytarza staję się innym człowiekiem - powiedział pan Forrest. - Ale ze względu na ciebie postaram się zachować więź z rzeczywistością.

Dotarliśmy do na pół oszklonych drzwi, przez które widziałam duży pokój z niewielkimi reflektorami.

- Zostawmy tutaj drinki. Masz czyste ręce?

Postawiłam szklankę obok szklanki pana Forresta na wbudowanej w ścianę półce.

- Chyba tak.

Pan Forrest sięgnął na drugą półkę i z drewnianej szkatułki wyjął kilka par małych, białych bawełnianych rękawiczek.

- Masz, włóż.

Założyłam rękawiczki i popatrzyłam na swoje dłonie.

- Czuję się jak Myszka Miki - powiedziałam.

- Minnie - poprawił mnie pan Forrest.

- Tak, Minnie. Odwrócił się do Tosha.

- Przykro mi, stary.

Otworzył drzwi i przycisnął włącznik światła po prawej stronie. Do rozmieszczonych kręgiem w całym pokoju reflektorów dołączyły małe lampy przymocowane do pionowych wsporników regałów. W całym pomieszczeniu nie było ani jednego okna.

- To jest moje miasto - oznajmił pan Forrest. - Zamykam drzwi i świat przestaje się liczyć. Potrafię tu siedzieć godzinami, a potem wychodzę i nawet nie wiem, która jest godzina.

Podeszliśmy do długiego stołu. Nie mogłam się powstrzymać i przejechałam ręką po jego lśniącej powierzchni.

- Ten stół pochodzi z Nowej Zelandii - wyjaśnił pan Forrest. - Został zrobiony ze starego mostu kolejowego. Jest

ciężki jak wszyscy diabli i kosztował majątek, ale bardzo go lubię.

Pan Forrest nachylił się nad środkiem stołu i przysunął do siebie duże, płaskie, tekturowe pudło.

- To są pudełka archiwalne - wyjaśnił. - Trzymam tu kolorowe tablice i odbitki liter, które przyszły wczoraj. Zostały fatalnie zapakowane - w używane torebki do zamrażarek. Jak można!

Otworzył pudełko. Pierwszą literą, jaką zobaczyłam, było H, przysłonięte czymś matowym, co wyglądało na kalkę techniczną.

- To wspaniale, że przyszłaś właśnie dzisiaj. Na początek twoja litera, chociaż przyznaję, że w większości alfabetów średniowiecznych mam słabość do S.

Schwycił H w jej - jak się wyraził - bibułkowej ochronnej koszulce, a następnie na moich oczach ją otworzył.

- Widzisz ich twarze? - zapytał. - Zwykle są takie stoickie. Ale ten artysta nie poddał się konwencji i nadał postaciom, którymi ozdobił litery, charakter. Nie wiedziałem o tym, dopóki ich nie zobaczyłem osobiście, ale nie zdobędę się na to, żeby je sprzedać. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Pan Forrest przypominał mi szkolnego przygłupa, który większość czasu spędza w pokoju audiowizualnym, bawiąc się aparaturą dźwiękową. Kiedyś w kawiarence z takim podnieceniem opowiadał o właściwościach zakłóceń, że wszyscy umilkli aż do chwili, kiedy David Cafferty, zapalony sportowiec, który podczas rozgrywek futbolowych stracił dwa przednie zęby, zainicjował burzę śmiechu, niwecząc wysiłki tamtego.

- Czy te litery są bardzo stare? - zapytałam.

- Szesnasty wiek, jednak ich wartość stanowią nie tylko te postacie, ale także fakt, że zostały narysowane przez mnicha, który złożył przysięgę milczenia. Tak sobie nieraz myślę, że był to jego jedyny sposób komunikowania się ze światem. Ale poczekaj, zobaczysz.

Pan Forrest szybko zaczął wyjmować z pudełka kolejne litery w ochronnych koszulkach i układać je wzdłuż stołu.

- To cała historia - powiedział. - Jeszcze jej do końca nie rozszyfrowałem, ale sądząc z lancy, jaką trzyma jedna z postaci, i częstotliwości występowania pewnych kolorów, domyślałam się, że ten mnich opowiada swoje dzieje.

Spojrzałam na leżące przede mną H. Elementy pionowe stanowiły dwie postacie. Wzdłuż poziomego jakiegoś kolejnej postacie coś sobie podawały.

- Czy to jest jedzenie? - zapytałam. Pomyślałam o zmarzniętym daniu, które upuściła matka.

- Dobrze, Helen - pochwalił mnie pan Forrest. - To pewnie ziarno. Ryciny opowiadają historię zbiorów, co się bardzo często zdarzało, ale również i inną historię. O, teraz jest właściwa kolejność. Chodź no tu do mnie, razem ją sobie obejrzymy.

Pan Forrest obszedł stół z drugiej strony i dołączył do mnie przy A.

- O, to jest ważna postać - powiedział, wskazując męczyzną ostrzyżonego „pod garnek”. - Ubrana w błękit i złoto, widzisz?

- Widzę.

- On występuje prawie we wszystkich literach. To niecodzienne. Litery miały charakter ściśle dekoracyjny i po prostu nie eksponowano jakiejś jednej postaci przez jej częste powtarzanie.

- O, tu znów on jest. - Wskazałam literę C.

Przeszliśmy razem wzdłuż całego stołu. Przyglądałam się każdej literze z osobna, tropiąc niebiesko-złotą postać.

- Domyślam się, że twojego taty nie ma w domu?

- Miał być w Erie.

- Jak on się ostatnio miewa?

- Gdybym miała prawo jazdy, mogłabym przynajmniej robić zakupy żywnościowe.

Dotarłam do X i nachyliłam się nad nim. Na ukośnym zacinającym się z lewej strony ramieniu zauważyłam postać, którą można by uznać za śpiącą. Na tym drugim, krzyżującym się z nim, był niebiesko-złoty mężczyzna. Trzymał samą rękojeść lancy; reszta tkwiła zatopiona w ciele śpiącej postaci.

- On kogoś zamordował! - zauważyłam.

- Brawo, Helen! Bardzo dobrze! Ja potrzebowałam znacznie więcej czasu, żeby to spostrzec.

Y miało postać mordercy, który próbuje przebłagać bogów. Stoi z uniesionymi w górę rękami i krzyczy, a jego głowę można rozpoznać tylko po zadartej brodzie. Z nie miało żadnej ludzkiej postaci, tylko lance, połączone między sobą w różnych miejscach, i na samym końcu kowadło.

- Pan w ten sposób zarabia pieniądze? - spytałam.

- Tak. Jeżdżę po różnych targach starych książek i prywatnych wyprzedażach. Zawsze biorę ze sobą rękawiczki. Przeszukałem chyba wszystkie zakamarki w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów.

- Ile to może być warte?
- Czyżbym miał przed sobą przyszłą kolekcjonerkę?

Pan Forrest zaczął zbierać litery, poczynając od Z do połowy alfabetu, gdzie stało pudełko. Ułożył w pudełku połowę liter, a potem zaczął zbierać od M do A.

- Jak do tej pory mam tylko fotografie mojej matki w różnych halkach.

- Czy ty wiesz, Helen, co to jest muza?
- Chyba tak
- No, co to takiego?
- Poeci je mają.

Pan Forrest włożył resztę liter do pudełka i zamknął je pokrywką.

- Inni artyści też. - Podszedł do półek ciągnących się wzdłuż przeciwległej ściany i natychmiast znalazł dużą książkę z białym grzbietem, którą mi wręczył.

- *Nagość kobieca* - przeczytałam.

Pan Forrest wysunął drewniane krzesło o zaokrąglonym oparciu.

- Siadaj. Różni artyści mają muzy. Malarze, fotograficy, pisarze. W twojej matce też jest coś z muzy.

Siedząc przy lśniącym stole, strona po stronie oglądałam album z nagimi kobietami. Jedne leżały na kanapach, inne siedziały na krzesłach, jeszcze inne uśmiechały się wstydliwie. Były też takie, które w ogóle nie miały głów, tylko nogi, ręce i piersi.

- Mój ojciec zajmuje się zanieczyszczeniami wody.
- Ale to nie znaczy, że Clair nie może go inspirować.
- W czym?

- Ona mu daje napęd, Helen. Jeśli tego nie widzisz, to jesteś ślepa. Oni są ze sobą sprzęgnięci - jedno podtrzymuje drugie.

W leżącej przede mną otwartej książce zobaczyłam dwa obrazy przedstawiające tę samą kobietę.

- *Maja ubrana* - przeczytałam głośno. - *Maja naga*.

- Tak. To Goya - powiedział pan Forrest. - Czy one nie są wspaniałe?

Spojrzałam na dwa obrazy, jeden obok drugiego, i szybko zamknęłam album.

- Pan Warner powiedział, że powinniśmy się stąd wyprowadzić, tak uważają wszyscy. - Teraz zauważyłam dziury w blacie stołu w miejscach, gdzie musiano wprowadzić metalowe trzpienie, żeby połączyć belki mostu. W pozostałe po nich otwory wbito później idealnie dopasowane kołki wykonane z jaśniejszego drewna.

- A chciałabyś się wyprowadzić?

- Nie wiem.

Przez jakiś czas pan Forrest milczał, a następnie podał mi rękę.

- Mam nadzieję, że pozwolisz mi sobie pomóc w nauce prowadzenia samochodu.

- Jaguara?

- A są jakieś inne? Bo nie wiedziałem.

Zaczerwieniłam się ze szczęścia.

Do domu wracałam po pierwsze ze zdjęciem matki w halce koloru écru, po drugie z otwartym zaproszeniem pana Forresta, żeby przychodzić i bawić się z Toshem. Ale moje myśli były zaprzątnięte czym innym: widziałam siebie za kierownicą

samochodu pana Forresta. Włosy mam przewiązane kolorową chustką, a na nosie wielkie okulary przeciwsłoneczne i - w jakiś dziwny sposób - palę papierosa.

Na dworze było już ciemno, ale u nas w domu na dole nie paliło się światło. Kiedy weszłam do środka, zobaczyłam, że łazienka obok kuchni jest pusta, a przy dolnym stopniu schodów leży radio i robótka na drutach matki. Pobiegłam do swojego pokoju i z dolnej szuflady komody wyjęłam piżamę.

Przebrałam się i poszłam korytarzem umyć zęby. Pomyślałam o nagich kobietach ukrytych w domu pana Forresta. Zapomniał mi dać książkę dla matki, co mnie bardzo ucieszyło, jakbym zwyciężyła w jakiejś rywalizacji i jakby lojalność pana Forresta w pewien sposób, choćby i nie wprost, została przeniesiona na mnie. W łazience napełniłam wodą moją różową plastikową szklankę i wróciłam z nią do siebie.

Wchodząc do mojego pokoju, usłyszałam trzask metalowych żaluzji.

- Dokąd się ulotniłaś na tak długo? - zapytała matka.

Podeszła do drugiego okna, dokładnie nad moim łóżkiem, i opuściła żaluzję.

Nie odpowiedziałam. Minęłam matkę i usiadłam na starym krześle, które stało w rogu mojego pokoju. Jak zwykle leżała na nim sterta brudnawej odzieży, ale zamiast ją zrzucić, usiadłam na niej i patrzyłam na matkę z góry.

- Naprawdę się zamartwiałam - powiedziała.

Nie odezwałam się słowem.

Zaczęła się przechadzać tam i z powrotem po dywaniku.

- Wiesz, Helen, że to jest dla mnie bardzo trudne.

Cisza.

- W żaden sposób nie mogłam wyjść do tych mężczyzn. Ja nie wytknęłam nosa z domu od czasu... no wiesz, od czasu, kiedy ten chłopak upadł na ulicy.

„On został potrącony przez samochód!” - wykrzyczałam to, ale tylko w swojej głowie.

- Gdzie byłaś?

Patrzyła na mnie trochę oskarżycielsko, a trochę błagalnie. Ręce jej się trzęsły, niespokojnie sięgała to tu, to tam, jakby chciała uspokoić jakąś bestię, niewidzialną dla mnie, jakieś widmo siebie samej, które prześladowało ją dzień w dzień. A ja słyszałam tylko słowa pana Forresta: „Psychicznie chora”.

- Pewnie byłaś u Natalie. Myślisz, że nie czuję od ciebie wódki? Ciekawe, co powiedziałaś tej kobiecie. Powiedziałaś jej, że twoja zwariowana matka chowa się w łazience? Daleko nie zajedziesz, obgadując mnie i upijając się z Natalie i jej obrzydliwą matką. Ja tego domu nie utrzymam w porządku bez pomocy. A wiesz, skąd pochodzi matka Natalie? No, wiesz? Z Południa, tak jak ja, tylko że ona wykonała znany manewr: „jadę na Północ, żeby się pozbyć akcentu”, jakby Południe było jakimś śmietniskiem, z którego chciała za wszelką cenę uciec. Jeśli uważasz, że matka twojej przyjaciółki jest lepsza ode mnie, to znaczy że masz źle w głowie, wierz mi.

Zobaczyłam siebie jakby obok swojego ciała. Matka nie przestawała mówić. Wstałam z krzesła, ale już jej nie słyszałam. Jej ręce tańczyły coraz bardziej szaleńczo, a ja marzyłam tylko o tym, żeby się to wszystko jak najprędzej skończyło. W

dalszym ciągu trzymałam różową plastikową szklankę. Nagle ręka ze szklanką wystrzeliła do przodu i dopiero woda, którą chlusnęłam matce w twarz, otrzeźwiła mnie na tyle, że uświadomiłam sobie, co zrobiłam.

Miałam ochotę jej powiedzieć, że zostałam uderzona, chciałam, żeby mnie pocieszyła. Chciałam na nią wrzeszczeć i orać jej twarz pazurami. Chciałam, żeby była psychicznie zdrowa. Ale zamiast tego ona się skuliła, a ja wykrzyczałam:

- Pan Warner mi powiedział, że jest wśród sąsiadów consensus co do tego, że mamy się stąd wynosić!

Po czym tak samo nagle, jak wstałam, usiadłam z powrotem na kupie ubrania.

Matka nawet palcem nie ruszyła, żeby wytrzeć sobie twarz. Uśmiechała się do mnie blado, mówiąc bardzo cicho.

- Tak, pan Warner użyłby słowa „consensus”. To...

Mogłam sobie łatwo dośpiewać resztę - jak w grze w Mad Lib!

- ...nadęty gnojek.

Widziałam, że matka jest wdzięczna za to, że znów ją powitałam na drodze, którą konsekwentnie schodziła w dół. Woda kapała jej z nosa i ust. W świetle lampy jej twarz błyszczała.

- Jeden z mężczyzn mnie uderzył, mamó - poskarżyłam się.

Im więcej słów wypowiadałam, tym bardziej czułam, jak moja determinacja, moja separacja, moja autonomia gdzieś się ulatniają. Nadal będę jej własnością.

Matka częściowo odwróciła się ode mnie, patrząc w dół.

- Helen...

- Tak?
- Chodzi o to, że...
- Tak?
- Chodzi o to, że ja... no wiesz, rozumiesz. Jesteś moją córką. Ja tutaj nie pasuję.

Zauważyłam, że palcem nogi podważa krawędź dywanu. Ten obsesyjny ruch był zgodny z rytmem jej trzęsących się rąk. Próbowała powrócić do języka przeprosin, ale było wiadać, że się przed nim broni.

- A może wyszczotkowałam ci włosy - zaproponowałam. - Tak jak tata?

Wstałam, a matka zasłoniła twarz dłońmi, spoglądając na mnie spomiędzy palców.

- Mam na to ochotę - powiedziałam. - Zobaczysz, będzie miło i potem położymy się spać, a rano wszystko zacznie wyglądać lepiej.

Ale nie powiedziałam jej paru rzeczy: że nie mam ochoty więcej z nią rozmawiać. Że rano wstanę wcześniej i wyjdę z domu tak, żebym nie musiała na nią patrzeć. Że będę chomikowała jedzenie, żebym w porze obiadu mogła powiedzieć, że nie jestem głodna. Że dostałam od pana Forresta dar wspólnie od nauki prowadzenia samochodu czy ginu z tonikiem. Pan Forrest nazwał moją matkę „psychicznie chorą”, a ja - nawet jeśli ojciec nie przyjmował tego do wiadomości - postanowiłam spojrzeć prawdzie w oczy.

Następne kilka tygodni było radosnych. Kiedy wrócił ojciec, opowiedziałam mu, co się stało u nas przed domem i że

pan Forrest obiecał nauczyć mnie prowadzić samochód. O tym, że nie odzywam się do matki, nawet nie musiałam wspominać, bo właśnie tą wiadomością sama go powitała przy drzwiach. Wiedziałam jedno: że kiedy się do niej nie odzywam, to tak, jakbym magazynowała orzechy albo naboje. Z każdym dniem czułam się silniejsza.

Pan Forrest podjeżdżał swoim jaguarem i naciskał klakson, a ja łapałam kurtkę i sfruwałam po schodach. Czasem byłam świadoma jakiejś mrocznej obecności w salonie, ale od schodów do drzwi wyjściowych miałam już tylko trzy gigantyczne kroki, dlatego przyjęłam wersję, że jej obecność zmniejsza się za każdym razem, kiedy od niej uciekam. A na zewnątrz czekało mnie słońce i jasnozielony samochód z jaguarem skaczącym w niczym nieograniczoną przestrzeń.

Kiedy już byłam na zewnątrz, od pana Forresta i jego samochodu dzieliło mnie tylko dwadzieścia betonowych stopni, ale jakoś nigdy nie miałam odwagi zjechać po metalowej poręczy, żeby było szybciej. Prześladowała mnie wizja mojej roztrzaskanej głowy na chodniku i matki, która nie jest w stanie ani do mnie podejść, ani wezwać pogotowia, a nawet jeszcze gorzej: która kręcąc się bezradnie w kółko, rozdeptuje mój rozpryśnięty mózg i rozmazaną krwawą breję, spazmatycznie wciągając powietrze i dziko wymachując rękami.

W poszukiwaniu domów we Frazer, Malvern i Paoli ojciec jeździł sam. Robił zdjęcia pokoiw i ogródków i pokazywał je potem matce. Zasiadali razem w jadalni, rozkładając zdjęcia

i robiąc coś w rodzaju montażu, w którym poszczególne domy były oddzielone od siebie ciemnym orzechowym drewnem stołu.

Kiedy wracałam z lekcji z panem Forrestem, krążyliśmy we trójkę wokół stołu, przyglądając się uważnie temu, co mogło stać się naszą własnością. To wtedy ojciec wpadł na pomysł, żeby kupić mi aparat fotograficzny.

- W ten sposób - powiedział - możesz robić zdjęcia szkolnym kolegom czy dokumentować recitale szkolnej orkiestry i potem pokazywać to mamie.

- Nie chodzę na recitale szkolnej orkiestry - powiedziałam.

- W porządku. To fotografuj, co chcesz.

Ojciec uśmiechnął się blado, a ja wiedziałam, że to koniec rozmowy. Że gdybym się odezwała, byłby to z mojej strony w pewnym sensie brak lojalności, bo wszystko wskazywało na to, że matka już nigdy nie przekroczy progu domu.

Ale lubiłam to kupowanie nieruchomości za pośrednictwem zdjęć. Nocami śniły mi się dryfujące po niebie sypialnie, a obok garaż na jeden samochód - czerwonego jaguara z deską rozdzielczą wyłożoną prawdziwym drewnem.

Chwilami nie bardzo wiedziałam, czy matka zwraca się z pytaniem do ojca, czy do któregoś z tych domów.

- Elegancka drewniana boazeria - mówiła na przykład - ale ohydna zielona wykładzina. I co ty na to?

- Wygląda jak trawa - odpowiadał ojciec.

- Jak brudna trawa w najlepszym razie.

I chociaż była kolej na mnie, żeby coś powiedzieć, milczałam.

Kiedy w końcu przyszedł czas, żeby matka obejrzała trzy konkretne domy, wytypowane w wyniku ostrej selekcji, poprzedziły to niemal tygodniowe przygotowania. Matka wybrała stosowne na tę okazję ubranie i trzymała je w pustej sypialni, gdzie w dalszym ciągu na jednej ze ścian pyszniły się strzelby jej ojca. Postanowiłam w jakiś dyskretny sposób udzielić jej wsparcia, mimo że w dalszym ciągu się do niej nie odzywałam.

W tym czasie prowadziłam rygorystyczną dietę i na kilka dni przed tamtą sobotą pokroiłam marchew i selery przeznaczone na ten dzień i uważnie im się przyjrzałam. Używając pomarańczowych plasterków marchwi jako tabliczek, wymyśliłam własną dietetyczną wersję cukrowych serc walentynkowych. „Powodzenia!” - napisałam czarnym flamastrem na jednym. „Zwycięstwo!” na innym. I wreszcie dotknęłam sedna sprawy: „Pieprzyć ich!”. I „Uważaj”. „Jedz marchew!”. „Bierz go!”. „Precz!”.

Kolejne moje zadanie polegało na tym, żeby te hasła pochować w miejscach, w których matka mogłaby je znaleźć. Na przykład w czubkach butów, które sobie naszykowała razem z ubraniami w pustej sypialni. W leżącej na toaletce puderniczce pod miękkim puszką, który był kiedyś przedmiotem mojego wielkiego pożądania. W jej wyszczerbionej i poplamionej szminką filizance. Kiedy tak się skradałam po domu, wchodząc do wszystkich pokoiów po kolei w poszukiwaniu miejsc, w których mogłabym ukryć te marchewkowe komunikaty, zapomniałam o mojej nienawiści do matki i jakoś

otworzyłam się na miłość. Przypominało to huśtawkę z placu zabaw - raz w górę, raz w dół.

Rankiem tamtego dnia ojciec poprosił mnie, żebym siedziała w kuchni i żeby drzwi wahadłowe do niej były zamknięte. Wtedy już matka od roku nie opuszczała domu, a ogródka od prawie pięciu. Sąsiedzi, wiedząc, że ojciec spędza weekendy na poszukiwaniu odpowiedniej nieruchomości, stali się dziwnie powściągliwi.

Kiedy ojciec zagnał mnie do kuchni, składając na moim czole lekki pocałunek, widziałam, że jego myśli są całkowicie zaprzątnięte matką, która drżącym głosem nuciła coś głośno na górze. Zauważyłam też koce, które ojciec zgromadził na stole w jadalni, i wiedziałam, do czego miały służyć.

Rano obudził się wcześniej i zszedł na dół, żeby przygotować matce śniadanie na tacy. Jego miłość była nastawiona na cały regulator, a słabości matki jeszcze ją podkreślały, mnie wykluczając całkowicie z tego układu.

Koce miały ją uspokoić. Były to ciężkie szare koce służące do przeprowadzek. Po jednej stronie filc, po drugiej pikowana bawełna. Ostatni raz matka opuściła ogródek, kiedy miałam jedenaście lat. Przez całą drogę do lokalnej drogerii i z powrotem nie zdejmowała koca z głowy. Musieliśmy ją więc z ojcem zaprowadzić do alejki z artykułami kobiecymi. Niezależnie od tego, jak wielką było to dla niej torturą, uparła się, żeby mi towarzyszyć przy kupowaniu moich pierwszych podasek.

Z kuchni widziałam ją przez okienko w kształcie rombu w drzwiach wahadłowych. Była śmiertelnie blada i miała na sobie morelowy lniany kostiumik, który leżał przygotowany już od tygodnia. Na nogach pantofelki, w które włożyłam jej marchewkowe liściki. Ojciec objął ją, a potem tulił w ramionach, szepcząc słowa, których nie słyszałam, ale które z pewnością miały być pociechą. Masował jej napięte plecy, aż wreszcie uwolniła się z jego objęć i stanęła prosta jak struna, w pozie modelki, którą kiedyś była. Widziałam, że musiała poświęcić wiele czasu na wykonanie czegoś, co uważała za makijaż „wyjściowy” - nie tylko puder i błyszczczyk, których zwykle używała, ale tusz do rzęs, konturówka do oczu, podkład i matowa czerwona kredka do ust - i to wszystko tylko dla ojca i ciemnego koca, który miała mieć na głowie.

Jest gotowa, pomyślałam. Teraz albo nigdy.

Pierwszym kocem ojciec owinął matkę w talii i pospinał go luźno agrafkami. Koc opadł poniżej jej stóp, muskając ziemię. Drugim okrył jej ramiona i spał go z przodu. Aż do tej chwili wyglądała jak duże dziecko przebierające się za zakonnice. Najgorzej jednak było z tym ostatnim kocem, którym miała mieć nakrytą głowę.

Kiedy pomagałam ojcu, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że posyłamy ją na szubienicę. Unosiłam koc wysoko, tak, żeby jeszcze móc widzieć jej twarz. „W porządku, mamoo?”. „Tak”. „Już my z tatą im pokażemy”. „Idę”. - I wtedy opuszczałam koc. Patrzyłam na faliste linie maszynowego pikowania i wiedziałam, że matka, wychodząc między ludzi, potrzebuje tego

powolnego duszenia się jako przeciwwagi i wsparcia.

Widziałam, jak przed rozpostarciem ostatniego koca ojciec nachyla się do niej i ją całuje. Wiedziałam, że to właśnie w takich chwilach kochał ją najbardziej. Kiedy była złamana i bezradna, kiedy opadała z niej twarda skorupa i kiedy jej kruchość i złośliwość przestawały ją chronić. Był to smutny taniec dwojga ludzi, którzy we wzajemnym uścisku ginęli śmiercią głodową. Ich małżeństwo przypominało X, w którym morderca został na wieki złączony z ofiarą.

Ojciec zarzucił jej na głowę złowieszczy kaptur i matka zniknęła, ustępując miejsca bezosobowemu widmu z ciemnoszarej wełny. Szybko ruszyli do drzwi. Opuściłam mój punkt obserwacyjny w kuchni i poczułam wiew chłodnego powietrza, które wdarło się do środka.

Równie nagle jak ojciec uniósł matkę w ramionach, a ona wydała jęk złapanego we wnyki dzikiego zwierzęcia, rzuciłam się do jadalni i stamtąd na ganek akurat w porę, żeby zobaczyć, jak moi rodzice znikają w drzwiach frontowych, a następnie schodzą po stopniach na dół.

Ojciec zaplanował wszystko z wyprzedzeniem. Oldsmobil stał ustawiony w odwrotnym kierunku niż inne samochody, otwartymi drzwiami pasażera zwrócony do domu. Zobaczyłam przejeżdżających obok państwa Castle. Ojciec zignorował ich, mimo że normalnie pomachałby im. Pan Donnellson, który właśnie kosił trawnik, popatrzył na moich rodziców ze współczuciem.

Matka się nie broniła. Jej cierpienie było zbyt wielkie, by mogła z siebie wykrzesać jakąkolwiek energię. Mimo że rodzice się oddalili, jęki matki przybrały na sile. Gdybym kiedyś nie pomagała ubierać jej w koce, nie uwierzyłabym, że to ona. Jakbym oglądała film o uprowadzeniu kobiety. Mój ojciec, przestępca, dzwoni do domu, żądając okupu, a ja nie mam wyboru: muszę go zapłacić. To jest moje serce, wszystko, co cenię i kocham, to jest moja matka.

Ojciec wsadził ją do samochodu i poutykał koce tak, żeby móc zamknąć drzwi, a następnie obiegił samochód z przodu i usiadł za kierownicą.

Będzie lepiej, jak się wyprowadzimy, pomyślałam, ale równie szybko uświadomiłam sobie, że to złudzenie.

Ojciec podniósł wzrok, a ja pomachałam mu z ganku. Kawalek dalej na naszej ulicy pan Warner stał w swoim ogródku ze średnim synem. Odwróciłam się szybko i schowałam w domu.

Rodzicom nie udało się wejść nawet do pierwszego domu. Stojąca na trawniku agentka nieruchomości zaglądała do samochodu, podczas gdy ojciec tłumaczył jej, że bardzo mu przykro, ale nic z tego nie wyjdzie i że już nie jest zainteresowany kupnem domu.

- Strasznie zadzierają nosa - powiedziała później matka.
- Koniecznie chciała się dowiedzieć, kim jestem. To ona powinna nosić taki całun.

Po powrocie rodziców wpadł do nas pan Forrest zapytać, jak im poszło. Usiadł na sofie, z ręką na pamiątkowej narzucie. Ojciec wniósł tacę z drinkami, a ja pozostałam na swoim

miejscu, na wiktoriańskiej kozetce w drugim końcu pokoju.

To było niewiarygodne, jak matka na podstawie zapożyczonych od ojca obserwacji potrafiła konstruować swoją krytykę agentki nieruchomości. Żartowała na temat jej włosów i paznokci, a jej sposób mówienia nazwała logoreją. A ja jak zwykle, zamiast siedzieć cicho, zapytałam:

- A co to jest logoreja, mamó?

Chwila zastanowienia była bardzo krótka.

Ojciec podał matce whisky, a ona rozsiadła się wygodnie w fotelu, jakby w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie wydarzyło się nic niezwykłego.

- Powiesz jej czy ja mam jej wytłumaczyć? - zwróciła się do pana Forresta.

- Panie mają pierwszeństwo - odparł.

Po obsłużeniu gościa ojciec wziął sobie whisky i usiadł na otomanie w pobliżu fotela matki. Wszyscy byliśmy w nią wpatrzeni. W dalszym ciągu miała na sobie morelową garsonkę z lnu i cienkie nogi, w rajstopach cielistego koloru, założone jedna na drugą.

- Logoreja to... to taka paplanina, taki bełkot. Na początku sama słodycz i komplementy, ale jak zobaczyła, że ojciec się nie poddaje, natychmiast zmieniła ton. Nagle stała się kimś z Connecticut!

Pan Forrest roześmiał się z uznaniem, tak samo ojciec, podczas gdy matka nadal znęcała się nad agentką nieruchomości. Siedziałam na twardej, obciążonej czerwonym pluszem kozetce i obserwując całą trojkę, zastanawiałam się, czy matka przeczytała moje marchewkowe bileciki.

Zauważyłam, że w czterech ścianach naszego domu była najsilniejszą kobietą na świecie. Nie do pobicia.

Po wyjściu pana Forresta ojciec położył matkę do łóżka, a ja poszłam do ogródka za domem, gdzie w końcu do mnie dołączył.

- Co za dzień, skarbie - westchnął. Poczułam w jego oddechu zapach whisky.

- Mama jest inna, prawda?

W mroku nie widziałam dokładnie twarzy ojca, więc wpa-
trywałam się w czubki świerków na granatowym tle nocy.

- Wolę uważać, że twoja matka jest prawie zdrowa - od-
parł ojciec. - Tyle rzeczy w życiu jest prawie albo niecałych.

- Jak księżyc - powiedziałam.

Właśnie wisiał nad nami, jeszcze ciągle nisko cieniutki
skrawek księżyca.

- Dobry przykład. Księżyc jest cały bez przerwy, ale nie
zawsze cały widzimy. Widzimy prawie księżyc albo niecały
księżyc. Reszta jest ukryta, niedostępna dla naszego wzroku,
ale księżyc mamy tylko jeden, więc idziemy za nim po niebie.
Planujemy nasze życie według jego rytmu, według przypły-
wów i odpływów.

- Tak.

Wiedziałam, że powinnam coś zrozumieć z wyjaśnień ojca,
ale na dobrą sprawę dotarło do mnie tylko jedno: że tak, jak
jesteśmy skazani na księżyc, tak samo jesteśmy skazani na
matkę. Że dokądkolwiek pojedę, zawsze będzie ze mną.

Tej nocy, kiedy zabiłam matkę, spałam niewiele, ale miałam sny. Śniły mi się jakieś węże, wpełzające do różnych otworów w ciałach moich córek, którym nie mogłam pomóc ani nawet krzyknąć. Obudził mnie odgłos rzucania drobnymi kamykami o szybę.

Za oknem niebo było intensywnie błękitne, a ja jeszcze zanim wstałam z łóżka, wiedziałam dobrze, kogo zobaczę w ogródku. Wymyślił taki sposób na dostawanie się do domu, kiedy dziewczynki były jeszcze małe, a on zapomniał kluczy. Kradł wtedy dekoracyjne wypolerowane kamyki z rabatki naszego sąsiada z Wisconsin i po ciemku rzucał nimi w okno naszej sypialni.

Podeszłam do okna. Miałam wrażenie, że upłynęło więcej lat, niż mogłam policzyć.

- Jake?

- Wpuść mnie. - Powiedział to cichym, ale mocnym głosem, i przypomniały mi się słowa matki, kiedy dzwoniąc do domu z Wisconsin, oddałam mu słuchawkę. „Wygląda na to, że masz zamiar wyjść za prezentera telewizyjnego”.

Położyłam się w ubraniu, tak jak stałam. Nie chciałam zapalać światła ani patrzeć w lustro. Nade mną wisiały przezroczyste szklane kulki, które przypominały powielone światy. W każdym z nich widziałam jakąś matkę z córką. W jednym zjeżdżały na staromodnych sankach z wysokiej zasy pył. W innym siedziały przed kominkiem, opowiadając sobie różne historie i popijając gorący napój jabłkowy. W ostatnim córka trzymała głowę matki pod lodowatą wodą i jednocześnie ją dusiła.

Zmusiłam się do tego, żeby stanąć przed lustrem wiszącym nad stylową toaletką, którą wyciągnęliśmy z Sarą z zawalonego wiktoriańskiego domu w sąsiedztwie matki. Lustro było jeszcze starsze, upstrzone okrągłymi plamami w kolorze popiołu.

Wyglądałam dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia, ale w oczach miałam coś, czego nie umiałam nazwać. Nie był to strach ani nawet poczucie winy. Przesunęłam się nieznacznie tak, że jedna z plam na lustrze - czarna kropka obwiedziona falistym czarnym kółkiem - znalazła się dokładnie na środku mojego czoła. Pif-paf.

Nie widziałam Jake'a prawie trzy lata. Ostatni raz spotkaliśmy się na krótko przed urodzeniem Lea. Dotknął wtedy palcem mojego nosa i powiedział:

- Idealny guzik. Nie znam nikogo, kto by miał taki nos! Jeanine też ma taki.

- Tak - potwierdziłam. - I twoje orzechowe oczy.

- Mam nadzieję, że to drugie będzie miało twoje niebieskie.

Staliśmy tak, patrząc na siebie, aż John wyszedł z sypialni, w której leżała Emily, z surowym zakazem wstawania.

- Czy ja może w czymś przeszkadzam? - zapytał.
- Właśnie się kłócimy o to, które z nas ma więcej siwych włosów - wyjaśnił Jake.

- To proste - powiedział John, będący w dość kwaśnym humorze. - Helen.

Zaczęłam siwieć już wiele lat temu, jeszcze przed czterdziestką. Długo się zastanawiałam, czy się farbować. Było dla mnie coś smutnego w tym, że mam się pożegnać z moim oryginalnym kolorem, zastępując go sztucznym. Strzygąc się bardzo krótko, czułam się czasem jak postać kobiety z kresek w czarnej mycce.

Jake stał pod drzwiami z brązowym, skórzanym plecakiem w ręku. Zbliżając się, widziałam go przez szybę: bębnił palcami o pasek plecaka, który to zwyczaj - obok kręcenia stopą i strzelania kłykciami - doprowadzał mnie pod koniec naszego małżeństwa do szału. Teraz jednak wydało mi się to uspokajające. W dalszym ciągu miał tę samą nerwową energię co wiele lat temu.

Otworzyłam drzwi z zamka i pociągnęłam w swoją stronę.
Patrzyliśmy na siebie.

Jake starzał się z klasą. Tak jak starzeją się chudzi mężczyźni, którzy nie zwracają uwagi na swój wygląd, ale mają głęboko zakorzeniony nawyk utrzymywania higieny i ćwiczeń fizycznych. Ukradkiem. W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat miał szpakowate włosy i wyraźnie wciąż cieszył się dobrą formą.

- Byłem u matki - powiedział. - Dlaczego ją przeniosłaś?

Zatkało mnie. Jake przekroczył próg, energicznie zatrasnął drzwi i zamknął je na zamek.

- Jak się dostałeś?

- Zostawiłaś okno w salonie niezamknięte. Nie wiedziałem, czy jesteś w środku, czy cię nie ma, więc wdrapałem się po kracie i wypchnąłem siatkę. Helen - wpatrywał się we mnie w małym korytarzyku. - Coś ty zrobiła?

- Nie wiem. Mówiłeś o rozkładzie, więc pomyślałam: zamrażarka.

- Helen, ty zabiłaś człowieka - powiedział, starannie artykułując każde słowo, jakbym nie mogła go zrozumieć. Był tak zły, jakby miał zamiar mnie uderzyć.

Wycofałam się do pralni. Jake nigdy mnie nie uderzył. Nie należał do tych, co biją czy choćby podnoszą głos. Rozumował. Analizował. W najgorszym razie się wkurzał.

Wiele lat temu zahartował się do tego stopnia, że podczas ostrych zim w Wisconsin chodził bez rękawiczek. Spojrzałam na jego zniszczone palce - duży i wskazujący - z trwale przebarwionymi paznokciami.

- Jak sobie wyobrażasz: co miało dać zamknięcie jej w zamrażarce?

- Nie wiem. - Czułam, że półka, na której trzymałam środki czystości, wrzyna mi się w plecy. - Nie wiem.

Zrobił krok do przodu, a ja się cofnęłam.

- Nie bój się. - Wziął mnie za rękę i odciągnął od ściany. Pudełko ze środkiem zmiękczającym spadło na podłogę. - Chodź tutaj.

Objął mnie. Objął mnie w sposób, w jaki trzydziestoletni Hamish nigdy by nie potrafił. W tym geście była i historia, i wiedza, i - o dziwo - współczucie. Przypomniało mi się to, co

miał zwyczaj mówić: że jego praca jest efemeryczna i że właściwie wszystko, jak się tak nad tym zastanowić, jest efemeryczne, nawet relacje międzyludzkie.

- Nie wiem, co robić - powiedziałam. Przez chwilę tuliłam się do szorstkiej szarej kurtki Jake'a. - Powinnam była do kogoś zadzwonić, ale tego nie zrobiłam.

Bardzo delikatnie zdjął z ramienia plecak i położył go na suszarce.

- Zadzwoniłaś do mnie.

Nie odrywałam głowy od jego piersi, nawet kiedy wyczułam, że chce się ode mnie uwolnić, żeby na mnie spojrzeć. Nie chciałam, żeby ktokolwiek na mnie patrzył. Nie mogłam uwierzyć w to, co zrobiłam, ale jednocześnie jakby zaczynało kiełkować we mnie ziarno prawdy, czułam się usprawiedliwiona. Nikt - nawet Jake, który rozumiał to lepiej niż ktokolwiek inny - nie mógł wiedzieć, czym stało się moje życie z matką.

- Nie byłam w stanie tego robić już ani chwili dłużej - powiedziałam. Położył mi ręce na ramionach i zmusił mnie, żebym na niego spojrziała. Płakałam w ohydny, „przeciekający” sposób. Przez te wszystkie lata, kiedy rozmawialiśmy tylko przez telefon - ja zawsze w Pensylwanii, on po kolei w różnych miastach - zapomniałam, jak dobra potrafi być jego twarz. Zobaczyłam w niej łagodność, której tyle w sobie ma Emily. Zobaczyłam człowieka, którego Jeanine i Leo nazywają „Dużym tatą” i którego - co zrozumiałe - woła ode mnie.

- Och, Helen - położył mi rękę na policzku. - Moja biedna Helen.

Pocałował mnie w czubek głowy, a potem, tuląc do siebie,

kołysał. Staliśmy tak przez dłuższą chwilę. Dostatecznie długo, by niebo za oknami z granatu przeszło w błękit. Dostatecznie długo, by do pierwszego porannego ptaka dołączył cały chór. Tylko Jake mógł bezkarnie mówić mi takie rzeczy.

Kiedy się wreszcie od siebie odsunęliśmy, zaproponował, żebyśmy napili się kawy, więc ruszyliśmy długim korytarzem, gdzie na ścianie wisiała mapa świata, która kiedyś należała do mojego ojca. Przez lata wszystkie kraje na poziomie mojego ramienia zostały zupełnie wytarte, kiedy przypadkowo, wychodząc z domu przez garaż, ocierałam się w tym miejscu zimową kurtką. Kątem lewego oka pochwyciłam cudem ocalałe Caracas.

Ojciec przyniósł tę mapę na dwa tygodnie przed swoim samobójstwem. „Dlaczego teraz?”, zapytałam go wtedy. Uśmiechnął się do Emily, która właśnie przyszła go powitać. Każdy mężczyzna, nawet dziadek, był dla niej w tych pierwszych latach bez Jake'a cichym rozczarowaniem. „Żeby Emily i Sara miały z czego uczyć się geografii!”, powiedział.

Zapaliłam światła w kuchni. Rozmieszczone we wnękach, miały być lepsze od staroświeckiego oświetlenia sufitowego, ale delikatny szmer zapalających się świetlówek zawsze mnie denerwował. Podeszłam do długiego kontuaru i wyciągnęłam stojący pod ścianą ekspres do kawy. Chciałam mówić o czymkolwiek, byle nie o matce.

- Dla kogo teraz pracujesz w Santa Barbara? - wydusiłam z trudem.

- Dla takiego faceta od komputerów - odparł Jake.

Stanął koło mnie, jakbyśmy byli dwójką robotników przy

taśmie produkcyjnej. Wyjął mi z ręki szklany pojemnik i wypłukał go nad zlewozmywakiem. Wyrzuciłam stare fusy i wyjęłam świeży filtr.

- Ma domy chyba w dwunastu miejscach. A tak naprawdę to Avery narabił mi tę robotę. Przyjaźni się z jego facetem od akwizycji.

- Z facetem od akwizycji?

Jake wręczył mi naczynie, odwrócił się i oparł o ladę. Odmierzyłam kawę, skupiona na liczeniu łyżeczek.

- Czy jesteś pewna, że cię to interesuje?

Skinęłam głową.

- To zupełnie nowy świat. Mam coraz więcej prywatnych zleceń. Niech się schowa przy nich praca dydaktyczna. Lubię mówić, że się w Bernie wypaliłem.

- To znaczy, że jesteś kurwą.

- Cała Helen.

Uśmiechnęłam się do niego blado.

- Dzięki.

- Moja tandetna artystka. - Jake rozejrzał się pobieżnie. Ostatni raz był w mojej kuchni osiem lat temu. Złapaliśmy jakąś chwilę podczas przyjęcia i wznieśliśmy prywatny toast w intencji Sary, której akurat tego dnia jakimś cudem udało się zdać maturę.

Włączyłam ekspres do kawy.

Nie patrzyłam na Jake'a, tylko na ladę, na małe złote plamki na starym linoleum. Nigdy nie umiałam prosić o pomoc.

Jake podszedł do kuchennego stołu, na którym trzymałam rachunki i różne dokumenty - osobno od dokumentów matki, które leżały na biurku w salonie, i powiesił kurtkę na oparciu

starego meksykańskiego krzesła. Za moimi plecami kawa z bulgotem zaczęła skapywać do naczynia. Przypomniało mi się, jak tamtej nocy, kiedy uznaliśmy, że wszystko między nami skończone, zapaliło się światło pod sufitem naszego volkswagena garbusa. Jake odwiózł mnie z dziewczynkami do domu, a sam szedł się spotkać z grupą kolegów nauczycieli. Przez krótki moment, zanim zamknął drzwi, widziałam jego twarz, smutną i bladą. Stałam przed naszym niewielkim domem, Sarę trzymałam na rękach, a Emily za rękę. „Do widzenia, tato”, powiedziała. A potem ja powiedziałam „Do widzenia” i na koniec Sara też. Nasze słowa zabrzmiały jak grzechot pustych puszek w bagażniku samochodu.

Przenieśliśmy się do stołu jadalnego przykrytego szklanym blatem. Jake wysunął krzesło.

- Co robimy? - zapytałam.

- Przez całą drogę nie myślałem o niczym innym - odparł Jake. Zorientowałam się, jak bardzo musi być zmęczony. Mimo tylu lat podróżowania samolotami nigdy się do tego nie przyzwyczaił. Sara powiedziała mi, że kiedy go poprosiła, żeby opisał jej swoje życie, określił je jednym słowem: „Samotne”.

Zamiast usiąść, stałam z rękami skrzyżowanymi na pierśsiach. Miałam przed sobą jeszcze cztery godziny - o dziesiątej powinnam być w Westmore.

- Zanim wlażłem przez okno i zobaczyłem ją w piwnicy, myślałem, że sprawa będzie prosta. Że zwyczajnie powiemy, że umarła, a ty byłaś tak skołowana, że zamiast zadzwonić po pogotowie, zadzwoniłaś do mnie i chociaż cię prosiłem, żebyś wezwała karetkę, czekałaś z tym na mnie. Ale teraz naprawdę

nie wiem, co robić. W sytuacji, kiedy ona leży w piwnicy, i do tego naga, i ty ją tam zostawiłaś, cała ta historia zaczyna wyglądać dziwnie.

Na końcu języka miałam imię „Manny”, ale go nie wymówiłam. Zamiast tego zdjęłam z haczyków dwa kubki i nalałam do nich parzącej się w dalszym ciągu kawy.

- A czy nie możemy powiedzieć - zaproponowałam - że tak ją znalazłam? Że spadła ze schodów?

Jake spojrział na mnie, kiedy stawiałam przed nim kubek.

- Co przez to rozumiesz?

Usiadłam i ujęłam kubek w dłoń.

- Że powiem to, co mówiłaś: byłam tak skołowana, że czekałam, aż przyjedziesz, i zamiast opowiadać o tym, jak doszło do jej śmierci, powiem po prostu, że znalazłam ją tam już martwą.

- Nagą i ze złamanym nosem, w piwnicy?

- Dokładnie.

Powoli sączyłam kawę. Jake sięgnął ręką przez stół i dotknął mojego ramienia.

- Ty zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś, tak?

Słabo skinęłam głową.

- Ty jej naprawdę nienawidziłaś?

- I zarazem kochałam.

- Mogłaś uciec, zrobić coś innego...

- Na przykład co?

- Nie wiem. Cokolwiek, tylko nie to.

- To była moja matka - powiedziałam. Jake milczał.

- Ale co jest złego w moim planie?

- Potraktują to jako zbrodnię - odparł Jake. - Zaczną się bliżej wszystkiemu przyglądać.

- I co z tego?

- To, że się domyśla prawdy, Helen. Że jej tam nie znalazłaś, tylko ją tam umieściłaś.

- I co dalej?

- Będzie śledztwo.

- Wypiłam kawę i odchyliłam się na oparcie.

- Stonemill Farms - wymamrotałam pod nosem, podając, tak jak to mi się często zdarzało, nazwę własnego osiedla. Ta nazwa kojarzyła mi się zawsze ze średniowiecznym więzieniem.

Miał na sobie niebieski sweter, który zdjął przez głowę. Pod spodem zobaczyłam T-shirt, jaki mógł nosić tylko Jake. Na beżowym tle, pod obrazkiem przedstawiającym patykowatego człowieczka leżącego w hamaku rozpiętym między dwoma zielonymi drzewami - slogan: „Życie jest piękne”. Oto powód, w pigułce, naszego rozvodu. W tej kwestii nigdy nie było między nami zgody. A także, jak sądzę, powód, dla którego się pobraliśmy.

- Czy czasem rysujesz jeszcze nagie kobiety? - zapytałam.

- Ostatnio moje ręce nie działają w tym kierunku. Teraz pracuję z cienką blachą.

- Czy powinniśmy gdzieś zadzwonić? - W myśli skojarzyłam sobie telefon na policję z możliwością wzięcia w końcu prysznic. Przestałam się przejmować, czy to, co powiem przez telefon, ma jakiś sens, czy nie.

- Dlaczego ją wykapałaś? - zapytał Jake.

- Chciałam być z nią sama - odparłam. Słowo „sama” zadźwięczało w mojej głowie. Nagle spojrzałam na Jake'a i wydało mi się, że niezależnie od tego, jak blisko mnie jest w sensie fizycznym, nadal dzielą nas tysiące kilometrów.

Przez zamknięte okna, wychodzące na tyły domu, słyszałam krzyk dziecka sąsiadów. Nigdy tego dziecka nie widziałam, ale miałam wrażenie, że w życiu nie słyszałam płaczu, który zawierałby aż taki ładunek nieszczęścia. I który trwałby tak długo. Krzyki wznosiły się i opadały, przechodząc w szczebiot i wybuchając od nowa. Jakby ta kobieta urodziła czterokilogramowy kłęb złości.

Dopiłam fusy kawy.

- Jeszcze?

Jake wręczył mi pusty kubek, a ja poszłam z obydwoma napełnić je od nowa. Zawsze nam to dobrze wychodziło - mam na myśli wspólne picie kawy. Byłam modelką Jake'a i kiedy tak siedział i mnie rysował, potrafiliśmy we dwójkę wypić w jedno popołudnie trzy dzbanki kawy.

- Myślę, że powinnaś mi powiedzieć, jak to się stało. Dokładnie.

Przyniosłam napełnione kubki. Jeden postawiłam przed Jakiem, drugi trzymałam w ręku.

- Muszę wziąć prysznic - powiedziałam. - O dziesiątej zaczynają się w Westmore zajęcia.

Jake odsunął się z krzesłem od stołu i zmierzył mnie wzrokiem.

- Co się z tobą dzieje? Nie jedziesz do żadnego Westmore. Musimy to wszystko przemyśleć i wreszcie do kogoś zadzwonić.

- Ty dzwoń - zażądałam.

- I co mam powiedzieć, Helen? Że byłaś zmęczona i uznałaś, że to jest akurat dobry dzień, żeby kogoś zamordować?

- Nie używaj tego słowa.

Wyszłam z kuchni. Idąc po schodach, myślałam o Hamis-hu. Że dla niego nigdy nie nadejdzie taki dzień, w którym miałby ochotę zabić swoją matkę.

Przez frontowe okno na górze widziałam słaniające się w podmuchach wiatru topole. Liście, które jeszcze pozostały były złociste i brzoskwińowe i drżały na swoich ogonkach. Wiele lat temu wyobrażałam sobie, że odsunięcie się od matki będzie tylko kwestią czasu, że wystarczy wsiąść w samochód czy w samolot albo napisać podanie o przyjęcie na Uniwersytet Wisconsin.

Słyszałam poruszającego się po kuchni Jake'a. Skrzypienie podłogi pod linoleum udającym terakotę. Czy stoi przy zlewozmywaku i myje kubki? A może obserwuje sójki i kardynały w ich codziennej krzątaniu w poszukiwaniu jedzenia pod rajsłą jabłonką? Widoki z moich okien - czy były to żółknące topole, czy żerujące ptaki - często wydawały mi się najdalejszymi podróżami, jakie kiedykolwiek odbywałam. Próbowałam wyobrazić sobie tamtą Helen w jej pierwsze ferie świąteczne, kiedy ojciec przyjechał po nią oldsmobilem, a ona przejęła kierownicę i powiedziała: „Teraz ja” - kiedy kierowaliśmy się ku drodze międzystanowej. W późniejszych latach ojciec nazywał to „Naszą samochodową wyprawą”, kiedy stało się dla mnie coraz bardziej oczywiste, że już żadnej innej nie będzie.

Weszłam do pokoju i cicho zamknęłam drzwi. W łazience puściłam prysznic, żeby woda się zagrzała. Stojąc na macie przed umywalką, stwierdziłam, że rozbieram się tak, jak rozbierają się ludzie, których ubranie jest oblepione jakimś zimowym błotem albo pozostałościami po ciężkiej pracy w ogródku. Ostrożnie zrolowałam spodnie aż do samego dołu, a następnie ściągnęłam je, nie zdejmując skarpet, i niepewnie stanęłam na dywaniku, jakbym przez to, że poruszę końcówki nogawek, mogła spowodować, że miazmaty zwłok ulecą w powietrze. Dopiero potem zdjęłam skarpetki. Paznokcie u nóg miałam pomalowane kolorem mojej matki - odcień zgaszonego koralu, którego nie cierpiałam, a który nałożyłam sobie dwa tygodnie temu w długie popołudnie, kiedy razem oglądałyśmy telewizję. Matka drzemała spokojnie w swoim czerwono-białym fotelu, a mnie poświęcony giełdzie program PBS przypominał borowanie zęba.

W dalszym ciągu byłam - nie miałam co do tego wątpliwości - kobietą, z którą Hamish chciał się kochać. Osobą, której studentki z Westmore wciąż mówiły: „Kiedy będę stara, chciałbym wyglądać tak dobrze jak pani”, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że mnie obrażają. Jednak podczas gdy matka do końca życia zachowała autentyczne piękno, ja miałam uczucie, że żyję w pożyczonym czasie. Wiedziałam, że te same kości, które czyniły z niej domową Garbo, stanowiły szkielet mojej znacznie bardziej pospolitej urody. Ojca, który miał wprawdzie wokół oczu coś delikatnego, charakteryzowały końska szczeka i kartoflowaty nos, a ja odziedziczyłam po nim dostatecznie wiele, żeby nie powtórzyć urody matki. Fakt, że w Filadelfijskim Muzeum Sztuki znalazł się mój portret, musiał ją złościć. Podkreśliłam więc skwapliwie, że

chodziło tylko o moje ciało. „Moja twarz nie była interesująca dla Julii Fisk”, powiedziałam, starając się zrobić jej przyjemność, kiedy zauważyłam na stoliczku monografię wystawy, którą przyniósł jej pan Forrest.

Unosząca się z prysznicza para wypełniła łazienkę. Przypomniało mi się pudło z halkami matki, które kilka lat temu wykradłam z sutereny. Zapakowałam je w bibułkę i ułożyłam na dnie pustej komody stojącej w garderobie. Czasem otwierałam szufladę i patrzyłam sobie na różową halkę w kolorze płatków róży. Jakie to było proste: atlasowa lamówka stanika przechodziła w ramiączka. Delikatny szelest ocierającego się o ciało atlasu i lekkie uczucie ciągnięcia, gdy tkanina stykała się z udem.

Przed oczami miałam ogólny zarys mojego ciała w zaparowanym lustrze. Całe życie rozbierając się publicznie, zatraciłam uczucie skrępowania, i teraz z przyjemnością patrzyłam, jak mgła nadaje mi pozory skromności. Błyskawicznie, przed samym wejściem pod prysznic, wychyliłam się do lustra i zrobiłam „uśmiechniętą buźkę”. W niezaparowanym miejscu zobaczyłam swoje odbicie. „Jak już ktoś jest brzydki, to brzydki zostanie”, powiedziałyby moja matka.

Słyszając, że Jake wchodzi do sypialni, zamknęłam zaparowane drzwi kabiny prysznicowej. Świadomość, że po tylu latach jest tak blisko, przeraziła mnie i jednocześnie sprawiła mi przyjemność.

W pewnym momencie ojciec zaczął sypiać w wolnym pokoju. Co rano wstawał zaraz po przebudzeniu i słał łóżko idealnie, jakby nikt go nie używał i jakby tylko czekało na nigdy niezaproszonego gościa. Nawet ja w to dość długo wierzyłam, aż do czasu, kiedy jak matka, zaczęłam cierpieć na bezsenność i wsłuchiwać się po nocach w odgłosy domu. Przy zdejmowaniu z półki strzelb dziadka słychać było z mojego pokoju pstryknięcie uchwytu przytrzymującego kolbę. Ten charakterystyczny odgłos słyszałam przynajmniej raz na kilka miesięcy, aż wreszcie we wrześniu, kiedy byłam w ostatniej klasie szkoły średniej, postanowiłam zbadać sprawę.

Jak na wrzesień panował wyjątkowy upał, a do tego po zmroku wilgotność jeszcze wzrastała. Kiedy szłam korytarzem, wpadające przez otwarte okna nocne hałasy zagłuszyły moje kroki. Minęłam schody, zatrzymałam się pod drzwiami gościnnej sypialni i otworzyłam ją najciszej, jak tylko potrafiłam.

- Wracaj do łóżka, Clair - powiedział ojciec poirytowanym tonem. Patrzył na strzelbę leżącą na jego kolanach na tle intensywnego błękitu jego frotowego szlafroka.

- Tato?

Uniósł głowę i błyskawicznie zerwał się z miejsca.

- Ach, to ty - powiedział.

Strzelba zwisała z jego ramienia, lufą w dół. Za ojcem zobaczyłam skotłowaną pościel. Poduszkę, jak się zorientowałam, musiał przynieść z ich sypialni; powłoczka pasowała do pościeli rodziców. Na stole stała szklanka soku pomarańczowego.

- Co ty robisz? - zapytałam.

- Czyszczyć ją - odparł ojciec.
- Czyścisz ją?
- Broń jest, jak wszystko inne, kochanie. Trzeba ją czyścić, żeby była sprawna.
- Od kiedy zacząłeś dbać o broń?
- Dobrze.
- Tato?

Jego oczy wydawały się jakieś dalekie. Na chwilę skupił wzrok na mnie, ale zaraz potem spojrział gdzieś w bok.

- Dlaczego się tutaj nie przeniesiesz ze swoimi rzeczami? Nikogo nie oszukasz.

- Nie, kochanie, to bzdury. Po prostu przychodzę tu czasem, kiedy nie mogę spać. Żeby nie przeszkadzać mamie.

- Skończyłeś to? - Wskazałam brodą strzelbę.

- Mam nadzieję, że nie powiesz o tym matce, chyba mogę na tobie polegać, prawda? Broń jej ojca jest bardzo cenna i nie chciałbym, żeby się denerwowała, że się nią zabawiam.

- Ale przecież powiedziałeś, że ją czyścisz.

- Tak. - Ojciec skinął głową na potwierdzenie swoich słów, ale ja nadal nie byłam przekonana.

Nie mogłam się zmusić do tego, żeby się ruszyć od drzwi i do niego podejść. Widok ojca w miękkim ubraniu, takim jak piżama i frotowy szlafrok, był dla mnie dziwny. Wstając rano, widziałam go już na nogach, w ubraniu; piżamę zakładał, kiedy już leżałam w łóżku. W tych rzadkich chwilach, kiedy go widziałam w takim stroju jak dziś, nie wiedziałam, jak go sklasyfikować. Nie był tym ojcem, którego znałam. Odkąd

skończyłam osiem lat, jawił mi się raczej jako człowiek załamany, pojawiający się i znikający.

Odłożył strzelbę na półkę i zatrzasnął zamek mocujący lufę.

- Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się przekonać matkę, żeby się tej broni pozbyła.

Ojciec podszedł do wezglowia łóżka, wziął szklanekę z sokiem i wypił go duszkiem.

- A teraz cię położymy, dobrze?

Znalazszy się na korytarzu, przeszliśmy na moją stronę domu. Kiedy już leżałam w łóżku, ojciec zapytał:

- A co byś powiedziała na małe szybowanie?

I mimo że była to zabawa, której nie uprawialiśmy już od wielu lat, skinęłam głową. Każdy sposób był dobry, żeby zatrzymać ojca choćby tylko chwilę dłużej. Żeby skupić na sobie jego uwagę.

Kiedy zakręciłam wodę, usłyszałam głos rozmawiającego w sypialni Jake'a. Znieruchomiałam, próbując podsłuchiwać. Przypomniało mi się, jak poprzedniego wieczoru wstąpiła pani Castle i jak skapująca z gąbki woda spływała mi po ręce aż do łokcia, a stamtąd z powrotem do miski z mydlinami.

- Nie wiem, jak długo jeszcze.

Zdjęłam z wieszaka biały puszysty ręcznik. Trzy lata temu, w przystępie szaleństwa zakupów w jednym z centrów handlowych, kupiłam sześć takich ręczników - po trzy dla mnie i dla matki. Wyobraziłam sobie, że jeśli będziemy używały

całkowicie białych ręczników, to nagle staniemy się osobami bardziej słonecznymi, wesołymi, szczęśliwymi i do tego przeżarliwie czystymi.

- Dawaj im przez weekend Science Diet i mokrą karmę. Grace lubi wołowinę, a Milo jagnięcinę z ryżem.

Jake instruował swojego dog-sittera.

- Tak, wiesz, kochanie, że ci to wynagrodzę. Stara sprawa, która w tej chwili wymaga mojej obecności.

Zobaczyłam siebie owiniętą w zwodniczy ręcznik. Stara sprawa.

Słyszałam, jak Jake żegna się, a potem dotarło do mnie kliknięcie przerwane połączenia. Udało mi się wprowadzić utrzymać dobrą formę, ale nie miałam złudzeń co do tego, że w oczach świata, nie tylko Jake'a, jestem rzeczywiście starą sprawą. Nauczyłam się traktować swoje ciało jak rodzaj maszyny nie tylko ze względu na wykonywany zawód, ale i zdrowie psychiczne. Jednocześnie matka wymagała z mojej strony coraz większej pielęgnacji. Wszystko między nami było poddane ścisłej dyscyplinie. Podtrzymywanie stałych zwyczajów, które zastępowały miłość, krzepiło na duchu. Pani Castle, jak mi się wydaje, była oburzona tym, że utrzymywałam paznokcie matki w idealnym porządku, regularnie wycinając skórki, że ścierałam nagniotki, podczas gdy jej powykrzywiane stopy leżały na miękkim tapicerowanym stołku, czy że w dalszym ciągu kupowałam osiemdziesięcioośmioletniej matce kremy przeciwko cellulitowi.

- Do jasnej cholery, Helen! - usłyszałam wrzask Jake'a.

Otworzyłam drzwi. Jake trzymał w ręku warkocz. Wyjęłam go poprzedniego dnia z plastikowej torby, jakby w obawie, że się udusi.

- Co do jasnej... jak mogłaś zrobić coś podobnego?

Spojrzałam na niego. Wydawał się bardziej oburzony warkoczem niż faktem, że ją zabiłam.

- Chciałam mieć jakąś pamiątkę... - wyjąkałam.

- Ja... ja nie mogę. Ja... mój Boże. - I jakby nagle zdał sobie sprawę z tego, co trzyma w ręce, rzucił warkocz na moje niepościelone łóżko. - I ty z tym spałaś?

- Ja go co tydzień czesałam i zaplatałam. Kochałam go.

Poczułam się upokorzona, stojąc tak w ręczniku, z mokrymi sterczącymi na wszystkie strony włosami. Przypomniało mi się, jak matka pertraktowała ze mną, żebym poszła na ustępstwa w sprawie totalnego niestosowania makijażu. „Chociaż odrobina szminki, proszę cię”, błagała, i w mojej łazienkowej szafce pojawiły się kredki w różnych żywych kolorach, na które mnie namawiała: Honeydew Frost, Maximum Red, Mauve Mayberry.

- Muszę się ubrać - powiedziałam.

- Co z tym zrobić? Przecież nie możesz tego trzymać. - Jake wskazał warkocz leżący na mojej skłębionej pościeli.

- Wiem.

Stałam owinięta ręcznikiem na niewielkim dywaniku przed toaletką. Czulałam się wobec Jake'a - jak nigdy dotychczas - brzydka. Miałam ochotę zadzwonić do Hamisha.

- Zaczekam na ciebie na dole. Czy tam jest telefon? Szukałem, ale nie znalazłem.

- Jest, numer, który miała moja matka.

- A ten jest inny? - zapytał, wskazując mały czarny aparat na moim biurku.

- Tak, to był pomysł Sary. Telefon na dole jest w barku z alkoholami, przykryty poduszką. Sara nazywa go Telefonem Nietoperzem. - Nigdy do tej pory nie musiałam we własnym domu tłumaczyć się, stojąc prawie naga. W każdym razie, od kiedy zaczęłam robić takie rzeczy jak chowanie własnego telefonu. - Jest na nim hasło na temat okazji, które możesz zignorować.

- Ty wiesz, że ja tu jestem po to, żeby ci pomóc, prawda?

- Wiem.

Gdy tylko Jake zniknął za drzwiami, poczułam ulgę. Lubiłam się ukrywać w swojej własnej ciemności. Lubiłam tak bardzo, że robiłam to coraz częściej - całkowicie dla siebie niepostrzeżenie. Chowałam się, przyczajona razem z matką w jej domu, ignorując hałaśliwy, oszalały, trudny świat. Nawet z Natalie widywałam się tylko w Westmore. Popołudniami jeździliśmy do pobliskiego Burger Kinga i piłyśmy brązową ciecz, którą nazywano kawą. Wysiadając z samochodu, stękałyśmy.

Podeszłam do telefonu i wybrałam numer Natalie, nie zastanawiając się nawet, co zrobię, jeśli to ona się odezwie. Ale odezwał się Hamish.

- Halo?

Okazało się jednak, że nie mogę wydobyć z siebie słowa.

- Halo?

Odłożyłam słuchawkę. Miałam ochotę pojechać do Limerick i znów się z nim kochać. Chwilę później zadzwonił telefon.

- „Gwiazdka sześćdziesiąt dziewięć” - powiedział. - Kto to jest?

- Helen.

Po chwili milczenia powtórzył moje imię.

- Dzień dobry, Hamish - powiedziałam.

- Kiedy znów cię zobaczę? - zapytał.

Uśmiechnęłam się na myśl - choćby nawet z fałszywych powodów - że to uczucie jest wzajemne, jakbym była nie prawie dwa razy starsza, tylko dwa razy młodsza od niego. Spuściłam głowę, ale na widok swoich umalowanych paznokci u nóg szybko ją podniosłam. Osaczyły mnie wspomnienia.

- Może nawet i dzisiaj - odparłam.

- Liczę na to - powiedział ochoczo.

- Nie obiecuję. Mam dużo spraw do załatwienia, ale kto wie...

- Będę w domu. - Hamish odłożył słuchawkę.

Kiedy Jake zaczął opuszczać zaimprovizowane studio, które urządziliśmy sobie za kotarą w salonie, i wychodzić w chłód, nie protestowałam. Początkowo wymykał się popołudniami sam, i szybko wracał do domu naszym jasnoniebieskim garbusem. Samochód, podskakując i strzelając z rury, podjeżdżał do uniwersyteckiego osiedla mieszkań rotacyjnych Quonset i zatrzymywał się gwałtownie. Mieszkaliśmy niedaleko miasta i jeśli miałam coś do załatwienia, mogłam iść na piechotę. Poza tym miałam Emily, a potem jeszcze i Sarę, którymi musiałam się zajmować. Wracał zmarznięty i

na haju, opowiadając o tym, że na liściach jest lód, a pod drzewem wije się podziemny strumyk. „I jagody. Te ciemnoczerwone jagody. Kiedy się je rozgniecie, puszczają gęstą lepłą farbę!”.

Teraz odłożyłam słuchawkę i spojrzałam tam, gdzie na łóżku pulsował warkocz matki. Nawet ja wiedziałam, że jest zbyt obciążający, żebym go mogła zatrzymać. Z kubka z ołówkami stojącego na toaletce wzięłam nożyczki o pomarańczowym uchwycie i podeszłam do łóżka.

W łazience nachyliłam się na toaletę i ukucnęłam, żeby włosy się nie rozsypały, a następnie zaczęłam ciąć warkocz na kawałki tak małe, żeby je można było spuścić. Przed operacją jelita grubego musieli matce wygolić wszystkie włosy łonowe, jakie jej jeszcze zostały. Kładąc ją spać wieczorem, miałam wrażenie, że zatoczyłyśmy pełne koło. „Czuję się tak, jakbym pielęgnowała wielkie niemowlę”, zwierzyłam się Natalie. „Kiedy jest zbyt zmęczona, żeby mi się sprzeciwić, po prostu osuwa się w moje ramiona, jakbyśmy ze sobą bez przerwy nie walczyły od niemal pół wieku”.

Natalie słuchała mnie i zadawała pytania. Jej rodzice byli młodszy od moich o dziesięć lat i przeprowadzili się do ośrodka opieki dla starszych ludzi, położonego na skraju wiecznie zalewanego przez wodę pola golfowego. Jej matka skończyła z piciem i została prymuską osiedlowych lekcji tańca. Co ja powiem Natalie? - zastanawiałam się.

Na samą myśl o tym skaleczyłam się nożyczkami w palec. Na powierzchni wody pływała krew z włosami. Kiedy skończyłam z warkoczem, wyprostowałam się i spuściłam wodę, odczekałam, aż się uspokoi, i ponownie spuściłam. W myślach zanotowałam, żeby nalać tam trochę Soft Scrub i wymyć muszlę klozetową pod krawędzią.

Przypomniało mi się, jak zabrałam matkę do lekarza. I te wszystkie koce, ręczniki i nieustanne przymilanie się do niej i zachęcanie, a potem kiedy już przyjechałyśmy i zdjęłam z niej te nakrycia, nikt by nie powiedział, że jest kimkolwiek innym, jak tylko trochę wystraszoną i trochę dziwną starszą panią. Całą drogę jęczała i drapała, ale kiedy przekroczyłyśmy próg gabinetu lekarskiego, odegrała swoją rolę bez zarzutu.

Byłam obecna przy proktologicznym badaniu matki, która odwołując się do długo tłumionego poczucia życzliwości, próbowała odwrócić uwagę młodego lekarza od tego, co robił, opowiadając mu historię bardzo starannej restauracji siedziby Jeffersona Monticello, o której czytała w piśmie „Smithsonian”. Siedziałam bezradnie tuż obok na krześle dla osoby towarzyszącej. Pochodzący z Indii Zachodnich lekarz był zbyt grzeczny, żeby kontynuować badanie, podczas gdy matka nie przestawała paplać. W rezultacie nasza wizyta trwała bardzo długo.

Kiedy weszłam do garderoby, przez deski podłogi słyszałam głos Jake'a, ale nie rozumiałam, co mówi. Pozbawiona warkocza, otworzyłam dolną szufladę komody i wyjęłam halkę w kolorze płatków róży.

Zeszłam na dół w starym czarnym swetrze i džinsach. Halka opadała mi swobodnie na biodrach jak tunika, a że żyłam z rozbierania się, nikt nie zwracał uwagi na to, co miałam na sobie, jadąc do Westmore i wracając. Mój strój z pewnością spodobałby się Sarze, gdyby tu była.

Jake stał w kuchni i popijał z butelki.

- No więc powiedziałem Emily - oznajmił.
- Co zrobiłeś?
- Oczywiście bez makabrycznych szczegółów - wyjaśnił. -

Po prostu powiedziałem jej, że babcia nie żyje. Musiałem z nią porozmawiać. Na początku przyszłego tygodnia się do niej wybierałem.

- Och - powiedziałam. Mówiąc to, byłam świadoma kształtu moich ust.

- Ona nie przyjedzie.

Przypomniał mi się Leo, jak przeleciał matce przez ręce i upadł na podłogę. No i ten odgłos - jego delikatnej główki uderzającej o krawędź krzesła. Po powrocie do domu zadzwoniła do mnie Emily: „Nie mam do ciebie pretensji, mamo, i nie chodzi tylko o Lea. Ja już po prostu dłużej z babcią nie mogę”.

- Tym lepiej dla niej - odpowiedziałam, ale trudno było nie potraktować tego jako odrzucenia.

Jake zaczął mówić więcej. Że Emily powiedziała, że bardzo mi współczuje i ma nadzieję, że rozpocznie się dla mnie okres przejścia do samowzmocnienia i inne tego rodzaju historie yin i yang, w które oboje z Jakiem wierzyli. Mój wzrok mimo woli pobiegł ku pustemu karmnikowi wiszącemu w krzewie derenia nad całkowicie wysuszonym pojemnikiem do kąpieli dla ptaków. Patrzyłam, jak karmnik delikatnie kołysze się na wietrze. Jakby się naigrawał z mojego braku macierzyńskości: pusta plastikowa rura pozbawiona pokarmu.

Emily zakochała się w byciu matką od chwili poczęcia pierwszego dziecka, Jeanine. Patrzyłam, jak bierze na ręce swoich malców i wsadza nos między ich główki po to tylko, żeby powdychać ich zapach.

- Dlaczego tu jesteś? - zapytałam Jake'a. - Ale tak naprawdę.

Zakręcił butelkę z wódką i odniósł ją do starego barku, który przypadł mi po śmierci ojca.

- Dlatego, że jesteś matką moich dzieci - odparł. Stał tyłem do mnie. Położył telefon na butelkach, a potem wziął z kredensu poduszkę i też włożył ją do środka. Sama nie wiem, czy z tego powodu, że Jake tak skrupulatnie odkładał wszystko na miejsce, czułam się bardziej czy mniej zwariowana. - A poza tym - odwrócił się do mnie przodem - nienawidziłem twojej matki za to, jak cię traktowała.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Gdzie jest ten warkocz?

- Ile wypijeś? - spytałam.

- Wystarczająco dużo. Gdzie warkocz?

- Pocięłam go na kawałki i spuściłam w toalecie.

- To dobrze.

- Czy Emily wie, że piłeś? - zapytałam.

Kiedy po raz pierwszy znalazłam się w jej domu w Waszyngtonie, był to dla mnie podwójny cios. Po pierwsze, okazało się, że w całym domu jest biała wykładzina dywanowa od ściany do ściany i że poza hol nie mogę wejść w butach, a po drugie, kiedy poprosiłam o drinka, dowiedziałam się, że w ogóle nie trzymają w domu alkoholu.

- Uwierzyła mi, kiedy jej powiedziałem, że jest żaloba - oznajmił Jake.

- Skłamałeś?

- Wywarłaś na mnie swój zwykły wpływ.

- Czyli jaki?
- Zły.

Uśmiechnęłam się. Jake zawsze ciągnął mnie w stronę wiary, a ja ciągnęłam go tam, gdzie za każdą uśmiechniętą twarzą czaiły się sztylety. W pewnym momencie rozlecieliśmy się jak lalka zrobiona z samych niepasujących do siebie części.

- Co dalej? - zapytałam
- Co dalej?!
- Ty tu rządź - odparłam. - Zrobimy tak, jak ty uważasz za stosowne.
- To dzwoniemy na policję.
- Miałam wrażenie, że to rozwiązanie ci się nie spodobało - powiedziałam.

- Owszem, nie podobało mi się, ale teraz uważam, że masz rację. Powiemy, że znalazłaś tam matkę wczoraj wieczorem, ale z telefonem na policję czekałaś na mój przyjazd. Powinniśmy to zrobić teraz. Już minęło z pół ranka, jak tu jesteśmy.

- Jeśli mamy to zrobić - powiedziałam - to chciałabym iść do matki i posprzątać.

- Najważniejsze jest dla ciebie sprzątnięcie, tak?
- Chcę ją zobaczyć. - Skrzywiłam się, widząc na twarzy Jake'a wyraz powątpiewania. Nie to, żeby coś sugerował.
- Weź płaszcz. Mam wynajęty samochód, ale chyba ty poprowadzisz.

Kiedy już byliśmy ubrani i gotowi do wyjścia, Jack złapał mnie za rękę i ścisnął. Idąc betonową ścieżką prowadzącą do

podjazdu, wyobraziłam sobie, że przejeżdżam samochodem Jake'a koło domu Hamisha i że się z nim spotykam. Był to czerwony chrysler kabriolet standard, ale nie dysponując atutem młodości i do tego mając najprawdopodobniej w perspektywie wyrok skazujący za morderstwo, mogłabym szpanować tym samochodem. Jak zabawką.

Wyjechałam poza osiedle. Przez chwilę milczeliśmy. Ale kiedy tylko znalazłam się na autostradzie Pickering, kierując się w stronę Phoenixville, zauważyłam, że zaczyna poznawać okolice.

- Boże - powiedział. - Tutaj nic się nie zmieniło. Jakby czas się zatrzymał.

W myślach oglądałam kuchnię matki. Porozrzucane plastikowe pojemniki i leżące na podłodze nożyczki mogą być potraktowane jak elementy nieudanej kradzieży z włamaniem.

Przejechaliśmy obok położonej koło składu drewna siedziby VFW* [VFW - Veterans of Foreign Wars - Weterani Wojen Zagranicznych].

- Poczekaj, zaraz zobaczysz dom Natalie - powiedziałam. - Ma trzy pokoje z łazienkami.

- Co jej powiesz?

- Chciałabym móc powiedzieć jej prawdę.

- Ale wiesz, że nie możesz, Helen.

Nie odpowiedziałam. Nagle przypomniała mi się historia z Edgara Allana Poego, w której ktoś został zamurowany żywcem.

- Pamiętaj, Helen, tylko ja jeden. Ja. I nikt poza mną.

- Natalie wie, co czułam do matki.

- Może i wie, ale to co innego. Przekroczyłaś pewną granicę, której większość ludzi nie przekracza. To jest coś, czym się człowiek z nikim nie dzieli.

- Większość ludzi to idioci - prychnęłam.

Minęliśmy starą fabrykę opon. Kiedy Sara miała cztery lata, była przekonana, że Jake tam mieszka.

- Kiedy tak mówisz, trudno wytrzymać z tobą w jednym samochodzie.

- Dlaczego?

- Bo to mi przypomina, jaka byłaś przez cały czas. Nawet kiedy wszystko szło dobrze, potrafiłaś spuścić nos na kwintę. Nienawidziłaś wszystkiego.

- Widocznie przyszedł czas na to, żebym wozila różnych facetów, którzy mają potrzebę mówienia mi prawdy w oczy - odgryzłam się.

Ale Jake nie spytał, kogo poza nim mam na myśli. Licznik Playskool, który miał przypominać tablicę rozdzielczą samochodu wyścigowego, odmierzał kilometry. Minęliśmy dom Natalie. Wolałam nic nie mówić.

- O, widzę, że dalej jest stary most. - Zauważył Jake pojednawczym tonem, jakby podawał mi gałązkę oliwną. - Przypomina mi się, że ile razy twój ojciec zabierał nas na przejażdżkę, zawsze w tym miejscu zachodziła w nim jakaś zmiana. Jakby nabierał animuszu. Pamiętasz? Jakby dopinował swoją drużynę - chciał, żebyśmy wszyscy razem wrócili do domu zjednoczeni i dobrze się bawili. Początkowo tego nie rozumiałem.

- A potem zrozumiałaś?

- Kiedy wczoraj wchodziłem tam przez okno, wszystko do mnie wróciło. Ten dom to było więzienie.

- A ty ożeniłeś się z osadzoną.

Uczepiłam się mocno kierownicy. Nie czułam się najlepiej z Jakiem w samochodzie. Nadmiar historii, tak jak i nadmiar prawdy, może się okazać bolesny.

- Jak się miewa Emily? - zapytałam.

- W porządku - odparł Jake z uśmiechem. - Nie ma problemów z przystosowania się do bycia trzydziestolatką.

- Ona była trzydziestolatką... - zaczęłam i w tym momencie przyłączył się do mnie Jake - ...od chwili urodzenia!

Roześmieliśmy się razem w tandetnym wynajętym samochodzie.

- A John?

- No cóż, nigdy się tak w pełni do niego nie przekonałem, ale jest w porządku. To odpowiedzialny facet.

- Mam wrażenie, że mnie nienawidzi - powiedziałam. Jake odchrząknął.

- Czy to ma oznaczać potwierdzenie?

- Ogólnie rzecz biorąc, nie akceptuje nas wszystkich. Sary też.

- Biedna Sara.

- One się nami podzieliły, Helen - powiedział Jake. - Sara wybrała ciebie. Wiesz o tym, prawda?

Odwróciłam się od niego.

- Co za syf! - wykrzyknął Jake. Wjechaliśmy właśnie na przedmieścia Phoenixville.

- Pięknie, nie uważasz?

- Zapomniałem. Zupełnie o tym wszystkim zapomniałem.

- Nie każdy z nas wyrósł na wielkim Północnym Zachodzie, mając za ojca masyw skalny, a za matkę pulsujący wodospad. Niektórzy musieli się przebijać przez asfalt.

- Tylko pomyśl, czym to musiało być dla niej.

- Dla kogo?

- Dla twojej matki. Dlaczego w ogóle kiedykolwiek miałyby chcieć opuszczać dom, skoro na zewnątrz jest... coś takiego?

- Wiem, że cię to rozśmieszy, ale z biegiem lat jak gdyby to polubiłam.

- To?

Przed nami pojawił się stary most, który przecinał dwie części miasta. Pod mostem krąg rozsypanych śmieci. Pomnik, w którym się poprzednio mieściły, był osmalony płomieniem.

- Muszę przyznać - powiedziałam - że to miasto pamięta lepsze czasy, ale przynajmniej ma jeszcze śródmieście. Próbowali je nawet reanimować.

- Proszę, poznajcie Helen, waszą hostessę z Biura Turystyki i Śmierci.

- To jest właśnie duch Phoenixville.

Pod światłami zatrzymaliśmy się za jakimś samochodem, ale kiedy światło z czerwonego zmieniło się na zielone, auto przed nami nie ruszyło.

- Tam nikogo nie ma - zauważył Jake.

Spojrzałam i rzeczywiście - nikt się nawet nie pofatygował, żeby chociaż zjechać na bok, tylko porzucił samochód tam, gdzie stał.

- Szlag mnie trafia. Co mam zrobić?

- Omiń go. To nie twój kłopot, niech się kto inny martwi - poradził Jake.

Wykonałam manewr.

- W NRD było weselej niż tutaj.

- Popatrz - zwróciłam uwagę Jake'a. Było tak jak w czasach mojego dzieciństwa. Ja mogłam wymyślać matce, ale żadne inne dziecko nie miało do tego prawa. Tak samo ubolewałam nad upadającymi przedsiębiorstwami w mieście i często chodziłam się strzyc do syna Starego Joego.

- Przepraszam, wiem, że tam, gdzie stoi dom twojej matki, robi się coraz ładniej.

Wiedziałam, że jest to ze strony Jake'a ustępstwo na moją rzecz. Jako nowo poślubiona para odbywaliśmy z małą Emilą długie podróże z Madison i Jake oczekiwał okazałych domów, co wynikało z jego większego otwarcia na Wschód, który w gruncie rzeczy był Południem. Oglądał *Przeminęło z wiatrem* w telewizji i zakochał się w Vivien Leigh.

Poza grupą domów wybudowanych przez właścicieli huty stali w północnej części miasta, Phoenixville było pełne starych kamienic z cegły i wałących się szalowanych budynków. Domniemana reanimacja były to w większości wielkie domy handlowe zbudowane na miejscu dawnej huty stali czy starych fabryk.

Wybrałam skrót biegnący za torami kolejowymi przez parking kościoła prawosławnego do Mulberry Lane.

- Zaczekaj - powiedział Jake, wychylając się do przodu. - A to co takiego?

I wtedy zobaczyłam: cały kwartał ulic był obstawiony samochodami policyjnymi; zauważyłam też karetkę pogotowia.

- Nie podjeżdżaj bliżej.

Przypadkowo nacisnęłam na gaz, trzymając jednocześnie nogę na pedale hamulca.

- Helen - jęknął Jake. - Rób, co ci mówię.

Włożyłam wielki wysiłek w to, żeby skinać głową.

- Chcę, żebyś powoli wjechała na jeden z parkingów. Koscielny parking był w piątkowy rano prawie pusty.

Zrobiłam tak, jak mi polecił Jake. Kiedy się zatrzymałam, sięgnął przeze mnie i wyciągnął kluczyk ze stacyjki.

- Kurwa - powiedziałam. - Och, kurwa.

- Posiedźmy tu przez chwilę.

- Numer Sary jest pod moim. A jeśli zadzwonią do niej?

- W ubiegłym tygodniu wyłączyli jej telefon. Ma tylko komórkę.

Sara mi o tym nie powiedziała. Zaryzykowałam i spojrzałam obok Jake'a przez okno pasażera. Zobaczyłam panią Castle, która stojąc na chodniku od frontu, rozmawiała z policjantem. Wydawało mi się, że przez moment patrzyła na parking.

- Musimy się stąd wynosić - powiedziałam.

- Nie. Musimy postanowić, co dalej.

Przypomniało mi się, jak w dzieciństwie budziłam się w środku nocy. Czasami widziałam ojca, jak siedział na krześle w nogach mojego łóżka, obserwując mnie w ciemności. „Śpij, kochanie”, mówił. I ja zasypiałam. Pomyślałam o Sarze. Wiedziała, że na początku jej życie w Nowym Jorku miało swoje jasne strony, ale ostatnio najwyraźniej straciło blask. Dałabym głowę, że za każdym razem, kiedy u mnie była, znikają mi drobne z talerzka.

- Ja tak nie mogę, Jake - jęknęłam. - Ja im muszę powiedzieć.

Zobaczyłam dwóch policjantów wychodzących frontowymi drzwiami. Na butach mieli związane białe plastikowe torby.

- Co oni trzymają w rękach? - zapytałam.

- Torby papierowe.

- Torby papierowe?

Patrzyliśmy, jak policjanci podchodzą z tymi torbami do pani Castle.

- Czy ona im przygotowała lunch?

- Helen - powiedział Jake, a z jego głosu nagle uleciała cała energia - oni zbierają dowody.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, niby ogłuszeni, patrząc, jak mężczyźni do każdej torebki przypinają skrawek papieru, a następnie wkładają je do kartonowego pudła.

- To już jest nie tylko twoja sprawa - powiedział Jake. - Bo to ja rano wdrapałem się po kracie i wszedłem przez okno.

- Ale ja im powiem prawdę - oświadczyłam. - Powiem im, że to ja cię w to wszystko wrobiłam.

- Dlaczego ja sam do nich nie zadzwoniłem?

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć, więc powiedziałam to, o czym zawsze byłam święcie przekonana:

- Bo ty jesteś dla mnie za dobry.

Jake spojrzał mi prosto w oczy.

- Ale to nam nie pomoże. Rozumiesz? Moje odciski palców są na oknie, w piwnicy i na schodach. Nie zadzwoniłem na policję wtedy, kiedy powinienem to zrobić, czyli po naszej pierwszej rozmowie.

Skinęłam głową.

- Przepraszam.

Oboje zapadliśmy się w siedzenia.

- Oddychaj głęboko - poradził Jake, a ja pierwszy raz po takim poleceniu zamiast warknąć „odpieprz się”, zaczęłam oddychać.

Na dźwięk zbliżającej się syreny instynktownie wbiliśmy się w fotele. Była to karetka pogotowia.

- Dlaczego druga?

- Co drugiego? - zapytał Jake.

- Karetka?

- Ta pierwsza to koroner - wyjaśnił.

Oboje patrzyliśmy nad krawędzią drzwi.

- Podjeżdża pod dom pani Leverton - powiedziałam. Byłam szczęśliwa. W podniosłym nastroju. Jakby to mogło skasować widok wozów policyjnych przed domem mojej matki. Jakby pani Castle stojąc w naszym ogródku mogła opowiadać, że najpierw opieka chleb na kanapki, a dopiero potem okrawa skórkę. I że twarożek ze szczypiorkiem - choć przyznaje, że nie od razu nauczyła się go jeść - jest jej ulubionym przysmakiem lunchowym.

- Czy jest tam numer Emily? - zapytał Jake.

- Co?

- Mówiłaś, że numer Sary jest nad telefonem. A numer Emily?

- Po historii z Leo wszystko się zmieniło. Emily mnie poprosiła, żebym wycofała od matki jej numer telefonu.

- Ona miała dobre podejście do dzieci, ta twoja matka.

- Ja ją zabiłam, Jake.

- Wiem.

- Domyśla się prawdy, jak sądzisz?
- Prawdopodobnie tak.
- Jak długo im to zajmie?
- Nie wiem. Niedługo.

- Szkoda, że nie umarłam razem z nią. - Nie przypuszczałam, że coś takiego powiem, a tym bardziej że coś takiego będę czuła, ale jednak wymknęło mi się. Jake nie odpowiedział, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy powiedziałam to głośno, czy tylko we własnych myślach. Już nigdy więcej nie zobaczę matki. Już nigdy więcej nie będę czesała jej włosów ani malowała paznokci. - Trucizna i lekarstwo to często ta sama substancja, tylko podawana w różnych proporcjach - dodałam. - Przeczytałam to na ulotce, czekając na matkę u lekarza.

Nie powiedziałam mu, że to samo może się odnosić do miłości. Chciałam go dotknąć, ale bałam się, że się cofnie.

- W końcu wychodzenie z domu dobrze na nią podziałało. Mogłam jakoś zaprowadzić ją do lekarza, używając tylko ręcznika kąpielowego. Zajęło jej to czterdzieści lat, ale przeszła ewolucję od koców do ręczników - powiedziałam.

Jake myślał, a ja patrzyłam prosto przed siebie na niski betonowy mur ogradzający parking.

Zawsze trwało chwilę, nim go poznałam, kiedy był bez psa. Dwa lata temu stracił ostatniego ze swoich pięciu spanieli i zdecydował, że jest już za stary na kolejnego. „Psy nie rozumieją, kiedy je zostawiamy”, powiedział kiedyś, kiedy spotkałiśmy się na chodniku przed domem mojej matki.

- O, pan Forrest. - Pokazałam sztywnego starszego pana stojącego na wzniesieniu za murkiem.

- Tak, jej jedyny przyjaciel - odezwał się Jake.

Z daleka widziałam, jak karetka pogotowia zabiera panią Leverton. Sanitariusz trzymał jakąś kropłówkę, a nad prześcieradłem rozpoznałam głowę chorej. Niemal w tej samej chwili podjechał grafitowy mercedes, z którego wysiadł jej bogaty syn. Wszystko to obserwował stojący naprzeciwko mnie na górcie pan Forrest. Miał na sobie sztywne sztruksowe spodnie z kantem i szarą marynarkę od garnituru z flaneli, spod której wyglądało kilka warstw swetrów i podkoszulków założonych w obawie przed nieprzewidzianymi jesiennymi chłodami. Szyję pan Forrest miał ciasno owiązaną kaszmirowym szalem, ponieważ głęboko wierzył w kaszmir. Widziałam, że ma co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. Wkrótce po samobójstwie ojca przestał odwiedzać moją matkę.

- Myśle, że powinniśmy się stąd związać - powiedział Jake.

Nadal patrzyłam na pana Forresta. Jak gdyby o tym wiedział, odwrócił głowę w naszą stronę. Miał te same co zawsze okulary - kwadratowe, w grubej szylkretowej oprawie - i musiał mnie widzieć przez lekko przyciemnioną przednią szybę wynajętego samochodu. Patrząc prosto na niego, z trudem przelknęłam ślinę.

- Słyszałaś, co mówiłem? - zapytał Jake. - Masz się wycofać i wracać tą samą drogą, którą przyjechaliśmy. Skrótem.

Chyba nigdy w życiu nie widziałam nic tak subtelnego jak skinienie głowy pana Forresta w moim kierunku.

- W porządku - odparłam i przekreśliłam kluczy w stacyjce. Wycofałam samochód i odjechałam.

Nie powiedziałam Jake'owi o panu Forreście. Miałam świadomość tego, że rośnie we mnie poczucie pewnej

nieuchronności, ale jednocześnie nie chciałam patrzeć zbyt daleko w przyszłość.

- Ty jedź do Westmore, a ja zadzwonię do Sary - powiedział Jake.

- I co jej powiesz?

- Nic, Helen. Nie wiem!

Jechałam wzdłuż torów kolejowych drogą dojazdową, aż znalazłam się poza miastem. Jakbyśmy byli parą uciekinierów. Czułam się fatalnie. Nie mogłam znieść tego, że nawet trup mojej matki ma nade mną taką władzę. Świadomie wjechałam w pryzmę żwiru. Koła zabuksowały w miejscu i zatrzymały się.

- Co robisz, do jasnej cholery?

Oparłam głowę o kierownicę. Byłam całkowicie odrętwiała.

- Powinam tam wrócić.

- Jeszcze czego!

- A co mam robić? - Jeszcze nigdy nie widziałam Jake'a tak wściekłego. - Pójdę tam i powiem im, co zrobiłam. A ty będziesz wolny i czysty.

Łzy płynęły mi po twarzy; odwróciłam się, żeby wysiąść, ale Jake przechylił się przeze mnie i przytrzymał drzwi.

- Nie zawsze wszystko kręci się wokół ciebie i twojej matki.

- Wiem - wychlipałam.

- A poza tym byłoby lepiej dla naszych córek, gdyby nie musiały odkrywać, że ich matka zamordowała ich babkę i że na dodatek ich ojciec włazi do jej domu przez okno jak jakiś zdementowany diabeł z pudełka!

Akurat na zakręcie mijał nas pociąg. Na widok naszego samochodu tak blisko torów, maszynista dał głośny sygnał. Samochód aż zadrżał. Zaczęłam krzyczeć i nie przestawałam, dopóki pociąg nas nie minął.

Kiedy znów zaległa cisza, gapiałam się zrozpaczona na puste szyny. Miałam wrażenie, że moje oczy są wielkości łebka od szpilki.

- Teraz ja poprowadzę - powiedział Jake.

Kiedy wysiadłam, dosłownie chwiałam się, ale zanim zdołałam zrobić krok, Jake okrążył samochód i położył mi ręce na ramionach.

- Przepraszam, jeżeli cię dotknąłem, ale myślę o dziewczynach, mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Skinęłam głową. Ale nie byłam w pełni przekonana. Chodziło nie tyle o dziewczyny, ile o całe jego życie. O jego psy. O karierę. O kogoś, kogo nazwał przez telefon „kochaniem”.

- Twojej matce tyle udało się zniszczyć - powiedział. - Nie wiem, co mamy zrobić, ale wiem, że musimy działać sprawnie. Nie jesteś już w jej domu. Jesteś na wolności.

Znów skinęłam głową.

Jake przytulił mnie, a ja zawisłam bezwładnie w jego ramionach. Pomyślałam o szczebiocie Sary na płycie CD, którą od niej dostałam. O jej marzeniach, które ciągle podtrzymywała w sposób trudny dla mnie do zrozumienia. Przychodziła ze mną do matki i opowiadała o Manhattanie, jakby to było kolorowe lśniące ciastko. W międzyczasie odcięli jej telefon, a ona za każdym razem, kiedy u mnie była, rutynowo zabierała do plecaka tyle jedzenia, ile się zmieściło wśród starych ciuchów.

- Manny - wymamrotałam w ramię Jake'a.

Poluzował uścisk.

- Co takiego?

- Manny.

- A kto to jest Manny?

Gdzieś w środku poczułam chłód. Serce ślizgało mi się w piersi jak okruch lodu.

- Załatwiał matce różne sprawy i świadczył w domu drobne usługi. Takie rzeczy, z którymi ani pani Castle, ani ja byśmy sobie nie poradziły.

- I co z tego?

- Jakies pół roku temu znalazłam w moim dawnym pokoju zużytą prezerwatywę.

- Nie rozumiem - powiedział Jake.

- I ktoś się włamał do szkatułki z biżuterią matki.

- Uprawiał seks w twoim dawnym pokoju? Z kim?

- Nie wiem. Zmieniłam zamki. Wie o tym pani Castle i wspólnota kościelna.

- Ale dlaczego mi to mówisz? - zapytał Jake.

Gapiłam się na niego, ale nie wiedziałam, co powiedzieć - co byłoby dostatecznie dobre.

- O Boże - powiedział i odszedł ode mnie.

Stałam przy samochodzie. Od wczorajszego wieczoru nie myślałam o Mannym w żaden konkretny sposób. Pamiętam, że położyłam rękę na płaczącym Buddzie, ale już nie pamiętałam, czy go wyrzuciłam, czy nadal siedział sobie dyskretnie na mojej półce. Kiedy Jake wrócił, miał twarz szarą jak piół.

- Wsiadamy do samochodu - oznajmił. - I nie rozmawiamy. Wiozę cię do Westmore. W kontaktach z ludźmi udawaj

zdziwioną. A nie rozbitą. Kiedy policja się do ciebie zgłosi, będą wiedzieli, że nie jesteś. Masz być odrętwiała czy jak tam.

- Ale ja byłabym rozbita - odparłam. - Ja jestem rozbita.
- Wsiadaj.

Obeszłam samochód i usiadłam na miejscu pasażera. Jake przekreślił kluczyk w stacyjce. Ostrożnie wycofał samochód na zwirowej nawierzchni i wkrótce znaleźliśmy się na drodze.

- Dziewczyny biorę na siebie. Jeszcze nie wiem, co im powiem. Po odwiezieniu ciebie zadzwonię do Avery'ego i zaranżuję pod koniec tygodnia jakiś lunch. W ten sposób będzie mi łatwiej stworzyć pozory, że wyjeżdżałem też w sprawach służbowych.

- Jake... - zaczęłam

- Helen, nie chcę już w tej chwili nic więcej na ten temat słyszeć. Nie potępiam cię za to, co zrobiłaś. Próbuję jedynie ograniczyć rozmiary katastrofy. Ja mam swoje życie. Manny to twoja historia. Nie zamierzam jej wyciągać, nic o nim nie wiem. Będzie co będzie, a ja nie mam zamiaru nikogo obciążać.

Jechaliśmy dalej aż do autostrady Phoenixville, po drodze mijając dom Natalie. Na podjeździe zauważyłam samochód Hamisha. Do czasu, kiedy mijaliśmy dawne liceum dziewcząt, byłam już nieźle wkurzona.

- To znaczy, że chcesz, żeby nam to uszło na sucho, ale unikasz wszelkich realnych sposobów wykaraskania się z tej sytuacji - powiedziałam.

- To ty ją zabiłaś, Helen, nie ja. W tej sprawie nie ma żadnych „nas”.

- Ona była moją matką!

- I tylko o takim „my” może być z twojej strony mowa - wy dwie CAŁUJĄCE SIĘ!

Przecieliśmy drogę 401, jadąc wzdłuż Haym Salomon, cmentarza ciągnącego się przy drodze na przestrzeni pół kilometra. Zrobił się idealny jesienny dzień. Powietrze było rześkie, chłodne, a słońce to wyglądało, to chowało się za cienką zasłoną chmur.

- Kiedy zaczęłam pracować na zewnątrz, z lodem i liśćmi, pomyślałam, że to ze względu na mnie.

- Nie, nie ze względu na ciebie.

- Przestałeś mnie rysować. I to mnie zabiło. Poczułam się, jakbyś mi zatrzaskał drzwi przed nosem i nawet tego nie zauważył.

- Moja praca, Helen, rzucała mnie w różne miejsca, to wszystko. Rysowanie było dla mnie zawsze otwarciem na inne rzeczy.

- Nie rozumiem, jak można było od rysowania gołych kobiet przejść do budowania domków z lodu i smoków z gówna.

- Tysiące razy ci mówiłem, że to było błoto, a nie gówno, a poza tym Emily była zachwycona.

- No właśnie, Emily, mały ideał - powiedziałam, ale już w tej samej chwili miałam ochotę cofnąć te słowa.

Po prawej stronie zobaczyłam walącą się stodołę na środku pochylego pola. Nagle zapragnęłam pobiec tam i zniknąć, tak jak to w końcu czekało nas wszystkich, jak to się stało z moim ojcem, a teraz i matką - wtopić się w niewyśpiewaną historię tych stron.

- Przepraszam cię, Jake - powiedziałam zrozpaczona. - Nie to miałam na myśli. Cofam te słowa. Kocham cię.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaki los jej zgotowałaś? Jak ty się jej uczepliłaś? Ona mi się skarżyła, że potrafiłaś w nocy włączyć jej do łóżka i płakać.

Zobaczyłam siebie dwudziestosiedmioletnią, dwudziesto-ośmio-, dwudziestodziewięcioletnią. Emily miała zaledwie siedem lat, kiedy się roztawaliśmy. I była wszystkim, co miałam. Ciepłym ciałkiem, do którego mogłam się przytulić.

- Porzuciłeś nas - rozpaczliwie próbowałam się bronić.

- Nawzajem się porzuciliśmy, Helen. Pamiętaj: porzuciliśmy się nawzajem.

- Ale opuściłeś dziewczynki. Może nie byłam ideałem, ale przynajmniej od nich nie uciekłam, żeby stać się jakimś pucharem przechodnim w środowisku artystycznym. I jeszcze do tego Emily przyznała ci dożywotnio nagrodę za osiągnięcia.

- Nigdy o to nie zabiegałem.

- Co?

Samochód zwolnił, ale Jake na mnie nie patrzył.

- Rozwód. Nigdy nie chciałem rozwodu - powiedział. - Dałem ci rozwód, ale mnie on nie był do niczego potrzebny. Twój ojciec dobrze o tym wiedział.

Patrzył na kierownicę między swoimi rękami. Coś się w nim załamało. Widziałam to po jego łopatkach. Położyłam mu rękę na środku pleców. Przypomniało mi się, jak go dotykałam, jak lubił kłaść mi głowę na piersi i mówić o tym, co chciałby lepić, budować, tworzyć. Cofnęłam rękę. Kluczyliśmy dokoła sprawy, a ja musiałam się skupić.

- Okay - powiedziałam. - Co robiliśmy rano? Dlaczego nie było mnie w domu przez ostatnią godzinę? Musimy już teraz uzgodnić szczegóły.

- Oto cała Helen, agresywna.

- Będą chcieli to wiedzieć.

Jake odwrócił się do mnie twarzą.

- Poszliśmy gdzieś na śniadanie?

- Ktoś by nas zobaczył. Nie, pojechaliśmy gdzieś się kochać. To było coś nieplanowanego - powiedziałam.

- Zwariowałaś?

- Myślę, że taka odpowiedź jest przekonująca.

Ostrzegłam Jake'a, żeby poczekał na jadący z naprzeciwka jednopasmowym mostem samochód, a potem pokazałam mu skręt na Westmore.

- Pojechaliśmy w moje ulubione miejsce z widokiem na elektrownię atomową i się kochaliśmy.

- A w jaki sposób moje odciski palców znalazły się na jej oknie?

- Wpadłeś tam wczoraj. Poprosiła cię, żebyś jej zreperował parę rzeczy, i ty to w imię dawnych czasów zrobiłeś.

- To mocno naciągane. Sprawdzą tę wersję bez trudu, jestem pewny.

- Masz coś lepszego?

Kiedy dojechaliśmy do college'u, było piętnaście po dziewiątej. Do zajęć Tannera Haku z rysunku z modelu zostało mi jeszcze czterdzieści pięć minut. Miałam przed sobą serię trzyminutowych póz stojących, od trzymania ręcznika przy boku do udawania, że właśnie wyszłam z kąpieli i rozczesuję włosy.

- Przyjadę tu po ciebie, tak jakbyś miała nie słyszeć żadnych wieści, które zmieniłyby nasze plany.

- A jeśli pojawi się policja?

- Zachowuj się tak, jakbyś pierwszy raz o tym słyszała. Nie wiesz, kto zabił twoją matkę.

- I miej nadzieję, że pani Castle powiedziała im o Man-nym.

Jake spuścił głowę.

- Nie mów mi takich rzeczy.

- W porządku. Jestem w tej sprawie sama.

- Tak... To znaczy nie wiem.

Zaparkowaliśmy na drugiego przed klubem studenckim.

Za nami podjechał samochód ryczący hip-hopem. Położyłam rękę na klamce.

- Trzymaj się - powiedział Jake.

Nie poszłam do klubu studenckiego, gdzie mogłam się natknąć na Natalie, która zapewne przed pozowaniem dla naszego Luciana Freuda dla ubogich raczyła się obfitym śniadaniem. Zamiast tego obeszłam niski, płaski budynek i ruszyłam uczęszczaną drogą gruntową prowadzącą do ostatniego kawałka ziemi należącej do Westmore i jeszcze niezabudowanej. Problem polegał na tym, że za każdym razem, kiedy padał deszcz, porośnięte chwastami poletko zalewała woda. Czasami przez pół roku utrzymywało się tam bagno. Pośrodku tego skrawka ziemi rósł wielki dąb. Musiał mieć ponad dwieście lat, bo jego korzenie prawie całkiem zgniły.

A na skraju, tak jak się spodziewałam, zastałam grupę uczestniczącą w zajęciach z malowania akwarelą z Ośrodka Seniorów. Jesienią, a potem znów późną wiosną, można było spotkać starszych ludzi w różnych malowniczych miejscach rozsiansych wokół kampusu, z wielkimi paletami, w kapeluszach przeciwsłonecznych i dobranych pod kolor czerwonych wiatrówkach. Ich nauczycielką była kobieta w moim wieku. Wolontariuszka, która lubiła pracować ze starszymi.

Usiadłam na trawie dostatecznie daleko, żeby mnie nie zauważyli. Wszyscy, poza nauczycielką, siedzieli tyłem do mnie, a ona skrupulatnie wywiązywała się ze swojego zadania, chodząc od jednego do drugiego uczestnika zajęć i wygłaszając krótkie, zachęcające komentarze.

Włożyłam ręce pod sweter, żeby je ogrzać, i poczułam jedwab różowej halki. Miałam wrażenie, że obserwuję stado zebr na afrykańskich równinach - tak bardzo ci starsi ludzie różnili się od mojej matki. Wydawali mi się ideałem tego, co sobie wymarzyłam jako własnych rodziców. Kim byli w poprzednim życiu? Prawnikami, murarzami, pielęgniarzami, ojcami, matkami? To, że przychodzili do Centrum Seniorów i zapisywali się na zajęcia z akwareli, było dla mnie czystym surrealizmem. Wiem, że ja nigdy nie znalazłabym się w ich gronie. Wychowała mnie kobieta samotniczka na dziecko samotnika i kimś takim, jak się teraz przekonałam, nieodwracalnie zostałam.

Musiałam coś zjeść, więc Natalie czy nie Natalie, klub studencki był jedynym dostępnym mi na piechotę miejscem, w którym można było o tej porze dostać coś do jedzenia. Wstałam i z żalem pożegnałam niedzielnych malarzy, których nauczono mnie potępiać.

Przepchnęłam się przez gęstniejący przed klubem studenckim tłum młodzieży. Westmore nie słynęło z intelektualistów ani nawet wybitnych sportowców. Było znane jako przystępna uczelnia, do której się dojeżdżało. Były tu dobre czteroletnie studia z takimi kierunkami jak marketing czy doradztwo zdrowotne. Wydziały sztuki i anglistyki, traktowane protekcyjnie jako swego rodzaju anomalie, zostały zaanektowane przez różnego rodzaju typy, które mnie i Natalie wydawały się na przemian to nieudacznikami, to geniuszami. Założyciel szkoły, Nathaniel Westmore, był artystą i pisarzem, zanim zaginął w lasach Maine tak jak Thoreau. W rezultacie oba te wydziały pozostały stosunkowo niezależne od reszty kampusu.

To, w co ubierali się studenci Westmore, było przecenioną wersją tego, co noszono w Nowym Jorku dziesięć lat temu. Kilka razy przywiozłam ze sobą do Westmore Sarę i za każdym razem jej obecność wywoływała poruszenie. Zawsze byłam dumna z tego, że moje córki mieszkają w innych stanach

i zarabiają z dala od domu, chociaż często żałowałam, że nie mogę, ot tak, po prostu do nich wstąpić, najchętniej jeszcze na tę samą ulicę. Ale żadnej z nich bym tego nie zrobiła. Za największe szczęście, jakie mnie w życiu spotkało, uważałam fakt, że moja matka nigdy nie była zdolna do tego, żeby, ot tak, zwyczajnie do mnie wpaść.

Weszłam po specjalnej rampie dla wózków inwalidzkich, minęłam służę ciszy podwójnych drzwi i oto w tłumie studentów, młodszych od nas o trzydzieści lat, zobaczyłam Natalie. Siedziała sama w okrągłym boksie niedaleko ściany okien wychodzących na bagnisty niezabudowany teren. Z klubu studenckiego stary dąb nie był widoczny; widać było tylko podobne do trzciny trawy, które wkrótce, po następnym mrozie, pożółkną i wraz z nadchodzącą zimą zaczną w porywach wiatru wydawać świszczący odgłos, uderzając suchymi łodygami jedna o drugą.

Natalie patrzyła w dal, być może gdzieś ponad autostradą, gdzie wielkie znaki drogowe przypominały jedynie małe zielone plamki, a samochodów w ogóle nie było widać.

Nie powiem jej, doszłam do wniosku. Bo i jak bym to niby miała wyrazić? Do tej pory te słowa wypowiedziałam tylko raz: „Zabiłam swoją matkę”. Zastanawiałam się nad tą moją nową frazeologią. „Zabiłam swoją matkę. Pieprzyłam się z twoim synem”.

Podeszłam do Natalie, ledwie świadoma obecności mijających mnie studentów, którzy nieśli na tacach swoje dania.

- Natalie.

Zobaczyłam jasnobrzowe oczy mojej przyjaciółki, w które patrzyłam od dzieciństwa.

Miała na sobie jedną ze swoich sukienek à la Diane von Furstenberg, chociaż Diane von Furstenberg nie firmowała by żadnej z nich swoim nazwiskiem. Wzór materiału był nijaki, z tych, co to często zdobią ciała kobiet w średnim wieku - rodzaj oślepiającego kamuflażu, który miał odwracać uwagę od ukrytych wewnątrz kształtów. Takie „kopertowe” sukienki - co do tego byłyśmy zgodne - nadawały się idealnie do rozbiegania, mimo to już dawno je odrzuciłam. W pewnym momencie te sukienki, wiszące w mojej garderobie, zaczęły mnie przynębiać - lekki materiał i rozmazane wzorki symbolizowały dla mnie bezmiar zmarnowanych okazji.

- Cześć - powiedziała Natalie. - Możesz to skończyć. Ja już nie dam rady.

Usiadłam naprzeciwko niej, a Natalie popchnęła w moją stronę tacę w jasnopomarańczowe ciapki. Leżało na niej pół drożdżówki z nadzieniem serowym i nietknięty jogurt. Zawsze tak z nami było - ona zamawiała za dużo, a ja zjadałam to, co zostawało.

- Gdzie byłaś wczoraj? - zapytała. - Dzwoniłam na twój numer ze sześć razy. I dwa razy nawet na Nietoperza.

- U matki - odparłam.

- Miałam jakieś przecucie. Jak ona się miewa?

- Czy mogłybyśmy o niej nie rozmawiać?

- Kawy?

Uśmiechnęłam się do Natalie.

Wstała, trzymając w ręku filiżankę. Policja klubowa nigdy nas nie zatrzymywała, kiedy szłyśmy po dolewkę. Na zasadzie milczącej umowy przyznano nam te same przywileje co nauczycielom.

Pozarłam niedojedzoną drożdżówkę i zdjęłam folię z jogurtu. Kiedy wróciła Natalie, byłam w połowie mojego posiłku z drugiej ręki. Kawa - gorąca, wodnista, słaba - zmyła resztki mojego apetytu.

- Co z tobą? - zaniepokoiła się Natalie.
- Co masz na myśli?
- Robisz wrażenie zdenerwowanej. Chodzi o Clair?

Mogłam odwrócić kota ogonem i powiedzieć, że nie każdy kończy wieczór połową butelki wina i pigułką nasenną, albo że nie każdy pieprzy się w tajemnicy z robotnikiem budowlanym z Downingtown... ale tego nie zrobiłam. Postanowiłam powiedzieć tyle prawdy, ile mogłam.

- Pojawił się Jake - zaczęłam.

Natalie zareagowała tak, jakby ktoś strzelił koło niej z karabinu. Uderzyła w stół obydwoma rękami i nachyliła się do mnie.

- Jake?!

- Pamiętasz, mówiłam ci, jak mnie budził, kiedy dziewczyny spały? Rzucił o szybę kamykami, które kradł sąsiadce ze skrzynek z geranium.

- Tak, pamiętam.

- Dziś rano obudził mnie około piątej. Stał w ogródku i rzucił kamieniami. Razem spędziliśmy rano.

- Helen, teraz uważam, że jesteś nie dość zdenerwowana! Co się dzieje?

- Nie wiem - odparłam. - Co u Hamisha?
- Od kiedy cię to interesuje? Co u Jake'a?

Powiedziałam Natalie, że Jake obecnie mieszka w Santa Barbara w posiadłości bogacza komputerowego, którego nigdy nie poznał osobiście. I że robi tam jakąś instalację. Ma opiekunkę do psów, Mila i Grace, i wkrótce wybiera się do

Portland do Emily. Przekazując jej te kilka informacji, zorientowałam się, jak niewiele wiem o Jake'u.

- Ale dlaczego w ogóle do ciebie przyjechał?

„Ja nigdy nie chciałem rozwodu”, zadźwięczało mi w głowie.

- Jeszcze nie bardzo wiem - powiedziałam. Trzymałam filiżankę gorącej kawy, udając, że grzeję sobie dłonie. Kiedy Natalie obdarzyła mnie tym odwiecznym spojrzeniem, które mówiło: „nie jesteś ze mną szczerą”, poczułam, że na styku moich łokci ze stołem pojawia się drżenie. Chwilę później rozlałam całą filiżankę gorącej kawy.

Natalie wstała. Kawa zalała jej rękaw sukienki, ale większość zebrała się w kałużę na stole, skapując na moje dżinsy. Nie ruszyłam się. Czułam, jak gorący płyn parzy mnie w uda. Uważałam, że mi się to należy. W drugim końcu sali zobaczyłam zegar. Była za pięć dziesiąta.

- Czas iść na zajęcia. - Usłyszałam swój głos, który nagle stał się zupełnie płaski. Zawsze mówiłam Natalie wszystko, a teraz, w ciągu dwudziestu czterech godzin, zrobiłam więcej, niż kiedykolwiek można naprawić między najstarszymi nawet przyjaciółmi.

Pomyślałam, co by to było, gdybym poprosiła Natalie, żebyśmy razem gdzieś poszły czy wyjechały, przeniosły się do innego miasta albo otworzyły wspólnie sklep z ciuchami, o czym zawsze marzyła. Patrzyłam, jak poprawia sukienkę i wyciera pochłapaną kawą torebkę. „Pamiętasz, jak razem jeździliśmy na rowerze? - miałam ochotę zapytać. Pamiętasz tamtego gamonia, który mieszkał na rogu twojej ulicy i miał przymocowany do kierownicy dzwonek? I jak nim bez przezwyciężenia?” Przymomniało mi się, że widziałam rano pana

Forresta. I nagle zobaczyłam panią Castle, jak gestykulując, rozmawia z policją. Ale czy ja to wszystko rzeczywiście widziałam? A może ona rozmawiała z nimi bardzo spokojnie? I czy oni coś notowali, czy tylko jej słuchali? Usiłowałam sobie przypomnieć, ile tam było samochodów policyjnych. Dwa po tej stronie ulicy co dom matki i jeden za rogiem. Do tego samochód koronera i karetka pogotowia przed domem pani Leverton. Mogłabym zadzwonić do szpitala i zapytać, co z nią jest, ale to by się na pewno nie spodobało Jake'owi. Zwróciłoby na mnie uwagę.

- Rzeczywiście załazł ci za skórę - usłyszałam słowa Natalie.

Spojrzałam na nią. Obraz miałam rozmazany na brzegach, a jej głos jakby nagle zaczął dochodzić z daleka.

- No, czas na nagość - powiedziała, biorąc mnie za rękę. Od piętnastu lat powtarzałyśmy sobie to zdanie.

- Tak - odparłam.

- Odprowadzę cię, kobieto, a potem sobie usiądziemy i porozmawiamy o mężczyznach. Ja też mam dla ciebie nowiny.

To mi wyraźnie pomogło. Pomogła mi świadomość, że Natalie chce mi powiedzieć o swoim przedsiębiorcy. Że moja przyjaciółka w dalszym ciągu mi ufa - to wszystko pomogło mi uruchomić nogi, wstać.

Wyszłyśmy z klubu studenckiego, a potem skierowałyśmy się pochyłą asfaltową ścieżką prowadzącą do czegoś, co powszechnie nazywano Chatą Sztuki. Nigdy nie rozumiałam tej nazwy, bo budynek przypominał raczej nieudany przemysłowy kompleks biurowy. Taki, który zanim zdążył wyrosnąć ponad pierwsze piętro, został w okrutny sposób ścięty i pokryty

dachem stanowiącym mieszaninę kompozytu i smoły. Wewnątrz jednak było coś w rodzaju chatek - ciemne, ciepłe zakątki w dużych studiach, gdzie spędzało noce wielu adeptów sztuki, ponieważ warunki były tutaj często lepsze niż w wynajmowanych przez nich mieszkaniach - szczególnie z nadejściem zimy. W Chacie Sztuki można było na przykład podkręcić grzanie - oczywiście na rachunek uczelni. Kiedy minęłyśmy drzwi, i pokonawszy trzy stopnie, znalazłyśmy się w korytarzu na parterze, przyszło mi do głowy, że mogłabym tu zamieszkać. Że z pewnością znalazłaby się tutaj jakaś ciepła wolna nora. Jednak nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z tego, że coś zaczyna we mnie dojrzewać. I że na razie dopiero częścią świadomości - ale już zaczęłam planować ucieczkę.

Zobaczyłam, jak Natalie, machając ręką, idzie do pokoju dwieście trzydzieści - Ciepłego Pokoju. Wydało mi się to niesprawiedliwe, że tak często dopisywało jej szczęście i dostawała ten właśnie pokój. Zastanawiałam się, czy przypadkiem na początku każdego semestru moja przyjaciółka nie korzysta z jakiegoś cichego poparcia tych, którzy decydowali o przydziałach pokoi. Przyczyny były dość jasne: ani drugi model Gerald, ani ja nie przynosiliśmy do sekretariatu drożdżówek ani wina. Nigdy też nie wkładaliśmy sekretarce do skrzynki pocztowej ołówków z gumkami w kształcie dyń czy duchów.

Nagle pomyślałam, że Gerald jest osobą, której nie chciałabym teraz zobaczyć. W ubiegłym roku stracił w pożarze matkę. Położyła się spać i zostawiła zapalonego papierosa,

Gerald ocknął się w momencie, kiedy padał na podłogę, szmatycznie łapiąc powietrze. Ledwie uszedł z życiem, a jego matka, jak się dowiedział, udusiła się dymem, zanim zdążyła spłonąć. Od tej pory, ilekroć się na niego natknęłam, potrafił w środku rozmowy o pogodzie czy o pozach, które przybieraliśmy jako modele, wtrącić ni z tego, ni z owego: „Moja matka nie żyje”. Natalie zawsze uważała, że Gerald jest głupkowaty, i ten jego nowy zwyczaj zdawał się to w końcu potwierdzać, ale teraz, idąc korytarzem do swojej klasy, nie mogłam oprzeć się myśli, że musi być jednak geniuszem. Ciekawe, skąd strażacy wiedzieli, że palący się papieros, który został na stoliku, należał do jego matki?

- Cześć, Helen, wspaniale wyglądasz! - pozdrowiła mnie jedna ze studentek. Miała na imię Dorothy i była najlepszą studentką w grupie, a zarazem trudną do zniesienia lizuską.

Czułam, że wtedy zwróciło na mnie uwagę jeszcze jedno czy dwoje spośród studentów. Poprawiali sztalugi, poniszczone i poplamione przez lata używania.

Podeszłam do trzysegmentowego parawanu, za którym się rozbierałam i ubierałam. Jak przez mgłę widziałam, co przygotowano na podium. Otóż na podium stała miska, a koło niej myjka i grzebień; do leżącej w głębi zasłony przypięto zdjęcie przedstawiające staromodną wannę. Nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. Pomyślałam „wanna” i weszłam za parawan, gdzie usiadłam na pomalowanym na czarno drewnianym krześle, żeby zdjąć pantofle i poszukać bambusowych japonek.

Uczepiłam się myśli, że Natalie zamierza powiedzieć mi o swoim przedsiębiorcy, kiedy nagle poczułam ostry zapach

wybielacza dochodzący od strony dawnego fartucha szpitalnego wiszącego na metalowym wieszaku po drugiej stronie parawanu. Kobieta, która robiła pranie dla budynku sztuki, bała się - jak zauważyliśmy z Natalie - ewentualnych chorób żywego modela. Skutek był taki, że używała tak dużo wybielacza, że w krótkim czasie przeżerał on tkaninę i fartuchy, których używaliśmy, robiły się bardzo szybko cienkie jak bibułka. Ale zapach jej strachu, w sposób oczywisty obecny w wybielaczu, potrafił mnie poderwać do działania. Usłyszałam, jak Tanner Haku, japoński grafik, który po dwudziestoletnim okresie nauczania w różnych częściach świata wyładował w Pensylwanii, wchodzi do pokoju i pozdrowia studentów. Zaczął do nich mówić o indywidualnym stylu w opisywaniu nagości.

Zdjęłam sweter przez głowę i włożyłam go do małego schowka pod oknem. Do drugiego schowka, pod spodem, wsunęłam buty. Usiadłam na krześle w halce matki i czarnych dżinsach. Słyszałam, jak po drugiej stronie parawanu Tanner Haku cytuje Degasa:

- „Rysunek to nie jest forma; to jest sposób, w jaki tę formę widzimy”.

Ale nie zdradził, czyje to słowa. Gdyby zdradził, musiałby wyjaśnić, kim był Degas i co znaczył dla niego osobiście. O tyle więcej musiałby dać z siebie swoim słuchaczom.

Rozpięłam dżinsy i wstałam, żeby je zdjąć.

- Ale to nie ma sensu - usłyszałam cieniutki głos jednego z chłopców.

Poczułam uderzenie w piersi Haku. Po tylu latach, mimo że byłam tylko modelką, zwykle czułam uderzenie we własnej piersi. Ale śmiałe stwierdzenie chłopaka wobec stuletniej

historii nie zrobiło teraz na mnie żadnego wrażenia. W pewien sposób otworzyło mi tylko oczy na to, że obojętne, co się stanie, sprawy potoczą się swoim rytmem - ze mną czy beze mnie. Przyjdzie Gerald i powie: „Moja matka nie żyje”, zmieszani studenci pokiwiają głowami, a on stanie na podium, co będzie oznaczało dla nich jedynie nieco zmienione zadanie: „Mężczyzna na piedestale” zamiast „Kobiety w kąpielni”, i potem oddadzą swoje prace, a Tanner będzie je oceniał obojętnie, słuchając ryczącej na cały regulator opery i popijając gin.

- Helen wykona kilka póz kobiety robiącej toaletę - oznajmił.

Odkładając zwinięte dzinsy do tej samej przegródki co sweter, słyszałam tu i tam chichoty. Próbuje ich zanęcić, pomysślałam, i to mi dało kolejny impuls do tego, żeby pozostać na nogach.

Wiedziałam, że wyjaśniając im, co to znaczy, z pewnością wskazywał miskę i myjkę, a także zdjęcie przedstawiające staromodną wannę. Wiedziałam też, że powinnam się pośpieszyć z rozbieraniem. Za moment Tanner powie: „Helen, jesteście gotowi”. Mimo to nadal stałam w halce matki. Czulałam na skórze jedwabisty dotyk starej tkaniny. Wyszłam z majtek, a następnie rozpięłam stanik, wyciągając go spod halki. Przeleciało mi przez głowę, że czeka na mnie Hamish. Wyobraziłam go sobie leżącego na kanapie w salonie Natalie. A potem obraz się zmienił i zobaczyłam jego głowę całą we krwi. Schowałam bieliznę do skrytki nad swetrem i spodniami.

Wszystko, co się w Westmore wiązało z rozbieraniem, miało swój rytm. Wchodziłam do klasy, pozdrawiałam

niektórych studentów, spoglądałam na podium i wchodziłam za parawan. Zaraz po wejściu profesora zaczynałam się rozbierać i rozbierałam się podczas jego wstępnej gadki poprzedzającej moje pozowanie. W każdym pokoju każda część garderoby miała swoje miejsce. W pokoju, w którym pozowała Natalie stała na przykład stara metalowa szafa uratowana z odnowionej sali gimnastycznej. W mojej klasie były skrytki i proste, malowane, drewniane krzesło. Kiedy przejechałam ręką po różowej halce, wyczuwając piersi, brzuch i niewielką wypukłość biodra, przyszła mi na myśl matka. Uświadomiłam sobie, jaką ucieczką zawsze było dla mnie Westmore. Przychodziłam, zdejmowałam z siebie wszystko i stawałam przed studentami, którzy mnie rysowali. Nigdy nie byłam na tyle głupia, żeby sobie wyobrazić, że mnie widzą, ale metodyczne rozbieranie się i wchodzenie na wyłożone dywanem podium, a nawet lekkie drżenie w moim ciele często miało w sobie coś z nastroju rewolucyjnego.

Słyszałam, jak studenci otwierają duże szkicowniki. Tanner zbliżał się do końca swojego bezużytecznego mini-wykładu. Zdjęłam halkę przez głowę i włożyłam bambusowe klapki. Na moment położyłam halkę na krzesle i zdjęłam z wieszaka szpitalny kitel, okrywając się nim szybko.

- Helen, jesteście gotowi.

Spojrzałam na halkę i poczułam się, jakbym zobaczyła na krzesle matkę. Chciało mi się płakać ze zgrozy, ale się nie rozplakałam. Czy w tym momencie włączył się instynkt samozachowawczy? Co mnie skłoniło do tego, żeby zrobić to, co zrobiłam? Zmięłam w dłoni halkę matki i jakby to był jeden z moich bibelotów, których się po kolei pozbywałam, wrzuciłam ją za schowki, pod ścianę. Wiedziałam, że będzie tam

leżała bardzo długo. Kiedyś Natalie zgubiła tam pierścionek i dopiero kilka miesięcy później znalazł go jeden z profesorów, znudzony tak bardzo tym, co robił, że w połowie zajęć postanowił przemeblować klasę.

Wyszłam zza podestu, przytrzymując w talii poły szpitalnego fartucha. Poza szuraniem moich kłapek i odgłosami poruszających się studentów panowała cisza. Wdrapałam się po dwóch stopniach na pokryte dywanem podium i Tanner wręczył mi małą książeczkę. Obie z Natalie dobrze ją znałyśmy. Niewiele większa od mojej dłoni, należała do serii małych książeczek o sztuce z późnych lat pięćdziesiątych i od dawna się tu w klasie poniewierała. Ten tomik zawierał piętnaście kolorowych plansz Degasa i był zatytułowany *Ubiierające się kobiety*.

- Jestem gotowa - powiedziałam, wyciągając książeczkę do Haku tak, żeby mógł ją ode mnie wziąć.

- To zaczynamy - odparł. - Po trzy minuty na pozy: dziesięć, dziewięć, siedem, cztery i na koniec dwa, którą możesz trochę przedłużyć. Znasz plansze?

- Znam - odparłam. Normalnie wymieniałabym jednym tchem wszystkie tytuły w takim porządku, w jakim mi je podał, ale przestałam zwracać na niego uwagę. Zamiast tego całą swoją energię zwróciłam ku Dorothy, najlepszej studentce w grupie. Zdecydowałam, że dla niej będę miała na sobie morderstwo matki.

Przy pierwszej pozie będę prawie całkowicie odwrócona tyłem do klasy, dlatego obróciłam się, kiedy Tanner schodził z podium. Za sobą zobaczyłam przypięte do zasłony zdjęcie

przedstawiające starą wannę. Zdjęłam fartuch i trzymając go w prawej ręce, udawałam, że to ręcznik w pozie *Po kąpieli, wycierająca się kobieta*. Tak jak ona, zgięłam się nieco w bok i ustawiłam głowę półprofilem. Natychmiast rozległ się odgłos energicznego skrobania, jakby studenci byli kamerami, a ja jakimś obiektem, który należy uchwycić w locie. Bardzo niewielu z nich miało, tak jak Dorothy, zdolność namysłu.

Te trzy minuty to było ustępstwo na rzecz studentów. Pod koniec semestru będą musiały im wystarczyć dwie. Ale mnie to przedłużanie każdej pozy odpowiadało, zawsze. Od samego początku dobrze się czułam w stanie całkowitego bezruchu. „Tak jakbyś się do tego urodziła”, powiedział mi kiedyś Jake.

Był wtedy moim nauczycielem. Moim Tannerem Haku, a ja z tego, co wiem, jego Dorothy. Ale nie miałam jej talentu. „Masz taką cudowną skórę”, mówił.

A ja się tego uczełam. Jakby - gdyby to powtórzył - coś miało we mnie pęknąć. I on to powtórzył. Powtórzył to, kiedy zauważył, że z zimna prawie dostałam dreszczy. Podeszedł do mnie, a ja leżałam, bo złapał mnie kurcz w bok, i stał nade mną, obserwując mnie. Bałam się, że w każdej chwili może powiedzieć: „Pomyliłem się, jesteś ohydna. To był błąd”. Ale on powiedział:

- Jesteś sina z zimna.

- Przepraszam - odparłam, za wszelką cenę próbując opanować szcęknięcie zębami. Miałam osiemnaście lat i nigdy nie widziałam nagiego mężczyzny, nie mówiąc już o tym, że sama nigdy nie byłam przy mężczyźnie naga.

- Wyluzuj się - powiedział.

Poszedł za parawan i przerzucił mi koc, który wylądował na mnie. Kontakt skóry z szorstką wełną wydał mi się brutalny, ale byłam zbyt zmarznięta, żeby narzekać.

- Nastawiłem wodę - powiedział. - Zaparzę herbatę. Jeśli chcesz, mam trochę japońskiego bulionu z makaronem.

Bulion z makaronem jako afrodyzjak. Później spytałam Jake'a, czy już wtedy wiedział, że będzie się ze mną kochał.

- Nie miałem pojęcia. Kiedy weszłaś w tym idiotycznym różowym kostiumiku, to o mało nie zacząłem się z ciebie śmiać.

- On był koralowy - poprawiłam go. Wydałam na niego wszystkie pieniądze, jakie miałam.

- Kiedy go zdjęłaś, zakochałem się.

- A więc strój był dobry?

- Dopiero gdy znalazł się na podłodze.

Kiedy Jake wrócił z dwoma kubkami herbaty, siedziałam skulona pod szorstkim kocem.

- Dziękuję ci, Helen - powiedział i postawił jeden z kubków koło mnie. Pamiętam, że byłam zbyt zmarznięta nawet na to, żeby po niego sięgnąć. - Wspaniale się dziś spisałaś.

Milczałam.

- A twoja skóra jest naprawdę fantastyczna.

Zaczęłam płakać. Złożyło się na to wszystkiego po trochu: i to, że tak zmarzłam, i że na dworze gromadziło się tyle śniegu, i że byłam tak daleko od domu i od matki. Jake postawił herbatę i zapytał, czy może mnie przytulić.

- Mhm - mruknęłam.

Objął mnie, a ja położyłam mu głowę na ramieniu. Nie przestawałam płakać.

- Co się stało? - zapytał.

Jak mogłam mu powiedzieć to, co mnie samej wydawało się śmieszne? Że marząc o tym, żeby wyrwać się od matki, tak bardzo za nią tęskniłam? To uczucie prześladowało mnie przez cały pierwszy semestr jak uporczywy ból.

- Bo jest mi tak zimno - powiedziałam.

- Zmiana! - szczechnął Haku.

Ostatnimi pociągnięciami ołówka studenci kończyli to, co w *Po kąpielach, kobieta wycierająca się* było najbardziej oczywiste, z pominięciem jednak tego, co wielu z nich wydawało się jeszcze zbyt krępujące, czyli mojego tyłka. Ilekroć oglądałam rysunki studentów pierwszych lat, zawsze największą dbałość o detale wykazywali wobec rekwizytów. Kiedy jednak pozowałam ludziom z Centrum Seniora, nie widziałam takich zahamowań. Rzucali się energicznie w wir pracy, wiedząc, że czas jest ograniczony.

- *Kobieta robiąca toaletę!* - oznajmił z dumą Tanner. Tym razem nie słyszałam śmiechów. Studenci byli poważni, a ja, upuszczając na podłogę zaimprovizowany ręcznik, nachyliłam się nad pozostawioną na krześle metalową miską i wzięłam gąbkę w prawą rękę. Obróciwszy się następnie przodem do klasy, objęłam piersi prawym ramieniem i sięgnęłam gąbką pod lewą pachę, jakbym się myła.

W tej pozycji zawsze czułam się niezręcznie. Patrząc w stronę lewej pachy, zbyt dokładnie widziałam własne ciało. Z biegiem lat na klatce piersiowej i ramionach przybawało mi plam od słońca, a sprężysta skóra, którą dostałam od natury, powoli wiotczała, niezależnie od tego, jakie pozycje odwrócone

wykonywałam na ćwiczeniach z jogi. Elastyczność w końcowym efekcie przegrywała z grawitacją. Żyłam na granicy pomiędzy trzymającą formę Wenus a rozebraną do naga matką Whistlera*]James McNeill Whistler - (1834-1903) amerykański malarz, *Matka artysty* to jeden z jego słynnych obrazów, do którego pozowała mu matka, znany też jako *Matka Whistlera*]. Kiedy szorstka wysuszona gąbka drażniła moją delikatną skórę pod pachą, pomyślałam nagle, że gdybym była mniej elastyczna, w gorszej formie fizycznej, nigdy nie byłabym zdolna do popełnienia żadnej z dwóch zbrodni, które miałam teraz na sumieniu. Nie dałabym rady ani unieść, ani ciągnąć mojej matki, a o tym, żebym mogła się wydać atrakcyjna Hamishowi, nie byłoby mowy.

- Helen? - usłyszałam głos Tannera. Stał blisko podestu. Czulałam zapach pigulek czosnkowych, które codziennie zażywał.

- Tak? - Wytrzymałam w swojej pozie.

- Wygląda na to, że masz dreszcze. Jest ci zimno?

- Nie.

- Skup się. Jeszcze dwie minuty na tę pozę - oznajmił, zwracając się do grupy.

Pięć lat temu, bardzo późnym wieczorem, Tanner postanowił, że narysuje szkielet królika, który widział w zakurzonej gablocie w starym Gmachu Biologii Krausego. Zabrał mnie ze sobą na jakąś wystawę i skończyło się tym, że wieczorem błakaliśmy się bez latarki po budynku, który wymagał remontu. Znaleźliśmy wiele gablotek, ale akurat nie tę, której szukaliśmy. Słyszając skrzypienie drzwi wyjściowych pod nami i głos starszawego strażnika wołającego w ciemność:

„Czy jest tam ktoś?”, zamarliśmy jak dwójka niesfornych dzieciaków.

Rok później przechodząc tamtędy podczas remontu „Krausego”, zobaczyłam jakieś kości sterczące z pojemnika na śmieci. Nie przejmując się tym, że ktoś może mnie zobaczyć, podniosłam spódnicę i wdrapałam się na cegły z żuzłobetonu, ułożone tu przez dźwig i jeszcze ciągle powiązane stalowymi taśmami, żeby móc zajrzeć do pojemnika na śmieci. Gdzie leżał sobie spokojnie na boku szkielet królika.

A teraz siedział, nieskazitelny, jako ozdoba kolekcji rzeczy znalezionych, którą Tanner ustawił na wysokim parapecie ciągnącym się przez cały pokój. Był to pierwszy detal, który rzucił mi się w oczy, kiedy tam czasem wchodziłam: delikatne kości królika obok kamieni różnych kształtów i wielkości, indiańskiego amuletu zwanego Bożym okiem, wykonanego przez dziecko jednej ze studentek, i niezliczonej ilości sztuk szkła wyrzuconych przez morze na wybrzeżu Jersey, dokąd Tanner odbywał samotne wycieczki.

Teraz poczułam złowrogą obecność tych kości za sobą i nie mogłam pozbyć się sprzed oczu obrazu ciała mojej matki rozkładającego się warstwa po warstwie aż do samego szkieletu. Było w tej idei złuszczenia się aż do pożąłkłych elementów wapnia, powiązanych ze sobą dla zapobieżenia ostatecznemu rozpadowi, coś, co wydało mi się jednocześnie przerażające i krzepiące. Myślałam o tym, że matka była wieczna jak księżyc. Miałam ochotę w tej mojej niezręcznej pozie śmiać się z nieuchronności tego zjawiska. Martwa czy żywa, obecna czy nieobecna - matka kształtuje twoje życie. Czy wydawało mi

się, że to będzie proste? Że zniszczenie jej materialnej substancji będzie oznaczało, że zostałam pomszczona? Rozśmieszałam ją, udając głupią. Opowiadałam jej różne historie. Paradowałam jak idiotka na łasce innych idiotów, gwarantując jej w ten sposób, że przez wypinanie się na cały świat, nie traciła dosłownie nic.

Poświęcając jej całe swoje życie w skali globalnej, kupowałam sobie skromne chwile względnej swobody. Mogłam na przykład czytać książki, które mi się podobały. Mogłam hodować kwiatki, które lubiłam. Mogłam jeździć do Westmore i stać nago na podium. Tylko myśląc, że jestem wolna, mogłam wreszcie zrozumieć, jak bardzo byłam zniewolona.

- Zmiana! - szczechnął Haku. W jego tonie usłyszałam przyganę, że za mało przykładałam się do pozy.

A tę następną przyjęłam po minutach wielkiej niewygody jak błogosławieństwo. Usiadłam bokiem na krześle, wiedząc, że studenci będą musieli wyobrazić sobie pode mną brzeg wanny. I to, że moja pupa, nie spłaszczona o krzesło, będzie bardziej okrągła. Ponownie sięgnęłam po szpitalny fartuch odgrywający rolę ręcznika. *Po kąpeli, kobieta wycierająca szyję* zawsze umożliwiała jeden czy dwa masujące uciski ramion, zanim zastygłam w bezruchu.

Słyszałam, jak kilkoro studentów narzeka pod nosem, że mają za mało czasu. I że chcieliby, aby te pozy trwały dłużej. Jednego z chłopaków, mimo poczucia, że jestem niesprawiedliwa, szczególnie nie lubiłam. Kiedy się przedstawiałam studentom w pierwszym tygodniu zajęć, mówiąc o sobie i o moich córkach - gdzie mieszkają i co robią - ten chłopak powiedział: „To pani jest prawie taka stara jak moja matka”. Odpowiedziałam mu, ponieważ moja duma nie stawiała mi

żadnych ograniczeń, że mam czterdzieści dziewięć lat. Jego składająca się z dwóch słów odpowiedź, którą ze śmiechem powtórzyłam matce, brzmiała: „Zarzygane miasto”.

- Kiedyś próbowałam uwieść Alistaira Castle - powiedziała matka. Stałam jak wryta, gapiąc się na nią. Po osiemdziesiątce zaczęła mi mówić rzeczy, o których wcześniej nie wiedziałam. Jak w niestosowny sposób dotykał jej jeden z przyjaciół ojca. Jak przestała mieć - jak to nazywała - „stosunki” z ojcem po jego wypadku. Że nie przepadała za Emily, a jednocześnie bardzo lubiła opowieści Sary o nieudanych przesłuchaniach. - Wyobraź sobie castingi na kelnerów - powiedziała zachwycona tym, że aby w Nowym Jorku dostać pracę w restauracji, konieczne są nieraz wielokrotne przesłuchania.

Z każdą taką niespodziewaną rewelacją byłam coraz bardziej odrętwiała. Doskonaliłam w sobie tę sztukę, żeby z krótkich migawek wyłuskać prawdę.

- No i jak ci poszło z tym uwodzeniem? - zapytałam matkę, cierpiąc na samą myśl o bólu, jaki to musiało zadać ojcu, o ile o tym wiedział.

- Zarzygane miasto! - odpowiedziała matka, patrząc w pusty kominek, którego cegły zostały pomalowane na czarno. - Marlena Dietrich dobrze to ujęła. - Przez jakieś dziesięć lat możesz sobie gumowymi taśmami oblepiać głowę i naciągać skórę, ale potem jest czas na ukrywanie się. Przynajmniej wtedy masz zapewnioną tajemniczość.

Miałam ochotę jej powiedzieć, że w kategoriach tajemniczości wygrała pierwszą nagrodę. Od Billy'ego Murdocha do eskapad pod kocami jej tajemniczość była kuloodporna,

nawet jeśli bardziej kojarzyła się z czymś dziwnym czy nawet niesamowitym niż nieosiągalnym.

Przenosząc wzrok z kominka na mnie, wygłosiła swoją ocenę:

- Powinnaś sobie zrobić operację plastyczną. Ja bym sobie zrobiła, gdybym była w twoim wieku.

- Nie, dziękuję.

- Faye Dunaway - powiedziała matka.

- Cycki, mamó. Jeśli cokolwiek sobie zrobię, to gigantyczne, monstrialne cycki. Żeby serwować na nich obiad. Ty będziesz mogła jeść z prawego, a ja z lewego.

- To odrażające, Helen - odparła matka, ale przynajmniej udało mi się doprowadzić ją do śmiechu.

Wstałam, żeby opuścić żaluzje i nastawić jej w telewizji na wieczór program PBS ze spektaklami. Kiedy już opuściłam żaluzje do końca i ruszyłam w kierunku znajdującego się w przeciwnym rogu telewizora, matka wypuściła swoją strzałę:

- A poza tym rozmawiałam z Mannym i oboje uważamy, że korekty wymaga właśnie twoja twarz. Ciało jest jeszcze w porządku.

Miałam ochotę powiedzieć: „Cieszę się, że Manny chciałby wypieprzyć moje bezgłowe ciało”, ale zamiast tego powiedziałam:

- Wygląda na to, że program *Live at the Boston Pops* uprzedził *Wall Street Week*.

Kilka dni później dowiedziałam się reszty.

- Hilda Castle była w szpitalu z powodu amputacji macicy - zaczęła matka. - I ja zaoferowałam mu siebie.

To sformułowanie wydało mi się odrażające.

- Co zrobiłaś?
- Chciałam go uwieść.

Trzymałam wielkie ręczniki kąpielowe, których używałam do zasłaniania matki, kiedy szła do samochodu, a ona starała się nas opóźnić, jak zawsze, kiedy wiozłam ją do lekarza.

Stałyśmy przy drzwiach wyjściowych i właśnie rozwijałam pierwszy ręcznik, drapując go na jej ramionach jak szal. Służył jako wsparcie na wypadek, gdyby ręcznik osłaniający głowę i twarz się zsunął - wtedy mogła szybko sięgnąć po „szal” i się zasłonić.

Spojrzała mi w oczy - ręcznik w kolorze morskich alg rzucał cień na jej kredowobiałą twarz.

- Czy Sara się pieprzy?

Nie byłam taka głupia, żeby dać się wciągnąć.

- Spóźnimy się na badanie - powiedziałam. Była zapisana na rezonans magnetyczny, którego bała się śmiertelnie. Przez wiele tygodni poprzedzających badanie znajdowałam ją leżącą na podłodze w salonie z tykającym budzikiem przy głowie.

- Co ty robisz? - pytałam.
- Ćwiczę - odpowiadała.

Wizyty u lekarza były jedną z tych spraw, których nie mogłam załatwić bez udziału matki. To jej ciało lekarze musieli miętosić czy szturchać, a nie moje. Dwa razy człowiek, którego do tej pory nazywała „tym nowym doktorem”, mimo że przejął obowiązki lekarza rodzinnego rodziców już w latach osiemdziesiątych, namawiał ją, żeby spróbowała zażywać środki uspokajające. Chciał w ten sposób sprawić, żeby opuszczanie domu nie było dla niej tak traumatycznym

przeżyciem. Skinęła głową, jakby uznała to za mądrą radę, a ja patrzyłam, jak starannie składa wypisaną receptę najpierw na pół, a następnie na coraz mniejsze kawałki. Kiedy dotarłyśmy do samochodu, recepta była już wielkości paznokcia, mniejsza nawet od zapisków, które znajdowałam w pokoju Sary, kiedy była nastolatką. „Mindy pieprzyła się z Owenem pod trybunami”, głosiła jedna z notatek Sary. „Xanax, 10 mg według potrzeb”, głosiła recepta matki.

Jako jej córka mogłam realizować recepty i mimo że matka nie chciała się leczyć, to czasem przed zmaganiem związanym z zapakowaniem jej do samochodu sama łykałam pigułkę. Byłam w tych sprawach optymistką, jakbym wierzyła, że przez wzięcie środka uspokajającego rozwalę samochód i zabiję jedną z nas albo obydwie i wtedy życie stanie się łatwiejsze.

- Emily musi się pieprzyć, bo jest mężatką - powiedziała matka, ale kiedy kończyła zdanie, zarzuciłam jej ręcznik na głowę, tłumiąc dźwięk. W gruncie rzeczy było lepiej, kiedy czepiała się takich tematów. Agresja stanowiła jej siłę, dlatego wołałam to od jęków, których mi nie szczydziła, kiedy sprowadzałam ją po schodkach i do samochodu.

Robiłam to zbyt wiele razy, żeby się przejmować tym, co sobie pomyślą sąsiedzi. Dowiedziałam się od Manny'ego, że większość nowych sąsiadów uznała matkę za ofiarę poparzenia i że te koce i ręczniki mają ukrywać jej blizny.

- Ale to naprawdę bardzo miła starsza pani - powiedział.
- Byłem zdziwiony.

- No właśnie. - I wtedy Manny poszedł do piwnicy wykonać jakąś bliżej nieokreśloną usługę, za którą musiałam mu wymyślić jakąś zapłatę.

- Alistair Castle tylko na mnie popatrzył - ciągnęła matka, siadając obok mnie w samochodzie, nakryta ręcznikami - i przestał do nas wpadać.

- A Hilda zaczęła - dodałam.

- On ją odrzucił po operacji. Miałyśmy to wspólne.

- Co? Amputację macicy?

- Nie, odrzucenie seksualne - odparła matka. Uniosła lekko ręcznik, żeby się upewnić, że ją słyszę.

- Rozumiem - uspokoiłam ją.

- Zmiana! - ryknął Tanner.

Słyszałam objawy niepokoju wśród studentów. Trzy pozy to było na ogół maksimum tego, co mogli wytrzymać. Zmiany, jakich wymagała *Kobieta myjąca się w kąpieli*, były minimalne. Musiałam się trochę niżej pochylić i „ręcznik” zastąpić gąbką, którą miałam trzymać na karku. Ramiona mnie wprawdzie bolały, ale zdążyłam już do tego przywyknąć. Szybko namierzyłam wzrokiem stojącą przy sztalugach Dorothy. Wpatrywała się we mnie intensywnie.

Jake pochodził z bardzo pobożnej rodziny. Emily odziedziczyła to po nim, łącząc spirytualizm New Age, chrześcijański ruch odnowy i ekumeniczny globalizm, graniczący ze skłonnością do ekstazy.

Pomyślałam o ojcu zajmującym się owcami na cmentarzu kościoła, w którym nigdy nawet nie był. Kościoły go przerażały. „Wolę być na zewnątrz, ze zmarłymi”, wyznał mi kiedyś. W ciągu tygodni, jakie nastąpiły po jego samobójstwie, przypisywałam tym słowom znacznie większe znaczenie, niż najprawdopodobniej były do tego podstawy. Dotyczyło to zresztą

wszystkiego. Przypominały mi się na przykład szczególnie ciepłe całusy, jakie składał na czołach Emily i Sary na kilka dni przed. Uderzyło mnie, że wszystkie jego garnitury wisiały porządnie w szafie, a szczególnie ten jeden, na który zwrócił uwagę Jake - jeszcze z metką z pralni, gotowy do włożenia. Poszłam do warsztatu ojca, żeby poszukać zdjęcia, które odkryłam tam jako dziewczynka.

Znalazłam je w szufladzie z narzędziami. Patrzyłam na chłopca, który miał zostać moim ojcem i który w końcu miał się zabić. Jak głęboko sięgały te sprawy?

Miałam to zdjęcie przed oczami, wybierając numer Jake'a w Wisconsin. Jego prace zaczynały właśnie zwracać uwagę. Jake był w trakcie starania się o stypendium Guggenheima na wyjazd za granicę. Dopiero co wyprowadził się z mieszkania rotacyjnego dla pracowników uczelni, które zajmowaliśmy wspólnie, i wynajął dom pod Madison - siedzibę nad jeziorem.

- Powiedz mi wszystko - zażądał.

- Kiedy nie mogę.

Zdołałam wyrzucić z siebie jakieś słowa, unikając jednak najbardziej dosadnego - „samobójstwo”. Wobec tego Jake opisał mi brzeg jeziora. Mówił, że tylne drzwi jego domu wychodzą na kilka betonowych stopni prowadzących do samej wody, która w zależności od pory roku potrafi podchodzić dosłownie na odległość kilku centymetrów od drzwi.

- Gdzie są dziewczyny? - zapytał w pewnym momencie.

- U Natalie - odparłam. - Ja jestem w kuchni, matka na górze.

Trzymałam kurczowo sznur od telefonu, aż mi zbiełały paznokcie.

- Mów cokolwiek - zachęcał mnie Jake. – Po prostu mów.

Podeszłam do okna. Widziałam teraz warsztat ojca i ogródek za domem Levertonów.

- Wnuk pani Leverton był akurat w ogródku i wrywał chwasty pomiędzy płyt chodnikowych - powiedziałam. - To pani Leverton wezwała policję.

Czułam gułę w gardle, ale stłumiłam szloch. Wzbierał we mnie ślepy gniew, byłam zagubiona. Nienawidziłam wszystkich.

- Myślałam dziś rano o ojcu - taka przelotna myśl. Wiozłam dziewczyny do ośrodka YMCA. Emily dostała wczoraj Odznakę Latającej Ryby i kiedy się zatrzymałam na światłach, usłyszałam z tyłu muzykę. To był Vivaldi, coś bardzo dramatycznego, co wywoływało uśmiech na twarzy ojca. Pan Forrest wiedziałby dokładnie, co to za utwór.

Wyciągnęłam na środek kuchni czerwony podnózek. Siedząc na nim, mogłam patrzeć przez jadalnię aż na drugą stronę ulicy.

- Użył starego pistoletu dziadka - powiedziałam.

Od czasu do czasu słyszałam chwilowe trzaski na linii albo poszum oddechu Jake'a - zakłopotanie wynikające z dzielącego nas dystansu. Powiedziałam mu wszystko, co wiedziałam: jak ojciec wyglądał, kiedy stałam w drzwiach; że matka wydawała się całkowicie unicestwiona, a ja miałam wielki kłopot ze skupieniem na niej uwagi; że policjanci i sąsiedzi

byli tacy delikatni, tacy dobrzy, a ja chciałam tylko jednego: pozrywać im twarze i rzucić je, takie mokre, krwawe na podłogę, tam gdzie leżał ojciec.

Wreszcie, kiedy tak mówiłam już bardzo długo, odezwał się Jake.

- Wiem, że cię kochał.

Opadła mi szczęka. Pomyślałam o wódce znajdującej się w moim zamrażalniku. Zastanawiałam się, jakie leki - środki uspokajające i przeciwbólowe - czaiły się na górze w szafkach łazienkowych i w szufladach komody.

- A jaki masz dowód tej miłości?

Ale Jake nie wiedział, co odpowiedzieć.

Przypomniał mi się ksiądz katolicki. Ojciec twierdził, że ksiądz nigdy nie pamiętał jego imienia.

- Zawsze mówił na niego David zamiast Daniel, kiedy się spotykali przy owcach.

- Helen? - Był to głos Tannera, który stał blisko mnie. W głębi klasy słyszałam jakieś zamieszanie. Z trudem zmieniłam pozycję z pochylonej na siedzącą.

- Masz - powiedział Tanner - włóż to na siebie. Zarzucił na mnie sztywny jak papier szpitalny fartuch.

- Jacyś mężczyźni do ciebie.

- Mężczyźni?

- Policja, Helen.

Ponad ramieniem Tannera spojrzałam w głąb pokoju. Na tle drzwi stało dwóch mundurowych policjantów, starając się nie patrzeć w żadnym kierunku, żeby przypadkiem nie zobaczyć rysunków przedstawiających moje nagie ciało. Koło nich, tak samo sztywno jakby kij połknął, tyle że w sportowym płaszczu i spodniach, stał inny mężczyzna. Miał gęste

siwe włosy i wąsy. Rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na mnie.

- Dziś skończymy wcześniej - powiedział, zwracając się do studentów. - Do następnego razu.

Słysząc było szuranie potrąconych sztalug, kiedy studenci zbierali szkicowniki i odkładali węgiel. Otwierano plecaki i włączano telefony, które nagle zaczęły odzywać się melodyjkami, gwizdkami i dzwonekami, by poinformować studentów, że kiedy siedzieli zamknięci w klasie, to owszem, tak jak myśleli, na zewnątrz działy się rzeczy dużo bardziej ekscytujące.

Przypomniała mi się ręcznie robiona bożonarodzeniowa ozdoba z filcu, którą pewnego roku w połowie lipca przysłała mi matka do Wisconsin. Rzecz była wypracowana w każdym szczególe - od naszywanych ornamentów z paciorków, przy czym nie było dwóch podobnych - do pętelki na czubku, wykonanej ze splecionej jedwabnej nici. Wsunęta do środka kartka głosiła: „Zrobiłam to sama. Nie marnuj życia”.

Kiedy studenci opuścili klasę, mężczyzna w sportowej marynarce podszedł do podium.

- Helen Knightly - powiedział, wyciągając rękę. - Jestem Robert Broumas z policji Phoenixville. - Jego dłoń zawisała w powietrzu, a ja wskazałam na swoje ręce, w których trzymałam przed sobą fartuch.

- Tak?

- Obawiam się, że mamy dla pani niezbyt miłe wiadomości.

- Słucham. - Myślałam o tym, jak się przygotować, co powiedzieć. Zbliżało się przyjęcie z niespodzianką bez

niespodzianki, a ja nie miałam zielonego pojęcia, jak się zachować.

- Dziś rano sąsiadka znalazła pani matkę.

Gapiłam się to na mężczyznę, to na Tannera.

- Nie rozumiem.

- Pani matka nie żyje, pani Knightly. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

Nie byłam w stanie przybrać żadnego określonego wyrazu. Mężczyzna obserwował mnie pilnie, a ja potrafiłam tylko na niego patrzeć. Wstanie czy zejście z podium wydawało mi się aktem tchórzostwa, przyznaniem się do winy.

Gdybym tylko mogła zemdleć - taka chwila nieświadomości dobrze by mi zrobiła - ale nie mogłam. Chciałam zemdleć już wtedy, na widok ojca, ale zamiast tego usłyszałam słowa matki: „Ona mi pomoże posprzątać”, skierowane do policjanta stojącego najbliżej niej, a ja, nie wiedząc, co zrobić, pomaszerowałam do kuchni, napełniłam wodą starą nerkę szpitalną, po czym wróciłam na korytarz, gdzie matka stała boso w kałuży krwi ojca.

- W końcu jednak to zrobił - powiedziała. - A ja byłam pewna, że nie zrobi.

Miałam ochotę ją uderzyć, ale wiedziałam, że obserwują nas policjanci, a poza tym trzymałam w rękach naczynie z wodą.

Kiedy miałam dwanaście lat, znalazłam zdjęcie ojca w małej metalowej szufladzie pod jego warsztatem. Na zdjęciu był młodym mężczyzną i stał na tle starego szeregowego domku z cegły. Pozował na wylanych z betonu okazałych schodach. Po ich obu stronach wznosiły się filary z cegły i zaprawy. Ojciec miał na sobie wymiętą białą koszulę i spodnie w kratkę z wąskim brązowym paskiem. Koło schodów, na których stał, na tle skrawka zaniedbanego ogródka, widać róg dużego kwadratowego pojemnika na śmieci. Z pojemnika sterczały nogi stołu i coś, co wyglądało na krzesło.

Jako dwunastoletnia dziewczynka zaczęłam się przyśluchiwać temu, co ojciec mówił o miejscu swego pochodzenia. Miasto nazywało się Lambeth, ale na nowych mapach „Lambeth” funkcjonowało już tylko jako nazwa tamy na rzece Delaware.

Matka mówiła na nie „brudne miasto”, ponieważ po tym, jak je zamknęli i wysiedlili mieszkańców - „przeprowadzili”,

jak ładne określali to, co zrobili z ludźmi - zbudowali tamę i odwrócili bieg rzeki, co miało skutkować obumieraniem miasta.

Zamiast tego, mimo starannych kalkulacji inżynierów i kreślarzy, ulicami waliła rycząca ściana mułu, najeżona kosiarkami i szkieletami zwierząt z przydomowych cmentarzy. Po upływie sześciu miesięcy fala mułu cofnęła się, pozostawiając górne partie miasta skąpane w błocie i zrujnowane przez wodę.

Oficjalna powódź wydarzyła się wkrótce przed tym, nim ojciec poznał matkę na sesji zdjęciowej u Johna Wanamakera. „To dlatego zająłem się wodą”, tłumaczył ludziom. Powódź zbiegła się z dynamicznym rozwojem okolicznych miast, łącznie z Phoenixville. „Lambeth zapłaciło za Społeczne Centrum Świętego Ducha”, podkreślał, ilekroć przejeżdżaliśmy koło przysadzistego ceglano-srebrnego budynku.

Kiedy miałam trzynaście lat, ojciec zdecydował, że jestem dostatecznie duża, żeby mnie zabrać do zatopionego miasta, w którym się wychował. Przygotował koszyk piknikowy dla nas dwojga i złożył na czole matki lekki pocałunek.

- Do zobaczenia, moja piękna - powiedział.

Czterdzieści minut później poczułam, że atmosfera w oldsmobilu zmienia się w sposób niemal namacalny. Zbliżaliśmy się do miasta, gdzie niskie parterowe domki i pięciosegmentowe szeregowce z cegły nadal tworzyły spokojne sąsiedztwa, dopóki woda nie zalała ulic, które wylaniały się kilka kilometrów dalej.

Dom ojca, kiedy go wreszcie zobaczyłam, okazał się ruiną

budynku z fotografii. Stał w szeregu domów z wyrokiem, które choć przeznaczone do rozbiórki, z roku na rok pozostawały na miejscu. Dostęp do nich był możliwy jedynie przez dziurawą asfaltową drogę, opadającą po obu stronach do wyłobionych przez wodę kanałów. Próbując unikać ziejących w niej dziur, ojciec lawirował samochodem jak pijany. Dla mnie była to przerażająca jazda rodem z wesołego miasteczka.

Wreszcie stanęliśmy przed frontowymi drzwiami. Kiedy wspinaliśmy się po przegniłych schodach, ojciec wziął mnie za rękę.

- To tutaj stałeś na tamtym zdjęciu - powiedziałam.

- Przyroda odbiera sobie różne rzeczy. Uważaj na ganku - ostrzegł mnie ojciec.

I rzeczywiście, deski podłogi, niszczone od lat i pozbawione ochronnej warstwy farby, były prawie całkowicie przegniłe. Ktoś - jak się zorientowałam, właśnie ojciec - przykrył podłogę arkuszem sklejki tak, żeby można było bezpiecznie dojść do drzwi. Zobaczyłam wypilowane brzegi dziwnej wycinanki i poznałam w niej to, co pozostało po wycięciu przez ojca grzbietu konia na biegunach.

Weszliśmy do frontowego korytarza, gdzie zobaczyłam stojącą na starym krześle lampę na propan. Pochodziła z warsztatu ojca.

- Zobaczysz tu rzeczy, o których lepiej nie mówić mamie - powiedział.

Od jakiegoś czasu czytałam zachomikowane książki, których nie było na liście lektur szkolnych, i wydawało mi się, że wiem, na czym polegają „męskie potrzeby”. Wyobraziłam sobie coś, co z Natalie uwielbiałyśmy za samą nazwę: jaskinię

rozpusty. A więc koniecznie aksamitne kotary, poduszki i postacie kobiet palących napełnione czymś fajki, które wyglądały na wazon, ale nimi nie były. Tylko tak daleko sięgała moja wyobraźnia, ale uważałam, że jestem przygotowana.

Nie byłam.

Początkowo nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Nie w przedpokoju ani nie w pokoju od frontu, ale już w pomieszczeniach od tyłu na parterze i w sypialniach na piętrze zobaczyłam coś, dzięki czemu zrozumiałam, co robił latami ojciec w swoim warsztacie, kiedy nie był zajęty końmi na bieżących: wycinał postacie ze sklejki.

Kiedy weszłam do kuchni i zobaczyłam przybitą do ściany pięknie wyciętą ze sklejki grupę: siedzących przy stole dwoje dorosłych i dziecko - cofnęłam się.

- Tato! - powiedziałam.

- Jestem tutaj.

I rzeczywiście, stał dokładnie za mną na tle drzwi.

- To jest bardzo fajne.

Nawet nie patrząc na ojca, wyczuwałam jeden z jego rzadkich uśmiechów.

- Cieszę się, że ci się podobają.

Podeszłam do wykonanej ze sklejki grupy i delikatnie, uważając na drzazgi, obwiodłam palcem wskazującym głowę dziecka. Brzegi były nieobrobione, a postacie niepomalowane i przymocowane najróżniejszymi śrubami i gwoździ.

- Czy to masz być ty? - spytałam, kładąc płasko dłoń na piersi dziecka.

- Tak - odparł ojciec. - A to moja matka i ojciec. Druga praca. Byłaś wtedy bardzo mała.

W pewnym momencie doznałam olśnienia: ojciec musiał budować rodzinę z dykty od jakichś dwunastu lat. Świadomość dzielonej z nim tajemnicy, do której matka nie miała dostępu, spowodowała we mnie uderzenie adrenaliny.

- Czy to tutaj byłeś wtedy? - zapytałam.

- Nie - odparł ojciec i powtórzył znany tekst: - Byłem w Ohio, z wizytą u znajomych i rodziny.

Mając trzynaście lat czułam już, że rodzice kłamią, ale wciąż jeszcze nie wiedziałam dlaczego.

W pokojach panował chłód, bo nie było ogrzewania i wokół ludzi ze sklejki tynk podpadał niemal do gołych desek, ale zrozumiałam, dlaczego ojciec lubił tu być. Odpowiadała mu śmiertelna cisza, którą zakłócało tylko skrobanie gałęzi o szyby. Od czasu do czasu jakaś szyba pękła, „dlatego, że drzewa chcą zawładnąć tym miejscem”, wyjaśnił ojciec.

- Jesteś gotowa iść na górę? - zapytał.

- Kiedy tu jest tak straszno, tato.

- Ale chyba mogę na ciebie liczyć, co? - Na moment ojciec ściągnął brwi w wyrazie niepokoju.

- Jeśli sobie tego życzysz, nie pisnę ani słowem - zapewniłam go.

Wdrapaliśmy się razem po schodach, jakbyśmy szli na jakieś przyjęcie, które miało się odbyć na górze. Tutaj czekało na nas jeszcze więcej postaci. W pokoju po lewej stało łóżko, a w nim podparty na poduszkach chłopiec. Widać było odległość między zgiętym łokciem a ścianą. W nogach łóżka stała kobieta.

- To matka, która przysłała mnie obudzić - wyjaśnił ojciec.

- A to kto? - Wskazałam chudą postać trzymającą coś, co bez farby czy choćby jakiegoś cieniowania wyglądało na sznur albo węża.

- To lekarz. Przyszedł osłuchać mi płuca.

Obróciłam się i spojrzałam na ojca.

- Często chorowałem. Było to dla mojej matki wielkie obciążenie.

W innym pokoju miałam wrażenie, że widzę siebie. Bez słowa wskazałam palcem przybitą do ściany postać.

- Tak - potwierdził ojciec.

W tym pokoju - najmniejszym na całym piętrze - były jeszcze dwie postacie, ale nie spytałam, kogo mają przedstawiać. Skoro jednak największą z nich byłam ja - ośmio- czy dziewięcioletnia Helen - to leżące po moich bokach tobołki musiały być moimi nienarodzonymi braćmi albo siostrami.

Pośrodku największego pokoju, gdzie dwoje dorosłych stało, gestykując, znajdował się koń na biegunach, taki sam jak ten, którego ojciec wykonał dla mnie, i jak te, które co roku robił na kiermasz dziecięcy w kościele prawosławnym. Koń, którego miałam przed sobą, był całkowicie gładki, z wyjątkiem poprowadzonych ołówkiem linii, oznaczających granice między kolorami.

- Czemu go nie pomalowałeś? - zapytałam.

- Myślałem o tym - odparł ojciec - ale chciałem, żeby czuł się tu jak u siebie. Jeśli masz ochotę, to się na nim przejeżdż.

- Jestem na niego za duża, tato.

Zobaczyłam smutek w jego oczach przysłoniętych grubymi okularami.

- Ale nie w tym domu. Tu nie mamy wieku.

Spojrzałam na ojca i w samym środku klatki piersiowej poczułam ból, jakby całe powietrze w pokoju nie wystarczyło, by wypełnić moje płuca.

Ojciec uśmiechnął się do mnie, a ja, nie chcąc go zawieść, odwzajemniłam jego uśmiech.

- Pokażę ci - powiedział.

Zdjął okulary, złożył je ostrożnie i ujmując w dwa palce podał mnie. Wzięłam okulary za ramki obydwoma rękami. Wiedziałam, że świat ojca bez okularów jest wypełniony jedynie rozmazanymi plamami i kolorami.

Ostrożnie dosiadł konia.

- Muszę przyznać - powiedział - że wcześniej tego nie próbowałem. Nie wiem, jaki ciężar wytrzyma.

Siedział na płaskiej tylnej części konia, podpierając się nogami, zamiast je podkurczyć i oprzeć na sterzących po obu stronach kołkach. Byłam wdzięczna za to, że mogę trzymać jego okulary. Gdybym się skrzywiła, mogłoby to wyglądać na uśmiech.

Zakołysał się lekko na koniu, przenosząc ciężar ciała głównie, jak się zorientowałam, na nogi.

- Hilda twierdzi, że wkręcą w te konie tyle śrub, że wytrzymałyby nawet konia! - roześmiał się z żartu pani Castle.

Bieguny ze sklejki w zetknięciu z drewnianą podłogą wydawały odgłos, który mi się nie podobał: przeczył wszystkiemu, czego uczyła mnie matka - że meble powinny stać na dywanach, a filizanki na podstawkach.

- Idę na górę - oznajmiłam.

Ojciec przestał się bujać na koniu.

- Nie, kochanie - powiedział. - Tam nic nie ma.

- Ale tam są jeszcze schody - upierałam się.

- Prowadzą na bardzo ciasny strych. Nic tam po nas.

Podniósł się, ale w dalszym ciągu stał okrakiem nad koniem, a ja wiedziałam, że ukrywa kolejny sekret.

- Idę na górę! - wykrzyknęłam wesoło, odwróciłam się i pobiegłam, w dalszym ciągu trzymając w rękę okulary ojca. Łapiąc za słupek balustrady i stawiając nogę na pierwszym stopniu, słyszałam, jak ojciec rusza za mną.

- Nie, kochanie, nie! - rozległ się za mną jego głos.

Na szczycie schodów były składające się z czterech paneli drzwi. Położyłam rękę na zimnej porcelanowej gałce.

- Nie spodoba ci się to, co tam zobaczysz.

- No cóż - powiedziałam przez ramię. - Takie jest życie. - Było to wyrażenie, którego często używał pan Forrest podczas rozmów z matką w salonie. Kiedy narzekała, mówił: „Takie jest życie”, i z powrotem sprowadzał rozmowę na Trollope'a i powieść *The Glimpses of the Moon* Edith Wharton, której pierwsze wydanie dał jej w prezencie.

Przekręciłam gałkę i weszłam do pokoju. Był znacznie mniejszy od pokoiów na dole i miał okna tylko w tylnej ścianie, z widokiem na zatopione ogródki Lambeth. W przeciwieństwie do parteru i pierwszego piętra, widok z drugiego piętra był wolny od drzew. W oddali widać się złowrogo Delaware.

Ojciec stał za mną w drzwiach. Wolno wchodził po schodach, dając mi czas na zobaczenie tego, co mnie tu czekało. Jego oczy bez okularów wydawały się zagubione.

- Proszę - powiedziałam.

Macając ręką, wziął ode mnie okulary i założył.

- Od frontu jest rupieciarnia. Można tam wejść, wczolgując się przez te małe drzwiczki.

Ale ja patrzyłam na leżący pośrodku materac, obciążony niebieską tkaniną, na zwinięte koce i poduszkę. Pomyślałam o tych wszystkich dniach i nocach, które ojciec spędził z dala od nas.

- Ja tu czasem śpiam - powiedział.

Przesunęłam stopy tak, że ze swojego miejsca ojciec mógł widzieć tylko moje plecy. Koło wezglowia łóżka na podłodze leżały rozrzucone książki w miękkiej oprawie. Poznałam wśród nich historię pociągów w fotografii. Kiedyś widziałam ją na nocnym stoliku w sypialni rodziców. Była tutaj też wielka antologia poezji miłosnej - prezent gwiazdkowy od ojca dla matki. Spod powieści detektywistycznych wystawało pełne udo nagiej kobiety z jakiegoś ilustrowanego pisma. Jej skóra wydawała mi się pomarańczowawa.

- Lubię sobie popatrzeć nocą na te ogródki Lambeth. Czuję się, jakbym siedział ukryty w gnieździe.

- Tato, czy ty wtedy rzeczywiście pojechałeś do Ohio? - zapytałam.

- Byłem w szpitalu, Helen.

Próbowałam to wszystko ogarnąć.

- A te twoje wyjazdy służbowe?

Moje pytanie zawisło w powietrzu. Ojciec podszedł do mnie od tyłu i położył mi ręce na ramionach, a następnie

nachylił się i pocałował mnie w czubek głowy, tak jak to czasem robił z matką.

- Wyjeżdżam służbowo, ale czasem w drodze powrotnej zatrzymuję się i spędzam tutaj noc.

Wyrwałam mu się i odwróciłam. Czulałam, że mnie palą policzki.

- Zostawiasz mnie z nią samą - powiedziałam.

- Ona jest twoją matką, Helen.

Potknęłam się o materac i upadłam. Ojciec podszedł do mnie, ale szybko zerwałam się na nogi i przeszłam do wezłowania łóżka tak, żeby dzieliła nas niebieska tkanina i śmierdzący tobolek pościeli.

- Tylko na jedną albo najwyżej dwie noce.

Kopnęłam antologię poezji miłosnej i powieści detektywistyczne, odsłaniając pomarańczową kobietę. Jej piersi były większe, niż sobie wyobrażałam, że mogą być piersi kobiece. Ale już wtedy uderzyły mnie jako coś absurdalnego.

Oboje gapiliśmy się na kobietę.

- Ona jest wulgarna, tato - powiedziałam, zapominając na chwilę o moim gniewie.

- To prawda - przyznał ojciec - ma nadmiernie rozbudowaną górę.

- Wygląda jak jakiś dziwoląg. - W głowie cały czas dźwięczało mi słowo „szpital”. Co to mogło znaczyć?

- Ona jest piękna, Helen. Piersi to naturalna część ciała kobiety.

Nie myśląc o tym, co robię, skrzyżowałam na piersi ramiona.

- Wulgarna! - powtórzyłam. - Przychodzisz tu patrzeć na jakieś wulgarne dziwolągi, a mnie zostawiasz z nią samą.

- To prawda - przyznał ojciec.

Nie zadałam mu jednak pytania „Dlaczego?”; takie pytanie nigdy nie przyszło mi nawet do głowy.

- Czy ja tu mogę być z tobą? - zapytałam.

- Jesteś, kochanie.

- Ale chodzi mi o to, czy mogę tu spać.

- Wiesz przecież, że nie możesz. Co byśmy powiedzieli mamie?

- Powiem jej o tym miejscu - zagroziłam ojcu. - I o tych pismach. I o tych niemowlakach ze sklejki w tamtym pokoju!

Z każdym zdaniem byłam bliższa celu. Zorientowałam się, że mogłabym spokojnie donieść na niego w sprawie materaca czy nawet kolorowych pism, bo tak naprawdę chodziło o postacie ze sklejki.

- Nie uczyłem cię okrucieństwa.

- Jaki to był szpital? - zapytałam.

Ojciec spojrzał na mnie z namysłem.

- Chodź, zrobimy sobie piknik i wtedy ci o tym opowiem.

Przez resztę popołudnia ojciec pokazywał mi widoczne jeszcze części miasta, w którym się wychował. Na piknik mieliśmy kanapki z sałatką jajeczną z ogórkiem i upieczone przez ojca ciasteczka z kawałkami czekolady. Dla mnie był termos mleka, a ojciec wypił dwie coca-cole jedną po drugiej, po czym głośno beknął. Zaczęłam się śmiać tak, że nie mógł mnie

uspokoić. Śmiałam się i śmiałam, aż dostałam szczekającego kaszlu, który bez przerwy nawracał. - Wiesz co, poczekamy tutaj, aż się ściemni. - Był to prezent dla mnie, a ja nie miałam serca pytać go o szpital. Do pewnego stopnia byłam nawet zadowolona z tego wybiegu. W ten sposób ojciec wydawał się normalny, nawet jeśli były to tylko pozory. Gdzie jest twój ojciec? W Ohio, pojechał odwiedzić przyjaciół i rodzinę. Tego dnia postanowiłam, że już nigdy nie będę go za nic potępiała - ani za jego nieobecność, ani za słabości, ani za kłamstwa.

Byliśmy z Jakiem niewiele ponad rok po ślubie, kiedy zaczęłam mieć koszmary senne. Ich głównym motywem były pudełka, puste pudełka po prezentach, które zajmowały miejsce na stołach albo leżały kręgiem pod choinką. Ale te pudełka były zawilgotniałe, a tektura poczerniała. Kryły w sobie kawałki mojej poćwiartowanej matki.

Jake nauczył się budzić mnie powoli. Kiedy mamrotałam słowa, które początkowo były zbyt zniekształcone, żeby mógł je zrozumieć, kładł mi łagodnie rękę na ramieniu.

- Jesteś tutaj ze mną, Helen, a Emily śpi bezpiecznie w swoim łóżeczku. Chodź, Helen, pójdziemy ją zobaczyć. Jesteś tutaj, z nami, Helen. - Wyczytał gdzieś, że przez częste powtarzanie imienia osoby śpiącej można ją łatwiej przywołać do rzeczywistości. Więc tak właśnie do mnie przemawiał, patrząc, jak się wyłaniam z otchłani snu. Otwierałam oczy, ale wzrok nadal miałam rozkojarzony, dopóki nie usłyszałam, jak Jake powtarza imiona swoje, Emily i moje. Moje źrenice były

jak obiektyw kamery: adaptowały się, korygowały i dopiero potem ustawiały na cel.

- Sen z krojeniem? - pytał Jake, a ja powoli wyłaniałam się z krainy, w której poćwiartowałam moją matkę na kawałki i pudełka z jej częściami opatrzyłam nalepkami. W tym śnie ojciec chodził sobie swobodnie po domu. Pogwizdując.

Kiedy ostatni studenci opuszczali klasę, a Tanner na próżno wykrzykiwał do ich pleców temat zadania domowego, weszłam za parawan, żeby się ubrać.

- Zaczekamy na panią przed salą – poinformował mnie detektyw Broumas.

Słyszałam, jak wychodzą i jak drzwi się za nimi zamykają, ale nawet nie zaczęłam się ubierać. Siedziałam na krześle i dygocząc, coraz mocniej przyciskałam do siebie fartuch. A więc wreszcie stało się: zrobiłam to i świat się o tym dowie.

- Helen?

Był to głos Tannera.

- Wszystko w porządku?

- Wejdz tu - powiedziałam.

Tanner wszedł za parawan i klęknął przede mną. Kiedyś próbowaliśmy uprawiać seks, ale skończyło się tym, że się upiliśmy na smutno, przygnębieni każde swoim nieudanym życiem. Kiedy Tanner ukląkł przede mną, zauważyłam, że zacząłłysiec na czubku głowy.

- Musisz się ubrać - powiedział.

- Wiem. - Spojrzałam na swoje kolana, które nagle wydały

mi się marmurkowe jak skóra matki. Widziałam swoje stawy, odarte z tłuszczu w specjalnej fabryce. Paszteciki Scarsdale zrobione z moich ud i ramion, przechowywane w zamrażarce i czekające na odgrzanie w piekarniku albo na patelni.

- Wszystko będzie w porządku - powiedział Tanner. - Gliniarze są zawsze porąbani, ale będą cię pytali o zwyczaje matki i takie tam. Pamiętam, co było, jak umarła moja gospodyni.

Pomyślałam o tym, żeby pokiwać głową, przez chwilę nawet miałam wrażenie, że to robię, ale mój mózg jak gdyby pękł na pół. Spojrzałam na Tannera.

- Ja nie płaczę - powiedziałam.

- Nie, nie płaczesz, Helen.

- To już koniec - dodałam.

Tanner nie znał szczegółów z mojego życia. Ale po pijaku wspomniałam mu, jak to matka dzień po dniu, rok po roku wysysała ze mnie życie. Zastanawiałam się, czy wie, co to może znaczyć „To już koniec” albo czy - pomimo swoich anarchistycznych zwyczajów - podziela ogólnie przyjęty sentymentalny wizerunek matki.

- Może ja ci pomogę. Czy to jest twój sweter? - zapytał.

Sięgnął do skrytki i wyciągnął z niej mój sweter, razem ze stanikiem, który wepchnęłam do środka. Tanner pospieszenie podniósł stanik z brudnej podłogi.

- Przepraszam - powiedział.

Mimo że od lat tydzień w tydzień widywał mnie nagą, to teraz, kiedy opadła ze mnie na krzesło górna część szpitalnego fartucha, poczułam się tak, jakbym się rozbierała przy

nim po raz pierwszy w życiu. Wyciągnął do mnie stanik, jak suknię, w którą mogłabym się wślizgnąć. Doceniając jego wysiłki zmierzające do tego, żeby mnie ubrać, postanowiłam wziąć się w garść i wyjść mu naprzeciw.

Położyłam sobie stanik na kolanach i wykrzesalam z siebie blady uśmiech.

- Dziękuję ci, Tanner - powiedziałam. – Niech tu leży.

Wyciągnął lewą rękę, a ja mu podałam swoją wolną dłoń. Kiedy stanęłam na podłodze, nachylił się i pocałował mnie w głowę.

- Zobaczymy się w poniedziałek o dziesiątej rano?

Tym razem skinęłam głową.

Kiedy podciągałam suwak dzinsów, przyszła Natalie.

- Jesteś tam?

- Jestem.

Weszła za parawan w swojej sukni a la Diane von Furstenberg i w obłoku świeżych perfum. Twarz miała w płamach, policzki jeszcze mokre od łez.

- Przyszli do pokoju dwieście trzydzieści, szukali ciebie. Ubrałam się najszybciej, jak tylko umiałam. Czy mogę cię uściskać? - zapytała. Zawsze, nawet teraz, rozpromieniłam się na samą myśl o udzieleniu takiego pozwolenia.

Ciepło Natalie sprawiło, że niemal się w nią wtopiłam, pragnęłam jej tak, jak zawsze pragnęłam matki. Ale w moim zwierzęcym mózgu zrodziła się myśl, jak bardzo jest to niebezpieczne. To samo, co mogło mnie podnieść na duchu, mogło jednocześnie spowodować, że niezbędny zwój się rozwinie.

Miałam ochotę szarpać ją pazurami. Jej pełny biust i fałdę tłuszczu na brzuchu, zwaną, jak ostatnio przeczytałyśmy, „oponką”. Chciałam ją złapać za te jej idiotyczne ufarbowane włosy i wyrwać je z korzeniami. Chciałam tego wszystkiego, bo nie mogłam mieć tego, czego pragnęłam najbardziej - nie mogłam wleźć w nią i zniknąć.

Pozwoliłam jej przejechać ręką po mojej szorstkiej krótkiej czuprynie i po karku, pogłaskać po chudych łopatkach. Uroniłam kilka łez, niewiele, nie wiedząc, czy to dlatego, że w tych okolicznościach powinnam, czy dlatego, że pociecha Natalii była dla mnie bolesna.

- Gdzie jest Jake? - zapytała. Odsunęła się ode mnie i położyła mi ręce na ramionach. Spojrzałam na nią. Byłam szczęśliwa, że mam łzy w kącikach oczu. Czy wydam się w ten sposób sympatyczniejsza? Czy uda mi się to powtórzyć, gdyby zaszła taka potrzeba?

Przypomniała mi się moja wersja wydarzeń.

- Nie wiem. Umówiliśmy się, że tu po mnie przyjedzie. Miał się spotkać z byłą studentką, która pracuje teraz w Tyler.

- To znaczy, że wkrótce tu będzie? Może iść z nami.

- Z nami?

- Na komisariat policji - powiedziała Natalie.

- Co?

- Twoja matka została zabita, Helen.

Usiadłam z impetem.

- Nie mówili ci policjanci? Myślałam, że wiesz.

Staralam się nie mrugnąć okiem.

- Przez kogo?

- Myślałam, że ci powiedzieli, kochanie. Tak mi przykro. Posłuchaj, włóż pantofle. Powiedzą ci wszystko, co wiedzą.

- Podejrzewają kogoś?

- Nie wiem. Rozmawiałam z jednym z nich, a potem taki drugi w sportowej marynarce kazał mu milczeć.

- Detektyw Broumas - powiedziałam. Wymawiałam wszystkie sylaby na jednym tonie. Pomyślałam o Jake'u i o naszej przysiędze małżeńskiej: „Biorę sobie ciebie za męża i ślubuję ci miłość w zdrowiu i w chorobie, i we wszystkich morderczych ekstrawagancjach”.

- Buty. - Natalie popchnęła je nogą w stronę krzesła.

Drzwi się otworzyły i usłyszałam w korytarzu głos Jake'a i jeszcze inny nieznamy męski głos:

- Czy ona jest gotowa?

- Już idziemy - zaszczebiotała Natalie. - Jeszcze minutkę.

- Jest tu jej mąż.

- Może wejść.

- Detektyw pyta go w tej chwili o różne rzeczy.

Spojrzałyśmy z Natalie na siebie. Miałam na nogach buty. Praktycznie byłam gotowa.

Złapałam za torbę, przez chwilę myśląc w panice, że jest tam w środku warkocz matki. Jake miał głowę. Bez niego warkocz leżałby sobie do tej pory na łóżku, zwinięty jak wąż.

- Chcesz szminkę? - zapytała Natalie.

- Wystarczy, że mnie pocałujesz - powiedziałam.

Natalie bez wahania spełniła moje życzenie. Roztarłam błyszczący wargami na ustach.

- Gotowa?
- Idziemy.
- To straszne, co się stało - powiedziała, kiedy zbliżyliśmy się do drzwi. - O, jest Jake. Niezbadane są boskie zarządzenia.

Nie mogłam powiedzieć mojej przyjaciółce, że to nie ma nic wspólnego z Bogiem, tylko z łańcuchem wydarzeń, które sama uruchomiłam niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Widzę, jak na siłę przyciskam ręczniki, widzę stare ciało owinięte w koce, różową halkę matki wepchniętą między schowek a ścianę, resztki srebrnego warkocza przyklepione do mojej muszli klozetowej. Wszystko to, jak telefon do Avery'ego, który zaalarmował Jake'a, stało się za sprawą tych rąk, które teraz trzymały moją torbę, które teraz sięgały do drzwi nagle otwierających się przed nami, które teraz potrzęsały potężną dłoń detektywa Broumasa.

Zobaczyłam Jake'a: siedział w klasie naprzeciwko na biurku nauczyciela. Zrobił taki ruch, jakby chciał wstać, ale powstrzymała go ręka położona na ramieniu.

- Pani mąż odpowiada nam na kilka pytań - wyjaśnił detektyw Broumas. - Prosilibyśmy panią o to samo.

Skupiłam wzrok na jego ramionach. Granatowa wełniana tkanina upstrzona była białymi płatkami lupieżu. Orzechowe oczy Broumasa, przysłonięte długimi rzęsami, przypomniały mi terapeutę, do którego poszłam w pięć lat po śmierci ojca. „Sondowanie, sondowanie, sondowanie”, powiedziałam temu doktorowi. „Czy tylko tym się pan cały czas zajmuje?”

Przeszła koło nas jakaś spóźniona na zajęcia studentka ze

sluchawkami w uszach, odwracając głowę jak automatyczna kamera, zanim nas minęła.

- Jesteśmy gotowe do wyjścia - powiedziała Natalie.

- Do wyjścia?

- Tak, detektywie, do wyjścia. Chciałabym iść z przyjaciółką na policję.

Detektyw uśmiechnął się.

- Nie ma takiej potrzeby. Znajdziemy jakąś pustą klasę i to nam wystarczy.

Obserwowałam Jake'a. Nogi dyndały mu w powietrzu. Mimo swojego wzrostu i dojrzałości, wydawał mi się w tym momencie dzieckiem. Przez to, że pospieszył mi na pomoc, że wszedł do domu matki przez okno, zostanie nieuchronnie powiązany z tym, co się przydarzyło mnie. Przypomniałam sobie naszą wersję: Jake, ze względu na to, co nas kiedyś łączyło, chciał mi wyświadczyć przysługę i zreperować matce okno.

- Czy możemy wejść tutaj?

- Tutaj? - Wskazałam na drzwi, przez które właśnie wyszliśmy z Natalie.

- Tak, jeśli można.

Natalie poproszono, żeby poczekała na zewnątrz. Detektyw Broumas zadzwonił po jednego z mundurowych policjantów i we trójkę weszliśmy do klasy.

- To był bardzo kłopotliwy ranek dla całego sąsiedztwa - zaczął.

Rozglądając się po pokoju i widząc niewiele miejsc siedzących, wskazał podium.

- Tam jest zdaje się krzesło. Czy to pani odpowiada?

- Tak. Za parawanem jest drugie.

- Weź no to krzesło, Charlie, i przestaw.

- Szczerze mówiąc, profesor Haku wolałby, żeby panowie tego krzesła nie ruszali. Tak je ustawił, żeby w poniedziałek studenci mogli kontynuować rysowanie tej samej pozy.

Detektyw Broumas się uśmiechnął. Zdjął granatową marynarkę i powiesił na najbliższych sztalugach.

- Rozmawialiśmy z pani mężem. Artystą. Czy to przez niego dostała pani pracę w branży artystycznej?

- Tak - odparłam.

Policjant nazwany Charliem przyniósł krzesło, na którym dopiero co siedziałam, i postawił je przed detektywem Broumasem.

- Dostaw je do tamtego - powiedział. - Można?

Kiedy weszłam na podium i usiadłam na krześle, które miało pełnić rolę wanny w *Kobiecie myjącej się w wannie*, detektyw Broumas odwrócił się, żeby wyjąć notes z kieszeni marynarki.

Przypomniało mi się, jak znalazłam niewielki notesik, który musiał wypaść Jake'owi z kieszeni, a w którym prowadził coś w rodzaju dziennika czasu spędzanego na mrozie.

Przez czterdzieści minut topiłem sople na śniegu. Użyłem drzewa jako schronienia. Czy mogę kruszyć lód i spajać go na powrót, topiąc go w rękach?

Liście cienkie jak pergamin. Jak upiększać to, co już jest doskonale?

- Czy jest pani gotowa? - zapytał detektyw Broumas.

Siedział naprzeciwko mnie. Policjant mundurowy zajął stanowisko przy drzwiach. Spoglądając w jego stronę, stwierdziłam, że ma znudzony wyraz twarzy, jakby to był dzień jak co dzień.

- Przyjaciółka powiedziała mi, że moja matka została zamordowana - odezwałam się.

- Tak, ktoś musiał przyłożyć do tego rękę.

- Kto?

- Jeszcze nie mamy pewności - odparł detektyw. - Znalazła ją w piwnicy jedna z sąsiadek.

- Pani Castle. Ona ma klucz. - W ten sposób odpowiedziałam sobie sama na swoje pytanie.

- Akurat nie ma. Zauważyła z tyłu uchylone okno i poprosiła o pomoc młodą kobietę.

Detektyw Broumas spoglądał w notes. Była to mała oprawna w skórę książeczka z czerwoną tasiemką jako zakładką.

- Madeline Fletcher. Jej ojciec jest sąsiadem pani matki.

Przez chwilę pomyślałam o tatuowanym dziwolągu, który wślizguje się do domu matki i o tym, jakby to matkę zdenerwowało.

- Tak - powiedziałam - to jest właśnie to okno, które wczoraj próbował naprawić mój mąż.

- Było szeroko otwarte - dodał detektyw Broumas.

- Nie powinno być.

- Pani Castle powiedziała też, że pani tam była wczoraj wieczorem. Że widziała pani samochód przed domem matki do jakiejś siódmej wieczór.

- Rzeczywiście.

- Co pani tam robiła?

- To jest moja matka, proszę pana.

- Proszę wobec tego opowiedzieć nam po kolei, co pani tam robiła i jak ją pani zostawiła. Czy matka spała, czy nie? Co na sobie miała? Czy były w tym czasie jakieś telefony? Czy słyszała pani jakieś dziwne hałasy? Czy pani matka się bała kogoś czy czegoś?

- Matka bardzo od jakiegoś czasu podupadała - usłyszałam swoje własne słowa. Użyłam tego potocznego określenia, którego tak nie znosiłam w stosunku do starszych ludzi. - Kilka lat temu zachorowała na raka jelita grubego i tak na dobre nigdy się z tego nie podniosła. Jej doktor twierdzi, że jeśli ludzie żyją tak długo, to prędzej czy później dopada ich nowotwór jelit. Taki jego żarcik.

Detektyw Broumas odchrząknął.

- Tak, to poważna sprawa. Rozmawialiśmy z panią Castle i wiem, że bardzo pani matce pomagała. Czy poza nią ktoś jeszcze tam przychodził?

Spojrzałam na swoje dłonie. Przestałam nosić jakąkolwiek biżuterię. Zaczęła mi ciążyć. Stwierdziłam na przykład, że w restauracji, pod koniec posiłku z lewej strony nakrycia miałam zawsze kupkę pierścionków, kolczyków, zegarek. Z tym wszystkim na sobie nie byłabym w stanie rozmawiać.

- Ostatnio nie - odparłam.

- Pani Castle wspomniała o pewnym incydencie, jaki się wydarzył w domu pani matki nie tak dawno - drażył detektyw Broumas.

Spojrzałam na niego czujnie.

- W swoim dawnym pokoju znalazłam prezerwatywę.

- I?

- Doszliśmy do wniosku, że to sprawka chłopca, który czasem przychodził do matki załatwiać jej różne sprawy na mieście, a czasem robił w domu drobne naprawy, z którymi już sama sobie nie radziła. Broumas spojrział do notesu.

- Manny Zavros?

- Tak, Manny Zavros.

- Watson Road piętnaście dwadzieścia pięć?

- To adres jego matki - wyjaśniłam. - Manny zniknął, kiedy pani Castle zawiadomiła parafię.

- Zniknął?

- Czy myślicie, że to on?

- Badamy wszystkie tropy.

- Nie chciałam dla Manny'ego kłopotów, ale...

- Tak?

- Jest jeszcze coś, o czym nie mówiłam nikomu.

- Ale mnie się mówi wszystko - powiedział.

Wiedziałam, że jest to właściwy moment, żeby posiać ziarno. Mówiąc to, czułam wypieki na policzkach.

- Mniej więcej w tym samym czasie ze szkatułki mojej matki zginęła biżuteria.

- I nie zgłosiła pani tego na policję?

- Zauważyłam to dopiero po kilku tygodniach, a wtedy już Manny'ego nie było. Zmieniłam zamki w drzwiach. Tak czy owak, nie chciałam denerwować matki. Większości tej biżuterii od lat nie nosiła.

- Rozumiem. Ale, przy okazji, pani matka nie jest jedyną osobą w sąsiedztwie, która zmarła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Wiedziałam, co mi powie, i uważałam, żeby się z tym nie zdradzić wyrazem twarzy.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o pana Forresta?
- A dlaczego pyta pani właśnie o niego?
- Bo go bardzo lubię - odparłam. - Znam go od wczesnego dzieciństwa.

- A co by pani powiedziała o pani Leverton?

Szybko nabrałam tchu i nakryłam ręką usta. To zachowanie - wyraźnie nadmiernie wyreżyserowane - sprawiło, że poczułam się niezręcznie.

- Dziś rano znalazła ją w sypialni sprzątaczką.

Chociaż na własne oczy widziałam żywą panią Leverton odjeżdżającą ambulansem, nie mogłam oprzeć się myśli, że ja przynajmniej byłam przy śmierci mojej matki.

- A dokładnie w jaki sposób umarły? - zapytałam. Poczułam pod swetrem rozprzestrzeniającą się delikatną warstewkę potu. Ręce miałam wilgotne. Dlaczego nie zapytałam o to na samym początku?

- Każda inaczej. Pani Leverton była nieprzytomna, ale oddychała, kiedy sprzątaczką ją znalazła. Umarła w karetce pogotowia w drodze do szpitala.

- A moja matka?

- O której opuściła pani dom matki wczoraj wieczorem?

Usiadłam prosto, przygotowana na to, że za chwilę Broumas mnie oskarży. Ale spojrzał na mnie łagodnie i tą samą ręką, w której trzymał pióro, pociągnął za kant prawej nogawki spodni.

Przypomniało mi się określenie, którego mnie nauczyła Sara. „Słabo przystojny”. Był to funkcjonujący w showbiznesie termin używany wobec mężczyzn prawie przystojnych. Niby mieli wszystko, co trzeba, właściwe cechy i

proporcje - kolor włosów, wzrost itd. - ale jednocześnie było w nich coś mdłego, coś „obok”, co sprawiało, że ich nigdy nie obsadzano w głównych rolach. Słaby podbródek, zbyt szeroko rozstawione oczy, zbyt odstające uszy. Zdecydowałam, że Robert Broumas należy właśnie do „słabo przystojnych”.

- Chcę wiedzieć, jak umarła - powiedziałam.

- Za chwilę odpowiem na to pytanie. O której godzinie wyszła pani wczoraj od matki?

- Wkrótce po szóstej - odparłam i o mało się nie skrzywiłam. Pani Castle powiedziała, że widziała mnie o siódmej.

Detektyw Broumas przerzucił w swoim notatniku kilka kartek wstecz, poprawił się na krześle i odchrząknął.

- Czy pani pojechała prosto do domu?

- Nie.

- A dokąd pani się udała?

- Pani Castle może potwierdzić, w jak fatalnej formie była moja matka. Że jej wczoraj nawet nie poznała.

- Mówiła.

- Wiedziałam, że będę musiała zadzwonić do hospicjum. I że jeśli ją zabrają, to już nigdy więcej nie zobaczy swojego domu.

Nagle stwierdziłam, że płaczę. Po policzkach płynęły mi łzy, które wycierałam rękawem swetra. Chciałam powiedzieć: „Ona nigdy nie musiała opuszczać domu. Czy zdajecie sobie sprawę z tego, jakie to było dla niej ważne?”

- Dosyć dużo jeździłam samochodem. Pojechałam w takie miejsce, w które jeżdżę, żeby... żeby pomyśleć.

- To znaczy gdzie?
- W pobliżu Yellow Springs Road jest takie miejsce, z którego widać elektrownię atomową Limerick.

- Jak długo pani tam przebywała?

Obliczyłam w myślach, ile czasu spędziłam z Hamishem, i do tego dodałam jeszcze mniej więcej godzinę z czasu spędzonego u matki.

- Około trzech godzin.

- Siedziała pani i myślała przez trzy godziny?

- Muszę przyznać, że... że się zdrzemnęłam. Przebywanie z matką bywa bardzo wyczerpujące.

- I potem pojechała pani do domu, tak?

- Tak.

- Czy pani do kogoś dzwoniła albo z kimś rozmawiała?

- Nie. Czy może mi pan powiedzieć, jak umarła moja matka? - Moje kłamstwa narastały i byłam tego świadoma.

- Jej ciało zostało znalezione w piwnicy.

- W piwnicy? Spadła do piwnicy? - Zamilkłam. Nawet dla mnie samej moje słowa zabrzmiały fałszywie.

- Jeszcze nie jesteśmy pewni. Po południu ma być sekcja zwłok. Co pani matka miała wczoraj na sobie?

Wymieniłam spódnicę, którą rozciąłam, bluzkę, którą zerwałam, i beżowy stanik. Musieli je już do tej pory pozbić z podłogi w kuchni.

- Czy matka się ubierała?

- Tak.

- Czy często wychodziła z domu?

- Cierpiała na agorafobię - wyjaśniłam. - Opuszczanie domu było dla niej wielkim problemem.

- Mam na myśli poruszanie się w obrębie ogródka czy wynoszenie śmieci, tego typu rzeczy.

- Matka była bardzo uparta, nie pozwalała robić wszystkiego pani Castle i mnie.

Miałam poczucie, że dopiero zaczęliśmy, ale detektyw Broumas położył czerwoną tasiemkę na bieżącej stronie i zamknął notes. Wyraźnie wyluzowany, odtrąbił fajrant.

- Czy mogę pani zadać pytanie natury osobistej? - zapytał.

- Czy mogę ją zobaczyć?

Detektyw wstał; ja nadal siedziałam na krześle modela.

- Jutro po sekcji. Jak to wygląda? - Broumas gestem wskazał pokój.

- Jak co wygląda?

- Taki sposób zarabiania na życie.

Na twarzy detektywa pojawił się swobodny uśmiech. Nienawidziłam go. Nienawidziłam tego uśmiechu, bo nie mogłam Broumasowi powiedzieć, żeby się odpieprzył. Wiedziałam, co go tak naprawdę interesuje. Była w tym szczerłość i lubieżność.

- Praca jak każda inna, tylko człowiek jest wystawiony na widok publiczny - odparłam.

Broumas zachichotał pod nosem i zszedł z podium. Potraktowałam to jako sygnał, że mogę wstać.

- Jest jeszcze kilka osób, z którymi nie mieliśmy okazji się spotkać, a chcielibyśmy z nimi porozmawiać. Chodzi głównie o sąsiadów, którzy są w pracy, tego typu sprawy. - Zdjął marynarkę ze sztalug i włożył. - Są odciski palców i odcisk stopy. Na bocznym ganku odkryliśmy niewielką plamkę

krwi. To mogła być krew pani matki. Jej ciało było przemieszczane.

Zeszłam z podium. Czulałam się, jakbym się unosiła w powietrzu.

Wyobraziłam sobie siebie nagą, skuloną w wannie w warsztacie ojca. Narzędzia i haki, które pospadały ze ścian, sterczały do połowy zanurzone w moim bezkrwawym ciele.

„Zimno zabija”. Zobaczyłam taki zapisek w dzienniku Jake'a, pospiesznie nabazgrany jego ręką. Pomyślałam o matce wychylającej się przez okno mojej sypialni, kiedy byłam nastolatką. W ten sposób zaplatała i zahaczała pędy pnącego się na zewnątrz bluszczu. Chronienie mnie przed panem Levertonem było dla niej tak ważne, że regularnie ryzykowała upadek z piętra własnego domu. Dlaczego się nie bała? Czy tak bardzo mnie kochała, czy nie miało to ze mną nic wspólnego? Czy moje narodzenie tylko powiększyło jej lęki?

Umundurowany policjant otworzył drzwi.

- Może pani wracać do przyjaciółki i męża - powiedział detektyw Broumas. - Przepraszam, do eksmęża, tak?

Skinęłam głową. Zeszłam z podium, ale stwierdziłam, że koniecznie potrzebne mi jest krzesło. Tak swobodnie, jak tylko było mnie na to stać, oparłam się o krawędź podium.

- Tak.
- Od jak dawna jesteście państwo rozwiedzeni?
- Od ponad dwudziestu lat.
- Kawał czasu.
- Mamy dwie córki.

- Ale widzę, że jesteście państwo w dobrych stosunkach, skoro mąż przyjeżdża zreperować pani matce okno.

- Owszem, jesteśmy.

- Aż z Santa Barbara?

- Przede wszystkim - powiedziałam - przyjechał, żeby się spotkać...

Detektyw Broumas przerwał mi w pół zdania.

- Tak, tak, podał mi nazwisko. Idziemy, Charlie.

Podeszłam do drzwi. Przypomniała mi się zabawa w cień, którą uwielbiały dziewczynki, kiedy były małe: jedna szła za drugą i kiedy ta pierwsza skręcała w lewo, ta druga też skręcała w lewo, a kiedy wychylała się w prawo, ta druga robiła to samo, tak żeby ta pierwsza nigdy nie widziała tej drugiej.

Widziałam Jake'a i Natalie rozmawiających w pokoju na przeciwko. Siedzieli w pierwszym rzędzie bardziej tradycyjnej klasy, w której odbywały się zajęcia z historii sztuki i myśli zachodniej. Siedzenia krzesel miały kolor cytrynowożółty i były specjalnie wymodelowane.

Zobaczyłam idących korytarzem policjantów mundurowych. Tuż za nimi szedł, rozmawiając przez komórkę, detektyw Broumas. Słyszałam, jak mówi do kogoś rozkazującym tonem najpierw „wstażka do włosów”, a potem „warkocz”.

Jake, który siedział twarzą do drzwi, zauważył mnie pierwszy.

Natalie obróciła się niezręcznie na krześle i spojrzała na mnie.

- Czasami nie wiem nawet, kim jesteś - powiedziała.

Czułam, jak żołądek podjeżdża mi do gardła. Zaczęłam coś mówić, ale zobaczyłam, że Jake energicznie potrząsa głową, układając usta w bezdźwięczne słowo „nie”.

Była tylko jedna rzecz, którą Natalie mogła mieć na myśli. Ale dlaczego miałby jej o tym powiedzieć?

- Przepraszam - powiedziałam.
- Przecież znasz go od małego.

Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Wielu pięćdziesięcioletniaków sypiało z trzydziestoletnimi kobietami, a ja nie miałam wątpliwości, że niejeden z nich poznał swoją partnerkę jako niemowlę. Niestety, jedynym przykładem, jaki mi się w tej chwili nasuwał, był John Ruskin i dziesięcioletka Rose la Touche*[John Ruskin (1819-1900) - angielski teoretyk i krytyk sztuki, grafik, malarz, pisarz i kolekcjoner. Zakochał się w dziesięcioletniej dziewczynce Rose la Touche].

- Ale to było wzajemne - powiedziałam.

- Jezu - wyrzuciła z siebie z pogardą Natalie. Odwróciła się ode mnie i spojrzała na tablicę. Podążyłam za jej wzrokiem. Jeden ze studentów wykorzystał moment, w którym jego koledzy opuszczali klasę, i narysował na tablicy gigantycznego penisa. Karykatura postaci uprawiającej seks oralny do złudzenia przypominała Tannera.

- Spalaś z Hamishem? - zapytał z niedowierzaniem Jake.

- Wczoraj wieczorem, w jej samochodzie - wyjaśniła Natalie. - Zadzwoiłam do domu, żeby powiedzieć Hamishowi o twojej matce, a on mi wyjeżdża z tym! Twierdzi, że jest w tobie zakochany.

- Czy mówiłaś policjantom, że ja z nim byłam? - zapytałam, wiedząc, że pozostawałoby to w sprzeczności z tym, co im przed chwilą powiedziałam.

- To jest w tej chwili dla ciebie najważniejsze? To wszystko, co masz do powiedzenia?

Jake wpatrywał się teraz we mnie uporczywie.

- Zawiozłaś go do Limerick. - To nie było pytanie.

Skinęłam głowę.

Sukienka Natalie, jak to się często zdarza, rozciągnęła się i głęboki dekolt w kształcie V, o zachodzących na siebie brzegach, wisiał teraz odsłaniając kawałek stanika i rowek między obfitymi piersiami.

W porównaniu z nią czułam się jak gałązka, która może trzasnąć pod pierwszym lepszym butem - krucha, wåtła, łatwopalna. Pożywka dla ognia albo chuci.

- Dziś po południu ma być sekcja zwłok - powiedziałam. - Została zabita gdzieś indziej, nie w tym miejscu, gdzie znaleziono ciało.

Natalie wstała i podeszła do mnie.

Pochyliłam głowę, starając się uniknąć jej spojrzenia.

- Pewnie powinnam mu pogratulować - rzekła. - Hamish już od dawna miał na ciebie chrapkę.

- A mnie? - zapytałam.

- Szczerze?

- Tak.

- Jestem zmęczona. Jestem zmęczona życiem w tym głupim domu i tą pracą, a poza tym spotykam się z kimś.

- Z przedsiębiorcą z Downingtown - powiedziałam.

- I oczywiście tego nie aprobujesz.

- Nie mam w tej sytuacji prawa kogokolwiek osądzać.

Natalie uniosła rękę do mojego policzka. Ten sam gest zauważałam u Hamisha.

- Ale to robisz.

We troje opuściliśmy Chatę Sztuki. W stawach czułam bolesne napięcie - skutek moich działań z poprzedniego dnia plus pozowanie, plus odpowiadanie na pytania detektywa. Rozpaczliwie pragnęłam iść za budynek i usiąść tam, gdzie siedziałam dziś rano, patrząc na spróchniały dąb.

- Pamiętasz ludzi ze sklejki mojego ojca? - zapytałam Natalie. Staliśmy na parkingu. Czerwony samochód Jake'a lśnił w słońcu.

- Pamiętam. - Widziała ich tylko raz na krótko przedtem, nim zostali zniszczeni. Jake tylko o nich słyszał.

- Byli dla niego bardziej realni niż moja matka i ja.

- Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę - powiedziała Natalie.

Wsadziła rękę do torby w poszukiwaniu kluczyków. Nie-trudno było je znaleźć. Po tym, jak dziesiątki razy je gubiła, Hamish dał jej w prezencie łańcuszek z wielkim czerwonym kotem.

Jake próbował wcisnąć się w przerwę w rozmowie.

- Sara dzisiaj wybiera się tutaj z wizytą. Obawiam się, że nie będziemy mieli dla niej na powitanie zbyt miłych wieści.

Włożył ręce do kieszeni, jak zawsze, kiedy chciał opanować jakieś nerwowe ruchy. Ni z tego, ni z owego przypomniała mi się koszulka, którą nosił pod swetrem. „Życie jest piękne”.

- Jadę do York z moim facetem. Mam poznać jego matkę - powiedziała Natalie, zwracając się do Jake'a. Nie chciała na mnie patrzeć. Nagle stałam się dla nich kimś niezrównoważonym. Czyżbym zabiła jedyną osobę, na której tle wydawałam się normalna?

Chwilę później leżałam zwinięta w kłębek na tylnym siedzeniu samochodu Jake'a, tak jak dzień wcześniej we własnym. Natalie odwróciła się do mnie tyłem, nie mówiąc nawet do widzenia.

- Uważaj - rzuciła pod adresem Jake'a.

- Miło było cię zobaczyć - powiedział.

- Mnie też - odparła. Jake zapalił silnik, a ja zamknęłam oczy. Miałam jechać tak, jak jeździłam w dzieciństwie z ojcem, kiedy na miejscu pasażera nie siedział nikt. Nie powiedziałam Natalie o matce i teraz już jej nie powiem.

Po tym, jak pozostałe części Lambeth zburzono, żeby oczyścić teren pod nową obwodnicę i centrum handlowe, napisałam dla mojego ojca taki tekst: „Wszyscy odeszli, tylko nie dla mnie; dla mnie nie odeszło nic”. Nie pamiętam, kto to powiedział, i w jakim kontekście.

Kiedy Jake przestał mnie rysować, pomyślałam, że jego fascynacja takimi zjawiskami jak pokrywający się warstwą lodu liść czy robienie farby przez zmieszane pogniecionych jagód ze śniegiem była tylko chwilowym kaprysem. Sądziłam, że do mnie wróci. Ale potem zaczął budować różne rzeczy z błota i lodu, z patyków i kości i całkowicie stracił zainteresowanie ludzkim ciałem.

Emily znalazła jedną z jego pierwszych prymitywnych rzeźb i wpadła w zachwyty. Rzeźba została wykonana z trawy i mułu, wymieszanych razem, a zimowa trawa pełniła rolę szkieletu, który miał zapobiec wykruszaniu się zaschniętego błota. Gdyby nie zachwyty dziecka, wzięłabym „rzeźbę” przez coś i spuściła w klozecie. Kiedy tak stała za toaletą, przypominała mi cieniowany kawałek gówna. Ale ponieważ Emily kazała mi paść na czworaka, mówiąc o tym czymś „on”, miałam okazję lepiej jej się przyjrzeć.

Kiedy się na nią gapiłam z otwartymi ustami, kucająca do tyłu Emily błyskawicznie, tak jak to tylko potrafi małe dziecko, jednym szybkim ruchem usiadła z wyciągniętymi przed siebie nogami i zaczęła z radości uderzać rączkami w swoje pulchne uda.

- Tata! - wykrzyknęła.

- Ona się boi toalety, Helen - powiedział później Jake, kiedy wyniosłam ten ohydny przedmiot i umieściłam go na małej ceramicznej podstawce, na której Jake zwykle pod koniec dnia kładł klucze i drobne.

- W ten sposób masz zamiar ją wyleczyć? Robiąc osły z gówna?

- To jest muł, a nie gówno, i to ma być smok.

Kiedy w tamtych czasach chciałam z Jakiem porozmawiać, musiałam go dopaść gdzieś między frontowymi drzwiami domku, który wynajmowaliśmy, a prysznicem. Zwykle zaczynał się rozbierać w przedpokoju, pozbywając się warstw szalików, czapek i kurtki, a potem kamizelki i grubych kraciatych koszul, tak że kiedy wchodził wreszcie do sypialni, był ubrany jak normalny człowiek, który ma zamiar usiąść do obiadu.

Tego dnia ścigałam go od drzwi wejściowych do sypialni, trzymając wysoko w górze rzeźbę na ceramicznej podstawie.

- Spodobał jej się? - zapytał, kiedy dotarliśmy do sypialni.

Miał na sobie szorstki wełniany sweter, pod nim golf, a pod spodem jeszcze - wiedziałam to, bo codziennie rano po ciemku obserwowałam ten rytuał - ukryte warstwy podkoszulków i długie kalessy. Jako pierwsze po wejściu do domu zdejmował buty, ale w dalszym ciągu miał na sobie stare wojskowe spodnie i wielkie wełniane skarpety, tak kłujące, że kojarzyły mi się z kaktusami. Noszenie tych skarpet wymagało zabezpieczenia wilgotnych wydelikacyjnych zimną stóp przed bezpośrednim kontaktem z nimi dodatkową warstwą ochronną. Ręce z kolei Jake miał zawsze gołe: zapewniał, że skoro dłonie przywykły do zimna, to i on będzie się stopniowo przystosowywał do tego, żeby móc coraz dłużej przebywać na mrozie i wykonywać coraz to precyzyjniejsze detale.

- Oczywiście, że jej się spodobał – zapewniłam Jake'a, nie chcąc przyznać tego, co było oczywiste, a mianowicie, że każde dziecko, nawet strachliwe, z zachwytem przyjęłoby zrobione z błota zwierzątko, gdyby je znalazło za prawie dziewiczą muszlą klozetową.

Jake obrócił się do mnie. Policzki miał stale rumiane - tam gdzie dostawał się do nich wiatr między nasuniętą nisko na czoło czapką a szalikiem zachodzącym aż na czubek nosa. Jego oczy, podrażnione ciepłem bijącym od przypodłogowych listew grzewczych i lekko załamane, wydawały mi się wodnistoniebieskie.

- I o to mi właśnie chodziło - powiedział - żeby się śmiała, stając twarzą w twarz z tym urządzeniem.

Nie mogłam mu powiedzieć, że byłam zazdrosna, nie o moje dziecko naturalnie, tylko o te rzeczy, które zaczął robić, tak samo jak nie potrafiłam go prosić, żeby mnie w dalszym ciągu rysował.

Zdjął z siebie warstwy podkoszulków i długie kalesony, wszystko to rzucił na łóżko i poszedł do łazienki wziąć prysznic. Weszłam za nim w ubraniu do kabiny prysznicowej.

- Co ty robisz, Helen? - zapytał, ale ze śmiechem.

- Chcę, żebyś się ze mną kochał.

Nie zastanawiałam się nad tym, co się ze mną dzieje. Zaczęłam chodzić za moim mężem, tak jak kiedyś za matką, krok w krok, jak dziewczynka cień, starając się być tym, kim według mnie chcieli, żebym była.

Czułam, jak tuż przed główną bramą Westmore Jake przejeżdża przez „śpiącego policjanta”.

- Usiądź i mów do mnie - powiedział. - Wiem, że nie śpisz.

Odepchnęłam się ręką, jakbym, ćwicząc jogę, miała wykonać aż nadto stosowną pozycję trupa. Pochwycił moje spojrzenie w lusterku wstecznym.

- Czy dobrze rozumiem, że po uduszeniu matki postanowiłaś uwieść syna Natalie? I czy to była według ciebie stosowna chwila?

- Tak.

Jake pokręcił głową.

- To znaczy, że już zaczynasz się pieprzyć z dziećmi.
- On ma trzydzieści lat.
- Moja ma trzydzieści trzy - powiedział Jake.
- Twoja?
- Ma na imię Phin.
- Fin? A co to za imię?
- Najlepsze, na jakie stać osobę, której ojciec dał na imię Phineas, a mówi na nią Phinny. Pracuje w muzeum sztuki w Santa Barbara.

- Jaka ona jest?
- Czy nie uważasz, że powinniśmy rozmawiać o czymś innym?

- Na przykład o więzieniu, prawda?

- Albo o tym, co powiemy Sarze.

Jake wjechał na placyk naprzeciwko Burger Kinga. Znajdował się tam sklep, w którym nigdy nie byłam, pod nazwą Cztery Rogi.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytał.

Pokręciłam głową.

Kiedy patrzyłam, jak otwiera drzwi przed młodą matką pchającą wózek i trzymającą na ręku drugie dziecko, pomyślałam o mojej matce - o tym, że dała mój numer telefonu mężczyźnie, który kopał u nas na wiosnę nowy rów pod rurę kanalizacyjną.

- Przecież ci mówiłam, żebyś bez porozumienia ze mną nie dawała nikomu mojego telefonu - powiedziałam. Facet zdążył już zadzwonić do mnie ze trzy razy.

- Twoje żałosne życie jest twoim żalonym życiem - stwierdziła matka. - Ale jeśli ci się nie podoba, to po co żyć?

Jasne i proste. Stała w kuchni i zachęcała mnie w ten sposób, żebym ze sobą skończyła. Kiedy była świadoma tego, co mówi, a kiedy nie?

Zastanawiałam się, jaki to szczególny rytm pulsował w głowie ojca, kiedy podnosił do góry pistolet. Runął ze schodów na twarz. Krew trysnęła łukiem, rozbryzgując się falistą linią po schodach. Zrobił to na jej oczach. Czy go błagała, żeby dał spokój, czy przeciwnie, zachęcała, kierując jego myślami jak policjant ruchem?

Wysiadłam z samochodu i zamknęłam drzwi. Patrzyłam, jak Jake wychodzi ze sklepu.

- Papierosy - powiedział. - To przez ciebie. Wsiadaj.

Tym razem usiadłam obok niego na miejscu pasażera. Zamknął drzwi.

- Rano gdzieś między domem a tym miejscem widziałem niedaleko autostrady park. Przydałoby nam się jakieś miejsce, w którym moglibyśmy porozmawiać.

Skinęłam głową, a Jake zapalił silnik.

- Pani Leverton byłaby świadkiem - powiedziałam, kiedy włączyliśmy się w ruch na autostradzie. - Widziała nas obie wczoraj wieczorem na bocznym ganku. Siedziałam tam z mamą, zanim posłużyłam się ręcznikiem.

Jake milczał. Poczułam podmuch wczorajszego wiatru. Zobaczyłam gnące się wierzchołki drzew i światło nad tylnymi drzwiami domu Carla Fletchera, usłyszałam stłumione dźwięki radia. Czy była u niego wczoraj wieczorem jego córka Madeline? Czy coś widziała?

- O, tu jest ten park - zauważył Jake.

Zjechaliśmy z autostrady i skręciliśmy w boczną drogę, która doprowadziła nas do niewielkiego smutnego parku,

pełnego stolików piknikowych i śmieci. Osadzone w cemencie grille z kutego żelaza wyglądały, jakby od lat nikt ich nie używał. Postawiliśmy samochód na jednym z pochyłych miejsc do parkowania i wysiedliśmy.

- Pensylwania mnie przygnębia - powiedział Jake.

- A ja mogę resztę życia spędzić w Pensylwanii - odparłam.

Stojąc na porośniętym chwastami i trawą skrawku ziemi, Jake odwijał z celofanu paczkę cameli.

- Chcesz?

- Nie, dziękuję. Będę miała dość czasu, żeby się nauczyć palić w Grateford czy w jego żeńskim odpowiedniku.

- Chryste. - Zaciągnął się papierosem głęboko, jakby to był skręt, i wypuścił strumień dymu nosem. - Wydaje mi się, że oni wiedzą, Helen. Musimy się zastanowić, co mówić.

- Ożenisz się z Phin?

- Helen, mówimy o naszej przyszłej odsiadce.

- O mojej.

- A okno i mój współudział?

- W razie konieczności powiesz im prawdę. I nic ci nie będzie.

- Nie.

- Ale to się trzyma kupy. To ja ją zabiłam. A ty się po prostu włamałeś, żeby zobaczyć, czy ze mną wszystko w porządku.

- Pytali mnie o twój stan psychiczny - powiedział od niechcienia Jake, patrząc na papierosa, jakby mu go ktoś wsadził do ręki.

- A ty powiedziałaś?
- Że jesteś przeraźliwie normalna.

Podszedł bliżej i objął mnie, przyciągając do siebie tak blisko, że stałam wtulona w jego bok, z ramieniem idealnie wpasowanym pod jego pachę, tak jak zawsze.

- Bo jesteś.
- Co jestem?
- Niesamowita. Zawsze byłaś.

Przed nami, między dwoma nieużywanymi grillami, rośło małe świeżo posadzone przez władze miejskie drzewko. Pamiętam, jak czytałam o sporach między zwolennikami upiększania miasta przez sadzenie drzew a tymi, którzy uważali, że lepiej dofinansować szkoły. Pień drzewka podtrzymywała konstrukcja z drutu, a ja się zastanawiałam, czy ktokolwiek będzie pamiętał, żeby ją usunąć, zanim drzewko powoli się udusi.

- Żałosna ofiara - stwierdził Jake.
- Ja czy drzewko?
- Tym razem chodziło mi o twojego ojca. Czy wychodząc za mnie, myślałaś, że wychodzisz za niego?
- Pragnęłam twojej uwagi.
- Miałaś ją.
- Przez krótką chwilę.
- Chodziło o moją pracę. To nie miało z tobą nic wspólnego.

Jake pochylił głowę i nasze usta się spotkały. Na moment, choćby nawet tak bardzo ulotny, wyrwał mnie ze świata, w którym dyscyplina, usposobienie, siła charakteru i determinacja stanowiły siłę napędową moich tygodni i lat. Potem patrzył na mnie przez dłuższy czas.

- Będę musiał im powiedzieć wszystko, co wiem, Helen.
- Uważam, że powinieneś.
- A co z dziewczynami?
- Sama powiem Sarze - zapewniłam go. - I Emily też.
- Emily tego nie zrozumie.
- Czy uważasz, że jej podeszły wiek ma jakieś znaczenie?
- Dla Emily?
- Dla policji.
- Nic nie wiem o żadnym złagodzeniu kary. Wszystko zależy to od tego, jak przedstawi sprawę adwokat.
- Ja nawet nie znam żadnych adwokatów.
- O tym na razie nie myślmy, dobrze?
- Niepotrzebnie przerwałam terapię - powiedziałam.
- A dlaczego przerwałeś?
- Bo na półkach miał pełno I.B. Singera, a na stolikach figurki w stylu Holokaustu. Niesamowite ilości pozbawionych kończyn korpusów torturowanych ludzi, owiniętych drutem kolczastym i umieszczonych na palach. Doszłoby do tego, że rozmawiając z matką, widziałabym sięgający po mnie bezręki i beznogi tułów.

Jake roześmiał się. Podeszliśmy do młodego drzewka i usiedliśmy na skrawku nędznej trawy.

- A do tego jeszcze uwielbiał bawić się słowami. Kiedy mu opowiadałam o zatopionym mieście mojego ojca, spojrzał tylko na mnie wybaluszonymi oczami jak kot igrający z myszą, i powiedział: „Szszzu!”.

- Szszzu? - zdziwił się Jake.
- No właśnie. I co ja z tym miałam zrobić? Wywaliłam na

niego tysiące dolarów, a jedyną jego zasługą było to, że przestałam czytać Philipa Rotha.

- Są przecież inni terapeuci.

Zaczęłam wyrywać trawę, na której siedziałam, robiąc dokładnie to, czego zabraniałam Sarze.

- Ja też przez jakiś czas do kogoś chodziłem - wyznał Jake. - Dla ułatwienia dodam: ta osoba nosiła rajstopy à la Pippi Pończoszanka.

- Frances Ryan? Chodziłeś do Frances Ryan? - Gapiłam się na niego z niedowierzaniem.

- Pomogła mi po twoim odejściu.

Frances Ryan, absolwentkę uniwersytetu Madison, pamiętaliśmy z czasów, kiedy i myśmy tam byli. Swoim znakiem firmowym uczyniła rajstopy. I właśnie dzięki nim wszyscy ją znali.

- Nadal w nich chodzi?

- Nie widziałem jej przynajmniej od dziesięciu lat. Nie wiem, czy po czterdziestce takie rajstopy działają.

- Nie sądzę, żeby w ogóle kiedykolwiek działały.

- Bardziej niż pozbawione kończyn kadłuby - powiedział Jake, podając mi swojego papierosa.

Nie licząc morderstwa i uwiedzenia, wszystkie inne moje grzechy ograniczyłam ostatnio w takim stopniu, że wystarczyło jedno sztachnięcie, żebym dostała natychmiastowego kopa. Podczas terapii pracowałam nad swoimi mechanizmami kontrolnymi aż do pewnego weekendu, kiedy będąc w sklepie spożywczym, zaczęłam ostukiwać melony. Trzymając kantalupę miałam wrażenie, że trzymam w ręku własną głowę. Terapeuta tak przy mnie majstrował, że zrobił mi przyślowiową wodę z mózgu.

- Co robimy teraz? - zapytałam.

- Musimy odebrać Sarę. A potem tylko czekać, aż się z nami skontaktują.

- Albo się pojawiają.

Za plecami usłyszeliśmy zatrzymujący się samochód. Odwróciliśmy się i stwierdziliśmy, że jest to ciężarówka do przewożenia szyb, z wielkimi lustrzanymi taflami przymocowanymi z obu stron. Kierowca wyłączył silnik, ale nie zgasił radia. Było nastawione na stację informacyjną. Z otwartych okien szoferki wylewało się rozgoryczenie.

- Przerwa na lunch - skomentował Jake.

Patrzyłam, jak pali, dopóki nie skończył papierosa.

Zawsze uważałam, że z papierosem wygląda głupio, jakos zbyt kobieco, jakby deklamował, siedząc na kanapie.

- No więc zamierzasz się ożenić z Phin?

Jake zastanawiał się przez chwilę.

- Najprawdopodobniej nie.

- Dlaczego?

- Jest bardzo sprawna.

- To znaczy?

- Jest doskonała w organizowaniu przyjęć i wyjazdów.

- I karmieniu psów.

- Już dawno przenieśliem na nie swoje uczucia.

- Na Mila i Grace?

- Na zwierzęta w ogólności.

- To do ciebie niepodobne.

- Tak skończyłem. - Uśmiechnął się. - A poza tym za bardzo pociąga mnie walka. Sama wiesz najlepiej.

- Biedna ofiara - westchnęłam.

Spojrzał na mnie. Jego oczy zupełnie nie przypominały tych, które znałam. Były jakby zmiażdżone, spłaszczone przez fakt mojego istnienia na świecie.

- Kochałem cię, Helen.

To, co zrobiłam, nie tylko mojej matce, ale wszystkim po kolei, nagle wydało mi się nie do ogarnięcia.

Wyrwał się ze mnie, zanim zdołałam nad sobą zapanować, głośny kraczący dźwięk, jakbym za chwilę miała zwymiotować. A potem ni z tego, ni z owego zalałam się łzami. Moje zatoki nagle puściły, napełniając usta i nos mieszaniną śliny i flegmy. Nie było się gdzie schować, więc tylko zakryłam głowę rękami i odchyliłam się na bok, żeby ukryć twarz w ziemi.

- Spokojnie, Helen, wszystko jest w porządku - pocieszał mnie Jake.

Czułam, jak nade mną klęka i jak lekko dotyka moich pleców, a potem ramienia. Robiłam, co mogłam, żeby nie reagować na jego gesty. Czułam się, jakbym nie mogła oddychać, z trudem łapałam wielkie hausty powietrza. Płacząc i kaszląc, wierciłam jednocześnie pięścią dziurę w ziemi.

- Proszę cię, Helen.

Wziął mnie za nadgarstek, a ja, gapiąc się na niego, powiedziałam:

- Zrujnowałam wszystko! Dosłownie wszystko.

Mężczyzna w samochodzie podkręcił radio. W eter poleciały nawoływania do wyrzucania nielegalnych imigrantów.

- Musisz nad sobą panować - mówił Jake. – Choćby ze względu na dziewczyny, na mnie. Kto wie, może nic się nie stanie.

Nie mogłam sobie wyobrazić nic gorszego: dowody na to, że przez matkę straciłam własne życie, były tak mizerne, że nawet jej zabicie mogło mi ująć na sucho. W ostatecznym rozrachunku znaczyłam tak niewiele. Nie wiem, czy to mnie tak zdyscyplinowało? Czy to, że kiedy usiadłam i Jake zaczął mi swoją koszulą wycierać twarz, zobaczyłam, że kierowca ciężarówki z szybami zjechał na bok i postawił samochód w poprzek na trzech miejscach po to tylko, żeby - jak sądzę - nie musieć podczas jedzenia na nas patrzeć. Zauważyłam najpierw to, a potem w jednej z lustrzanych tafli zobaczyłam kobietę. To byłam ja. Siedziałam na ziemi w opuszczonym parku w Pensylwanii. Mężczyzna, który kiedyś był moim mężem i z którym miałam dzieci, próbował mnie przytulić. Widziałam też sadzonkę drzewa i popsute grille, i gdzieś za mną skraj autostrady.

Jake natychmiast poszedł po wódkę i kiedy wyjął z barku poduszkę, zauważyłam, że Telefon Nietoperz mruga jak szalony od nagranych wiadomości.

- Mam odtworzyć? - zapytał.

- Tak.

Poza wiadomościami od Natalie z poprzedniego dnia była tylko jedna wiadomość od Emily, która informowała mnie, że nagrała się na drugi telefon.

„Ale ten wydaje mi się jakiś właściwszy, ciągnęła. Pamiętaj, że wkraczasz w nowy ekscytujący etap życia. Spróbuję jeszcze raz później, jak położę dzieci spać”.

- Zawsze połowę tego, co ona mówi, słyszę jako „bla, bla, bla” - powiedziałam.

Jake poszedł do kuchni po szklanekę.

Sara była następna. Jej głos przerwał panującą w domu ciszę ze swoją zwykłą siłą.

„Mamo? Odwal się, gnoju. Przepraszam cię, mamo, ale jakiś świr najwyraźniej lubi grube dupy. Mamo, drugi telefon

masz ciągle zajęty. Jestem w drodze na Penn Station, przyjadę wcześniejszym pociągiem. Będę o jakiejś wpół do trzeciej, okay? Gdybyś nie mogła mnie odebrać, to przyjdę sama i zaczekam w tym ohydny T.G.I. Friday's, jeśli nadal tam jest. Może wezmę sobie jakieś frytki serowe. Spadaj, gnoju! Mówię poważnie. Przepraszam, mamó. To o wpół do trzeciej, okay? Cześć”.

Zatrzymałam się przy barku alkoholowym, czekając, aż maszyna powie mi, którego dnia i o której godzinie wiadomość została nagrana. To by wyznaczało granicę czasu „przed” - pomyślałam - przed tą chwilą, w której moje dzieci się dowiedzą, że zabiłam ich babcię.

Jake stał w drzwiach jadalni i ze szklanki po soku pił czystą wódkę.

- To jest twoja druga kolejka dzisiaj - zauważyłam.
- Tu nie mają zastosowania żadne reguły.

Przypomniało mi się, że mam w piwnicy pudełko z listami, które ojciec do mnie pisał, kiedy zaraz po urodzeniu Emily spędziliśmy z Jakiem dwa miesiące w Europie. Jake dostał z uniwersytetu grant na podróż za granicę, więc wybraliśmy kierunek chyba najbardziej oczywisty - Paryż.

Kiedy on zwiedzał muzea albo spotykał się z innymi małażami, ja krążyłam po ulicach z Emily w nosidełku, które miałam przewieszzone przez pierś. Pamiętam, jak było gorąco i jak bardzo czułam się samotna. Nauczyłam się zamawiać w jednej z kafejek talerz serów i piwo i odwiedzać księgarnię francusko-amerykańską. Obchodziłam codziennie te same piętnaście kwartałów ulic, nie zamieniając z nikim ani słowa, otepiała od sera i chmielu, z ramieniem boleśnie odgniecionym od nosidełka. Jasnym punktem tego pobytu było dla

mnie nie zwiedzanie Luvru czy buszowanie po Le Bon Marche, ale dostawanie listów od ojca, opisujących, jak żyje, jak się ma jego ogródek ziołowy i czy jest jedna sowa, czy dwie, jako że do pierwszej - w drzewach pomiędzy ogródkami Levertonów i rodziców - dołączył jej partner albo partnerka.

- Mamy jeszcze dwie godziny - powiedział Jake. - Idę wziąć prysznic. Co zamierzasz jej powiedzieć, Helen?

- Jeszcze nie wiem.

To lepiej się zastanów. Sara nie jest idiotką, a sprawa nie jest na telefon.

- Emily - powiedziałam.

- Oddzwoń do niej.

- Nie mogę.

- Oddzwoń - powtórzył Jake i wyszedł z pokoju.

Kiedyś, kiedy byłam w Seattle, Emily pokazała mi, jak wysypuje witaminy z oryginalnych opakowań i wrzuca do pięknych porcelanowych pojemniczków, które stawia na ręcznie robionej z drewna wiśniowego obrotowej tacy pośrodku jednej z licznych wysp ich kuchni. Kiedy naiwnie zapytałam, po czym dzieci mają poznać, gdzie są ich pastylki do ssania, Emily wyjaśniła mi, że pamięć dziecka łatwiej przyswaja kolor niż tekst, i dlatego Jeanine doskonale wie, że w błękitnym pojemniczku są właśnie jej pastylki.

Emily przez całe życie była o krok przede mną. Nauczyła się samodzielnie ubierać i wiązać buty na długo przedtem, nim ja polubiłam te czynności, a w sprawach jak najszybszego

usamodzielnienia się była absolutnie niezłomna. Jeśli chciałam jej przeczytać jakąś historyjkę albo nasypać płatków do miseczki, wyrывała mi z ręki *Harolda i fioletową kredkę* czy pudełko cornflake'ów, krzycząc - całkiem apodyktycznie, jak mi się zawsze wydawało: „Ja sama!”.

Słyszałam, jak nade mną Jake korzysta z łazienki dziewczynek. Przypomniało mi się, że potrafił zostawić spodnie na środku podłogi w łazience, tam gdzie upadły. Nasłuchiwałam charakterystycznego odgłosu - zetknięcia się z wyłożoną płytkami podłogą sprzączki paska czy obciążonych drobnymi kieszeni. Kiedy usłyszałam ten dźwięk, podniosłam słuchawkę Nietoperza i wybrałam numer Emily.

Rozległy się trzy sygnały.

Nikt nie powiedział „halo”, ale po drugiej stronie usłyszałam oddech.

- Jeanine?

Cisza.

- Jeanine, tu babcia. Czy jest mama?

Ktoś odłożył słuchawkę na stół albo na podłogę, a potem usłyszałam drobne, oddalające się kroczki.

- Halo? - powiedziałam.

Czekałam dość długo.

- Halo? - powtórzyłam, tym razem głośniej.

Nad moją głową w rurach szumiała woda. Jake brał prysznic. Zauważyłam, że butelka wódki nie wróciła na miejsce. Przypomniało mi się, jak cztery lata temu znalazłam matkę zwiniętą w kłębek na podłodze szafy z bielizną po tym, jak nawołując ją, obeszłam cały dom.

- Co robisz? - zapytałam.

- Ukrywam się - odparła.

Wywlokłam ją jak zwierzę, które uwięzło pod domem. Wzdłuż lewego boku miała smugę kurzu. Zaczęłam otrze-
pywać jej sukienkę.

- Przestań mnie walić! - wrzasnęła. - Przestań mnie wa-
lić!

Zwróciłam wtedy uwagę pani Castle, żeby zamykała szafę.

- Ja tylko chciałam zmienić obrus.

Dlaczego jej wtedy nie powiedziałam: „Proszę zrozumieć,
ona się tam chowa”.

Przycisnęłam słuchawkę do ucha. Słyszałam głosy z te-
lewizora. W Seattle Jeanine oglądała telewizję - najpraw-
dopodobniej DVD. Emily i John mieli w domu półki, jak mi
się wydawało, na książki. Kiedy jednak spytałam Johna, gdzie
je trzymają, wzruszył ramionami i odpowiedział:

- A kto ma dziś czas czytać?

Przez chwilę słuchałam. Wyobrażałam sobie pokoje. Są-
dząc z bliskości telewizora, Jeanine musiała odebrać telefon
w kuchni. Zastanawiałam się, gdzie jest Leo. Emily. Wiedzia-
łam, że John musi być w pracy i że zapewne właśnie grupie
przeciwników ochrony środowiska opowiada o niezmierno-
nych radościach produkcji plastiku.

- Udusiłam ją na bocznym ganku - wyszeptałam do tele-
fonu. Nie było odpowiedzi. - Obcięłam jej warkocz i zabrałam
do domu.

W Seattle rozbrzmiewała muzyka z kreskówki. Trwał po-
ścig.

Odłożyłam słuchawkę. Pomyślałam o linii genetycznej łą-
czącej mnie z Leo i Jeanine. O tym, że Leo w zupełnie

niesamowity sposób ma moje oczy. A Jeanine coś z mojego ojca w zarysie szczęki. W jej śmiechu też gdzieś tam byłam ja, a kiedy śpiewała, co robiła często, przypominała mi moją matkę śpiewającą w milczącym domu, kiedy byłam dzieckiem.

Poszłam na górę do sypialni. Kiedy Emily była mała, powiedziała jej, że pochodzimy od Melungeonów* [Melungeoni - grupa ludzi o pochodzeniu mieszanym indiańsko-białomurzyńskim, zamieszkująca południowe Appalache, szczególnie wschodnią część Tennessee] z Tennessee. Będąc już znacznie starsza, zorientowała się, że sobie z niej żartuję, ale cel osiągnęłam - przez krótką chwilę wierzyła, że jej przodkowie to dziwna zagubiona grupa ludzi odciętych od reszty świata w górach wschodniego Tennessee. Przechodząc kiedyś koło łązienki, złapałam ją na tym, że poszukiwała u siebie charakterystycznych cech, jak na przykład niebieskawa skóra. U Sary, jak twierdziła, dostrzegła znamienne wysokie czoło, wystające kości policzkowe i ten „niemal azjatycki wygląd”, ale u siebie nie znalazła niczego.

Razem z listami od ojca trzymałam w piwnicy pracę, którą napisała Emily w gimnazjum i za którą nauczycielka postawiła jej zły stopień. Nie pamiętam już nazwiska tej kobiety - Barber czy Bartlett, w każdym razie coś na B. Poszłam do szkoły w stroju typowej mamuśki, który sobie sama dla efektu skompletowałam - była to luźna sztruksowa kamizela i zwariowane czółenka na płaskim obcasie Mary-Jane - i w tym wszystkim wparowałam do nauczycielki Emily. Załatwiłam jej wprawdzie ocenę dostateczną, ale dostałam od mojej córki

reprimendę i surowy zakaz podobnych zachowań na przyszłość. Mimo to te chwile, kiedy występowałam w obronie moich córek, do dziś uważam za najwspanialsze w życiu.

Słyszałam, jak w części domu należącej do dziewczyn Jake płucze gardło. Kiedy obracałam się, żeby zamknąć drzwi, poczułam piznowy zapach jego płynu po goleniu.

Weszłam do mojej długiej garderoby. Większość rzeczy trzymałam po drugiej stronie domu, w innej garderobie, która powoli z magazynu butów i ubrań, używanych przez Emily w czasie jej wizyt, zamieniła się w przechowalnię rzeczy niepotrzebnych, ale z jakichś względów nieprzeznaczonych jeszcze do wyrzucenia. Jednak liczne krzywe i nietrafione swetry i szaliki, które latami robiła na drutach matka, trzymałam w swojej garderobie w starym plecaku Jake'a. Zobaczyłam go teraz, bryłę w kolorze khaki, jak leżał niepewnie na dwóch pudłach stojących na półce pod drążkiem na wieszaki.

Weszłam na mały stołeczek, który wykonała Sara w szkolnych warsztatach stolarskich. Zrzuciłam plecak z półki, uderzając w niego ręką. Nie zastanawiałam się nad tym, co robię. Wiedziałam tylko, że mamy odebrać Sarę z pociągu. Przypuszczałam, że policja wie więcej, niż się do tego przyznaje. Jake miał rację: był cień szansy na to, że cała ta sprawa ujdzie mi na sucho, ale w pewnym momencie doszłam do wniosku, że nie ma to w gruncie rzeczy najmniejszego znaczenia, że ostatecznie i tak osądzą mnie moje córki i że to one będą wiedziały. Ich nigdy nie oszukam i wcale tego nie chcę.

Otworzyłam grubą złotą suwak płóciennego plecaka i wyjęłam z niego żalostną stertę matczyńskich robótek.

- Dlaczego każda z nich przypomina rzygowinę? - zapytała pewnego Bożego Narodzenia Sara. Dziewczyny wchodziły właśnie w wiek dorosły, a w tamtym roku matka przeszła samą siebie, wykonując dla nich na drutach normalnej długości płaszcze. By osiągnąć wzór prążkowany, użyła najróżniejszych rodzajów włóczki, i chociaż całość miała się kojarzyć z jesienią, to w istocie bardziej kojarzyła się z wnetrznosciami. Jeden z tych płaszczy znalazłam bez trudu. Włożyłam go z powrotem do plecaka, a pozostałe sztuki rzuciłam na stojącą w rogu szafę na akta. Następnie spojrzałam na zbiór swoich butów i wybrałam stare tenisówki, w których pracowałam w ogródku. Słyszałam, jak Jake idzie korytarzem w kierunku moich drzwi. Trzy koszule. A potem z komody: długa bielizna, majtki, kaszmirowy sweter. Na sobie miałam przyzwoite dżinsy, drugie wrzuciłam do plecaka. W dolnej szufladzie były halki i nylonowy dres z odbłaskowymi paskami, który w sklepie wydawał mi się elegancki. Wrzuciłam dres do plecaka i zasunęłam zamek.

Jake bardzo delikatnie zapukał do drzwi.

- Helen? Nie śpisz?

Postawiłam plecak na podłodze i zamknęłam drzwi garderoby.

- Jasne, że nie.

Zobaczyłam, że gałka się poruszyła.

- Zamknięte - stwierdził.

Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam, że ma mętny wzrok. Zatoczył się lekko w prawo.

- O widzę, że przysznic był z wódki. - Wzięłam go za rękę i poprowadziłam przez pokój do łóżka, na którym usiadł z impetem.

- Połóż się i na chwilę zamknij oczy - poradziłam mu. - Obudzę cię, jak będzie pora jechać po Sarę.

Kiwnął głową - w górę i w dół.

- Jestem zmęczony - powiedział.

- Jasne, że jesteś. A gdzie trucizna?

- W każdym razie ty nie pij - przestrzegł mnie. - Ty musisz być trzeźwa.

Uśmiechnęłam się.

- Wiem. Po prostu chcę ją schować.

- Powinniśmy zadzwonić do Phin. Phin by nam pomogła.

Położyłam mu rękę na piersi i pchnęłam. Upadł do tyłu, podciągnął kolana pod brodę, i zwinął się w kłębek na zaścielonym łóżku.

- Byłeś fantastyczny - powiedziałam.

- Milo i Grace lubią lizać po twarzy. Phin tego nie znosi.

Złapałam poduszkę z zagłówka i dałam mu, żeby podłożył sobie pod głowę.

- Prześpij się chociaż trochę - zachęcałam go.

Chwilę później usłyszałam, jak jego oddech przechodzi w lekkie chrapanie. Dotknęłam go. Uświadomiłam sobie, że zapomniałam o skarpetkach, ale nie chciałam ryzykować, że go obudzę. Podeszłam na palcach do garderoby, złapałam plecak - kto wie, może Caracas? - po cichutku zesłam na dół, a następnie korytarzem na tyłach domu wymknęłam się do garażu. Wetknęłam plecak za kosiarkę i kilka plastikowych

wiader, które zostały po ostatnim malowaniu domu. Miałam nadzieję, że tam nikt go nie zauważy.

Kiedy przed urodzeniem Sary przygotowywałam torbę do szpitala, zajęło mi to cały dzień. Nowa szczotka do zębów, nowa nocna koszula, nawet puder w kamieniu, ponieważ na wszystkich zdjęciach z nowo narodzoną Emili mam twarz pokrytą kropelkami potu. Byłam nietypową matką - poinformował mnie doktor - która za drugim razem rodziła ciężej niż za pierwszym.

- To przez tę moją dużą głowę - zgodziła się Sara.

- Przez twoją dużą piękną głowę - poprawiałam ją za każdym razem.

Zauważyłam, że zniknęła lepka pułapka na myszy, którą wystawiłam na początku tygodnia koło pojemników na śmieci. Stałam spokojnie, nasłuchując. Dokądkolwiek mysz się dowlokła, musiała już do tej pory być martwa albo prawie martwa.

A na górze w pokoju Sary znalazłam na parapecie butelkę. Została przynajmniej jedna trzecia wódki. Jake zawsze miał słabą głowę. Podczas naszej pierwszej prawdziwej randki zsunął się pod stół w przeciągu godziny po tym, jak zażywny profesor wyzwał go na alkoholowy pojedynek.

Zrobiłam wszystko, żeby na przyjazd Sary ogarnąć jej pokój. Zostawiłam lawendowy kolor, który sobie wybrała przed laty. Wszystkie pozostałe pokoje były pomalowane na białą, nawet pokój Emili.

Wyglądziłam szybko ciemnofioletową narzutę, na której musiał usiąść Jake, zakładając buty. Przetawiłam budzik o godzinę, czego zapomniałam zrobić przy świetle dziennym, i

brzegiem swetra wytarłam stojące na komodzie przedmioty.

W tym pokoju trzy lata temu dopuściłam się brutalności, o którą nigdy bym siebie nie podejrzewała. Sara przysłała do domu z chłopakiem, niejakim Bryce'em, który zaczął budzić moje podejrzania już w chwili, kiedy zobaczyłam ich razem na stacji kolejowej. Był ultra-WASP-em i twierdził, że pochodzi ze starej rodziny z Connecticut. Niewiele to dla mnie znaczyło, więc po obiedzie, podczas którego młody człowiek mówił głównie o sobie, poszłam do swojego pokoju, zostawiając ich samych.

Pierwsze uderzenie było jak daleki strzał. Usłyszałam Sarę tak, jak się słyszy kogoś, kto chce za wszelką cenę powstrzymać krzyk, ale nie może. Już wtedy byłam w połowie drogi; biegłam przez cały dom w nocnej koszuli, z kijem baseballowym, który dał mi kiedyś ojciec w celach obronnych.

Sara zobowiązała mnie, żebym nie puściła na ten temat pary z ust. Emily i Jake mieli się nigdy nie dowiedzieć, że pozwoliła się uderzyć mężczyźnie. Bryce uciekł na piechotę po tym, jak z całej siły wyrzuciłam kijem w futrynę drzwi.

Usiadłam w pokoju Sary na podłodze, a potem położyłam się na dywanie. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, wykonałam serię ćwiczeń rozciągających, jakie wykonywałam co rano od piętnastu lat.

O wpół do drugiej poszłam do swojej sypialni, gdzie zastałam Jake'a śpiącego w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiłam. Wymówiłam szeptem jego imię, ale właściwie i tak

zdecydowałam się jechać sama. W kuchni na ladzie zostawiłam kartkę informującą, że jadę po Sarę. Butelkę wódki schowałam do barku i kiedy już miałam wsadzić tam z powrotem Nietoperza wraz z towarzyszącą mu poduszką, nagle zastygłam w pół ruchu. Wyrwałam przewód ze ściany i wyrzuciłam aparat do pojemnika na śmieci. Zastanawiałam się, czy nie wziąć plecaka, ale się rozmyśliłam. Jeszcze nie byłam gotowa. Gdyby mi się to udało, chciałam jeszcze ugotować obiad dla Sary, a nazajutrz rano obudzić ją, przynosząc do jej pokoju dzbanek kawy dla nas obu.

Tak na dobre nigdy się nie przyzwyczyłam do oficjalnej godziny szczytu na przedmieściach, którą napędzała szkoła: wychodzące po lekcjach dzieci i sznury samochodów czekających na nich rodziców. Od czasu, kiedy moje córki chodziły do szkoły, opowieści o podwożeniu młodzieży przez przypadkowe osoby, podsycane wersjami o uprowadzeniach, znacznie zyskały na popularności. W każdym razie, kiedy przepychałam się ulicą, przy której znajdowała się szkoła podstawowa Lemondale, z zadowoleniem stwierdziłam, że przy krawężniku stały przynajmniej trzy czy nawet cztery żółte autobusy szkolne.

Na Crescent Road zostałam zatrzymana przez stateczną matronę, która w pełnym rynsztunku przewodniczki - z białą szarfą i gwizdkiem - przeprowadzała dzieci przez ulicę. Obserwowałam gromadę uczniów - zwanych w Lemondale „pierwotniakami” - jak kłębią się przed moim samochodem, przypominając mi przesuwające się chmury na telewizyjnej

mapie pogody. Tylko kilkoro dzieci szło oddzielnie, z pochylonymi głowami i plecakami obciążającymi im ramiona. Reszta biegła, szarpiąc się nawzajem za kurtki i koszule, rzucając plecakami i wykrzykując swoje imiona i zaczepki pod adresem kolegów po drugiej stronie ulicy.

Jadąc dalej, minęłam dawny sklep muzyczny, obecną Superbabeczkę, gdzie kiedyś kupiłam Emily tak bardzo pogardzany klarnet. Przypomniało mi się, jak to było, kiedy dziewczynki dorastały i ich koledzy szaleli po naszym domu, bez skrzypowania domagając się ode mnie kanapek. Jedno lubiło z majonezem, inne chciało tylko z musztardą. Przyjaciółka Emily, niezadowolona z kanapki, stojąc w kuchni, tłumaczyła mi dobitnie różnicę pomiędzy galaretką, o którą jej chodziło a dżemem, który jej dałam.

Najwygodniejszy pociąg dla Sary, odjeżdżający z Manhattanu, zatrzymywał się w Paoli. W ten sposób unikała przesiadki w Filadelfii i jechała linią Amtrak. Zamiast przekroczyć mostek, przechodząc na stronę, po której wysiadali pasażerowie, spojrzałam na zegarek. Policzyłam minuty i zaparkowałam na drugiego przed Starbucks.

Szybko poszłam na stację, podeszłam do okienka Amtraku i poprosiłam o aktualny rozkład jazdy w kierunku północno-wschodnim. Mijając siedzibę lokalnej kolei SEPTA, w ostatniej chwili zawróciłam i wzięłam również od nich dwa czy trzy rozkłady. Wszystko to wykonywałam automatycznie, jak moje ćwiczenia, jak pakowanie plecaka i chowanie go w garażu. Mój mózg podzielił się na pół: jedna połowa była nastawiona na normalność, czyli odebranie córki z pociągu, druga na ucieczkę.

Wróciłam do samochodu i go przestawiłam. Pomyślałam, że w czerwonym wynajętym samochodzie szczególnie rzucam się w oczy, ale postawiłam go na podjeździe, blokując inne samochody. Przypomniała mi się obietnica, jaką dałam Hamishowi - że się z nim wieczorem zobaczę - i zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno jestem przy zdrowych zmysłach. Wyobraziłam sobie Natalie jako strażniczkę przeprowadzającą dzieci przez ulicę, jak pokazuje mi znak „Stop” i mnie zatrzymuje.

Sara stała na najwyższym stopniu prowadzących na peron schodów i wodziła wzrokiem po parkingu. Miała na sobie dość obdarty kożuszek i moje stare buty Frye, które mi skonfiskowała podczas swojej ostatniej wizyty.

- One są w stylu miejskiego hipisowskiego retro - oświadczyła. - Nie mogę uwierzyć, że je nosiłaś. - A kiedy jej powiedziałam, że najwyraźniej sama ma ochotę w nich chodzić, odparła: - Owszem, ale dla wygłupu.

Włosy miała zaplecione w dwa sięgające do pasa war-kocze, a na głowie niezliczoną ilość zapinek z imitacją diamentów. Ponieważ nie mogła mnie poznać po samochodzie, podjechałam do niej blisko, wystawiłam głowę od strony pasażera i zawołałam ją po imieniu.

- Rany, mamó, jaka zajebista bryka! - wykrzyknęła, rzucając na tylne siedzenie torbę i sadowiąc się obok mnie.

Przechyliła się i pocałowała mnie w policzek. Szok był taki, jakby wytarła nogi o wykładzinę.

- Przepraszam - powiedziała. Wyjechałyśmy z parkingu.
- Jak podróż? - zapytałam.
- Czy to kryzys wieku średniego? - zapytała. - Po prostu

tak sobie poszłaś i kupiłaś sportowy samochód? Myślałam, że to dotyka tylko mężczyzn.

- Kobiety wstrzykują sobie botox - powiedziałam.
- Właśnie, więc co jest grane?
- To po prostu nie jest mój samochód, tylko wynajęty.
- Zapach. Powinnam się była zorientować! A co z twoim?

Stałyśmy na światłach naprzeciwko sklepu Roscoe Automotive and the Mail Boxes Etc. Samochody i poczta - pomyślałam. - Pociągi.

- Twoja głowa wygląda jak kula z dyskoteki - powiedziałam.

- Nie unikaj pytania.

- Mój samochód jest w garażu, a twój ojciec śpi w moim łóżku.

Nie mogłam sobie odmówić tej małej prowokacji. Była to gra, którą uprawiałyśmy od dzieciństwa Sary. Kto kogo bardziej wkurzy, kto wymyśli lepszą piramidę. Wiedziałam, że moja córka doprowadzi tę umiejętność do perfekcji. Była mistrzynią upięknień i wyrafinowanych zwrotów. O ile mocną stroną Emily stanowiły solidne zasady, o tyle Sara celowała w sztuce sprowadzania rozmowy na boczne tory. W ten sposób nikt nawet nie próbował się dowiedzieć, co się tak naprawdę u niej dzieje. Przeniosła to na lekcje śpiewu jak czek in blanco. Śpiewała całkiem dobrze, ale... I właśnie w tym „ale” zawierało się wszystko – zarówno jej radosny magnetyzm, jak i coś, co obawiałam się, że może być początkowym stadium rodzinnej choroby psychicznej.

- No to opowiadaj - powiedziała.

Minęliśmy szpital, a ja przyspieszyłam. Widać było, że Sara jest w dobrej formie. Miała rumieńce, jakby przed chwilą biegła. Ale ona nie biegła. Unikała wysiłku fizycznego. Unikała tego wszystkiego, co nazywała moją „gimnastyczną drogą krzyżową”. Od czasu do czasu się głodziła, to znów kiedy indziej się obżerała. Poza tym piła i paliła i, jestem przekonana, robiła jeszcze różne inne rzeczy.

- Dużo jest do opowiadania. Wolałabym jeszcze nie wracać do domu. A poza tym twój tata potrzebuje trochę wypożyczynku. Zresztą będzie mi łatwiej, jeśli zostaniemy tylko we dwie.

- Czuję, że jest coś na rzeczy.

- Pojedziemy gdzieś sobie i powiem ci wszystko, co będziesz chciała wiedzieć.

- Jol! - wykrzyknęła Sara, ale na tym poprzestała. Kiedy mijaliśmy bar Easy Joe's, zauważyłam, że sprawdza wszystkie spinki we włosach. Brała każdą w dwa palce, duży i wskazujący, a potem sprawdzała, czy trzyma.

- A po co te warkocze? - spytałam.

- Och, nie wiem. Miałam mokre włosy. Podobają ci się czy nie?

- Przypominają mi twoją babcię.

- Rozumiem. Nie podobają ci się.

Wiedziałam, dokąd jadę. Hamish był pierwszą osobą od wielu lat, z którą się tam wybrałam. W ciągu dnia wieś wabiła oko, a potem widok wież między czubkami drzew sprawiał, że wszystko jakby zamierało w bezruchu.

Kiedy minęliśmy gospodę Ironsmith i skręciłyśmy w lewo, żeby wjechać na wzgórze, Sara głośno westchnęła.

- A Schlitz? - zapytała z wyraźnym żalem.

Nie patrząc we wsteczne lusterko, zawróciłam i wjechałam na parking przed sklepem.

- Bierz i płac, byle szybko.

- Podobasz mi się nowa ty - oznajmiła Sara, cała rozpromieniona. Porwała z podłogi moją torbę i znikła w środku. Nikt mi nie mógł zarzucić, że przekazując komuś złą wiadomość, nie dbam o jakieś wsparcie dla tej osoby.

Widziałam ją przez szybę, jak rozmawia przy ladzie z Nickiem Stolfuzem. Gestykulowała, zakreślając w powietrzu wokół swojej głowy gigantyczne koło. Nick roześmiał się i wręczył jej sześciopak wraz z resztą. Przy drzwiach odwróciła się i pomachała mu na do widzenia.

- O czym rozmawialiście? - zapytałam.

- Opowiadałam mu o paradzie Macy's z okazji Dnia Dziękczynienia.

Wycofałam samochód z parkingu i wjechałam na drogę. Sara otworzyła puszkę Schlitza i siorbnęła pianę.

- Co cię do tego skłoniło?

- Powiedziałam mu, że mieszkam w Nowym Jorku, a on zawsze chciał jechać na paradę.

- Jak to nigdy nic nie wiadomo.

Przejechałyśmy przez tunel i znalazłyśmy się po drugiej stronie.

- Powinnaś się nim zainteresować, mamó. Nick jest wolny.

- Nie, dziękuję bardzo.

- Niech to szlag. - Walnęła się w udo. - A ja mogłam mieć własny bar. Czy jedziemy na miejsce widokowe z wieżami? - zapytała. Musiała się zorientować, dokąd zmierzamy.

- Tak.

- Każdy ma coś, co go kręci - stwierdziła. Było to wyrażenie, którego nauczyła się ode mnie.

Skreśliłam z drogi i wjechałam na wysypany żwirem plac, na którym wczoraj kochałam się z Hamishem w moim samochodzie. Byłam zadowolona, że mam wynajęty samochód i że firma zawiesiła w środku na zapalniczce drzewko zapachowe.

Zgasilałam silnik.

Sara znów pociągnęła z puszki.

- Czy mogłabyś otworzyć okna?

- Myślę, że lepiej wysiadźmy z samochodu.

- Może piwa?

- Nie, dziękuję.

Mimo to Sara włożyła do kieszeni kozuska zapasową puszkę.

Kiedy wstałam, nogi się pode mną ugięły, potknęłam się i obróciłam, żeby się przytrzymać samochodu. Przybiegła Sara.

- Mamo, co z tobą, w porządku?

Oglądałam kiedyś w telewizji serial kryminalny, w którym twardy gliniarz tak mocno walił w pierś rzuconego na samochód przestępcę, że słycać było głuchy łomot dachu. Oglądaliśmy to razem z matką i chichotałyśmy za każdym razem, kiedy się ta scena powtarzała. „Mówią o nich »ten ptaszek«,” - powiedziała matka pewnego wieczoru, a ja pomyślałam wtedy: nasze wspólne chwile relaksu są teraz tak rzadkie, że jestem wdzięczna i za ten głupi program telewizyjny.

- Jestem jakaś słaba.

- Słaba? Co ty opowiadasz?

- Mam na myśli, że jestem słabym człowiekiem. Odepchnęłam głęboko. Wreszcie zrobiłam początek. - Chodź, spacerujemy się. - Przeszłam na drugą stronę ulicy. Jeszcze nigdy, będąc tutaj, nie postawiłam nogi na Forche Lane, ale teraz zdecydowałam, że będzie to najlepsze miejsce na spacer z Sarą. Była to prywatna droga o jednym pasie ruchu, pełna dziur, z których sterczały chwasty i trawa.

- Co ty mówisz, mammo? Spokojnie. - Dogoniła mnie z otwartą puszką piwa w ręce.

- Żeby móc ci to wszystko powiedzieć, muszę być w ruchu.

- Denerwują mnie te twoje bzdury na temat ćwiczeń fizycznych i ruchu. Tylko mi nie każ wymachiwać rękami.

- Jestem słaba psychicznie. W każdym razie to, jaka jestem, w najmniejszym stopniu nie rzutuje na ciebie i Emily. Od tego trzeba zacząć.

Sara zabiegła mi drogę. Piwo zachlupotało i kilka kropel upadło na ziemię.

- Daj spokój.

- Ale o co chodzi, mammo?

- Idziemy.

- Nie.

Odepchnęłam ją, a potem skręciłam troszkę w lewo i wróciłam na drogę. Po chwili Sara do mnie dołączyła.

- W porządku, słucham - powiedziała.

- Nie wiem, od czego zacząć.

Na prawo od nas zerwało się z krzaków stado cietrzewi. Dokoła słychać było łopot skrzydeł.

- A co z tatą? Skąd się tu wziął?
- Wezwałam go. Wczoraj wieczorem przyleciał z Santa Barbara.

- Ale dlaczego? - Sara wzięła przygotowany łyk Schlitz-za.

A jednak nie mogłam tego powiedzieć. Jeszcze nie teraz.

- Pamiętasz Hamisha?

- No pewnie.

- Wczoraj wieczorem kochałam się z nim w moim samochodzie. Dwa razy. Raz u niego na podjeździe, a raz tutaj, tu zaparkowaliśmy.

- Nie pieprz! - powiedziała Sara.

- Nie pieprzę.

- Nasze blond bożyszcze?

- Tak.

- I to ma być dowód na twoją psychiczną słabość? Sprawa faktycznie niebanalna, ale cool, bardzo, bardzo cool.

Szliśmy dalej. Na końcu odcinka drogi, który zwykle oglądałam z okien samochodu, Forche Lane opadało. Twarda nawierzchnia ustępowała tu drodze gruntowej.

- I to wszystko? - zdziwiła się Sara.

- Nie.

- No więc o co chodzi?

- Babcia nie żyje - powiedziałam.

- Co?

- Umarła wczoraj wieczorem i dlatego wezwałam ojca.

Sara złapała mnie za ramię.

- Mamo, to niesamowite! Byłaś z nią wtedy?

- Ale nie przedstawajmy iść - powiedziałam.

- Byłaś?
- Byłam.

Przyciągnęła mnie do siebie i próbowała przytulić. Mimo genetycznych uwarunkowań zawsze lubiła kontakt fizyczny. Kiedy moje córki były nastolatkami, Emily nazywała ją „Najeźdźcą Twarzy”, ponieważ Sara nie wiedziała, w którym momencie „blisko” staje się „za blisko”.

- Została z ciebie skóra i kości - powiedziała.

Odsunęłam się i spojrzałam na nią. Poczulałam łyzy pod powiekami i wiedziałam, że za chwilę spadną.

- A ty jesteś moim pięknym dzieckiem.
- Mamo, nie musisz sobie nic wyrzucać. Zrobiłaś dla niej wszystko. - Podsunęła mi piwo, ale pokręciłam głową.
- Ja ją zabiłam, Saro.
- Co ty opowiadasz? Przecież to ona wyssała z ciebie życie.

- Daj spokój.

- Przepraszam. Jest mi bardzo przykro, że ona nie żyje, ale przecież ty się dla niej poświęciłaś.

- Nie rozumiesz mnie. - Wysunęłam się z jej objęć i spojrzałam w stronę samochodu. Stałyśmy teraz tak nisko, w zagłębieniu, że nie widziałam głównej drogi.

Dokoła nas ciągnęły się pola pszenicy albo jęczmienia. Spędziłam wśród nich całe życie, ale dla mnie stanowiły tylko kolorowe skrawki ziemi, dobre głównie dlatego, że nie były domami w budowie. Nigdy w życiu nie poznałam żadnego rolnika.

- Miałam jakieś swoje życie. Miałam was...
Sara zatrzymała się.

- I tata przyjechał taki kawał drogi dlatego, że babcia umarła? - Coś zaskoczyło w jej głowie.

- Tak.

- Ale przecież on jej nienawidził.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Próbowałam ci to właśnie powiedzieć. O to, że ja... - Wskazałam na siebie i na chwilę zawiesiłam głos - ...że ja ją zabiłam.

Widziałam, że coś wreszcie zaczyna do Sary docierać. I na to już nie mogłam nic poradzić. Na tę ranę nie było antybiotyku, uśmierzającej maści, sprayu.

- Że co ty zrobiłaś?

- Udusiłam ją ręcznikiem.

Sara odsunęła się ode mnie i upuściła puszkę piwa.

- Ona już kiepsko kojarzyła - dodałam. Przypomniały mi się wpatrzone we mnie oczy matki, błyskające w świetle gan-ku pierścionki z rubinami i chrupnięcie jej nosa, kiedy się złamał. - Prawdopodobnie nawet nie wiedziała, że to ja.

- Przestań mówić - poprosiła Sara.

- Trwa policyjne śledztwo. Dziś rano pogotowie zabrało panią Leverton, która umarła w karetce.

- Mamo, zamknij się! Co ty wygadujesz?!

- Że zabiłam swoją matkę.

Sara podniosła puszkę piwa i ruszyła w stronę samochodu.

- Saro! - zawołałam. - To nie wszystko.

Odwróciła się.

- Nie wszystko?

Cała ta sytuacja jakby nagle uderzyła mi do głowy.

- Twój dziadek się zabił.
- Co zrobił mój dziadek?
- Mój ojciec, a twój dziadek, popełnił samobójstwo.
- Uśmiechasz się - zauważyła Sara. - Czy ty sobie zdajesz sprawę, że wyglądasz z tym jak nienormalna?

- Jestem szczęśliwa, że wreszcie powiedziałam ci prawdę.
- Podeszłam do niej. Jedną ze spinek w kształcie motylka w jej włosach obluźowała się. - Wasz ojciec o tym wiedział, ale postanowiliśmy nigdy wam tego nie mówić. - Sięgnęłam ręką, żeby jej poprawić spinkę. Cofnęła się.

- Skarbie? - Opuściłam rękę.

Wyczuła palcami spinkę i wyszarpnęła ją razem z kępką włosów.

- Nie rób tego - powiedziałam.
- W jaki sposób?
- Zastrzelił się.
- I ty ją za to winiłaś?
- Początkowo.
- A później?
- Ona była moją matką, Saro. Była chora. Przecież o tym wiesz.

- O niczym nie wiem. Mówiłaś coś o policji.
- Chodzi o to, że znalazła ją pani Castle, a babcia była...
- Tak?
- Ja ją umyłam.

Sara skrzywiła się; wywinęła usta, jakby za chwilę miała z wymiotować.

- Przed czy po?

- Po.
- Jezu - jęknęła. Oddaliła się ode mnie, ale tym razem przeszła na drugą stronę wyboistej drogi i zatrzymała się na skraju lasu.
- Uważaj na kleszcze! - zawołałam za nią.
- Sara szybko wróciła.
- Zabiłaś babcię, a martwisz się o boreliozę?
- Ona się zanieczyściła. Wiedziałam, że nie chciałyby, żeby ją ktokolwiek w takim stanie zobaczył.
- Sara gapiała się na mnie szeroko otwartymi oczami. Potrwało chwilę, zanim się zorientowałam, o co jej chodzi.
- Nie po tym - wyjaśniłam. - Zanieczyściła się jeszcze po południu. A ja, przed telefonem do hospicjum, próbowałam ją jakoś umyć. Dlatego miałam ręczniki.
- Chcę się zobaczyć z tatą.
- Zależało mi na tym, żeby ci to wszystko powiedzieć bez świadków. Uważałam, że to bardzo ważne.
- No więc powiedziałaś. - Cisnęła puszką o ziemię, zgniotła ją butem i schowała do kieszeni. - Chodźmy stąd.
- Obróciła się zbyt gwałtownie i wylądowała na ziemi. Patrząc na leżącą Sarę, pomyślałam o matce. I o małym pośluzonym Leo.
- Kochanie - powiedziałam i nachyliłam się nad Sarą.
- To ta moja pieprzona kostka.
- Złamana?
- Nie - odparła. - Chyba że masz apetyt na więcej.
- Sara?
- To był taki żart - powiedziała beznamiętnym głosem. - Jasne? Cha, cha.
- Możesz się na mnie wesprzeć w drodze do samochodu.

- Na razie wolałabym, żebyś mnie nie dotykała.

Mimo to pomogłam jej wstać, ale po trzech czy czterech kulawych krokach wiedziałam, że powinnyśmy usiąść.

- Dasz radę dokuśtykać do tego bala? Najpierw troszeczkę odpoczniemy.

Powoli robiło się ciemno i wiedziałam, że za chwilę zwierzęta, które w dzień śpią w lesie za nami, się obudzą. Zawsze lubiłam jesień. Ze swoimi krótkimi dniami była bardziej litościwa niż wiosna czy lato.

Usiadłyśmy na długim zwalonym drzewie, które wyglądało tak, jakby blokowało drogę i ktoś je odsunął. Jakaś część mnie chciała iść dalej, żeby zobaczyć, kto czy co mieszka na końcu Forche Lane.

Siedziałyśmy w milczeniu. Sara wyjęła drugie piwo i otworzyła puszkę. Gdy popijała, patrzyłam w ziemię między swoje stopy.

- Emily jeszcze nie wie - powiedziałam. – Tata zawiadomił ją, że babcia nie żyje, ale nie powiedział jej, w jaki sposób zmarła. Poszłam po tym wszystkim do Natalię, ale jej nie zastałam. Ma jakiegoś faceta, i to na poważnie. Hamish uważa, że się pobiorą. Był akurat w domu, a ja bardzo kogoś potrzebowałam, Sara, i dlatego się z nim przespałam. Nie jestem dumna z żadnej z tych rzeczy.

Słyszałam obok siebie jej oddech. Próbowalam sobie wyobrazić, jakie byłoby moje życie, gdyby Sara więcej się do mnie nie odezwała. Pomyślałam o bólu, jaki kiedyś sprawiłam swojej matce.

- Ale też się ich nie wstydzę. Nie mam pojęcia, jak to wytłumaczyć. Wiedziałam, że jej koniec jest bliski, a kiedy już

zdałam sobie z tego sprawę, to takie rozwiązanie wydało mi się czymś zupełnie naturalnym. Otworzyła oczy, ale to nie była ona; to był tylko jej pierwotny mózg - czysty instykt przetrwania. Wiem, że nie ma dla mnie wytłumaczenia, ale nie żałuję.

- Czy policja się domyśla?
- Tak sędzę.
- Jeżeli chcesz, to z tobą zostanę - zaproponowała Sara.
- Co? - Spojrzałam na nią, ale patrzyła w ziemię.
- Nowy Jork jakoś mi nie służy.
- A twój śpiew...?
- Jestem skończona. Raczej zostanę tutaj, może ci się przydam. Z tą policją i w ogóle...

Za dzień czy dwa wymknę się z domu, wrzucę plecak do samochodu i mówiąc, że wkrótce wrócę, wyprowadzę samochód z podjazdu.

Mignął mi przed oczami obraz mnie idącej ulicą jakiegoś obcego miasta. Obdarte biedne dzieci żebrzą, wyciągając stare poszarpane torebki plastikowe. Pod moją obszerną odzieżą dyndają, objając się o moje wyniszczone ciało, wszelkiego rodzaju torby zawierające moje płyny ustrojowe, zasilająco-odprowadzający system wyziewów, kał i mocz, sole i krew, i nielegalne leki - zmielone kości zwierzęce, pestki owoców, wymieszane z jakimiś cieciami w czymś moździerz, i rosoly, które miałam pić, by jednak nigdy nie ugasić pragnienia.

- Myślę, że jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek decyzje - powiedziałam. - Zobaczmy, co przyniesie kilka najbliższych dni. - Wstałam i wyciągnęłam rękę do Sary.

Przyjęła ją i z trudem dźwignęła się na nogi.

- Lepiej? - zapytałam
- Może być.

Kiedy wolno pokonywałyśmy wzniesienie, kierując się w stronę samochodu, miałam uczucie, jakby nas ktoś obserwował z tyłu. Jakby pani Leverton i tysiące innych czających się w lesie duchów szły za nami, by popatrzeć na kobietę, która zabiła swoją matkę, ot, tak sobie, jak się gasi światło w pustym pokoju.

- Ja właściwie nie znałam dziadka - powiedziała Sara, kiedy znalazłyśmy się na tyle blisko samochodu, że już go było widać.

- Nie znoszę powiedzenia „Człowiek właściwie nigdy się z tym nie pogodzi”, ale to jest rzeczywiście bardzo trudne. To w nas zostaje.

- A co z babcią?

- Straciła kontakt ze światem - odparłam. - Ja jej go zastąpiłam.

- Nie, mnie chodzi o to, czy ją kochałaś.

Zanim przeszłyśmy na drugą stronę drogi, zatrzymałyśmy się na chwilę.

- To też jest bardzo trudne.

- Ale gdybyś musiała odpowiedzieć - nalegała Sara. - Gdybyś zeznawała w sądzie?

Nie wiem, pomyślałam.

- To powiedziałabym, że tak. - Wymówiłam głośno te słowa.

Zaprowadziłam Sarę do samochodu i otworzyłam drzwi od strony pasażera. Usłyszałam jakąś gruchającą melodyjkę.

- To ja - powiedziała Sara do telefonu, który wyjęła z kieszeni kurtki.

- Twoja babcia myślała, że telefon komórkowy, który jej dałam, to granat.

- Wiem.

Obeszłam samochód dokoła i wsiadłam.

- To był tata - wyjaśniła, wsiadając. – Przysłał SMS-a.

Podsunęła mi telefon tak, żebym mogła przeczytać treść. Nie patrząc na jej twarz, skupiłam się na wiadomości od Jake'a.

„Helen - nakaz przeszukania”, brzmiała.

Wyobraziłam sobie Jake'a, jak stoi w łazience na dole, niezdolny do wypowiedzenia słowa ze strachu, że może być słyszany.

Sara wsunęła telefon do kieszeni.

- Musimy jechać do domu.

- Czy sądzisz, że mogłabyś poprowadzić samochód? - zapytałam.

- Nie z tą kostką.

- W porządku.

Uruchomiłam silnik i zawróciłam, kierując się w stronę Ironsmith. Mogę tam wysadzić Sarę, przemknęło mi przez myśl. Ale co jej powiem? Że wolę sama stawić czoło policji? Ona tego nigdy nie kupi. Wystarczająco dobrze ją znałam, żeby wiedzieć, że w tej sytuacji ani na chwilę nie spuści mnie z oka. Z powodów, które, jak się obawiałam, mogły tylko przypieczętować jej zgubę - dlatego, że byłam jej matką i dlatego, że jej potrzebowałam - będzie się mnie trzymała jak rzep.

Natalie była w York, a to znaczyło, że Hamish jest sam. Jake mi powiedział, że ma przyjaciół w Szwajcarii w mieście

Aurigeno. Zadał sobie nawet trud, żeby mi tę nazwę przeliterować. Ale ja już nie miałam paszportu. Skończył mi się wiele lat temu.

- Strasznie nadkładasz drogi - zauważyła Sara.
- Zawsze tak jeżdżę - odparłam.
- Boisz się?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wyznała sama:

- Bo ja się boję.

Minęłyśmy nowy kompleks biurowy, którego zadbane trawniki wciąż jeszcze przypominały szachownice świeżo nawiezionej ziemi. Dziś robiono te rzeczy lepiej niż kiedy dziewczynki były małe. Znikły metalowe skrzynie otoczone szerokimi pętlami ogólnie dostępnej drogi. Teraz ciężarówkami zwożono dorosłe drzewa.

Z budynków wychodzili ludzie i szli do swoich samochodów. Mogłabym poczekać do późnego wieczoru, kiedy są już tylko ochroniarze. Zaparkowałabym samochód i zakradła się niezauważona. Virginia Woolf poszła do rzeki Ouse; Helen Knightly do sztucznej sadzawki Biurowego Centrum Chester.

Ale nie chciałam opuszczać moich córek. Kochałam je bezwarunkowo. Były moim blaskiem, moją gwarancją bezpieczeństwa, czymś, co należało chronić i co chroniło mnie.

Przed nami zobaczyłam znajomy neon.

- Muszę iść do toalety - powiedziałam. - Zatrzymamy się tu na chwilę.

Bar Easy Joe's był pełen siwowłosych ludzi, którzy tanimi trunkami zabijali zapach swoich posiłków. Przybycie kogoś w moim wieku, bez towarzystwa rodzica, było wydarzeniem.

Kiedy weszła Sara, zrobiło się cicho. Easy Joe's stanowił wprawdzie przeciwieństwo barów gangów motocyklowych, ale tak samo można się tu było poczuć niechcianym. Wiedziałam jednak o nim tyle, że ma przy toaletach automat telefoniczny i wyjście na tyły budynku. Posadziłam Sarę na jednym z eleganckich skórzanych stołków, przodem do lustra.

- To może chwilę potrwać. Muszę się pozbierać.

- Mam coś zamówić?

Otworzyłam torebkę. Wiedziałam, że będą mi potrzebne wszystkie pieniądze, jakie tylko miałam, ale wobec mojego młodszego dziecka nigdy nie byłam skąpa.

- Wystarczy dwadzieścia? - spytałam.

- Chcesz coś?

- Muszę umyć twarz. Zaraz wracam. - Położyłam na barze kluczyki do samochodu.

- Mamo?

- Kocham cię, Saro. - Dotknęłam jej włosów i policzka.

- Wszystko będzie dobrze, mamo. Jest tata, on pomoże.

- Masz tę zapinkę z motylkiem? - zapytałam, próbując się uśmiechnąć.

Sara wsadziła rękę do kieszeni i podała mi zapinkę.

- Na szczęście - powiedziałam i uniosłam ją w górę.

Czując, że za chwilę się rozplaczę, szybko skręciłam za róg baru.

Podeszłam do telefonu, wrzuciłam monetę i wybrałam numer.

- Hamish? Tu Helen. Czy mógłbyś po mnie przyjechać?

- Gdzie?

Zaczełam szybko myśleć. Mogłam z łatwością podejść tam na piechotę.

- Vanguard Industries. Za dwadzieścia minut.

- Helen, mama powiedziała mi o twojej mamie.

Oparłam głowę o lustrzaną powierzchnię telefonu i przycisnęłam ją mocno do dźwigni zwrotu pieniędzy.

- Wiem. Vanguard, dobrze?

- Dobrze, będę.

Odwiesiłam słuchawkę. Głosy w części restauracyjnej baru za mną przybrały na sile.

Nie oglądając się za siebie, ruszyłam korytarzem w stronę „Jałówek” i „Byków”, jakby dzięki niewielkiemu zabiegowi tłumaczenia nie było jasne, że kobiety to krowy. Tylne drzwi wyjściowe były uchylone i podparte starym przewróconym na bok kontenerem na mleko. Ostrożnie przełożyłam przez niego nogę, uchylając drzwi odrobinę szerzej, tylko tyle, żeby móc się precyzyjnie. Z tyłu za budynkiem stało kilka poobijanych samochodów zaparkowanych pod różnymi kątami - to pracownicy kuchni, pomyślałam - i na samym skraju podwórka, które dalej przechodziło w porośniętą trawą i drzewami teren - pojemnik na śmieci. Kiedy weszłam na wzniesienie za budynkiem, zobaczyłam wystającą ze śmietnika dużą, otwartą, papierową torbę. W środku były bułki, najprawdopodobniej z poprzedniego dnia. Po raz pierwszy pomyślałam: jak ja będę żyła? - i zobaczyłam siebie, za miesiąc czy dwa, jak łapię tę torbę i w niej grzebię.

Zatrzymałam się na skraju drzew. Oczywiście duszy zobaczyłam Sarę, jak, żyjąc samotnie w moim domu, skreśla dni w

kalendarzu, czekając, aż odsiedzę wyrok za zabójstwo albo, w najlepszym razie, za nieumyślne spowodowanie śmierci. Będzie potrzebowała pracy, a moje miejsce się zwolni. Może tego pierwszego dnia zawiezie ją Natalie. Studenci się ucieszą - nowe ciało - a ona w przerwach będzie sobie mogła pogadać z Geraldem. „Moja matka nie żyje”, powtarzałyby. „A moja dostała dychę”, mówiłaby Sara. Wiem, że bardzo by jej się te gadki podobały - mizerna pociecha po tym wszystkim.

Ale nie to mnie najbardziej przerażało. Najbardziej przerażała mnie wizja domu, w którym żyjemy we dwie z Sarą, gdzie ona załatwia mi różne sprawy i masuje stopy oparte na skórzanej otomanie. Przynosiłaby mi rosoły do łóżka, okrywała szalem ramiona i mokrą ściereczką wycierała zaschnięte w kącikach ust jedzenie. A ja bym powoli zapominała, kim ona jest, wrzeszczała na nią i mówiła różne okrutne rzeczy na temat jej ciała, życia erotycznego i umysłu.

Przedarłam się przez linię drzew na skraju posesji i weszłam w ciągnący się wzdłuż drogi zaśmiecony las. W miarę jak się w niego zagłębiałam, coraz częściej natykałam się na puszki po piwie; prezerwatywy były na porządku dziennym. Za każdym razem kiedy przypadkiem na którąś nadepnęłam, odruchowo się krzywiłam.

Na ganku zostawiłam czerwoną wstążeczkę do włosów - dla gliniarza, niech się pobawi - a w kuchni pełno odcisków palców. Ostatecznie ile dzieci myje swoje matki na podłodze, rozcinając im ubranie nożyczkami, czy dosłownie wywleka je na zewnątrz dla zaczerpnięcia świeżego powietrza? Ale śladów Manny'ego Zavrosa nie ma nigdzie.

Na ramieniu lampy stojącej w domu na biurku zawiesiłam wstążkę do włosów matki. Też czerwoną. Ale były i inne wstążki, magnes z kotem, meksykańska czaszka na Dzień Zmarłych, figurka ślimaka i filcowa świąteczna ozdoba, którą przysłała mi matka. Dlaczego jednak te przedmioty miałyby zwrócić na siebie większą uwagę niż inne?

Rano nie wlałam do muszli klozetowej płynu odkażającego. Włosy z warkocza matki mogły się poprzyklepiać w środku, ale też mogły się znaleźć na wyłożonej płytkami posadzce łazienki. Czy gdyby stały się przedmiotem badań laboratoryjnych, to dostaną etykietkę z datą i czasem?

Doszłam do Elm. Ruch na bocznych drogach nie był duży, czekałam więc na stosowny moment, żeby wyskoczyć spośród drzew, przebiec na drugą stronę drogi i zagłębić się w skrawek opuszczonego lasu.

Policja bez trudu znajdzie wystarczający materiał dowodowy. A ja wiedziałam, że gdy zadadzą mi pytanie wprost, powiem prawdę. Tak czy siak, kiedy pomyślałam o powrocie do domu z Sarą, widziałam przyszłość tylko przed nią, nie przed sobą.

Dotarłam do stromego nasypu, z którego musiałam jakoś zejść, żeby spotkać się z Hamishem. Spojrzałam na żwirowe ławy, zbudowane ze wszystkich trzech stron Vanguard. Samo to miejsce najbardziej przypominało stację wysokiego napięcia. W dole na placu, oddzielonym od żwirowej ławy wysokim metalowym ogrodzeniem, stał rząd czarnych błyszczących jeepów - najnowsze modele. Będę musiała przejść tuż koło nich.

Uważałam, żeby sobie nie zrobić krzywdy. Zsuwałam się ze stromego nasypu w pozycji siedzącej, pełną przez całą drogę jak krab. Zawiesiłam sobie torebkę na szyi i przełożyłam przez lewe ramię, trzymając ją na brzuchu. Wiedziałam, że nie po raz ostatni żałuję, że nie mogę zamienić swojej dyscypliny na młodzieńczą odporność Sary. Moja młodsza córka w dalszym ciągu potrafiła dosłownie wypruć z siebie flaki, a następnego dnia iść do pracy - o ile ją miała.

Na samym dole pozwoliłam sobie na luksus całych pięciu minut odpoczynku, rzucając wyzwanie znajdującym się wewnątrz Vanguard mężczyznom: niech wyczują moje ludzkie ciepło, promieniujące przez ogrodzenie z blachy falistej, wznoszące się na wysokość trzech metrów. Otoczenie było sterylne. Ani mrówki, ani źdźbła trawy. Żadnego chwastu. Tylko żwir i żwir. Bezbrzeżne morze szarości oświetlone umieszczonymi wzdłuż ogrodzenia reflektorami.

Nie chciałam, żeby mnie tu Hamish szukał, więc się podniosłam i szybko poszłam w stronę parkingu.

Z odległości sześćdziesięciu metrów widziałam niedaleko wejścia jego samochód. Stał obok wielkiego podświetlonego V umieszczonego na skraju nieruchomości.

Żwawym krokiem pokonałam dzielącą mnie od samochodu odległość i wsunęłam się na miejsce pasażera.

- Wynośmy się stąd - powiedziałam.

- Nie ma sprawy - odparł Hamish.

Kiedy wycofaliśmy się na drogę, zobaczyłam strażnika - wychodził zza budynku i spoglądał pytająco w naszą stronę. Mogliśmy się spotkać przed VFW albo Minimagazynem, ale nie pomyślałam o tym w porę.

- A gdzie jest twój samochód? - zapytał Hamish.

Poczułam intensywniejszy niż zwykle zapach Obsession i przypomniało mi się, że kiedyś pan Forrest dał mojemu ojcu hiszpańską wodę kolońską, która pachniała marihuaną. Nieświadom niczego ojciec używał jej aż do wyczerpania, zachowując pusty flakon, który znalazłam na komodzie dzień po jego samobójstwie.

- Pożyczyłam Sarze.

Poprzestał na mojej odpowiedzi. Zatrzymał się przed znakiem „stop” czteropasmówki i nachylił się, żeby mnie pocałować. Cofnąłam się, ale go to nie zraziło.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

Do Paryża do Ritza - miałam ochotę powiedzieć i przypomniała mi się rzewna piosenka o pewnej smutnej kobiecie, która w wieku trzydziestu siedmiu lat uświadomiła sobie, że już nigdy nie będzie jechała odkrytym samochodem w żadnej europejskiej stolicy. Jeśli to było jej największe zmartwienie, to miała szczęście, suka jedna.

- Problem polega na tym - powiedziałam, trzymając ręce na kolanach i unikając jego wzroku - że muszę pożyczyć samochód.

Nacisnął na gaz.

- Samochód?

- Jestem w koszmarnej sytuacji.

- Chodzi o twoją mamę?

- Tak

- Czy policja ma choćby blade pojęcie, kto to mógł zrobić? - zapytał Hamish.

- Myślę, że ma. - Zdecydowałam, że to Manny'emu nie

może zaszkodzić. - Do matki przychodził taki chłopak, który jej pomagał w różnych sprawach. Ma na imię Manny.

- To ten, co się pieprzył w twoim dawnym pokoju?

- Ten.

- Mama mi o nim mówiła.

Minęliśmy zwirownię, gdzie na wywiezienie czekały hałdy żwiru i łupku lśniące w świetle niskich argonowych lamp rozmieszczonych na całym terenie.

Dwadzieścia lat temu mieszkał w naszym sąsiedztwie chłopak w wieku Sary, który na takiej gigantycznej przymie żwiru, usypanej na końcu kwartału ulic, bawił się w kapitana i piratów. Wdrapał się na górę, wymachując mieczem z drzewa balsa, zrobionym poprzedniego dnia z pomocą ojca, i bardzo szybko wessało go do środka.

- Pamiętasz Ricky'ego Dryera? - spytałam, opierając głowę o szybę. Zobaczyłam zbliżające się odbicie swoich zmęczonych oczu, które zaraz znikło.

- Tego chłopaka, co zginął w trzeciej klasie? Od lat o nim nie myślałam.

- Jedźmy do ciebie, Hamish. Napijemy się czegoś i pogadamy.

- I nie tylko - powiedział. Byłam przekonana, że na mnie patrzy, ale świadomie unikałam jego spojrzenia. - Nie musisz pożyczać samochodu. Zawiozę cię, dokąd tylko będziesz chciała.

Czułam, że na to zasłużył: moje ciało za samochód. Przyjechaliliśmy do domu. Upewniłam się, że nie wparuje tu nagle

Natalie. Hamish potwierdził, że wyjechała ze swoim przedsiębiorcą.

- Wygląda na to, że ma teraz drugie życie - powiedział. - Ale ja do niego nie należę.

Sprężyłam się. Już wcześniej zdarzał mi się niechciany seks, a Hamish był kochającym, wspaniałym - nie mogłam wydusić z siebie słowa „chłopcem” - mężczyzną.

W całym ciele czułam mrowienie - tak bardzo chciałam mieć to już za sobą. Chciałam mieć za sobą grę wstępną i sam akt, z jego bzdurnymi słodkimi słówkami, z fałszywym żalem spełnienia, ze sprzątaniami skutków. I dopiero po tym wszystkim, dopiero na sam koniec - samochód, którym odjadę.

Wziął mnie za rękę i poprowadził wyłożonymi puszystą wykładziną schodami. Łup-łup-łup - spadało po schodach ciało ojca. Matka trzymająca w dłoniach jego głowę. I krew, wszędzie krew.

Niezliczoną ilość razy, będąc w odwiedzinach u Natalie, w drodze do toalety mijałam drzwi pokoju Hamisha. Kiedyś, kiedy nasze dzieci były w szkole średniej, Natalie zaprosiła mnie do środka i kazała się głęboko zaciągnąć.

- To jest najbardziej śmierdzący pokój w całym domu - powiedziała. - Nie mogę się tego pozbyć, a on nigdy nie otwiera okien.

- Hormony - zapewniłam ją.

Uśmiechnęła się.

- To tak, jakby się żyło z bombą, która w każdej chwili może wybuchnąć.

Ale zapach młodzieńczych chuci zastąpiło teraz mruczenie umieszczonego w rogu pokoju wentylatora, a łóżko już nie było jednoosobowe.

- Przyprowadzasz tu dziewczyny? - zapytałam.
- Niektóre - odparł i położył mi rękę u nasady głowy. Po-
całowaliśmy się.
- Chciałbym, żebyś się lepiej poczuła, Helen. Nie mam
żadnych oczekiwań.

Przypomniało mi się to, co wkrótce po urodzeniu Emily powiedział Jake, kiedy nie mogłam się wyluzować: zapadnij się w siebie. Siedzieliśmy na łóżku w pozycji półleżącej; zamknęłam oczy. Żyłam z tego, że przybierałam różne pozy na życzenie innych. Ilekroć było to trudne, myślałam o walających się po piwnicach i wszelkiego rodzaju magazynach rozmazanych rysunkach węglem dawnych studentów Westmore z całego kraju i o tych nielicznych artystach, którym udało się osiągnąć coś więcej.

W Filadelfijskim Muzeum Sztuki był obraz Julii Fusk. Wynajęła mnie na kilka sesji, kiedy miałam trzydzieści trzy lata. Obraz, jaki powstał w ich wyniku, prezentował dynamiczny tors, który dosłownie wychodził z ram. I tylko dzięki temu, że pozowałam artystce, widziałam, gdzie pozwoliła sobie na pewną swobodę - spod jej pędzla wyszłam bardziej muskularna, nie taka chuda.

Kiedy Hamish się ze mną kochał, myślałam o tym obrazie. W końcu moje córki odkryją go na nowo. Zabierze je tam Jake albo Sara przypomni sobie, jak malowidło Fusk oglądały ze mną. Stała wtedy i patrzyła na błękity, zielenie i oranże igrające na moich udach i w dolnej części brzucha. Emily skorzystała z pretekstu i poszła do sklepiku z upominkami.

Obraz Fusk to była moja nieśmiertelność. Nigdy mi nie przeszkadzało, że zostałam na nim przedstawiona bez głowy.

Hamish nagle przerwał.

- Ty też musisz cokolwiek mi dać, Helen.

Sięgnęłam do jego penisa w nadziei, że tym razem dojdzie do wytrysku, a ja wytrę jego skutki z brzucha i będę mogła udawać rozczarowaną.

Ale po chwilowej przyjemności Hamish przytrzymał moją rękę.

- Ja to coś więcej niż tylko mój kutas - powiedział. - Do-
tknij mnie.

Czułam, jak małe i pełne rozpaczy stały się moje oczy.

- Nie wymagaj ode mnie w tej sytuacji zbyt wiele, Hamish.

- Robisz to dla samochodu.

Nie zaprzeczyłam.

W tym momencie coś się zmieniło. Hamish rozsunął mi nogi znacznie szerzej niż trzeba, powodując wielką niewygodę i traktując mnie bardzo brutalnie, jakbym była jednym z plastikowych bohaterów gier, zaśmiecających podłogę jego dzieciennego pokoju.

Robiłam wszystko, żeby mu pomóc. Przemawiałam do niego słowami, jakich dziesiątki razy używałam w chwilach autentycznych uniesień. Wpatrywałam się w małego smoka wytatuowanego poniżej jego obojczyka i specjalnie dla niego udawałam dawną siebie.

Wreszcie, kiedy już poczułam, że mięśnie wewnętrznej strony ud mam naciągnięte do granic wytrzymałości, a panewki stawów biodrowych suche jak u kobiety w wieku mojej matki, Hamish skończył.

Wzdrygnął się i zwałił na mnie całym ciężarem. Uszło ze mnie powietrze; na chwilę stanęła mi przed oczami prostytutka

w samochodzie Artura Shawcrossa i trzy dni, jakie spędziła na robieniu działek speedu.

Położyłam rękę na piersi Hamisha i odepchnęłam go.

- Samochód - upomniałam się.

- Niezła z ciebie dupa - powiedział z goryczą.

Kiedy zapinał spodnie - tym razem, jak zauważyłam, drelichy zamiast zwykłych dżinsów - pomyślałam, że potrafię spieprzyć dosłownie wszystko.

- Potrzebuję kilku minut na sprawdzenie samochodu - powiedział.

Leżałam rozebrana na jego łóżku i słyszałam, jak schodzi na parter, jak idzie przez salon i wychodzi przez garaż.

Nie ruszałam się, dopóki wentylator nie zatoczył koła i nie dmuchnął na mnie chłodnym powietrzem. Przewróciłam się wtedy na bok i podparłam lewą ręką. Usiadłam w rogu łóżka i zaczęłam się ubierać. Doznałam olśnienia, kiedy spojrzałam na żaluzjowe drzwi garderoby. Ponieważ był to dom jego matki, Hamish musiał trzymać w swoim pokoju wszystko, co stanowiło dla niego jakąś wartość. Wstałam szybko i otworzyłam drzwi. Nie spodziewałam się, że to, czego szukam, znajdę nisko czy choćby w miejscu łatwo dostępnym. Hamish nie był zdolny do takiej ostentacji. Wyciągnęłam skrzynkę po mleku pełną płyt CD i przewróciłam na bok - tyle moich ukradkowych działań. Na półce nad ubraniami zobaczyłam dodatkowo koc, śpiwór i pudło na buty, zawierające lakierki z naszywanymi noskami, które Hamish miał na pogrzebie ojca. Nie znalazłam jednak tego, o co mi chodziło. Ogarnęło mnie szaleństwo. Podczas seksu nawet się nie spociłam; teraz czułam,

e całe czoło mam wilgotne. Ile czasu nie będzie Hamisha i kiedy po mnie przyjdzie - nie potrafiłam przewidzieć. Przeszukiwałam wzrokiem jego pokój. Oceniałam. Gdzie on mógł to schować?

I nagle - tak, oczywiście, wiedziałam. Hamish uważał się przecież za pana domu. Nie za żadnego darmozjada, tylko obrońcę matki. Pistolet leżał w szufladzie nocnego stolika w firmowym worku Crown Royal, w którym trzymał go ojciec mojej matki, a obok nierozpieczętowana paczka nabojów. Złapałam worek i naboje i zamknęłam szufladę.

Spojrzałam na rozgrzebane łóżko, na rogi naciągniętego na materac prześcieradła, które pozsuwało się podczas naszego seksu, tworząc pośrodku bezkształtne gniazdo. Normalnie bym to poprawiła, ale nie teraz, kiedy zamierzałam porzucić wszystko, co dotychczas było mi znane.

Schodziłam na dół wolno, czując ból w udach, które wiedziałam, że następnego dnia mogą mnie boleć jeszcze bardziej, i zastanawiając się, gdzie wtedy będę. Sara i Jake będą razem - może w dalszym ciągu jako świadkowie przeszukania w moim domu. Miałam nadzieję, że Sara z przyjemnością wypija drinka przy barze i że dopiero potem zaczęła mnie szukać w toalecie. Wiedziałam, że muszę schować broń do torebki, zanim zobaczy ją Hamish. Usiadłam na ostatnim stopniu schodów. Torebkę zostawiłam w kuchni. Co z tego, kiedy nie mogłam się ruszyć.

Doszłam do wniosku, że u pani Leverton nie będzie nikogo. Jej syn unikał wizyt w domu matki, a kiedy już był, jego mercedes stał zawsze widoczny na podjeździe. Mogłabym tam trochę odpocząć - a biorąc pod uwagę zapasy żywności,

jakie musiały zostać po zmarłej - nawet się przez kilka dni ukrywać.

Dźwignęłam się ze schodka i poszłam korytarzem do kuchni. Moja torebka stała na stole. Schowałam do niej broń i odetchnęłam z ulgą.

Natalie w tym roku przebudowała tylną ścianę domu. Teraz przez całą kuchnię, nad ladami, ciągnęło się jedno wielkie okno.

- Przekonał mnie - powiedziała - żeby zostawić same szafki stojące, że z jednej strony stworzy to wrażenie przytulności, a z drugiej otwartej przestrzeni. - Nazywała go czarodziejem. Jak miał na imię?

Zobaczyłam w szybie swoje odbicie. Odwróciłam się tyłem do mojego podświetlonego ducha i podeszłam do lodówki. Byłam tak głodna jak wczoraj. Uświadomiłam sobie, że poza tym, co wtedy w klubie studenckim dojadłam po Natalie, przez cały dzień nie miałam nic w ustach.

Łapałam to, co było najłatwiejsze i miało najwięcej białka - hot dogi i paluszki serowe - i metodycznie, jedno po drugim, pakowałam do ust. Jadłam bezmyślnie, gapiąc się jednocześnie na to, co było przypięte do lodówki: zaproszenie na ślub jakiejś nieznannej mi osoby. Jeszcze niepotwierdzone. Mała karta z kopertką tkwiła pod magnesem z zaproszeniem. Weśle miało się odbyć w Boże Narodzenie i zastanawiałam się, czy Natalie wybierze się tam ze swoim facetem. Ale jeżeli ta uroczystość miała mu dać do myślenia, a tym bardziej jeśli, jak wspomniał Hamish, Natalie tego oczekiwała, to już tam byli.

Poza tym zauważyłam zdjęcie moje z Natalie z przyjęcia w Westmore sprzed półtora roku. To przyjęcie zapamiętałam

bardzo dobrze. Poprzedniego dnia, trzy dni wcześniej niż pierwotnie planowali, wyjechali Emily z Johnem i z dziećmi. Pocałowałam Lea na do widzenia w jedyne nieobandażowane miejsce na czole. Próbowałam przytulić Emily, ale miała sztywne, niepoddające się ramiona, i bardzo w tym przypominała mnie.

Na zdjęciu nie było śladu tego wszystkiego ani nawet kłótni, która wybuchła między mną a matką tuż przedtem, nim podjechałam po Natalie. Moja przyjaciółka była rozpromieniona, a ja, jak zwykle - sumienny pomagier.

Hamish pojawił się w kuchni, kiedy pakowałam do ust ostatnie hot dogi. Podszedł do mnie i obrócił twarzą do siebie. Policzki miałam wypchane jedzeniem.

- Przepraszam cię za tamto na górze.

Starając się pogryźć to, co miałam w ustach, zrobiłam ręką ruch, jakbym chciała powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że nic nie szkodzi.

- Ale to dlatego, że potrafisz być taka zimna, a przecież wiem, że w głębi serca taka nie jesteś. Zawsze to wiedziałem.

Spojrzałam na niego. Z wysiłku przełykania oczy mało nie wyszły mi z orbit.

- To nie był Manny, prawda?

Zobaczyłam telefon wiszący na ścianie koło stołu kuchennego.

Zastanawiałam się, do kogo mogłabym zadzwonić z prośbą o pomoc, gdyby Hamish mi odmówił. Moja torba stała pośrodku kraciastej maty. Po co wzięłam broń? Co ja niby zamierzałam zrobić?

- Wszystko się trzyma kupy. Kiedy poszedłem pogrzebać przy samochodzie, przez cały czas myślałem: O co jej tak naprawdę chodzi? Po co chce pożyczyć samochód? Mama mi powiedziała, że jest Jake, a ty mówiłaś, że przyjechała Sara. To, że cię nie ma z nimi, może znaczyć tylko jedno: że oni nie wiedzą, co się z tobą dzieje.

- Jesteś dziś bardzo bystry - mruknęłam.

- To przebłysk geniuszu postkoitalnego - odparł Hamish. Odwrócił się i otworzył lodówkę. - A poza tym wszystko pasuje. Wczoraj wieczorem przyszedł tu szukać mojej matki.

Wziął karton mleka czekoladowego i postawił na ladzie, a następnie schylił się po szklanekę.

- Masz zamiar to wszystko powiedzieć? - spytałam.

Nalał sobie mleka i znów, oparty o ladę, stanął twarzą do mnie.

- Zapytałaś mnie wczoraj, czy kiedykolwiek myślałem o tym, żeby zabić swojego ojca. Owszem, myślałem. Sądzę, że wiele ludzi ma takie myśli. Tylko że nie są w tych sprawach konsekwentni. Ale ty poszłaś dalej. Ty to zrobiłaś.

Sięgnął do kieszeni i wyjął coś srebrnego - komplet kluczyków samochodowych, którymi we mnie cisnął. Wylądowały u moich stóp.

Ukucnęłam, żeby je podnieść.

- Moja mama nigdy ci nie wybaczy - powiedział. - Na starość stała się wielką moralistką.

Poczułam, że już za chwilę wyjdę, że włożę kluczyk, który trzymam w ręku, do stacyjki i wyprowadzę samochód z podjazdu.

- Być może ostatecznie wyląduję z Sarą – rzekł Hamish i napił się mleka. - W końcu kocham jej matkę.

Te słowa były jak cios w splot słoneczny i Hamish się zorientował.

- Wiem, przesadziłem.

- Muszę już iść, Hamish. - Żałowałam, że nie mogę go pożegnać jakimś zgrabnym zdaniem.

- Dokąd?

- Jeszcze nie wiem - skłamałam. - Zostawię ci gdzieś samochód. Zadzwoń i powiem, gdzie jest.

Odwrócił się. Porwałam ze stołu torbę i ruszyłam za nim przez kuchnię, a potem salon. Zobaczyłam wazon, który sto lat temu podarowałam Natalie. Stały w nim kupione w sklepie kwiaty.

Za garażem z samochodami, przy których Hamish pracował, stał bliżej nieokreślony ford z późnych lat osiemdziesiątych. Hamish wsiadł do niego i ręką dał mi znać, że bym zaczekała. Zapalił silnik i wyprowadził samochód, ustawiając go maską do ulicy. Dopiero wtedy wysiadł, nie gasząc silnika.

Nie widziałam nic, poza czekającym otwartym samochodem. I nie myślałam o niczym, poza tym, że za każdym razem, kiedy odchodzę, ci, co zostają, są bezpieczniejsi.

- Żałuję, że nie jestem dla ciebie na tyle ważny, żeby cię zatrzymać - powiedział. Przytulił mnie i przez chwilę był moim ojcem, a ja jego dzieckiem.

Pogłaskał mnie jeszcze po włosach i ścisnął mocno po raz ostatni. Poczułam dodatkowy ciężar mojej torebki na ręce.

- Gdybyś mnie potrzebowała, to jestem.

Skinęłam głowę. Po raz pierwszy zabrakło mi słów.

- Uważaj na siebie - dodał. - Będę czekał na twój telefon.

- Na telefon?
- W sprawie samochodu.
- Dziękuję ci, Hamish. Powiedz mamie, że chciałam się pożegnać.

Usiadłam za kierownicą i położyłam koło siebie torbę. Dopiero kliknięcie zamykanych drzwi upewniło mnie, że mogę jechać.

Już więcej na niego nie spojrzałam. Wrzuciłam bieg i ruszyłam podjazdem, mijając z prawej strony jego samochód i wyjeżdżając na trawę. Już na drodze włączyłam radio. Grali swinga, mimo że oczekiwałam heavy metalu czy rocka alternatywnego. Przez chwilę słuchałam ściszonych odgłosów aplauzu, po czym zgasiłam radio. Wtuliłam głowę w ramiona i skręciłam w lewo na Phoenixville.

Ciągle jeszcze był dość wczesny wieczór. Zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał osiem po siódmej. Ruch na drodze przed domem Natalie nie słabł i musiałam się skoncentrować. Widziałam minibusy i wozy terenowe skręcające w podjazdy, a także inne tego rodzaju samochody, wypływające ze swoich wnętrz mężczyzn i kobiety z torbami zakupów albo garderobą z pralni chemicznej. W oknach na parterze zapalały się lampy, a monitory telewizorów mrugały niebieskimi światełkami.

Kiedy dojechałam do końca tego nowego osiedla i znalazłam się na opuszczonym odcinku drogi prowadzącej do mojej dawnej dzielnicy, poczułam trochę większy spokój. Tutaj ziemię zaczęto ćwiartować i sprzedawać jak mięso. Pozostały jednak tu i ówdzie zaniedbane domy, po wtulane między drzewa albo - co smutniejsze - położone tak blisko drogi, że mimo pozamykanych okien i urządzeń produkujących biały szum nigdy nie uciekną przed skutkami zwiększającej się populacji. Mieszkańcy tych starych domów nawet

nie wiedzą, co to są maszyny produkujące biały szum. Takie urządzenia jak nauszniki dźwiękochłonne czy rozciągliwe siatki na różnego rodzaju ładunki są dla nich całkowicie obcymi pojęciami. Ludzie z pokolenia moich rodziców po prostu siedzą na miejscu i cierpią aż do śmierci, a ja właśnie osiągnęłam wiek, w którym zaczynałam rozumieć, dlaczego wydawało im się to lepsze od prób sprostania nowej sytuacji.

Pewien mężczyzna postanowił wziąć sprawę w swoje ręce i zbudował wokół całej swojej działki wysoki na trzy metry mur z cegieł żużlobetonowych. Regularnie posypywał go szkłem z tłuczonych butelek po piwie, które spadało na drugą stronę. Bez względu na to, ile kar czy grózb wyburzenia napływało od władz hrabstwa, mężczyzna odmawiał rozebrania muru. Jego wojna z urzędnikami miejskimi trwała około dziesięciu lat i zdawała się nie mieć końca, i chociaż właściciel domu regularnie trafiał na łamy gazet lokalnych, to jednak nigdy nie pojawiło się jego zdjęcie. Zaczęłam go sobie wyobrażać jako homunkulusa, w którym skupiły się wszelkie możliwe lęki współczesnego człowieka. A nie było jego zdjęć, bo wyglądał jak my wszyscy. To tylko jego lęki zrobiły z niego widmo, które zmieniało postać za swoimi murami. Był moją matką ukrywającą się na dnie szafy. I moim ojcem rysującym cienie na arkuszach sklejk. Był Natalie bojącą się samotności czy Sarą kradnącą mi drobne. Był wreszcie mną, kiedy w piątkowy wieczór, dwadzieścia trzy po siódmej, mijałam jego dom w drodze do domu pani Leverton. Patrząc, jak się pieni, ryczy i odpiera sądowe ataki czy roszczenia, miałam nadzieję, że

będzie żył wiecznie, a jeśli nie wiecznie, to że przynajmniej umrze długo po nas, sam wykończony, ale ciągle jeszcze rozdając razy na prawo i lewo.

Jechałam do właściwego Phoenixville, starej części miasta, gdzie wskrzeszone sklepy i usługi w dalszym ciągu zamykano o piątej po południu i gdzie ulice były puste, z wyjątkiem małych ognisk aktywności skupionych wokół drobnych lokalnych projektów. Zobaczyłam Antypodę, galerię rzeźby w pełnej iluminacji. Było to miejscowe centrum sztuki, które odwiedziłam niejednemu raz. Była to również scena mojej pijanej randki z Tannerem. Tanner wraz z właścicielem galerii, w otoczeniu ludzi o wiele od siebie młodszych, rywalizowali między sobą o to, kto jest ważniejszy.

- Dawno nie widziałam tak żalosalnej wystawy - powiedziałam, kiedy wytoczyliśmy się na ulicę.

- Zamknij się! - wykrzyknął Tanner. - A ty co zrobiłaś? - I tak się zaczęło nasze towarzyskie nieporozumienie.

Antypoda była dziś oświetlona, ale cicha. Gdzieś w głębi zobaczyłam ruch. Akurat szykowano wystawę i wieszano prace. Kawałek dalej leżały przewracane na chodniku i na ulicy stragany na kółkach z tanimi książkami, które ustawiano tu co wieczór. Właścicielka, samotna stara kobieta, pochyliła się, żeby je pozbierać. Z pewnością żałowała, że ze względu na późno wracających z pracy klientów tak długo zwlekała z zamknięciem.

Podjechałam na wolne miejsce, zaparkowałam i wysiadłam. Zebrałam z ulicy kilka zszarganych powieści o tan-detnych, spłowiiałych od długiego leżenia na słońcu okładkach.

Ale moją uwagę przyciągnęła sterta zapleśniałych tomików poezji, które musiały się skleić i spaść. Nazwiska wydawały się rosyjskie. Szybko przejrzałam tytuły i natychmiast zorientowałam się, że były to książki, które pan Forrest ofiarował miejscowej bibliotece trzydzieści lat temu. „Mają braki w Rosjanach”, wyjaśnił mi wtedy.

- Przepraszam - powiedziałam, wyciągając do kobiety dwie sterty książek. Wyraźnie się przestraszyła.

Splunęła w moją stronę, opryskując mi rękę i książki.

- Położę je tutaj - powiedziałam i zostawiłam książki na bagażniku rozebranego continental lincolna.

Wracając do samochodu, słyszałam mamrotanie kobiety. Czytałam kiedyś o poetce Marinie Cwietajewej i o tym, że się powiesiła na wieszaku na płaszcz. Jak to możliwe? - pomyślałam wtedy. Jakieś urządzenia na suficie, drzewa - owszem. Ale klamki czy haki na płaszcz?

Mówiono mi, że strzał w głowę to samobójstwo z przesłaniem. Ale jakie przesłanie chciał zostawić mój ojciec? Przewróciłam do góry nogami cały dom w poszukiwaniu jakiegoś listu, zaglądałam do szuflad i pod jego poduszkę, a skończyło się tym, że starymi szmatami umyłam schody, usuwając jedyne ślady, jakie po sobie zostawił.

Kiedy zbliżałam się do domu matki, uderzyła we mnie gorąca fala strachu, która, sunąc wzdłuż kręgosłupa i skradając się aż do łopatek, powodowała pieczenie w plecach, by na koniec zamienić się w gęsią skórkę. Nie potrafiłabym dokładnie wytłumaczyć, dlaczego tak było, ale czułam, że nie powinnam się tam pokazywać, nie mówiąc już o spędzeniu nocy.

Ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Te dziwne ruchy w moim ciele było mi łatwiej złożyć na karb rozpaczliwego wyczerpania - daremności i rujnującego działania ostatnich dwudziestu czterech godzin, które dotknęło moje serce, moje kończyny, moje władze umysłowe - niż przyznać, że byłam jedynie robotem, który po latach wiernej służby zerwał się z łańcucha, po to, by jednak na koniec - co dawało się z łatwością przewidzieć - wrócić do miejsca, w którym został powołany do życia.

Kilka domów, które jeszcze ciągle czekały na właścicieli, było ciemnych, ale w większości paliło się jedno czy dwa światła. Niedaleko matki mieszkały też i młode małżeństwa z dziećmi, ale był to zupełnie inny rodzaj małżeństw niż te, które kupowały pseudorezydencje w sąsiedztwie Natalie. Ci tutejsi sami sprząтали swoje domy i dokonywali drobnych napraw. Podczas weekendów wymieniali przegniłe gonty, malowali kominy, przycinali drzewa czy myli samochody. Dzieci za pomoc były wynagradzane lodami czy oglądaniem dodatkowych ulubionych programów telewizyjnych.

Skręcając w kierunku domów matki i pani Leverton, minęłam dom pani Tolliver. Był ciemny i zastanawiałam się, gdzie mogła pójść gospodyni. Przypomniał mi się tamten letni wieczór, kiedy stojący na trawniku i wrzeszczący na żonę, pan Tolliver złapał się nagle za serce. „Runął jak słup soli - powiedziała matka. Łomot! Zanim ktokolwiek zdążył zakręcić kran, zraszacz się przesunął i zawieźli go do szpitala ociekającego wodą”.

Zobaczyłam panią Tolliver sześć miesięcy później, kiedy z Jakiem i Emily przyjechałam odwiedzić rodziców. Robiliśmy

zakupy w Acme i pani Tolliver rozpromieniła się na widok Emily.

- Ach, jak to cudownie! - powiedziała. Była podniecona w sposób, jakiego u niej nie pamiętałam. Oszołomiona naszym spotkaniem w delikatesach, zaczęła wymachiwać paczką kurczaka bez kości, którą trzymała w ręce.

Zapytałam o nią, o dom, o to, jak się czuje.

- Dla mnie to już za późno - powiedziała w pewnym momencie. - Ale nie dla was. Dla was nie jest za późno. - Spojrzała na Jake'a i uśmiechnęła się, ale w tym uśmiechu był grymas, jakby się bała, że zostanie uderzona.

Zagubiona w myślach o pani Tolliver, zobaczyłam go przez gigantyczne w dalszym ciągu niezasłonięte okno. Pan Forrest siedział jak zwykle we frontowym pokoju widoczny dla wszystkich. Zjechałam na pobocze naprzeciwko jego domu. Nie zdawałam sobie sprawy, co mam po prawej stronie - dom, horyzont czy spacerującego papieża.

Odkręciłam okno i do samochodu wpłynęła fala nocnego powietrza z moich dawnych stron. Odetchnęłam głęboko. Poczulałam zapach trawników i asfaltu. Usłyszałam cichą muzykę. Dochodziła od pana Forresta. Słuchał Bartoka.

Po śmierci ojca pan Forrest i matka nieraz się kłócili. Nie było pogrzebu i pan Forrest uważał to za niewybaczalne uchybienie; nie liczył się z tym, czy matka wychodziła z domu, czy nie.

- Ale powiedz mi, Helen, dlaczego trzymaliście tę całą broń? - zapytał mnie kiedyś.

Nie zastanawiając się nad tym, co robię, wysiadłam z samochodu, przebiegłam na drugą stronę ulicy i asfaltowym

chodniczkciem podeszłam do jego domu. Pan Forrest nigdy nie lubił roślin i przez całe dziesięciolecie na jego trawniku prawie nie było krzewów ani drzew. Wyjątek stanowiły dwa przysadziste niestrzyżone bukszpany, które rosły po obu stronach ganku.

Ale nie doszłam aż tak daleko. Zatrzymałam się w połowie drogi. Przystanąłam zapatrzona. Pan Forrest trzymał coś na kolanach - jakieś zwierzątko - i pieścił. Przyszły mi na myśl wszystkie jego psy, ale szybko poznałam rudego pręgowanego kocura Urwisa. Leżał na kolanach swego pana do góry brzuchem i pozwalał się drapać.

Jaki mądry jest pan Forrest, pomyślałam. Jaki niewiarygodnie mądry, że został sam.

Miałam uczucie, jakby moje kolana były zrobione z dmuchanego szkła. Wiedziałam, że w każdej chwili mogę upaść, ale nie ruszyłam się z miejsca.

Nie miałam wątpliwości, dlaczego ojciec tak bardzo go lubił: pan Forrest dzielił z nim ciężar, jakim była matka. Potrafił odkrywać przed nią jej własne piękno w sposób, jakiemu ufała. Rozmowa z nim przypominała trzymany wysoko musujący koktajl. W jego oczach była niedocenioną Gretą Garbo, ciągle jeszcze w halce, wiecznie młodą, niezniszczalną.

Zastanawiałam się, czy pan Forrest podniesie głowę i zobaczy mnie stojącą na ścieżce. Nad kominkiem zauważyłam obraz, który kupił od Julii Fusk. Skończony w tym samym roku, w którym namalowała mnie, przedstawiał ubraną kobietę z widoczną twarzą. Oczy miała zamknięte, a sama, lekko przechylona w lewo, wskazywała w dół w stronę kominka, tam, gdzie teraz padł mój wzrok. Wzdłuż kominka stały trzy

prawie idealne drewniane kule, wykonane przez mojego ojca. Ojciec obsesyjnie twierdził, że te anonimowe kule stanowiły najprecyzyjniejsze przedmioty w drewnie, jakie kiedykolwiek wykonał. Siedząc w warsztacie przez ostatnie kilka lat swego życia, kiedy ja rodziłam dzieci i jako żona Jake'a chodziłam na przyjęcia, na których serwowano sery i wino, godzinami te kule polerował. Przychodził do domu nocą, dopiero kiedy widział, że światła zostały pogaszone. Skradał się cicho przez ogródek za domem, wchodził do kuchni i pokonując strome drewniane schody, wchodził do swojego pokoju, gdzie znajdowała się broń.

Obarczałam winą matkę. Obarczałam ją winą za wszystko. Tak wydawało się najprościej. Była wariatką, była „psychicznie chora”, jak to określił pan Forrest.

Latami pokutowałam za to, że potępiałam kogoś, kto był całkowicie bezradny. Podgrzewałam pokarm dla niemowląt i karmiłam matkę długimi różowymi łyżeczkami, które podkradałam u Baskina-Robbinsa. Wozłam ją po lekarzach, najpierw w kocach, a potem w ręcznikach, żeby ukryć przed nią świat. A nawet stałam i patrzyłam, jak upuszcza mojego wnuka.

Nie będę przeszkadzała panu Forrestowi, nie poproszę go o pieniądze, nie wyznam win. Zostawię go w spokoju z jego portretem, z jego drewnianymi kulami i z Urwisem, który kiedyś podrapał mojej matce policzek. Zawróciłam i poszłam do samochodu po torebkę. Nie mogłam się zmusić, żeby do niego wsiąść. Nie mogłam sobie wyobrazić odgłosu zapalającego silnika. Zniszczyłyby muzykę, którą słyszałam, zniszczyłyby ciszę ciemnych zaniedbanych trawników. Wyjęłam kluczyki

ze stacyjki i obeszałam samochód. Postanowiłam je zostawić w schowku na rękawiczki.

Wsadziłam rękę przez otwarte okno i szybko wrzuciłam kluczyki do schowka, a następnie złapałam torebkę. Od warokocza do nabojów. Od smyczka do rzemyczka, pomyślałam. Woda na młyn mojego niefortunnego terapeuty. Jakżeżby się tą sytuacją delectował. Dopóki nie dostałby ode mnie za głupotę. Niewykluczone, że kiedyś do niego zadzwonię. Taki mały sygnał z piekła.

Usłyszałam, że Bartok cichnie. Powiesiłam torbę na ramieniu. Pójdę do pani Leverton, otworzę sobie drzwi i - czy to możliwe? - spokojnie się zastrzelę.

W pewnym momencie zauważyłam, że pan Forrest zgasił światła. Zobaczyłam Urwisa sadzącego susami przez trawnik i usłyszałam odgłos zamykania frontowych drzwi. Odwróciłam się i krokiem, który uznałam za normalny, poszłam do końca kwartału ulic.

Nawet nie spojrzałam na dom matki - nie ojca, mimo że to przecież on go utrzymywał ze swoich zarobków. Zarobków, które pozwoliły mi się jakoś urządzać i utrzymać dwie córki z pozowania i dorywczych zajęć sekretarki. Wyniosłam się z domu, wyszłam za męża, urodziłam dzieci, dochrapałam się własnego domu i stałej pracy, ale tak jak ojciec, cały czas widziałam przed sobą ziejącą otchłań potrzeb matki, w którą wpadłam. Jake by powiedział, że w nią skoczyłam, że to był w końcu mój wybór. Mogłam się wycofać.

Choroba psychiczna ma tę unikalną właściwość, że daje przerzuty w obrębie wielu pokoleń. Czy padnie na Sarę? Czy na małego Lea? Sara wydawała się najbardziej oczywistą

kandydatką, ale to nic nie znaczyło. I nigdy, nigdy się o tym nie mówiło, jakby terapia geograficzna, którą zastosowała Emily, była wystarczająca. Sama przecież jej próbowałam. Myślałam, że Madison, Wisconsin będzie oznaczało ucieczkę, ale się myliłam. Tak samo jak małżeństwo czy macierzyństwo. Albo morderstwo.

Znów przeszłam na drugą stronę ulicy. Widziałam taśmę policyjną zagradzającą frontowe schody domu matki. Taśma wiła się zygzakiem przez metalową poręcz aż do samej góry. Szłam dalej. Ostrokrzew, który posadził ojciec zaraz potem, jak się tu rodzice wprowadzili, zasłaniał dom z boku, mimo to wiedziałam, gdzie znajdują się trzy stopnie z płytek. Ojciec zawsze przycinał krzewy tak, żeby móc swobodnie targać duże kawały sklejki do warsztatu. Teraz stopnie były ukryte. Te same, po których wycofywał się pan Forrest tamtego dnia po śmierci Billy'ego Murdocha. Schyliłam się w miejscu, w którym wiedziałam, że one muszą być, rozgarniając kolczaste krzewy. Małe, sztywne gałązki łapały mnie za ręce i twarz.

Z czasem uwierzyłam, że ojciec musiał zostawić niezliczone znaki. Pamiętam, jak odliczałyśmy z matką dni do jego powrotu ze szpitala - jak się wreszcie z pomocą Natalie zorientowałam - psychiatrycznego.

- Przypomnij sobie, co pamiętasz - nalegała moja przyjaciółka.

- Tylko to, że się zranił w warsztacie i że na dłuższy czas zabrali go do szpitala.

Natalie patrzyła na mnie długo i znacząco, aż wreszcie zrozumiałam, o co chodzi. Że to nie był żaden wypadek z wkrętakiem

czy piłą, jak początkowo myślałam, tylko że to się stało za jego sprawą.

- No i ta broń - mruknęłam.

Natalie tylko skinęła głową.

Usłyszałam, jak ojciec znów wypowiada swoje uniwersalne słowa: „Mamy dzisiaj ciężki dzień, kochanie”.

Było popołudnie. Matka ciągle jeszcze chodziła w nocnej koszuli. Ojciec odszedł ze Stacji Oczyszczania Wody Pickering na emeryturę i całe dni spędzał w domu, regularnie co najmniej raz dziennie wychodząc załatwiać jakieś rzeczywiste albo zmyślane sprawy. Uważał, że pomoże mu to utrzymać więź ze światem zewnętrznym.

Kupował znaczki. Zatrzymywał się przed Seacrest's przy Bridge and High, żeby kupić gazetę albo napić się przy barze słonawej kawy. Dbał o zapasy środków czyszczących, bulionów, galaretek błyskawicznych i jajek fermowych sprzedawanych przez rodzinę amiszów. Cierpliwie wyczekiwał na starych drewnianych ławkach stojących wzdłuż ścian zakładu fryzjerskiego Joego, omawiając z szefem wiadomości z gazet. W końcu jednak wsiadał do samochodu i wracał do domu.

Ale do czasu, kiedy się zastrzelił, musiał wiedzieć, że codzienne wychodzenie z domu nie wystarczy. Stanie w słońcu - o ile mógł je znaleźć - dla wymaganych piętnastu minut witaminy D też nie dokonało cudu, bez względu na to, na czym ten cud miał polegać.

Matka wyszła z kuchni. Od jakiegoś czasu miała zwyczaj jadania po południu paluszków z marchwi i selera z pianką waniliową. Swoje wielkie zapotrzebowanie na cukier zaspokajała za pomocą warzyw. Ojciec wyszedł tego dnia rano

z domu, ale wrócił szybko i poszedł na górę, gdzie zamknął się w swoim pokoju.

- Zasnęłam - powiedziała matka policjantom. - Kiedy wstałam, był u siebie. A ja czytałam. Rozmawialiśmy głównie wieczorami.

Patrzyłam, jak policjant w milczeniu kiwa głową. W pewnym momencie przesłuchania przyszedł pan Forrest, a potem pani Castle.

Stanął na szczycie schodów, powiedziała matka, i trzy razy zawołał ją po imieniu.

- Kolejny raz czytałam *The Eustace Diamonds*. Zostały mi do końca jeszcze dwa akapity, więc krzyknęłam, żeby poczekał jeszcze minutkę.

Ojciec czekał, a matka odłożyła po chwili książkę na stojący koło fotela okrągły stolik i zeszła na dół.

- Skończyłaś? - zapytał. Lufę miał już wtedy przy skroni.

- Sięgnęłam ręką do góry - powiedziała nam matka, i na dywanie znalazł się paluszek selerowy z całą porcją pianki, różowej teraz, zamiast białej - ale on...

Trzymałam ją rozdygotaną, sama także dygocząc. Nie pozwoliłam sobie nawet na próby dociekania, co dokładnie - jeśli go prowokowała - mogła mu na koniec powiedzieć. Trzymała głowę na mojej piersi, podczas gdy moja głowa zwisała przewieszona przez jej ramię. Przysięgałam sobie, że od tej chwili będę ją częściej przytulała, że będę się nią zajmowała, bo po prostu zostałyśmy tylko we dwie.

Policjanci zapytali matkę, czy ma jakiś wybrany zakład pogrzebowy, i wtedy pan Forrest wspomniał o Greenbrier z

Route 29. Skinęłam głową. W tym momencie jeszcze nie bardzo rozumiałam, co się ze mną stało. Mój ojciec właśnie zszedł ze sceny, a ja na nią wchodziłam, widząc w tym nie tylko swój obowiązek, ale być może i największy dar, jaki mogłam mu ofiarować pośmiertnie, biorąc na siebie dożywotnio ciężar, jakim była matka.

Teraz, kiedy opuszczałam ogródek moich rodziców, wiedziałam, że był to jego dom tak samo jak i jej. Jego choroba tak samo jak i jej. Tylko że ona po prostu skupiała na sobie więcej uwagi. Ona była zawsze - dzień w dzień. Ojciec budził litość; ona potępienie, on był ciepły, a ona zimna, ale czy aby na koniec nie był zimniejszy od niej? Ona awanturowała się, mazała i wrzeszczała, ale czy nie stanowiłyśmy od lat wspólnego frontu?

Wczoraj wieczorem zostawiłam ją, żeby zgnęła w piwnicy, a teraz leżała w jakiejś metalowej szufladzie, czekając na sekcję. Sara wiedziała, Emily wkrótce się dowie - o ile jeszcze jej nie powiedzieli. No, a Jake - Jake nawet widział jej ciało. I został.

Na podjeździe nie było mercedesa. Paliły się tylko wzdłuż chodnika od frontu i na trawniku na czterech rogach domu pani Leverton lampy zmierzchowe. Dlaczego teraz, kiedy już nie żyje, nie miałabym nazywać jej po imieniu? Beverly Leverton i jej nieżyjący mąż Philip, sąsiedzi mojej matki od pięćdziesięciu lat.

Odwrotnie jednak niż u niej, gdzie w dalszym ciągu przeżywały w oknach pojedyncze szyby, które bez trudu mogłabym wybić sporym kamieniem, dom pani Leverton został

przez jej syna wyposażony w okna z grubymi szybami i w alarm. Ale pani Leverton wyłączyła alarm, a jej wieloletnia sprzątaczką z Jamajki, Arlene, trzymała klucz od drzwi wejściowych w betonowym króliku pod sosną, niedaleko ganku na tyłach domu. Często stojąc w ogródku za domem matki, widziałam, jak Arlene się schyla, żeby ten klucz wydostać. Zauważyłam też, że ostatnio sprawiało jej to coraz większą trudność. W miarę jak starzały się właścicielki domów, starały się również i ich sprzątaczkę.

I rzeczywiście, klucz leżał tam, gdzie się go spodziewałam, pod luźnym jajkiem z betonu. Spojrzałam w lewo i w prawo; dach warsztatu mojego ojca ledwie mogłam dostrzec między drzewami. Dziwnie było znaleźć się w sąsiednim ogródku, gdzie ludzie żyli zupełnie inaczej, i nie znać prawie nikogo, poza zmarłymi.

Ostatecznie nawet z ważnym paszportem nigdy bym nie uciekła do przerobionego z młyna domu Jake'a w Aurigeno czy choćby pojechała autostopem na zachód. Powiedziałam Jeanine, że Grenlandia to wielki kraj, gdzie wszystko jest zielone. Zieloni ludzie siedzą w zielonych domach na zielonych krzesłach przy zielonych stołach i jedzą zielone potrawy. A potem przeszliśmy do Islandii, gdzie z kolei wszystko było z lodu. Mała zaśmiewała się, kiedy obracałam globus. „W Omanie wszyscy mają omamy, w Holandii mieszka latający Holender, a w Indiach same indyki”. A na Madagaskarze... - pomyślałam.

Otworzyłam moskitierę i przekręciłam klucz w zamku drzwi pani Leverton. Żaden alarm się nie odezwał. Poknęłam się w ciemnej kuchni. Wokół siebie widziałam jakies

kształty - wśród nich z łatwością rozróżniłam telefon, którego przewód w starym stylu wił się aż do podłogi i z powrotem. Cwietajewa bez trudu by się na nim powiesiła. Pomyślałam o Arlene wycierającej blaty kuchenne, kuchnię i zlewozmywak, o tym, jak co tydzień wchodzi i wychodzi z cudzego domu, przyswajając sobie zwyczaje i reżim jego właścicielki. Przy najmniej, przemknęło mi przez głowę, była na tyle cwana, że robiła to za pieniądze.

Wiedziałam, że nie mogę zapalić światła ze strachu, że stanę dostrzeżona. Za chwilę przyzwyczaję się do ciemności. Tak pomyślałam, ale w tej chwili gdzieś na zewnątrz usłyszałam miauczenie kota i aż podskoczyłam.

Weszłam z torbą do przylegającej do kuchni małej łazieneczki i zamknęłam drzwi. Zapalenie światła w pomieszczeniu bez okien wydało mi się bezpieczne, ale nie była przygotowana na widok osoby w lustrze.

Stałam oto, z paskiem od torby wrzynającym mi się w ramię i obciążającym je w dół. Z każdym krokiem, który oddalał mnie od samochodu, broń wydawała mi się cięższa. Zobaczyłam swoją twarz, obrzękłą z braku snu, rozczochrane, sterczące na wszystkie strony włosy. Usta miałam suche, zmarszczki nad nimi wypukłe, twarde. Nagle w lustrze ukazała mi się trzynastoletnia Helen. Widziałam siebie, jak dotykam postaci ze sklejki zdobiących ściany zatopionego kiedyś domu. Widziałam ojca na koniu na biegunach, samotny materac na podłodze.

- Są w nas różne tajemnicze pokoje - powiedziałam kiedyś do mojego terapeuty.

- To stosunkowo łagodny wytwór myśli - usłyszałam w odpowiedzi i przestałam się interesować resztą. Tym, że w

naszym domu nigdy tych pokoiów nie opuszczaliśmy, że matka i ojciec woleli je od jakiegokolwiek innego miejsca.

Oczy, które patrzyły na mnie z lustra, były małe, czarne, a za nimi czaił się pokój, którego unikałam przez całe życie. Moi rodzice na mnie czekają, pomyślałam. W małej łazience pani Leverton mogłam, jeśli chciałam, palnąć sobie w łeb. Ojciec odebrał sobie życie, ja odebrałam życie matce, a teraz szykowałam się, żeby do nich dołączyć. Jeśli się pospieszę, to pochowają mnie razem z matką - mogłybyśmy leżeć „w darte go orła”, tworząc własną zagmatwaną wersję *Kochanków z Pompei*.

Szybko zgasilałam światło. Postawiłam na podłodze torebkę i zaczęłam po ciemku myć twarz i ręce. Nabierając w dłonie lodowatą wodę, ochlapywałam sobie policzki. I wtedy ją zobaczyłam: Emily biegła do mnie od strony basenu YMCA. Wyciągając coś w moją stronę, uśmiechała się szeroko.

- Mam Odznakę Latającej Ryby! - wołała. - Dostałam! - W ciągu tygodni poprzedzających śmierć ojca opanowała do perfekcji styl motylkowy.

Nie zapaliłam ponownie światła. Stałam nad umywalką, ciężko dysząc. Próbowалам się zmusić do otwarcia drzwi. Podniosłam z podłogi torebkę, jakby to był worek do krykieta kogoś obcego, i wyszłam do kuchni, gdzie usiadłam przy okrągłym stole na krześle z wiklinowym oparciem. Przejechałam ręką po gładkiej powierzchni stołu. Pani Leverton nie zostawiła po kolacji żadnych okruchów.

Pomyślałam o moich córkach.

Kiedyś, kiedy we trzy odwiedzałyśmy moją matkę i dziewczynki były jeszcze małe, szliśmy z parku, gdzie za instalowano

nowe drabinki. Dzieci były podniecone i dosłownie szalały. Sara wbiegła na chodnik pani Leverton i zaczęła tupać nogą po betonie.

- Tu jest inaczej niż u babci! - wrzasnęła.

- Sara, wracaj, nie jesteś u siebie! Spojrzała na mnie niespeszona.

- Przecież wiem - odparła.

Emily popatrzyła na mnie, ciekawa, co będzie dalej.

I kto to taki pani Leverton. A pani Leverton zapukała od środka w pojedynczą jeszcze wtedy szybę, ja zaś pospieszyłam z Emily zabrać zabłąkane dziecko. Nagle jednak otworzyły się drzwi.

- Zapraszam - powiedziała pani Leverton. – Córki to musi być coś wspianalego.

I chociaż moja matka jej nienawidziła, a ona była wobec mnie bardzo krytyczna, weszliśmy do jej domu i usiadliśmy w salonie, który Arlene sprzątała co drugi piątek. Pani Leverton poczęstowała nas ciasteczkami z puszkami kupionymi w sklepie, a Sara opowiedziała jej, że u babci w ogródku od frontu jest pod alejką dziura.

- Kiedy się idzie, w tym miejscu jest zupełnie inny odgłos - wyjaśniła Emily.

- Mama mówi, że tam mieszkają jakieś ludziki - dodała Sara.

- Naprawdę? - Pani Leverton spojrzała na mnie, próbując się uśmiechnąć. W kąciку ust miała okruchy herbatnika.

- Całe miasteczko, prawda, mamó? - powiedziała Sara podniecona.

Nie odezwałam się.

- Jak w *Podróżach Guliwera* - wtrąciła Emily. - Sara lubi ich sobie wyobrażać.

No i proszę, pomyślałam, już w wieku dziewięciu lat Emily jest lepszą matką niż ja. Wzięła na siebie zabawianie pani Leverton, tak żeby Sara nie zauważyła mojego zniknięcia. Zastanawiałam się, czy lęk o to, jak energiczne i żywe są dzieci, jest udziałem wszystkich matek.

Złożyłam ręce.

- Przebacz mi, Boże - powiedziałam cicho.

Postawiłam torebkę na podłodze obok siebie, a następnie schyliłam się, żeby ją podnieść i postawić na stole. Od-sunęłam się z krzesłem i sięgnęłam do torby. Między palcami poczułam filc. Znalazłam sznurek i wyciągnęłam woreczek Crown Royal. W zetknięciu ze stołem wydał głośne brzęknięcie. Następnie wyjęłam pudełko z nabojami i położyłam je obok worka. Gapiłam się we fioletowy filc. Nawet samo wyjęcie broni wydawało się czymś niezgłębionym.

Wstałam.

Zegar nad zlewem pani Leverton miał niebieską neonową otoczkę - imitował zegar z taniej knajpy. W Easy Joe's mieli autentycznego McCoya.

Była dopiero za piętnaście ósma, a mnie się wydawało, że jest trzecia nad ranem. W końcu, pomyślałam, osiągnęłam przyszłość, która nie jest przyszłością.

Zobaczyłam stojący na kuchni czajnik i zdecydowałam, że zrobię sobie filiżankę herbaty. Wiedziałam, że stosuję taktykę odwlekania, z całą pewnością, ale wszystko, co racjonalne i

nieracjonalne, już dawno mnie opuściło. Wszystko wydawało się racjonalne, jeśli racjonalne było zabicie matki. Wszystko wydawało się racjonalne, jeżeli ofiara z własnego życia była drugą naturą.

Wolałam nie myśleć. Zaczęłam działać metodycznie. Nalałam wody do czajnika, uważając, żeby nie nasadzić na dzióbek gwizdka w kształcie niebieskiego ptaszka. Zepchnęłam w podświadomość obraz ojca we frotowym szlafroku i matki owiniętej w meksykański koc weselny i spadającej do piwnicy.

Postawiłam na kuchni czajnik z wodą i zapaliłam gaz. Ale przecież nie mogę odejść w ten sposób. W każdym razie, pomyślałam, nie bez listu. I nie tak jak mój ojciec, który zostawił mi matkę. Wybrałam dom pani Leverton, bo to miało swój sens. Bo był pusty. I wiedziałam, że moi bliscy nie będą musieli do niego wchodzić i oglądać mojej rozwalonej głowy.

Otworzyłam jedną szafkę, a potem drugą; w tej drugiej znalazłam filiżanki. Pani Leverton nie miała haczyków z wiszącymi na nich kubkami czy garnkami. Miała za to dobrą porcelanę i inne przedmioty codziennego użytku. Kubki mojej matce też wydawały się odrażające. Jakie by to było wspańiale, gdyby te dwie kobiety się znały. Gdyby się odwiedzały. Robiły dla siebie coś więcej niż tylko wysyłanie kart okolicznościowych z okazji narodzin wnucząt czy śmierci mężów - ale to moja matka określiła granice ich wspólnej rzeczywistości. „Sam fakt, że jesteśmy stare, jeszcze nie znaczy, że musimy stać się przyjaciółkami”.

Wiedziałam, że tak jak matka, pani Leverton musiała mieć

w domu szufladę z papierem listowym - może nawet całą komodę. Papeteria była typowym dyżurnym prezentem dla starszych pań. Ile szali i ile pudełek papieru listowego dostała pani Leverton w ciągu swojego dziewięćdziesięciosześcioletniego życia? „Gotówka”, tak mówił ojciec Jake'a pod koniec życia. „Jeśli nie gotówka, to nic innego mnie nie interesuje”. Żartował nawet, że chce umierać, trzymając w każdej ręce tysiąc dolarowy banknot. „Nie miałem serca go poinformować, że takie banknoty już dawno nie istnieją”, powiedział Jake.

Zostawiłam wodę na ogniu, żeby się zagotowała. Kogo to będzie obchodziło, jeśli nawet puszcze z dymem cały dom?

Podeszłam do drzwi prowadzących do salonu. Pod przeciwną ścianą stał sekretarzyk. Jego dolna krawędź była lekko oświetlona nocną lampką zmiernicową. Spojrzałam w lewo i zobaczyłam kolejne takie światełka. Z rozmieszczonych w różnych miejscach gniazdek sterczały zielone krążki, tak żeby pani Leverton czy jakiś szczęśliwy włamywacz mógł się swobodnie poruszać po pokojach na parterze.

Kiedyś moi rodzice pokłócili się o rachunek za elektryczność. Matka upierała się, żeby w domu paliły się wszystkie światła, nawet w słoneczny dzień, nawet kiedy ja byłam w szkole, a ojciec wyjeżdżał służbowo.

- Po co? Po co te wszystkie światła? - pytał, wymachując przed nosem matki rachunkiem, podczas gdy ona siedziała na kanapie i wyskubywała sobie nitkę z obrąbka sukienki. - Nie jestem bankiem - dodał, łapiąc kapelusz i płaszcz i wychodząc.

Później powiedziałam mu, że to musiało mieć coś wspólnego z jej operacją - z amputacją piersi. Pewnie doszła do wniosku, że przy zapalonych światłach rana będzie się lepiej goiła, i gdyby był cierpliwy, to jestem przekonana, że wróciłaby do używania światła tylko w tych pomieszczeniach, których aktualnie używała. I rzeczywiście, po upływie czterech miesięcy tak się stało. Nigdy się nie dowiedziałam, jaka była tego prawdziwa przyczyna. Po prostu wymyśliłam to kłamstwo, żeby nic się nie zmieniło, żeby zostało tak jak zawsze.

W szufladzie pod składanym blatem znalazłam papier listowy. Pierwszy list napiszę do Emili. Zasługuje na to, czego nigdy ode mnie nie dostała, a co tak bardzo było jej potrzebne: wyjaśnienie. Dlaczego byłam taka, jaka byłam, pomimo tego, co nazywała wolną wolą i niezliczonymi możliwościami, z których w jej pojęciu nigdy nie korzystałam.

Nie mogłam dojrzeć ani wzorów, ani kolorów, ale nie chciałam pisać pożegnalnego listu samobójcy na papierze w, powiedzmy, laleczki Holly Hobbie. Z wąskiej szuflady wyjęłam trzy opakowania papeterii i położyłam je sobie na wolnej ręce, po czym zamknęłam szufladę biodrem i otworzyłam niższą. Uśmiechnęłam się. Po jednej stronie moja ręka natrafiła na kłęb czegoś miękkiego. W dotyku wyczułam wełnianą dzianinę szala albo chusty. Na lewo od tego czegoś były kolejne pudełka. Wzięłam jedno - karty do gry cribbage; odłożyłam na miejsce. Następne - też karty, jeszcze w celofanie. Wrzuciłam je z powrotem do szuflady. Kolejny przedmiot musiał stanowić pozostałość po wnukach pani Leverton: sturarkuszowy komplet papierów Crayola z kredkami i wbudowaną

gumką. Wzięłam to wszystko.

Nie mogłam wrócić do kuchni.

Szłam ostrożnie z moją zdobyczą przez korytarz, omijając ciemne sylwetki zegara i półokrągłego stołu, na którym stały przedmioty różnych wielkości. Usłyszałam głos matki: „Bibeloty to znak rozpoznawczy tej kobiety, to jej druga natura”.

Na szczycie schodów zauważyłam światełko. Wystarczy, żeby coś napisać - pomyślałam i ruszyłam na górę. Schody były wyłożone miękką wykładziną. Miałam ochotę zdjąć buty i trochę sobie pochodzić, ale musiałam pilnować strategii wyjścia.

Wysypałam wszystko na szczycie schodów koło kufra, na którym stała mosiężna lampka oświetlająca korytarz. Ukłękłam przed nią. Na kufrze leżały rozłożone w wachlarz stare egzemplarze biuletynu związku emerytów amerykańskich, których monotonię od czasu do czasu urozmaicały kolorowe plamy pism kobiecych, „Woman's Day” i „Ladies Home Journal”. Miałam poczucie, że klęczę przed jakimś obcym ołtarzem, a potem wyobraziłam sobie, że przylepiona do gigantycznej lepkiej pułapki, młócę w powietrzu ramionami.

Potrzebowałam czegoś do pisania. Przecież nie mogłam napisać do Emily kredką. Dla Sary, owszem, taki tęczowy efekt byłby na miejscu, ale nie dla Emily. Potrzebowałam długopisu. Na parapecie za kufrem stał jasnoniebieski kubek - ten sam błękit co salaterka matki Pigeon Forge - a w nim pilniczek do paznokci, ciśnieniomierz samochodowy i trzy długopisy.

Wzięłam jeden z nich, złapałam egzemplarz biuletynu i usiadłam na górnym stopniu schodów, z nogami opartymi dwa stopnie niżej. Trzymając na kolanach pismo jako podkładkę, szybko wybrałam arkusz papieru w kolorze écru ze złotą obwódką, który uznałam za dostatecznie elegancki dla Em, i pochyliłam się nad nim.

Kochana Emily,

Jak mam ci wyjaśnić to, co i tak wiesz? Że chociaż jestem dumna z ciebie i z twojej siostry jak z niczego na świecie, znalazłam się w ślepym zaułku - bez żadnego wyboru.

Przerwałam pisanie. Wiedziałam, jak drobiazgowa jest Emily. Potrafiła spędzać całe godziny przed lustrem, doszukując się najmniejszych uchybień w swoim wyglądzie. Jej dom był zawsze wysprzątnany na wysoki połysk, a kiedyś powiedziała mi, że największą zaletą sprzątaczek jest to, że robią porządek z grubsza i że potem ona może się skupić na detalach.

Odchrząknęłam. Moje chrząknięcie odezwało się echem w korytarzu.

Kiedy dostaniesz mój list, ja już nie będę żyła. Mam nadzieję, że widok mojego ciała zostanie ci oszczędzony. Chęć zobaczenia się z moim ojcem nigdy mnie nie opuściła. Na pewno już do tej pory Sara ci powiedziała, że dziadek popełnił samobójstwo. Że nie spadł ze schodów czy że, owszem, spadł, ale dopiero po zastrzeleniu się.

Nie wiem, dlaczego mnie opuścił.

Czy wiesz, że babcia nosiła długie włosy ze względu na twojego dziadka? On je uwielbiał. Co wieczór przeczesywał je ze sto razy. Z perspektywy czasu widzę w tym ich wieczorną dawkę prozacu. Tak, tak, wiem - medytacja, a nie medycyna. Teoretycznie się z tobą zgadzam, ale czasami... nie sądzisz?

Koniecznienie chciałam, żebyś wiedziała, że nie zabiłam jej z zemsty ani z litości, naprawdę. Uważam, że postąpiłam słusznie, chociaż tego nie planowałam. Gdybym planowała, to z pewnością pomyślałabym osobie, o sytuacji, w jakiej się znalazłam. Przez cały dzisiejszy dzień myślałam o tobie i o twojej siostrze.

To było z mojej strony niewybaczalne - zmuszać was do tego, żebyście dorastały, zajmując przy mnie miejsce ojca.

Ale tak naprawdę chciałam powiedzieć, że serdecznie ci w twoim życiu kibicuję. Masz własny dom i rodzinę i mieszkasz bardzo daleko. I tak trzymaj. Nigdy tu nie wracaj. Beze mnie i tak nie będzie tu do czego wracać. To jest też dar, który chciałam ofiarować twojej siostrze. Nie pozwól jej zamieszkać w tym domu, Emily, i nie pozwól jej zmarnować życia. Sprzedaj oba domy. Tata ci pomoże.

Na chwilę przerwałam pisanie. Przypomniał mi się ojciec, jak siedział koło mnie w dniu, w którym wspólnie podpisywaliśmy umowę kupna mojego domu. Starał się osadzić mnie w życiu najmocniej, jak tylko mógł. Tego dnia wspomniął, że jego testament, jak i inne ważne dokumenty znajdują się w oddziale banku w Malvern, i powiedział mi, gdzie schował klucz.

Dopiero później zorientowałam się, dlaczego był w tym wszystkim taki dokładny i dlaczego każdą z tych informacji kazał mi powtarzać. Znow wróciłam do pisania.

Kiedy na chwilę zamkną oczy, tak jak to właśnie zrobiłam, widzę mojego ojca, ale zaraz potem ciebie. Pamiętasz ten dzień w YMCA? Taka jestem z ciebie dumna, moja Latająca Rybo!

Siedzę u pani Leverton; na zewnątrz jest ciemno. Muszę jeszcze napisać do twojej siostry. Dbaj o Jeanine i Lea i Bóg ci zapłać za każde życzliwe słowo o mnie do Johna. Czy pamiętasz, jak Sara lubiła kolor zielony? Ja pamiętam.

Kocham cię, Emily, bez względu na wszystko.

Pamiętaj o tym, bardzo cię proszę.

Rozluźniłam się. Wypuściłam z ręki długopis, który upadł cicho na wykładzinę. Po jego śmierci latami byłam zazdrosna o każdą chwilę niespędzoną z nim - o te wszystkie chwile, które zamiast jemu - poświęcałam Emily i Sarze, udzielając się w pierwszych latach ich szkoły jako rodzic czy pilnując ich podczas zabaw na drabinkach w parku. Czasem przychodził do nas i siadał ze mną na brzegu placu zabaw. To miałam. I tego się trzymałam, ilekroć jednak próbowałam sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy, pamięć mnie zawodziła. Brakowało mi czegoś, co mogłabym mieć przy sobie; nawet matka pospiesznie obciąła ojcu kosmyk włosów, kiedy uszłyśmy przed domem ludzi z zakładu pogrzebowego.

Patrzyłam na nią ze zgrozą, kiedy chowała ten kosmyk za bluzkę.

- Był moim mężem - wyszeptala.

Kiedy zadzwonili, zrozumiałam, że do mnie będzie należało pomóc tym ludziom w ich czynnościach. W położeniu ojca na noszach i przypięciu go mocno pasami.

Ale w końcu, zachęcona przez szefa zakładu, wymówiłam się. Zabrałam matkę do jadalni, gdzie stałyśmy koło dużej narożnej szafy w pobliżu kuchni, jedna przy drugiej, nie dotykając się dosłownie, ale tkwiąc w bezradnej bliskości.

- Bardzo mi przykro z powodu straty, jaką panie poniosły - powiedział szef ekipy, kiedy przyszli na górę z papierami. Tak ich nauczono.

Młodszy mężczyzna dopiero zaczynał pracę w zakładzie pogrzebowym.

- Mnie też - dodał, potrząsając moją ręką.

Poczułam, że coś wrzyna mi się w bok. Coś ostrego. I to już od jakiegoś czasu.

Odchyliłam się do tyłu i włożyłam rękę do kieszeni dżinsów. Była to spinka z motylkiem Sary. Wyjęłam ją i przez chwilę trzymałam na dłoni, tak żeby światło od kufra zagrało na jej błękitach i zieleniach, na złocistych cieniutkich szkiełkach zdobiących czułki i nóżki motyla.

Była prawie dziewiąta. Zastanawiałam się, czy Sara i Jake mnie szukają albo czy przyszło im do głowy, żeby porozmawiać z Hamishem. I kiedy Hamish otworzy szufladę w nocnym stoliku.

Zamknęłam dłoń na metalowym motylku i ścisnęłam.

Przypomniały mi się wszystkie wyrzucone w ciągu lat przedmioty - akt, który miał mi dawać poczucie wolności. Ale płaczącego Buddy, którego dostałam od Emily, nigdy nie wyrzuciłam. I nie wyrzuciłabym motylka.

Wstałam i tępe zapięcie spinki wbiłam w fakturę mojego czarnego swetra, aż usłyszałam kliknięcie zamka.

Pan Forrest z pewnością teraz śpi, pomyślałam, albo słucha muzyki na swoim ulubionym sprzęcie Bose. Rozmawialiśmy na ten temat, kiedy się przypadkiem spotkaliśmy jakiś rok temu.

- Ma najlepszy dźwięk. Mogę leżeć w łóżku i sobie słuchać. Używam specjalnej aksamitnej maseczki do spania. Zwykle było tak, że kiedy chciałem słuchać muzyki, musiałem siedzieć we frontowym pokoju.

Schyliłam się, żeby podnieść list do Emily i kredki, i wetknęłam je pod pachę jak torebkę kopertową. W końcu byłam w domu Tej Drugiej. Levertonowie z ich świątecznymi rejsami, z ich kunsztowną dekoracją świąteczną „On Donner, on Dancer” i starannie przygotowywanymi przyjęciami barbecue za domem. Śmiech ich gości przedostający się między drzewami i wylewający na nasz trawnik. To wszystko skończyło się raz na zawsze.

Wiedziałam dokładnie, dokąd chcę iść. Ruszyłam krótkim korytarzem, który w domu mojej matki kończył się jedyną łazienką na piętrze. U pani Leverton prowadził do innego korytarza, w pobliżu którego była sypialnia. To tu stała pani Leverton wczoraj wieczorem i stąd widziała mnie z matką na zewnątrz.

Z niewyłączonego nawilżacza unosił się w powietrzu zapach mentolu. Na stoliku przy łóżku, z drewnianym blatem

zabezpieczonym przyciętą na miarę taflą szkła, stały rzędami buteleczki leków, a obok notes zrobiony z pliku karteczek spiętych spinaczem. I obgryziony ołówek. Wyglądało na to, że podpowiedzi, jak mam ze sobą skończyć, jest nieskończenie wiele.

Położyłam na łóżku kredki i list do Emily, a sama usiadłam przy stole. Notes był zapisany. Wzięłam go do ręki.

Pani Leverton miała szokująco drżące pismo.

Stwierdziłam, że prawie wszystkie strony były zapisane, ale nie sprawami do załatwienia, nie były to też listy zakupów, tylko nazwiska prezydentów, nazwy stolic wszystkich pięćdziesięciu stanów, a także nazwiska lekarzy, którzy leczyli panią Leverton, i ich pielęgniarek. Oglądałam stronę po stronie.

W lepsze dni ręka była silniejsza i pani Leverton pamiętała: Frankfort, Kentucky; Augusta, Maine; Cheyenne, Wyoming. W złe dni ręka bardziej się trzęsła i pani Leverton zapomniała na przykład prezydentów od Johnsona do Busha. Przy niej moja wiedza wyglądała bardzo mizernie. Nie wiedziałam nic o Rutherfordzie Hayesie.

No cóż, i tak stracę choćby i tę wiedzę, jaką mam. Czułam łzy pod powiekami, kiedy nagle zobaczyłam rysunek wykonany przez panią Leverton - w gruncie rzeczy bohomaz - przedstawiający kobiecą sylwetkę. Że jest to kobieta, poznałam po spódnicy. Dokoła postaci ręką drżącą ze starości i lęku pani Leverton wypisała wiele obsesyjnie zniekształconych wersji imienia swojej synowej: Sherill, Sherelle, Cherule, Shariwell, Charille. Mimo mnogości prób nie udało jej się osiągnąć wersji „Cheryl”.

Zastanawiałam się, co myśli o niej Cheryl. Widziałam ją tylko raz czy dwa. Czy Cheryl była kimś, kogo pani Leverton kochała, czy potworem, w którego łaski musiała się wkradać, żeby mieć dostęp do syna?

Ponownie spojrzałam na rysunek pani Leverton w otoczeniu zmasakrowanych wersji imienia jej synowej. Codziennie, pomyślałam, wypisywała rzeczy, które w jakiś sposób wiązały ją ze światem zewnętrznym. Bez względu na to, jak bardzo była krucha, tego się trzymała.

Wiedziałam, co trzymało mnie.

Spojrzałam na mój list do Emily leżący koło kredek. Podniosłam go i przedarłam na pół - raz i jeszcze raz. Zdecydowałam, że to, co będę mogła, sama wyjaśnię moim córkom, i że udźwignę ciężar własnych win.

Pozwoliłam, by wykonane właśnie przeze mnie confetti spadło na podłogę i z roztargnieniem pomyślałam o gotującej się na kuchni wodzie. Uśmiechnęłam się na wspomnienie Jake'a, który nazywał Sarę - z powodu jej słabości do zielonych ubrań - swoim „małym Kadafim”. Mogłabym wziąć kredki i topić je w bryły w jakimś rondlu. Mogłabym zaznaczać stolice krajów, w których nigdy nie byłam i nie będę. Na przykład na zielono Nuuk - stolicę Grenlandii, gdzie wszystko jest zielone. Mogłabym w więzieniu prowadzić zajęcia ze sztuki. Któregoś dnia wyjdę i wtedy stanę na tamtej polanie w Westmore i będę uczyła starych ludzi malować zmurszały dąb.

Wstałam. W kuchni palił się pod czajnikiem ogień, a na stole leżał pistolet, ale ja podeszłam do okien w rogu pokoju. Jedno wychodziło na tyły ogródka Levertonów, drugie na dom mojej matki.

W ciągu tych lat, jakie minęły od śmierci ojca, drzewa zgęstniały, ale jesień w tym roku przyszła wcześniej i liście szybko zaczęły opadać. Widziałam pracownię ojca, a za nią oświetlony księżycem dom. Zobaczyłam okno mojego pokoju i wyobraziłam sobie matkę, jak połową ciała wychyloną na zewnątrz zaplata pędy bluszczu i jak ojciec ją trzyma, a ja spokojnie siedzę na łóżku.

Albo dokładnie w tym momencie, albo chwilę później zobaczyłam światła. Niebieskie światła pulsujące gdzieś przed frontem domu matki. Niebieskie i czerwone.

Nie zrozumiałam i chyba już nigdy nie zrozumieję, na czym polegały jej lęki i dlaczego ojciec uznał, że musi nas opuścić, i to w taki sposób. Myślałam o błogosławieństwie, jakim są dzieci i miłość - jedna, a potem druga, bo przecież trudno pominąć Hamisha - mężczyzny więcej niż dobrego.

Stojąc przy oknie, powoli zsuwałam z nóg pantofle. Moje stopy zapadły się w miękką wykładzinę. Uchyliłam delikatnie okno i do środka wtargnął podmuch wiatru, przynosząc do zamkniętego pomieszczenia chłodne nocne powietrze. Zaczęłam nasłuchiwać. Pochwyliłam trzask gałęzi uderzających jedna o drugą w porywach wiatru, a potem od strony domu matki napłynęły głosy. Zobaczyłam rozstawione po całym trawniku ciemne postacie z latarkami i ludzi wchodzących do pracowni ojca.

Zrobię to, w czym zawsze byłam najlepsza, pomyślałam - zaczekam. Ostatecznie to tylko kwestia czasu.

- Tu jej nie ma! - usłyszałam krzyk policjanta. - Ani śladu!

Podziękowania

THE BLOOD:

Bender, Cooper, Dunow, Gold

THE CIRCLE:

Barclay, Doyle, Elworthy, Fain, Goff, Muchnick, Nurnberg, Pietsch, Snyder

THE UNEXPECTED:

Charman

THE MASTER MECHANICS:

Bronstein, MacDonald, Schultz

THE CITADEL:

The MacDowell Colony

WILD CARD:

Wessel and the Italian Contingent

WILD DOG:

Lilly (uff!)